

DIANA PALMER

ARIZONA

Na horyzoncie pojawił się obłok żółtego kurzu. Trilby wpatrywała się w niego skrywając podekscytowanie. W ciągu miesięcy, które spędziła na ranchu w rozległej Arizonie, nawet obłok kurzu niósł ze sobą potencjalną możliwość rozproszenia nudy. W porównaniu z towarzyskim wirem Nowego Orleanu i Baton Rouge, te okolice wydawały się leżeć poza obrębem cywilizacji. Październik miał się ku końcowi, ale żar wcale nie zelżał. Jeśli to możliwe, był jeszcze większy. Dla młodej kobiety o nienagannych manierach, pochodzącej z dobrego domu, tutejsze warunki życia były niezwykle ciężkie. Posiadłość jej rodziny w Luizjanie znajdowała się daleko od tego samotnego, zbitego z desek domu w pobliżu Douglas w Arizonie, a mężczyźni, którzy zamieszkiwali to bezludzie, byli prawie takimi samymi barbarzyńcami jak czerwonoskórzy Indianie. Tych także pełno było w pobliżu. Stary Apacz i młody Yaqui pracowali u jej ojca. Nigdy nie odzywali się nawet słowem, tylko się przyglądali. Tak samo jak zakurzeni, nie domyci kowboje.

Większość czasu Trilby spędzała wewnątrz domu, z wyjątkiem dni, kiedy urządzano pranie. Raz w tygodniu wychodziła na zewnątrz, gdzie razem z matką w dużym, czarnym żeliwnym kotle gotowały białą bieliznę - na przykład koszule ojca - w blaszanej balii prały na tarze pozostałe rzeczy, w drugiej zaś je płukały.

- Czy to kurz, czy deszczowa chmura? - zapytał młodszy brat Trilby, Teddy, wrywając ją z zamyślenia.

Spojrzała na niego przez szczupłe ramię i uśmiechnęła się łagodnie.

- Myślę, że kurz. Pora monsunów skończyła się i znowu jest sucho. Cóż innego mogłoby to być? - zapytała.

- Może to być pułkownik Blanco i jacyś *insurrectos*, meksykańscy rebelianci walczący z rządem Diaza - po namyśle stwierdził Teddy. - Rany, pamiętasz ten dzień, kiedy na ranchu przyjechał patrol kawalerii i poprosił o wodę, a ja przyniosłem im pełne wiadro?

Ted miał zaledwie dwanaście lat i to wspomnienie stanowiło ważny moment w jego młodym życiu. Ranchu ich rodziny znajdowało się blisko granicy z Meksykiem, a dziesiątego października Porfirio Diaz ponownie został wybrany na prezydenta tego kraju. Jednakże despotę zaatakował Francisco Madero, jego konkurent, który w kampanii wyborczej poniósł porażkę. Teraz w Meksyku wrzało. Czasami rebelianci, którzy nie wiadomo czy należeli do bandy *insurrectos*, czy też wspierali siły wierne prezydentowi, najeżdżali miejscowe rancha.

Kawaleria pilnowała granicy. Sytuacja w Meksyku stawała się jeszcze bardziej wybuchowa niż dotychczas.

Ten rok w ogóle obfitował w niezwykle wydarzenia: w maju światu zagrażała kometa Halleya, tuż potem dotarła tu smutna wieść o śmierci króla Edwarda. W następnych miesiącach na Alasce doszło do wybuchu wulkanu i katastrofalnego trzęsienia ziemi w Kostaryce. Teraz były kłopoty na granicy, które co prawda sprawiały, że życie Teddy'ego stało się interesujące, jednakże głęboko niepokoiły ranczerów i skromnych obywateli. Wszyscy znali ludzi związanych z kopalniami w Sonorze, ponieważ sześć towarzystw górniczych miało swoje siedziby w Douglas. Ponadto wielu miejscowych ranczerów posiadało ziemię również w Meksyku, co stanowiło zarzewie konfliktu.

Właśnie dzisiaj przejechał oddział kawalerii Stanów Zjednoczonych w mundurach w kolorze khaki. Dowódcy jechali w szybkim zwiadowczym wozie, za którym podążał konny oddział. Wyglądali tak atrakcyjnie, że Trilby miała przemożną chęć, by się uśmiechnąć i pomachać im ręką.

Z trudem się powstrzymała. Teddy nie miał takich zahamowań. Omal nie spadł z ganku, tak machał, kiedy przejeżdżali. Nie zatrzymali się jednak, żeby poprosić o wodę, co bardzo rozczarowało chłopca.

Teddy był zupełnie inny niż siostra. Ona miała jasne włosy i szare oczy; on był rudy i miał oczy niebieskie.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie zmarłego dziadka, do którego Teddy tak bardzo był podobny.

- Dwaj nasi meksykańscy kowboje podziwiają bardzo pana Madero. Uważają, że Diaz jest dyktatorem i powinien zostać obalony - powiedział.

- Mam nadzieję, że faktycznie uda się tę sprawę załatwić, zanim rozpęta się totalna wojna - odparła z troską a my znajdziemy się w samym środku walk. Martwi to mamę, więc nie mów o tym zbyt wiele, dobrze?

- W porządku - zgodził się niechętnie. Samoloty, baseball, zamieszki w Meksyku, a także wspomnienia starszego przyjaciela, Mosby'ego Torrance'a, w chwili obecnej najbardziej go ekscytowały, nie chciał jednak martwić Trilby mówiąc jej, jak poważna staje się sytuacja w Meksyku. Nie miała przecież pojęcia, o czym mówią kowboje. Teddy też miał tego nie wiedzieć, lecz udało mu się podsłuchać. Był przerażony, ale gdyby dowiedziała się o tym jego delikatna siostra, bałaby się jeszcze bardziej.

Trilby zawsze chroniono przed nieokrzesanym językiem i nieokrzesanymi ludźmi. Zmienił ją jednak pobyt w Arizonie, w pobliżu ludzi z Zachodu, którzy musieli walczyć z pustynią, zwierzętami hodowlanymi i pogodą - a także z wypadkami kradzieży bydła - i przeżyć. Trilby nie uśmiechała się już tak często jak w Luizjanie i nie była tak rozbawiona.

Teddy'emu brakowało siostry z minionych lat. Ta nowa starsza siostra była tak cicha i tak spokojna, że czasami nawet nie był pewny, czy Trilby w ogóle jest w domu.

Nawet teraz nieobecny spojrzeniem wpatrywała się poprzez pusty krajobraz w odległy horyzont.

- Mam nadzieję, że Richard wrócił już z Europy - szepnęła. - Chciałabym, żeby przyjechał nas odwiedzić. Może zrobi to za miesiąc czy dwa, kiedy już się zdomowi. Przyjemnie będzie znowu przebywać w towarzystwie dżentelmena.

W Luizjanie Trilby była bardzo zainteresowana Richardem Batesem, ale Teddy nigdy go nie lubił. Może i był dżentelmenem, lecz w porównaniu z mężczyznami z Arizony wydawał mu się wymoczkowaty i głupawy.

Nie powiedział tego jednak. Chociaż miał tak niewiele lat, uczył się dyplomacji. Nic by mu nie dało zmartwienie biednej Trilby. Już i tak miała wielki problem z przystosowaniem się do życia w Arizonie.

- Kocham pustynię - powiedział. - Czy lubisz ją chociaż trochę?

- Cóż, przypuszczam, że się do niej przyzwyczajam - odparła cicho. - Ale jeszcze nie gustuję w tym potwornym żółtym pyle. Przedostaje się do wszystkiego, co gotuję, a także do naszych ubrań.

- Mówię ci, i tak lepiej wykonywać prace kobiece niż cechować bydło - powiedział, w tej chwili bardzo przypominając ojca. - Cała ta krew, kurz i hałas. A kowboje klną, aż uszy puchną.

Trilby uśmiechnęła się do brata.

- Wiem. Tata także, chociaż nigdy w naszej obecności.

Tylko wówczas, gdy zdarzy się jakiś wypadek.

- Wiesz, Trilby, w czasie cechowania bywała dochodzi do wielu wypadków - powiedział sucho, przeciągał głoski, naśladowując swojego bohatera, Mosby'ego Torrance'a. Był to emerytowany teksański kawalerzysta i najstarszy pomocnik na ranchu. Teddy spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Trilby, czy ty kiedykolwiek wyjdiesz za mąż? Jesteś stara.

- Mam dopiero dwadzieścia cztery lata - odparła z zakłopotaniem. Większość z jej przyjaciółek w Luizjanie wyszła już za mąż i miała dzieci. Przez pięć lat Trilby cierpliwie czekała na oświadczyzny Richarda. Jak dotąd, był zaledwie przyjacielem, a jej ciężko było na sercu.

Może skłoniłaby się ku innemu młodemu mężczyźnie, gdyby taki się do niej zalecał, ale Trilby nie była piękna, chociaż posiadała ciepłe, łagodne serce i słodką naturę.

Nie miała takiej twarzy, na której widok zaczynają drżeć męskie serca, nawet w Luizjanie. Tutaj, na tym hodowlanym ranchu, nie było wielu kandydatów nadających się do małżeństwa.

Uważała kowbojów za leni, którzy głównie pili, palili i nigdy się nie kąpali.

Zabolało ją serce, kiedy pomyślała o tym, jak zawsze pedantyczny był Richard. Żałowała, że wyjechali z Luizjany. Jej ojciec odziedziczył ranczo po zmarłym bracie. Wraz z matką zainwestowali w nie ostatniego dolara i chociaż pracowała na nim cała rodzina, to i tak trzeba było nająć kogoś do pomocy. Mimo wiosennej powodzi tego roku panowała susza, a ranczerzy tracili bydło, uprowadzane do Meksyku.

I wszystkie te kłopoty zdarzyły się akurat teraz, pomyślała Trilby, kiedy Arizona znajdowała się na najlepszej drodze, żeby zostać kolejnym stanem. Jakież to niecywilizowane.

Pustynia była drastyczną odmianą dla ludzi nawykłych do mokradeł i wilgoci. Trilby i jej rodzice byli niegdyś zamożni, dlatego też Jack Lang mógł zakupić bydło. Jednakże w ciągu ubiegłych kilku miesięcy ich sytuacja finansowa pogorszyła się i sprawy nie miały się już tak świetnie jak niegdyś. Zdziwiająco dobrze udało im się jednak zaadaptować - nawet Trilby, która znienawidziła od razu to miejsce i uznała, że nigdy nie będzie szczęśliwa na ranczu na środku pustyni, na którym rosną tylko dwa samotne, dające cień drzewa paloverde.

- Popatrz, czy to nie pan Vance? - zapytał Ted, przysłaniając oczy, kiedy dostrzegł samotnego jeźdźca na dużym jabłkowitym koniu.

Na jego widok Trilby zazgrzytała ślicznymi ząbkami. Tak, był to Thornton Vance. Nikt inny w pobliżu Blackwater Springs nie jeździł na koniu z taką zwinną arogancją ani nie nosił stetsona pod takim kątem.

- Chciałabym, żeby siodło wypadło mu spod siedzenia - szepnęła złośliwie.

- Nie wiem, dlaczego go nie lubisz, Trilby - powiedział ze smutkiem Ted. - Jest dla mnie bardzo miły.

- Może i tak, Teddy.

Jednak Vance i Trilby byli wrogami. Wydawało się, że pan Vance poczuł do Trilby natychmiastową niechęć w dniu, w którym zostali sobie przedstawieni.

Langowie mieszkali już w Blackwater Springs od trzech tygodni, kiedy poznali Thorntona Vance'a. Trilby przypomniawszy sobie jego delikatną, lekko wyniosłą żonę, uwieszoną niedbale u jego ramienia, kiedy dokonywano prezentacji na spotkaniu kościelnym. Zimne, ciemne oczy Thorntona Vance'a zwęziły się z niespodziewaną niechęcią, kiedy tylko dostrzegły Trilby.

Nigdy nie rozumiała tej niechęci. Jego żona zachowała się trochę protekcyjnie, kiedy zostały sobie przedstawione.

Pani Vance była piękna i zdawała sobie z tego sprawę. Jej suknia była kupiona w sklepie i wydawała się bardzo kosztowna, tak samo jak torebka i sznurowane buciki. Miała jasne włosy i niebieskie oczy; jej wyniosła pogarda dla taniej odzieży przyprawiała Trilby o furię. Córeczka

Vance'ów sprawiała wrażenie przygaszonej. Nic dziwnego.

W Luizjanie Trilby też ubierała się w kosztowne suknie.

Teraz jednak nie było pieniędzy na luksusy i musiało jej wystarczyć to, co posiadała. Nie wypowiedziana pogarda widoczna w zimnych oczach pani Vance trafiła ją prosto w serce. Może podświadomie przelała swą wrogość do tej kobiety na jej męża.

Od samego początku Thornton Vance przerażał Trilby.

Był wysokim, nieokrzesanym, gwałtownym mężczyzną, który mówił dokładnie to, co myślał, i nie przejmował się żadnymi towarzyskimi konwenansami. Był wyjętym spod prawa w kraju wyjętych spod prawa i Trilby nie chciała mieć z nim w ogóle do czynienia. Tak się różnił od jej Richarda jak noc od dnia. Nie całkiem jej Richarda, musiała to przyznać, jeszcze nie. Gdyby jednak mogła trochę dłużej zostać w Luizjanie, gdyby była trochę starsza... Jęknęła w duchu, ubolewając nad tym, że los rzucił ją na ścieżkę Thorntona Vance'a.

Kuzyn Vance'a, Curt, całkowicie różnił się od Thorna i Trilby od razu poczuła do niego sympatię. Lubiała Curta Vance'a, ponieważ był kulturalny i uprzejmy, i w jakimś sensie przypominał jej Richarda. Nieczęsto go widywała, ale lubiła go.

Curt zdawał się również lubić żonę pana Vance'a. Sally Vance udawało się wtrącić za każdym razem, kiedy Trilby rozmawiała z Curtem, i gestem właścicielki brała go pod ramię. Za każdym razem, kiedy się spotykały, jej niechęć w stosunku do Trilby stawała się wyraźniejsza, tak że w końcu Trilby starała się nie brać udziału w żadnym towarzyskim spotkaniu, podczas którego mogłaby zobaczyć tę kobietę.

Sally zginęła w bardzo podejrzanym wypadku zaledwie dwa miesiące po przybyciu Langów do Blackwater Springs.

Pan Vance przyjął zwyczajowe kondolencje od rodziny, ale kiedy Trilby złożyła swoje, odwrócił się na pięcie i odszedł, co było bardzo widocznym i publicznym afrontem. Dał też znak swojej córeczce, by poszła za nim.

Trilby nigdy nie starczyło odwagi, by zapytać, czym obraziła człowieka, którego dopiero co poznała. Nawet mu się dobrze nie przyjrzała. On unikał jej jak zarazy, także wówczas, kiedy spotkali się przypadkowo i był razem z córeczką. Dziewczynka lubiła Trilby, ale nie mogła podejść do niej z powodu ojca. Mała czuła się zakłopotana w towarzystwie taty, a Trilby nie potrafiła tego zrozumieć. Thornton Vance onieśmiał ludzi.

Złagodniał jednak w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, ponieważ często przyjeżdżał na ranczo, żeby zobaczyć się z jej ojcem. Zawsze mówił o prawach do wody i o tym, jak susza trzebi jego wielkie stada. Pan Vance był właścicielem rozległych terenów, tysięcy akrów ziemi, częściowo w Stanach Zjednoczonych, a częściowo w Meksyku, w stanie Sonora. Na ranczu

Springwater znajdowało się jedyne źródło wody w okolicy i pan Vance pragnął je mieć. Z kolei jej ojciec nawet nie chciał rozmawiać na temat sprzedaży ziemi. To było do niego niepodobne. Nie chciał również pozbyć się praw do wody.

Trilby opanowała wzburzone myśli, kiedy Thornton Vance zatrzymał konia tuż przed frontowymi schodami i skrzyżował na łuku opalone dłonie. Chociaż bogaty, ubierał się jak typowy kowboj. Miał na sobie stare niebieskie dżinsy ze zniszczonymi skórzanymi ochraniaczami. Kraciasta koszula była stara i wytarta. Na jego silną szyję opadała ogromna czerwona chusta.

Teraz była poplamiona, zakurzona i pomięta. Jasny kapelusz nie był w dużo lepszym stanie - wyglądał, jakby przemókł na deszczu, jakby go ktoś wyżył i wielokrotnie podeptał. Obuwie miał w opłakanym stanie, przypominało buty Teddy'ego, kiedy pracował przy bydle - noski zadarły się w górę od nadmiaru wilgoci, a obcasy były zdarte. Pan Vance nie wygląda zbyt elegancko, pomyślała, i widać było, że patrzy na niego z niesmakiem.

- Dzień dobry, panie Vance - powiedziała Trilby spokojnie, zbyt późno i niechętnie przypominając sobie o dobrych manierach.

Spojrzał na nią bez słowa.

- Czy pani ojciec jest w domu?

Zaprzeciła ruchem głowy. Miał głos miękki jak aksamit i głęboki jak noc, a jednak potrafił ciąć jak bicz, kiedy tego pragnął. Teraz właśnie tego pragnął.

- A matka? - spróbował znowu.

- Pojechali z panem Torrance'em do sklepu - odezwał się Teddy. - Zawiózł ich bryczką. Tata powiada, że pan Torrance nie nadaje się do niczego, ale to nieprawda, panie Vance. Wcale tak nie jest. Wie pan, że kiedyś był teksańskim kawalerzystą?

- Tak, wiem, Ted. - Pan Vance ponownie skierował na Trilby spojrzenie swoich ciemnych oczu. Były osadzone w żywej, wyrazistej twarzy o prostym nosie i opalanej na ciemno skórze, pod czarnymi brwiami odpowiadającymi równie gęstym, prostym, czarnym włosom, wystającym spod kapelusza.

Z jakiegoś powodu Trilby poczuła się jak na cenzurowanym, chociaż jej kretonowa sukienka była bardzo przyzwoita. Niepotrzebnie wytarła ręce w fartuch.

- Powinnam wrócić do kuchni, zanim spalę szarlotkę - zaczęła, mając nadzieję, że pan Vance zrozumie, co chciała przez to powiedzieć, i odjedzie.

Zamiast tego zapytała:

- Czy dostanę kawałek?

Zaskoczona, niemalże wpadła w panikę. Odpowiedział za nią podniecony Teddy.

- Jasne! - wykrzyknął z entuzjazmem. - Trilby piecze najlepszą szarlotkę pod słońcem, panie Vance! Najlepsza jest ze śmietanką, ale ostatnio nasza krowa nie daje mleka i musimy się obyć bez śmietany.

- Twój ojciec nic mi nie mówił o krowie - powiedział Vance, zręcznie zeskakując z konia i przywiązując wodze do balustrady. Jednym skokiem znalazł się na ganku. Był szczupły i wyglądał równie zgrabnie w siodle, jak i poza nim. Górował nad Teddym i Trilby, wysoki i silny.

Odwróciła się szybko i weszła do domu. Dobrze, że przynajmniej zaplotła dziś jasne włosy w schludny warkocz, bo na ogół nosiła po domu swobodnie rozpuszczone.

Sprawiała wrażenie znacznie bardziej chłodnej i opanowanej, niż była w rzeczywistości. Żałowała, że nie ma pod ręką czerwonego pieprzu cayenne, którym chętnie nafaszerowałyby szarlotkę pana Vance'a. On i tak prawdopodobnie żywi się ostrym pieprzem i arsenikiem, pomyślała mściwie.

- Wczoraj kupiliśmy następną krowę od pana Barnes'a na końcu drogi - odezwał się Teddy. - Ale siostrzyczka była zajęta pieczeniem i jej nie wydoiła. Zrobię to za ciebie, Trilby, a ty dopilnuj szarlotki. Zajmie mi to tylko chwilę.

Próbowała zaprotestować, ale Teddy złapał wiaderko do dojenia i pomknął w stronę tylnych drzwi, zanim zdołała go zatrzymać. Przerażona, została sama z panem Vance'em.

Teraz, kiedy nie było już Teddy'ego, Thornton Vance nie starał się maskować wrogości. Wyciągnął z kieszeni woreczek z tytoniem i bloczek bibulek, i szybkimi, zwinnymi ruchami długich palców zaczął zwijać papierosa.

Trilby uchyliła drzwiczki opalanego drewnem pieca i sprawdziła, czy ciasto się upiekło. W domu, w Luizjanie, mieli gazowy piekarnik. Prawdę powiedziawszy Trilby trochę się go bała, ale teraz czasami jej go brakowało, kiedy musiała gotować na opalonym drewnem piecu, a na to tylko było ich stać. Zakup bydła był bardzo kosztowny. Z dnia na dzień utrzymanie stada stawało się trudniejsze. Teddy nie powinien był wspominać o tym, że krowa przestała dawać mleko.

Dojrzała brązową skorupkę, zanim jeszcze poczuła zmieszany zapach cynamonu, cukru i masła pieczącej się szarlotki. W sam raz. Przez szmatki szybko wyjęła placek z piekarnika i postawiła go na długim stole, który biegł prawie od okna do okna. Ręce jej drżały, ale zdołała, dzięki Bogu, nie upuścić ciasta.

- Denerwuję panią, panno Lang? - zapytał, przysuwając sobie krzesło.

Siadł na nim okrakiem jak na koniu, zwijając jak wąż swoje potężne ciało i składając ramiona na oparciu. Wyglądał bardzo męsko, a sam układ jego muskularnego ciała, z ochraniaczami i dzinsami opinającymi ściśle długie, silne nogi, sprawił, że Trilby poczuła się

zakłopotana. Nigdy nawet nie zwróciła uwagi na nogi Richarda. Zła na siebie za to niestosowne zainteresowanie, przyjęła postawę obronną.

- Och, nie, panie Vance - odparła ze sztucznym uśmiechem. - Niechęć wpływa na mnie tak ożywczo.

Uniósł brwi i skrył uśmiech.

- Naprawdę? A jednak drżą pani ręce.

- Niezbyt dobrze znam mężczyzn... z wyjątkiem mojego ojca i brata. Pewnie dlatego czuję się skrepowana.

Kiedy przyglądał się, jak odgarnia kosmyk jasnych włosów, w jego oczach nie było widać nic poza pogardą.

- Miałem wrażenie, że na tym spotkaniu w ubiegłym miesiącu uznała pani, że mój kuzyn ma nieprzeparty urok.

- Curt? - Skinęła głową, nie dostrzegając wyrazu, jaki pojawił się w jego ciemnych oczach.

- Bardzo go lubię. Jest miły w obejściu i ma sympatyczny uśmiech. Dał Teddy'emu miętówkę. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Mój brat nigdy nie zapomina okazanych mu względów. - Spojrzała na niego z niepewnością. - Pański kuzyn przypomina mi kogoś.

To miły człowiek - dodała znacząco; gdy jej oczy całkiem jednoznacznie mówiły o tym, co myśli o jego ubiorze i o nim samym, chociaż nie wypowiedziała ani słowa.

Miał ochotę głośno się roześmiać. Sally opowiedziała mu, jak zobaczyła Curta i pannę Lang w namiętym uścisku. Nie ona pierwsza zwróciła mu uwagę na ten związek.

Pewna dama z kościoła, znana plotkara, wspomniała, że widziała Curta i jakąś blondynkę obejmujących się czule.

Powtórzył w domu tę plotkę, a wtedy Sally opowiedziała mu o Trilby. Zrobiła to szybko, prawie niechętnie. Thorn przypomniał sobie, że wówczas bardzo pobladała.

Właśnie ta uwaga sprawiła, że zaczął odczuwać silną pogardę dla dziewczyny. Jego kuzyn Curt był żonatym mężczyzną, ale pannie Lang zerwanie z konwenansami zdawało się nie sprawiać kłopotu. To dziwne, że kobieta, która zachowywała się tak nobliwie jak ona, była w rzeczywistości całkiem inna. On jednak aż za dobrze wiedział, jak kłamliwe potrafią być kobiety. Sally udawała, że go kocha, chociaż pragnęła jedynie życia w dobrobycie i wygodzie.

- Żona Curta również go podziwia - powiedział znacząco.

Kiedy nie zareagowała, westchnął głośno i nie spuszczać z niej wzroku mocno zaciągnął się papierosem. - Zła kobieta potrafi zrujnować porządnego mężczyznę i jego życie.

- Znalazłam tutaj bardzo niewielu porządnym mężczyzn - powiedziała bezbarwnym tonem. Zajęła się krojeniem szarlotki. Ręce jej drżały i złościło ją, że on się temu przygląda z

drwiącym i nieprzyjemnym uśmiechem.

- Mam wrażenie, że pani nie uważa pustyni za zbyt gorącą.

Większość przybyszów ze Wschodu źle się tutaj czuje.

- Pochodzę z Południa, panie Vance - przypomniała mu.

- W Luizjanie jest w lecie upalnie.

- W Arizonie jest gorąco przez cały rok. Nie ma tu jednak tyle komarów. Nie mamy tylu mokradel.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Za to macie żółty kurz.

- Rzeczywiście? - zapytał, przedrzeźniając ten bardzo poprawny południowy akcent, który przywodził na myśl kotyliony, bale maskowe i plantacje.

Wytarła ręce i odłożyła nóż. Nie rzuci go w niego, nie rzuci!

- Myślę, że tak. - Podeszła do kredensu z porcelaną, żeby wyjąć talerzyki na placek, modląc się w duchu, aby żadnego z nich nie upuścić. - Czy miałby pan ochotę na mrożoną herbatę, panie Vance? - zapytała, myśląc: „Och, gdybym tylko miała pod ręką trochę cykuty... „

- Tak, chętnie.

Otworzyła małą lodówkę, szpikulcem do lodu odłupała kilka kostek i wrzuciła je do wysokich, prostych szklanek. Ponownie zakryła mały blok lodu ścierką i zamknęła drzwiczki.

- Lód to cudowna rzecz w tym upale. Chciałabym, żeby w domu było go pełno.

Nie odpowiedział. Ujęła ceramiczny dzbanek z herbatą, którą zaparzyła do obiadu, i naląła do szklanek trochę bursztynowego płynu. Przygotowała trzy szklanki, bo z pewnością Teddy zaraz wróci. Obedrze go ze skóry, jeśli nie!

Jej nerwy były napięte jak postronki.

Nalozyla kawałek szarlotki na talerzyk i postawiła go przed nim na stole wraz z jednym ze starych srebrnych widelczyków, jakie podarowała im babka, zanim wyjechali z Baton Rouge. Położyła obok lnianą serwetkę, a na niej postawiła szklankę herbaty. Kostki lodu zadrżały i zadzwięczały o szklankę niczym maleńkie dzwoneczki.

Jego szczupła dłoń wysunęła się w chwili, kiedy ona cofała swoją. Złapał ją za drobny nadgarstek gorącym, silnym chwytem. Głośno wstrzymała oddech i wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi, nieufnymi oczami.

Lekko skrzywił się widząc jej reakcję. Spuścił wzrok na jej dłoń, obrócił ją i delikatnie potarł jej wnętrze dużym, pokrytym odciskami kciukiem.

- Czerwona i zniszczona, ale tak czy owak ręka damy.

Dlaczego przyjechałaś tu wraz z rodziną, Trilby?

Obcy dźwięk jej imienia wypowiedziany przez niego tym głębokim, miękkim tonem sprawił, że zadrżały jej kolana.

Wpatrywała się w jego spracowaną dłoń, w jego ciemną skórę, stanowiącą taki kontrast z białością jej palców. Jego dotyk ją podniecał.

- Nie miałam gdzie się podziąć. A oprócz tego mama mnie potrzebowała. Nie czuje się za dobrze.

- Twoja matka jest kruchą kobietą. Prawdziwa dama z Południa. Tak jak ty - dodał z pogardą.

Spojrzała mu w oczy.

- O co panu chodzi?

- Nie wiesz? - odparł chłodno, a w jego ciemnych oczach zobaczyła żywą niechęć. - Moja droga, na Zachodzie nie znajdziesz za dużo eleganckiego towarzystwa. To twarde życie, a my jesteśmy twardymi ludźmi. Kiedy żyje się na skraju pustyni, człowiek staje się twardy albo umiera. Taki puszek jak ty długo tu nie wytrzyma. Jeśli sytuacja polityczna znacznie się pogorszy, pożalujesz, że kiedykolwiek wyjechałaś z Luizjany.

- Wcale nie jestem puszką - odparła ze złością; przemknęło jej przez myśl, że to określenie znacznie bardziej pasowało do jego zmarłej żony, ale była zbyt uprzejma, żeby to powiedzieć. - Dlaczego pan mnie tak bardzo nie lubi?

Spowaźniał jeszcze bardziej i spojrzał na nią. Chciał rzucić jej w twarz swoją pogardę, ale nie powiedział ani słowa. Minutę później Teddy wszedł tylnymi drzwiami z do połowy napełnionym mlekiem wiaderkiem i Thornton Vance powoli wypuścił dłoń Trilby. Potarła ją instynktownie, myśląc, że na pewno rano będzie miała na niej siniec.

Jej skóra była delikatna, cienka, a jego uścisk wcale nie był łagodny.

- Oto mleko. Czy dla mnie też ukroiłaś kawałek szarlotki, Trilby?

- Tak, Teddy. Usiądź, zaraz ci go podam.

Teddy udawał, że nie zauważa skrępowania Trilby, kładąc to na karb obecności pana Vance'a.

- No, czyż to nie było pyszne? - zapytał Teddy gościa, kiedy skończyli jeść smakowite ciasto.

Thorn z rozkoszą pochłonął swój kawałek.

- Niezłe - zgodził się. Jego ciemne oczy zwężyły się, kiedy popatrzył na bladą twarz Trilby. - Ted, wydaje mi się, że twoja siostra nie może się doczekać, żebyśmy sobie poszedł.

- Wcale nie - zaprzeczyła Trilby. - Trzeba nauczyć się znosić bez narzekania ból głowy. - Wstała gwałtownie i pozbierała talerzyki, zanosząc je szybko do zlewu, do którego

przymocowana była żelazna pompa. Napompowała nią wody najpierw do rondla, po czym wlała ją do sagana, który postawiła na piecu.

- Piec jest rzeczywiście niewygodną rzeczą w lecie, prawda, panie Vance? - zapytał Teddy.

Thorn skrył uśmiech, który pojawił się po ostatniej ripoście Trilby.

- Człowiek przyzwyczajają się do różnych rzeczy, jeśli musi - odparł.

Trilby poczuła dla niego nagły przypływ współczucia.

Stracił żonę, którą z pewnością bardzo kochał. Nic nie mógł poradzić na to, że jest nieokrzesany i niecywilizowany.

Życie nie dało mu takich szans, jakie mają mężczyźni ze Wschodu.

- To była pyszna szarlotka - stwierdził Thorn, a w jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

- Dziękuję - powiedziała. - Babcia uczyła mnie gotować, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką.

- Teraz nie jesteś już małą dziewczynką, prawda? - zapytał szorstko Vance.

- To prawda - zgodził się z nim Teddy, nie zdając sobie sprawy, że była to bardziej kpina niż pytanie. - Trilby jest stara. Ma dwadzieścia cztery lata.

Trilby miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Ted!

Thorn wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

- Myślałem, że jesteś znacznie młodsza.

Zarumieniła się.

- Jak pan sobie radzi, panie Vance - powiedziała sztywno. - Mam na myśli...

Vance uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech przeobrażał jego twarz. Kiedy w ciemnych oczach pojawiły się iskierki, stawała się mniej przerażająca i miłsza.

- Tak? - ponaglił ją.

- Ile pan ma lat, panie Vance? - przerwał mu Teddy.

- Trzydzieści dwa - odpowiedział. - Przypuszczam, że to mnie stawia na równi z twoimi dziadkami, prawda?

Teddy roześmiał się.

- Razem z nimi na fotelu bujanym.

Vance także się roześmiał. Wstał od stołu i wyjął zegarek z kieszonki w dzinsach. Otworzył go i skrzywił się.

- Po południu przyjeżdża do mnie pociągiem gość ze Wschodu. Muszę iść.

- Niech pan znowu kiedyś przyjdzie - zaprosił go Teddy.

- Przyjdę, kiedy wasz ojciec będzie w domu. - Popatrzył w zamyśleniu na Trilby. - W

piątek wieczorem wydaję przyjęcie na cześć gościa ze Wschodu. Jest krewnym mojej żony i cieszy się znaczną sławą w kręgach akademickich.

Jest antropologiem. Chciałbym, żebyście wszyscy przyszli.

- Ja także? - zapytał z podnieceniem Teddy.

Vance skinął głową.

- Będą jeszcze inni młodzi ludzie. I przyjdzie Curt z żoną - dodał, rzucając Trilby znaczące spojrzenie.

Trilby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Od przyjazdu do Arizony nie wzięła udziału w żadnym przyjęciu, chociaż zaproszono ich na kilka. Jej matka nie lubiła zebrań towarzyskich. Może tym razem zgodzi się pójść, bo nie wypada obrażać kogoś tak bogatego i wpływowego jak Thornton Vance, nawet jeśli wygląda i zachowuje się jak jakiś narwaniec.

- Wspomnę o tym mamie i tacie - powiedziała.

- Zrób to. - Wziął do ręki kapelusz i swobodnymi, długimi krokami podszedł do frontowych drzwi; Trilby i Teddy szli za nim.

Jak zwykle wcisnął kapelusz na głowę pod zawadiackim kątem i niedbałym ruchem wskoczył na siodło.

- Dzięki za szarlotkę - rzucił do Trilby.

Uniosła brodę odpowiednio wysoko i uśmiechnęła się do niego zimno.

- Och, to nie był żaden kłopot. Przykro mi, że nie mogłam zaproponować panu do niej śmietanki.

- Już ją wcześniej wychłęptałaś? - zadrwił.

Spojrzała na niego z wściekłością.

- Nie. Obawiam się, że zwarzyła się w pana obecności.

Mimo woli roześmiał się. Uniósł kapelusz. Łagodnie zawrócił konia i ruszył stępą. Trilby i Teddy patrzyli za nim, dopóki nie znikł im z oczu.

- Lubi cię - dokuczył jej brat.

Uniosła brew.

- Z całą pewnością nie jestem kobietą, którą mógłby się zainteresować.

- Dlaczego nie?

Spojrzała niechętnie na oddalającego się Thorna. Była podekscytowana.

- Przypuszczam, że podobają mu się kobiety, które padają przed nim na ziemię plackiem.

- Och, Trilby, ale jesteś niemądra! A ty lubisz pana Vance'a? - domagał się odpowiedzi.

- Nie, nie lubię - odparła krótko i ruszyła do domu. - Mam mnóstwo roboty, Teddy.

- Jeśli to przymówka, siostrzyczko, to sam pójde sobie znaleźć jakieś zajęcie. Ale nadal

twierdzą, że pan Vance ma do ciebie słabość!

Zbiegł z ganku. Trilby stała w otwartych drzwiach i zmartwiona patrzyła za nim. Nie sądziła, by pan Vance miał do niej słabość. Uważała, że o coś mu chodzi, ale nie wiedziała, o co, jednakże martwiło ją to.

Kiedy matka i ojciec wrócili do domu, Teddy opowiedział im o wizycie pana Vance'a, a oni oboje uśmiechnęli się w ten sam porozumiewawczy sposób. Trilby zaczerwieniła się jak burak.

- Mówię wam, on wcale nie jest mną zainteresowany.

Chciał się widzieć z wami - powiedziała.

- Dlaczego? - zapytał ojciec.

- W piątek wieczór wydaje przyjęcie - oznajmił podniecony Teddy. - Powiedział, że wszyscy jesteśmy zaproszeni i ja także mogę przyjść. Pójdziemy? Tak strasznie dawno nie byłam na żadnym przyjęciu. - Spojrzał na nich prosząco. - I pewno nie pozwolicie pójść mi na występ pana Cody'ego w czwartek po południu. Mówią, że to jego ostatni występ, a razem z nim będzie występował Bill Pawnee ze swoim dalekowschodnim pokazem i prawdziwymi słoniami!

- Przykro mi, Teddy - powiedział ojciec - ale naprawdę nie mamy czasu. W tym tygodniu wysyłamy bydło do Kalifornii, a jeszcze nie omówiliśmy wszystkiego z kontrahentami, którzy mają przejechać po drodze nasze zwierzęta.

- To ostatni występ Buffalo Billa, a ja go nie zobaczę - jęknął Teddy.

- Może tak naprawdę wcale nie zaprzestaje występów.

Oprócz tego - powiedziała łagodnie Mary Lang - już niedługo powstanie w Douglas grupa skautowska, sądząc z tego, jaki rozgłos zyskuje ten ruch. Może będziesz mógł do niej wstąpić.

- Sądzę, że tak. A możemy pójść na przyjęcie? Odbywa się wieczorem. Nie możecie przecież pracować w nocy - dodał.

- Zgadza się - powiedziała pani Lang. - Ponadto nie wypada obrażać pana Vance'a, którego jesteśmy sąsiadami.

- No i - powiedział jej mąż żartobliwie, spoglądając na córkę - Thorn nie miałby z kim tańczyć, gdyby Trilby nie przysłała.

Ta uwaga wywołała w umyśle Trilby obraz pana Vance'a tańczącego samotnie. Pohamowała uśmiech.

- Trilby mówi o nim pan Vance - zauważył Teddy.

- Trilby stara się okazać mu szacunek, tak jak powinna to robić - odparł ojciec. - Ale zarówno Thorn jak i ja jesteśmy hodowcami bydła. Mówimy do siebie po imieniu.

Pasuje do niego to imię, pomyślała Trilby. Jest taki ostry jak „thorn” - kolec, i równie

łatwo potrafi skaleczyć do krwi.

Nie powiedziała tego. Ojciec nie pochwaliby tak dużej nieuprzejmości.

- Idziemy więc? - zapytała.

- Tak - odparła pani Lang, uśmiechając się do córki.

Była ładną kobietą. Miała prawie czterdzieści lat, ale wyglądała na dziesięć lat mniej.

- Masz jeszcze tę ładną sukienkę, której nie nosiłaś od naszego przyjazdu tutaj - przypomniała.

- Szkoda, że nie mam już mojego ślicznego, jedwabnego ansamblu - odparła Trilby, odwzajemniając uśmiech. - Zaginął po drodze.

- Dlaczego to się tak niemądrze nazywa? - wymamrotał Teddy.

- Coś podobnego! - roześmiała się Trilby. - A nie uważasz, że nazywanie wypchanego misia Teddy na cześć Teddy'ego Roosevelta nie jest niemądre? - zapytała Trilby od niechcenia.

- Oczywiście, że nie! Niech żyje Teddy! - zachichotał brat. - Jego urodziny wypadają w czwartek, w ten sam dzień, co występ Buffalo Billa. Przeczytałem o tym w gazecie. Skończy pięćdziesiąt dwa lata. Prawda, tato, że otrzymałem imię na jego cześć?

- Tak, to prawda. Jest moim bohaterem. Był chorowitym, słabym dzieckiem, ale rozwinął się i został znakomitym żołnierzem, silnym kowbojem, politykiem... Pułkownik Teddy Roosevelt był wszystkim, nawet prezydentem.

- Szkoda, że nie został ponownie wybrany - odparła pani Lang. - Głosowałabym na niego - dodała, rzucając mężowi znaczące spojrzenie - gdyby kobiety mogły głosować.

- To błąd, który już niedługo zostanie naprawiony, zapamiętaj moje słowa - powiedział z czułością pan Lang i objął szczupłe ramiona żony. - W czerwcu prezydent Taft, dzięki Bogu, podpisał akt nadający Arizonie prawa stanowe i teraz zajdzie wiele zmian, kiedy konstytucja jest przygotowywana do ratyfikacji. Cokolwiek się jednak wydarzy, nadal jesteś moją cudowną dziewczyną.

Roześmiała się i przytuliła policzek do jego ramienia.

- A ty jesteś moim cudownym chłopcem.

Trilby uśmiechnęła się i wyszła z Teddym, zostawiając rodziców samych. Po wielu latach małżeństwa nadal zachowywali się tak, jakby byli nowożeńcami. Miała nadzieję, że któregoś dnia i ona będzie równie szczęśliwa w małżeństwie.

2

Thorn znajdował się w połowie drogi na ranczo, kiedy dopadła go chmura kurzu. Odwrócił głowę w samą porę, by dostrzec, jak Naki, jeden z dwóch Apaczów, którzy dla niego pracowali, ściąga wodze swojego mustanga. Był to wysoki mężczyzna o długich, opadających do ramion czarnych włosach. Miał na nogach skórzane ochraniacze i wysokie mokasyny z jeleniej skóry. Ubrany był w koszulę w czerwoną kratę, a na czole zawiązał bawełnianą opaskę w czerwone wzory, żeby włosy nie wpadały mu do oczu.

- Byłeś na polowaniu? - zapytał go Thorn.

Mężczyzna przytaknął skinieniem głowy.

- Znalazłeś coś?

Apacz nawet na niego nie spojrział. Podniósł jedną rękę, ukazując grubą, twardo oprawną książkę.

- Wszędzie jej szukałem.

- Miałem na myśli, czy ustrzełeś coś, co moglibyśmy zjeść na kolację! - rzucił Thorn ze złością.

Naki uniósł brwi.

- Ja? Ja miałbym coś ustrzelić? - Sprawiał wrażenie przerażonego. - Zabić bezbronne zwierzę?

- Jesteś Apaczem - przypomniał mu Thorn z przesadną cierpliwością. - Myśliwym. Mistrzem łuku i strzały.

- Wcale nie. Wolę samopowtarzalną strzelbę Remingtona - powiedział Naki doskonałą angielszczyzną.

- Myślałem, że zdobędziesz dla nas coś w jeleniej skórze.

- I zdobyłem. - Ponownie uniósł do góry książkę. - To *Pogromca zwierząt* Jamesa Fenimore'a Coopera.

- Och, mój Boże! - jęknął Thorn. - Cóż z ciebie za Apacz?

- Wykształcony - odparł uprzejmie Naki. - Będziesz musiał zrobić coś w sprawie kuzyna Jorgego - dodał; kiedy spojrział na Thorną, z jego głosu zniknął lekki ton, a oczy przestały się uśmiechać. - Dziś rano straciłeś pięć sztuk bydła, i to nie przez suszę i brak wody. Skonfiskował je Ricardo.

- Cholerny pech! - zaklął Thorn. - Znowu?

- Znowu. Żywi jakichś rewolucyjnych towarzyszy ukrytych w górach. Nie obwiniam go za lojalność w stosunku do rodziny, ale nie możemy pozwolić na kradzież wołowiny.

- Porozmawiam z nim. - Spojrzał na horyzont. - Ta przeklęta wojna za bardzo się przybliżyła.

- Nie będę się z tobą sprzeczał. - Naki wepchnął książkę do juków. Wyciągnął dwa króliki na rzemieniu i rzucił je Thornowi. - Kolacja - obwieścił.

- Przyjdiesz zjeść ją z nami?

- Zjeść? - Naki wyglądał na przerażonego. - Zjeść królika? Wolałbym umrzeć z głodu!

- A co byś zjadł, jeśli wolno zapytać?

Białe zęby Nakiego zabłyśły w twarzy niczym odlanej z brązu.

- Piezonego grzechotnika - powiedział i oczy mu rozblęśły.

- Snob - oskarżył go Thorn.

Naki wzruszył ramionami.

- Trudno się spodziewać, by człowiek o europejskim pochodzeniu był w stanie pojąć kulturę tak starożytną i wyrafinowaną jak moja - odparł, a w jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. - Tymczasem wytropię kuzyna Jorgego i sprowadzę go do ciebie.

- Nie zrób mu, proszę, nic złego.

- Ja?

- Nie musisz robić takiej niewinnej miny. Czy to nie ty uwiązałeś w mrowisku nagiego komiwojażera, gdy sprzedał ci lekarstwo na ukąszenie węża, które okazało się nieskuteczne?

- Doktor powinien wiedzieć, jak leczy.

- Nie wiedział, że znasz łacinę - przypomniał mu Thorn.

- A już zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że więcej wiesz o ziołolecznictwie, niż on będzie wiedział kiedykolwiek.

- Nie zapomni o tym.

- Śmiem twierdzić, że nie zapomni - zgodził się Thorn.

- I wydaje mi się, że to on poprowadził tłum, który chciał cię zlinczować, po tym jak... ?

- Przed którym byłeś łaskaw mnie ocalić - wspomniał Naki. Był to początek ich przyjaźni, a było to dawno, bardzo dawno temu. Naki trochę się poprawił. Ale nie za bardzo.

- Przynieś węża, a ja każę Tizie ugotować go dla nas.

- Tak samo dobrze gotuje, jak jeździ konno - wymruczał Naki.

- Wobec tego ja go ugotuję.

- Zaraz przywiozę Ricarda.

Zawrócił łaciatego mustanga i wolno odjechał.

Reszta tygodnia minęła aż za szybko. Trilby stroiła się na przyjęcie u Thorntona Vance'a, lecz wszystko leciało jej z rąk. Nie chciała jechać do domu Thorna. Bardzo bała się tego

wieczoru.

Jedyna kosztowna sukienka, jaką posiadała, a która przetrwała podróż z Luizjany, była uszyta z beżowej koronki. Potworna burza piaskowa, która zaskoczyła ich w czasie drogi ze stacji kolejowej do nowego domu na ranchu Blackwater Springs, zabrała większość majątku. Nawet jeszcze teraz Trilby czuła dławiące ukłucia żółtego piasku, który zasypał ich, prawie pogrzebał z drodze z Douglas.

Jeden ze znajomych tylko się uśmiechnął, kiedy opowiedzieli mu o swoich przeżyciach, zauważając, że lepiej, by się przyzwyczaili do częstych w tych stronach piaskowych burz.

W pewnym sensie rzeczywiście przyzwyczaili się. Czasami jednak Trilby tęskniła do chłodnych zielonych mokradeł swej młodości i do dźwięków francuskiego dialektu z Cajun, który słyszała na ulicach, kiedy w każdą sobotę szła do piekarni po worek bułek i do sklepu po nowe sukienki.

Wyjazd do miasta Fordem prowadzonym przez szofera rodziny, Rene Marquisa, był zawsze świetną zabawą. Jej kuzyni byli serdecznymi przyjaciółmi, toteż urządzano wiele przyjęć, popołudniowych herbatek i pikników... po czym, całkiem nagle, pojawił się Richard. Niestety, zanim zdążył choćby potrzymać ją dłużej za rękę, zmarł jej wuj, a ojciec obwieścił, że rodzina przeprowadza się do Arizony.

Trilby płakała całymi dniami, ale nie zachwiało to postanowieniem rodziców. Richard wraz z rodziną niechętnie wyjechał do Europy, co pochlebiało Trilby, i obiecał napisać. Jednak do dnia dzisiejszego napisała dziesiątki listów, a otrzymała od Richarda tylko jedną pocztówkę, z Anglii.

Bez względu na to, jak się w nią wczytywała, nie widziała w niej słów miłości, jedynie przyjacielskie pozdrowienia.

Czasami Trilby zaczynała tracić nadzieję, że kiedykolwiek zdobędzie miłość Richarda.

Opanowała się. Oglądanie się wstecz nic nie pomoże.

Teraz tutaj był jej świat. Musiała przystosować się do warunków w Arizonie, do zupełnie innego stylu życia. Może przecież tak się zdarzyć, że Richard przyjedzie tu na zawsze - może odkryje trawiącą go do niej namiętność. Westchnęła z rozmarzeniem.

Włożyła suknię, tęsknie wspominając dawne dni, kiedy posiadała mnóstwo pięknych strojów. Teraz krucho było z pieniędzmi. Miała ochotę rozpuścić włosy, by swobodnie opadały na ramiona, ale ponieważ pan Vance był panem Vance'em, przypuszczała, że lepiej sprawiać wrażenie dystygowanej i konserwatywnej, aby nie dać mu żadnego powodu do kpin. Rzeczywiście czasami patrzył na nią tak, jakby widział w niej kobietę lekkich obyczajów, co ją dziwiło i raniło. Nigdy jednak nie dała tego po sobie poznać.

Wplotła w swe miękkie jasne włosy niebieską wstążkę i upięła je na czubku głowy, krzywiąc się na widok swej surowej, wychudzonej twarzy. Upał niezwykle ją męczył.

Nie miała apetytu i bardzo ostatnio zeszczupiała.

Kiedy skończyła się ubierać, uszczypnęła się w policzki i usta, by nabrały trochę koloru, a na ramiona narzuciła koronkowy czarny szal, który meksykańskie damy nazywały mantylą. Ojciec przywiózł go jej z Meksyku, kiedy pojechał tam po zakup bydła.

- Wyglądasz ślicznie, Trilby - powiedziała ciepło matka.

- Ty także. - Trilby uścisnęła ją, z uznaniem obrzucając wzrokiem jej skromną, elegancką czarną suknię.

Ojciec, w czarnym garniturze, i Teddy w krótkich spodenkach i marynarce, czuli się niezręcznie, ale wyglądali modnie. Wsiedli do Forda i czekali, podczas gdy chłopiec do posług kręcił korbą, aż samochód w końcu zapalił. Przez całą drogę do rancza pana Vance'a Trilby modliła się, żeby samochód się nie zepsuł lub też nie pękła opona na pełnej kolein drodze. Mżyło i byłoby straszne, gdyby zmokli czekając na ratunek.

Na szczęście wszystko poszło gładko. Wjechali na długą bitą drogę, która prowadziła do rancza Los Santos. Dom był zbudowany z nie wypalanej cegły, a na wysokości piętra ciągnęły się balkony, parter natomiast otaczały ogrody.

Każda roślina zdawała się kwitnąć, nawet wysokie, chude ocotillo, tworzące od frontu naturalny żywopłot. Trilby po raz pierwszy zobaczyła posiadłość Thorn'a i była nią oczarowana. Większość domostw, które widziała w Arizonie, zbudowano z nie wypalanej cegły, ale zazwyczaj były one prymitywne i bardzo małe. Ten okazały dom przywodził na myśl wytworny wschodni magazyn - był elegancki i kosztowny.

Thornton Vance czekał na nich na frontowym ganku, z którego wiało chłodem; w jednym końcu wisiał hamak, w drugim natomiast rozstawiono wygodne krzesła. Szklane okna były rozświetlone, rzucając wzory na piaszczysty, porośnięty kaktusami frontowy dziedziniec. Wiał lekki wietrzyk, ale noc była ciepła pomimo lekkiej deszczowej mgiełki. Dom sprawiał wrażenie przyjemnego i przyjaznego. To niewiarygodne, pomyślała Trilby, wzięwszy pod uwagę, jak bardzo niezachęcająco wyglądał jego pan, kiedy obrzucił ją spojrzeniem. W ciemnym garniturze i białej koszuli wyglądał nieco surowo. Jego czarne włosy były schludnie zaczesane. Był równie elegancki jak jakiś dżentelmen z Nowego Orleanu. Trilby była zaskoczona faktem, że jest tak przystojny, gdy odpowiednio się ubierze.

- Miło, że nas zaprosiłeś, Thorn - przywitał go kurtuazyjnie ojciec, pomagając wysiąść z samochodu najpierw matce Trilby, a potem jej samej.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Uważaj, Trilby.

Zaraz wpadniesz w kałużę - rzucił Thorn zniechęcony. - Ted, potrzyj to.

Wręczył Tedowi swój kieliszek i gwałtownie wziął Trilby w ramiona - ku jej całkowitemu zaskoczeniu i szybko skrywanej radości rodziców.

Odwrócił się, wnosząc ją na ganek, jakby zupełnie nic nie ważyła. Wydawało się też, że jej bliskość nie robi na nim żadnego wrażenia. Na niej jednak robiła. Prawie straciła oddech. Jego woda kolońska miała delikatny, niemal niewyczuwalny zapach, a jednak Trilby miała wrażenie, że pogrąża się w jego męskiej woni. Obejmujące ją ramiona były silne i ciepłe. Czowała ich mięśnie mimo okrywających je rękawów koszuli i marynarki.

- Lepiej się mnie trzymaj - szepnął Thorn z lekkim rozbawieniem. Była tak sztywna, że wydawała się krucha, i z trudem oddychała. Dziwiło go, że kobieta z jej charakterem tak nerwowo zachowuje się w ramionach mężczyzny. Nie wyobrażał sobie, by była przestraszona w objęciach Curta!

- Trochę strome są te schody.

Ten przeciągający samogłoski ton był uwodzicielski.

Thorn mówił cicho, tak że jego głos zdawał się miękki niczym aksamit. Nigdy przedtem nie znajdowała się tak blisko żadnego mężczyzny, a wielki pan Vance nawet z oddali był porażający. Z trudem można to było uznać za konwencjonalne zachowanie i Trilby miała ochotę zaprotestować, ale rodzice zbesztali ją za tak niechętną postawę.

- Odpręż się, dziewczyno - powiedział ojciec ze śmiechem. - Thorn cię nie upuści.

Pokonana, niepewnie uniosła ramiona, aż oparły się na jego szerokich barkach.

Odwrócił głowę. Spojrzał jej w twarz w bladym świetle padającym z okien, a dźwięki muzyki, śmiechu i rozmów zamarły nagle, kiedy zauroczył ją ciemny blask jego oczu.

Nie potknął się, choć nie patrzył pod nogi, kiedy niósł ją powoli na ganek. I zanim się zatrzymał, żeby ją postawić, przycisnął ją do siebie tak mocno, że jej piersi przywarły do niego.

Zadrżała pod wpływem tego niespodziewanego podniecającego kontaktu i nawet nie zdołała ukryć własnej reakcji.

Nic nie powiedział. Powoli postawił ją na podłodze.

Kiedy nachylił się, by ją wyswobodzić, jego usta znalazły się zaledwie o kilka cali od jej warg. Spojrzał jej w oczy, a ona poczuła, że ciało zaczyna jej płonąć na widok wyrazu jego twarzy. Patrzył obojętnie i tylko w jego oczach była wielka tęsknota i pragnienie. Wyprostował się wypuszczając ją, a ona stanęła przed nim bezbronna, niezdolna się poruszyć, przemówić, zrobić cokolwiek.

Thorn przyglądał się jej z ciekawością. Jak na tak doświadczoną kobietę była dziwnie wrażliwa na dotyk. Nie, to wydawało mu się dziwne, że pozornie nieskazitelna, purytańska

panna Lang traci całkowicie opanowanie, kiedy nieokrzesany handlarz bydła okazuje jej swe atencje.

Prawdopodobnie dobrze gra swoją rolę. I czemu nie? Przecież wie, że jest bogaty.

- Napijesz się trochę ponczu, Trilby? - zapytał; stał wpatrzony w jej usta i sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się pochylić i pocałować ją.

Trilby nie była w stanie przemówić. Była tak wstrząśnięta, że omal nie wypuściła z rąk torebki.

- Tak - powiedziała zdławionym głosem. - Chętnie.

Gdyby tylko przestał wpatrywać się w jej usta! Sprawiał, że drżała z niepojętej emocji. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Miała trudności z oddychaniem. Serce biło jej jak oszalałe. A wszystko dlatego, że Thornton Vance patrzył na jej usta!

Ujął ją pod ramię, świadomy tego, że jej rodzice wymienili między sobą uśmiechy. Ach, więc tak to sobie ukartowali! Roześmiał się w duchu. Był zadowolony, że Trilby ma do niego słabość. Uważał, że jest bardzo atrakcyjna, a on od dawna nie miał kobiety. Od śmierci żony nie pojechał do Tucson w poszukiwaniu rozrywki czy czegokolwiek innego. Zaczynała mu już dolegać ta abstynencja. Wiedział, jaka jest Trilby. Nie musiał się martwić o jej reputację.

A jeśli trochę się w nim zakocha, to także nie wyrządzi to za dużo szkody. Może sprawi mu przyjemność, kiedy ona zacznie o nim poważnie myśleć, a on po prostu z nią zerwie. Trilby omal nie zniszczyła małżeństwa jego kuzyna.

Dotarły do niego plotki, a żona Curta, Lou, nie raz wyplakiwała się na jego ramieniu. Lou nie wiedziała, kim jest tajemnicza kochanka Curta, wiedziała tylko, że jest blondynką. Vance nigdy nie wątpił w to, że jest nią Trilby.

W końcu Sally widziała ją z Curtem.

Bardzo źle się stało, że Jack Lang odziedziczył to ranczo, bo gdyby nie, to Thorn mógłby je kupić. Wówczas z powodu suszy nie traciłby bydła. Miał wodę w swoich meksykańskich włościach, ale przeganianie tam bydła stawało się zbyt niebezpieczne. Po wybuchu rewolucji Diaza raz za razem zdarzały się napady na stada Thorn'a. A tutaj woda się kończyła.

Thorn musiał znaleźć jakiś sposób, by ocalić Los Santos przed zagładą. Najważniejsza była ziemia. Jego ojciec i dziadek wpoili weń wielkie poczucie odpowiedzialności za ziemię, za ojcowiznę, za konieczność bronięcia jej wszelkimi sposobami.

Naraz przyszło mu na myśl, że mógłby rozwiązać swe problemy poślubiając Trilby. Od razu jednak odstąpił od tego pomysłu. Nie była typem kobiety, który chciałby mieć u siebie w domu. Nie był pewien, czy w ogóle jeszcze kiedyś będzie chciał, by jakaś kobieta znajdowała się tak blisko niego.

Sally poprzysięgła mu dozgonną miłość, zanim poprowadził ją do ołtarza i do łóżka. Potem stała się wrzącym kotłem pełnym wymówek. Cieszyła się jego bogactwem, ale nie jego żarliwością. Po kilku tygodniach jej wymownego chłodu stracił dla niej wszelkie uczucie. Jej ciąża stanowiła ich ostatnią szansę. Ona jednak nie chciała dziecka i nigdy całkowicie nie zaakceptowała macierzyństwa. Kilka miesięcy przed śmiercią stała się inna.

W jej oczach pojawił się blask, jej twarz promieniała.

Jednak nie wówczas, gdy w pobliżu znajdował się mąż.

Nienawidziła go i nigdy nie przepuściła okazji, żeby mu to powiedzieć. Nawet Samantha dostrzegła tę wrogość.

Sally po prostu odczuwała wyraźną niechęć do swojej rodziny.

Wypadek, który pozbawił ją życia, miał miejsce pewnej deszczowej nocy, gdy jechała powozem. Wyjechała, by posiedzieć przy chorym sąsiedzie. Kiedy nie wróciła następnego ranka, poszedł jej szukać. Znalazł jej ciało w przewróconym powozie leżącym w potoku. Była to mało uczęszczana droga i wcale nie prowadziła w pobliżu posiadłości chorego sąsiada. Sądził, że żona zgubiła się po ciemku, i odczuwał wyrzuty sumienia, że pozwolił jej pojechać samej. Niewiele było miłości w tym małżeństwie, ale kochał ją, zanim jej egoizm i chciwość zabiły jego uczucie.

Spojrzał na swoją córkę Samanthę - podpieraała ścianę tuż przy wejściu i sprawiała wrażenie przerażonej. Wyglądała tak krucho, pomyślał. Dziwne, że od śmierci matki była znacznie mniej spięta, ale nadal smutna i onieśmielona, i co jeszcze dziwniejsze, bardzo zdenerwowana w obecności Curta i Lou. To dziecko było mu drogie, ale nie bardzo potrafił je kochać. Lecz czymże w końcu jest miłość, pomyślał z goryczą, jak nie złudzeniem. Małżeństwo zawarte z praktycznych względów miało większe szanse powodzenia. Co się zaś tyczy sypialni, nie brakowało kobiet chętnych zaspokoić jego głód. Nie potrzebował do tego żony. Poszukał wzrokiem Trilby i w jego ciemnych oczach pojawiło się męskie uznanie dla jej zgrabnej sylwetki i wdzięku.

Samantha niepewnie podeszła do dorosłych, uśmiechając się nieśmiało do Trilby.

- Cześć. To Samantha, prawda? Bardzo ładnie wyglądasz - powiedziała łagodnie Trilby.

Samantha była zdziwiona tym komplementem.

- Dziękuję - zdołała wymamrotać niepewnie. - Czy mogę teraz pójść do łóżka, tato? - zapytała z chorobliwą nieśmiałością.

- Oczywiście - odparł. Sprawiał wrażenie sztywnego i niezadowolonego. Zachowywał się zupełnie inaczej niż kochający, czuły ojciec Trilby. - Maria pójdzie z tobą. - Ruchem ręki dał znak gospodyni, która odpowiedziała na to skinieniem głowy i podeszła szybko, by zaprowadzić dziecko na górę.

- Nie utulasz jej do snu? - zapytała Trilby, nim zdążyła pomyśleć, że to niestosowne.

- Nie, nie utulam - odparł, a jego głos bynajmniej nie zachęcał do zadawania dalszych pytań. - Napijesz się ponczu cytrynowego czy owocowego?

- Cytrynowego, proszę.

Napełnił jej szklaneczkę i postawił na spodeczku. Ręce jej tak drżały, że musiał je przytrzymać, żeby szklaneczka się nie przewróciła. Znowu popatrzył jej w oczy, tym razem badawczo.

- Masz ręce jak lód. Chyba nie jest ci zimno?

- A cóż w tym dziwnego? - zapytała ostrym tonem. - Jestem szczupła. Bardziej niż inni odczuwam chłód.

- Czy o to chodzi, Trilby? - Zniżył głos i spuścił głowę, tak że jego oczy znalazły się bardzo blisko jej oczu. - Czy też o to? - Jego kciuk odnalazł wilgotne wnętrze jej dłoni i przejechał po nim w jawnie zmysłowym geście.

Pod jego spojrzeniem zadrżała i poczuła, że wpada w panikę.

Szklanka z ponczem wywróciła się, na szczęście nie oblewając ani jej sukni, ani jego spodni.

- Och, tak... tak mi przykro! - wyjąkała, rumieniąc się po uszy.

- Nic się nie stało. - Dał znak jednemu ze służących i odciągnął ją na bok, gdy sprzątano podłogę. Rodzice Trilby i Ted już wmieszali się w ogromny tłum i chyba nikt nie zauważył wypadku.

- Nigdy nie byłam tak niezdarna - powiedziała speszona.

Zaciągnął ją do małego pokoiku, którego okna wychodziły na oświetlone patio, gdzie papierowe lampiony tworzyły w ciemności sztuczne księżyce. Podniósł brodę dziewczyny, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

- Nie sędzę, by to była niezdarność.

Nagle pochylił się, a ona po raz pierwszy w życiu poczuła ciepłe, powolne muśnięcie warg mężczyzny. Nawet Richard ani razu nie próbował jej pocałować. Tylko o tym marzyła... Zesztywniała bezsilnie przy tym intymnym geście, a z jej suchych warg wyrwał się słaby jęk.

Thorn uniósł głowę. Wyraz jej twarzy, jej oczu, był czymś, czego nie mogła udawać. Było to autentyczne zdziwienie, zmieszane z przerażeniem i fascynacją. Był na tyle doświadczony, by poznać, że to dla niej całkiem nowe wrażenie. Niewiarygodne, pomyślał, żeby kobieta z jej doświadczeniem była tak zaskoczona. Chyba że udawała...

Pochylił się znowu, niepewny, czy się nie myli, ale ona wyrwała się gwałtownie i zakryła usta szczupłą ręką. W delikatnej, poblądłej z niepewności twarzy szare oczy wydawały się

wielkie jak spodki.

Thorna zirytowała ta komedia. Twarz mu stężała; popatrzył na nią zimno. Cała jego postawa wyrażała pogardę.

- Nie mów mi, że zazwyczaj tak właśnie reagujesz na pieśczołość mężczyzny - stwierdził, uśmiechając się kpiąco.

- Przede mną nie musisz udawać, Trilby. Oboje wiemy, że nie jest ci obcy dotyk mężczyzny, i to na całym ciele.

Bezczelność tej uwagi była tak porażająca, że Trilby poczuła, że swędzi ją ręka. Wyprostowała się. Jej oczy zaczęły miotać gniewne błyski.

- Gdybym miała rewolwer, zastrzeliłabym cię, przysięgam, że bym cię zastrzeliła! Jak śmiesz mówić mi coś takiego?!

Uniósł brwi.

- A jakiego traktowania się spodziewasz, panno Lang?

Czy sądzisz, że dałem się nabrać na to przedstawienie?

Wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc.

- Jakie przedstawienie?

Spojrzał na nią z lekką kpina.

- Komuś takiemu jak ty nie może się udać taka komedia - powiedział spokojnie. - Oboje wiemy, że oczekujesz po mnie dużo więcej niż pocałunki.

Dyszała z wściekłości i oburzenia. Rzuciła mu gniewne spojrzenie, po czym odwróciła się gwałtownie i uciekła.

Nalał sobie szklaneczkę ponczu i wmieszał się w tłum gości. Jednak nawet wówczas, kiedy uśmiechał się i krążył wśród zaproszonych osób, myślał o Trilby. Rzeczywiście nie powinien był tak jej traktować. Nawet jeśli miała skandaliczny romans z Curtem, nie czyniło to z niej prostytutki. Może naprawdę kocha tego mężczyznę.

Nie rozumiał, czemu się tak zachował; chyba tylko dlatego, że złościła go myśl, iż romansuje z jego kuzynem.

Wreszcie ją zauważył. Tańczyła właśnie z Curtem. Był mniej więcej wzrostu Thorny, ale znacznie delikatniejszej budowy. Curt był zawsze uśmiechnięty i lubił kobiety. One także go lubiły; podobały im się jego miastowe maniery i elegancki sposób bycia.

Thorn lubił go, dopóki własna żona nie zaczęła stawiać mu go za przykład cywilizowanego mężczyzny. Złościło go, że żona woli od niego takiego dandysa. Kiedy ujrzał Trilby w jego ramionach, coś w nim wybuchło, zwłaszcza gdy zobaczył, że lodowata, obrażona Lou, żona Curta, patrzy na tańczącą parę gotując się z gniewu.

- Co z meksykańską rewolucją? - zapytał Jack Lang, starając się odwrócić jego uwagę.

- Obawiam się, że coraz gorzej - odparł Thorn. Spojrzał na Trilby i ponownie odwrócił wzrok. Tylko tyle mógł zrobić, choć najchętniej rzuciłby w Curta szklanką z ponczem. - Niech pan nie pozwala kobietom zbyt oddalać się od domu. Nam skradziono kilka sztuk bydła. Jeden z moich ludzi poszedł ich śladami aż do Meksyku, ale nie udało się nam złapać złodziei.

- Nie można obwiniać peonów, że trzymają stronę powstańców - odparł Jack. - Pod rządami Diaza warunki życia są dla większości Meksykanów nie do zniesienia, sądząc z tego, co nam opowiadają nasi *vaqueros*.

- Zawsze były nie do zniesienia. Zawsze będą - odparł niecierpliwie Thorn. - Przeciętny Meksykanin ma za sobą całe wieki ucisku, od czasów Azteków, poprzez Corteza, Hiszpanów i Francuzów, aż w końcu do Diaza. Ten naród jest od wieków uciskany. Zawsze musieli się komuś poddawać, zwłaszcza Hiszpanom. Potrzeba całych pokoleń, by przezwyciężyć to poddańcze nastawienie. Nie mieli jeszcze dość czasu, by to przełamać.

- Wydaje się, że Madero to właśnie robi.

- Madero to odważny facet - stwierdził Thorn. - Ma serce po właściwej stronie. Uważam, że jeszcze może zadziwić *federales*. Nie doceniają go. Będą tego żałować.

- Jego armia to zbieranina - zaprotestował Jack.

- Wystarczy poczytać historię - odpowiedział sucho Thorn. - Pełno w niej łachmianiarskich armii, które zajmowały całe kontynenty.

Jack ściągnął usta.

- Jesteś niezwykle przenikliwy.

- Cóż, czy dlatego, że mieszkam na ranczu i wiodę życie wśród bydła i kurzu, muszę być ignorantem? Jestem odcytany i mam przyjaciela, który więcej wie na temat przeszłości niż terażniejszości. Czy poznałeś już mojego gościa ze Wschodu? McCollum jest antropologiem, chociaż wykłada również archeologię. Przyjeżdża tutaj każdej wiosny, by przeprowadzać wywiady z Indianami z miejscowych plemion i szukać śladów dawnych kultur.

- Co ty powiesz! Nic mi o tym nie mówił - szepnął Jack, spoglądając na wysokiego, dość gburowato wyglądającego jasnowłosego mężczyznę, który rozmawiał z miejscowym przedsiębiorcą.

- McCollum nie lubi rozmawiać o swojej pracy. Jest dość uparty. - Thorn uśmiechnął się z rozbawieniem.

McCollum spojrział na Thornę z wściekłością. Chwilę później przeprosił swojego rozmówcę i podszedł do gospodarza.

- Mówisz o mnie, prawda? - zapytał wprost. - I to za moimi plecami.

- Opowiadałem mojemu sąsiadowi, jak wiele wiesz na temat przeszłości - odparł Thorn z uśmiechem. - To Jack Lang. Jest właścicielem rancza Blackwater Springs. Jack, to doktor Craig McCollum.

- Miło mi pana poznać - powiedział Jack. - Czy przyjechał pan tu na wykopaliska?

- Nie, a szkoda. Byłem w mieście w interesach i zatrzymałem się, by odwiedzić Thorna. Co pan sądzi na temat sytuacji w Meksyku?

Jack powiedział mu, jakie jest jego zdanie. McCollum, wysoki, dystyngowany mężczyzna, ściągnął usta, a jego ciemne oczy zwięzły się. - Czy sądzi pan, że peoni mają szansę?

- Tak - potwierdził Jack. - A pan?

McCollum wzruszył ramionami.

- Nie wiem - powiedział. - Thorn wspomniał panu zapewne, że pracuje dla niego kilku meksykańskich kowbojów. Ich ojcowie pracowali dla jego ojca. Fakt, że są zdominowani przez cudzoziemców, napędza ich goryczą.

Zmiany wymagają czasu.

- Czy Madero zwycięży?

- Myślę, że tak - odparł po chwili Thorn. - Autentycznie troszczy się o swoich ludzi i chce polepszyć ich byt. Zdobył sobie poparcie większości obywateli i ludzie będą walczyć.

Tak, mogę sobie wyobrazić, że zwycięży. Zanim to jednak nastąpi, sporo krwi zostanie przelane. Martwi mnie to, że część z niej może być nasza. Tu, na granicy, jesteśmy w trudnej sytuacji.

- Nie musimy się w to mieszać - twierdził uparcie Jack.

Thorn uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Już się wmieszaliśmy. Chyba że nie zauważyłeś, że niektórzy twoi *vaqueros* od czasu do czasu znikają na dzień czy dwa.

Jack pochylił głowę i wzruszył ramionami.

- Tak. Jadą w odwiedziny do swoich rodzin.

Thorn zachichotał i dopił szklaneczkę ponczu.

- Jeżdżą ze zwolennikami Madero i pomagają im napadać na sąsiednie rancza. Uważaj, żeby nie najechali twojego. Wydaje mi się, że także straciłeś ostatnio kilka sztuk?

- Kilka. Nic poważnego.

- Może te kilka sztuk skradziono na próbę, żeby zobaczyć, czy będziesz starał się ich przepędzić - ostrzegł go Thorn. - Dobrze strzeż swojego stada.

- Tak, zrobię to. - Jack westchnął ciężko, szukając wzrokiem żony, która z ożywieniem rozmawiała z jakimiś sąsiadami. - Wiesz, przywiozłem tutaj rodzinę, nie zdając sobie sprawy z

powagi sytuacji. Nie miałem pojęcia, że w Meksyku wybuchnie rewolucja. Włożyłem ostatniego centa w to przedsięwzięcie, ale nic nie idzie tak, jak się spodziewałem. Tracę ostatnią koszulę, Thorn.

- Przeczekaj to - odparł Thorn, w myślach rozważając własne szanse zdobycia rancza, gdyby Jack rzeczywiście je tracił. Wszystkie sprawy zazwyczaj same się układają.

- Tak, jeśli jeszcze coś mi zostanie.

- Nie wolno być takim pesymistą - upomniał go Thorn.

- Jeśli zaczniesz się robić gorąco, armia Stanów Zjednoczonych gotowa jest stawić czoło każdemu zagrożeniu. Jeśli to będzie konieczne, oprócz miejscowej gwardii otrzymamy wsparcie z Fortu Huachuca. Głowa do góry. Chodź, przedstawię cię dwóm moim bankierom. Któregoś dnia możesz potrzebować przedstawicieli tej profesji. Craig, możesz nam towarzyszyć.

Ze swojego miejsca przy Curcie, który rozmawiał z dwiema niezamężnymi kobietami, opowiadającymi o zbliżającym się ślubie trzeciej, Trilby obserwowała Thorna Vance'a i Craiga McColluma towarzyszących jej ojcu. Doktor McCollum był całkiem przystojny, ale to Thorn przyciągał jej wzrok. Kiedy mu na tym zależy, sprawia całkiem miłe wrażenie, pomyślała z niechęcią. Było mu do twarzy w czerni - wydawał się w niej jeszcze bardziej muskularny i jeszcze wyższy niż w rzeczywistości.

Wpatrywała się w niego, gdy nagle odwrócił głowę i przyłapał ją na tym. Zimny gniew ściągnął mu brwi, a ona zarumieniła się i szybko odwróciła wzrok. Serce biło jej przyspieszonym rytmem i nie mogła złapać tchu. Nigdy nie czuła się tak w towarzystwie Richarda. Tak bardzo był jej drogi, a jednak nigdy nie miękły jej przy nim kolana.

Na litość boską, od momentu przybycia tutaj myślała jedynie o tym, jakby to było, gdyby Thorn pocałował ją namiętnie, a nie tylko lekko musnął jej wargi, co już i tak wyprowadziło ją z równowagi. Właściwie szkoda, że mu się wyrwała, pomyślała, ale byłoby to niewybaczalne, niegodne damy i zupełnie nie na miejscu. Nie mogła go zachęcać.

Thornton Vance jest wdowcem i z pewnością chciałby czegoś więcej, niż mogła mu zaoferować, a mało prawdopodobne, by zaproponował jej małżeństwo. Z ich krótkiej rozmowy wynioskowała, że lubi damskie towarzystwo, a ją już i tak uważa za kobietę lekkich obyczajów. Nie miała ochoty skończyć jako ladacznica tylko dlatego, że nie potrafiła zapanować nad własnym ciałem, które tak reagowało na jego dotyk. Po prostu musi się trzymać od niego z daleka.

Spójrz na nią - zasyczała ze złością Lou do Thorna, kiedy prowadził ją na parkiet. Z wściekłością patrzyła w stronę Trilby, która nadal stała obok Curta. - Czy ona nie ma wstydu?

- Zajmę się tym - powiedział Thorn; Lou była ciemnowłosa i znacznie starsza od Trilby. -

Nie martw się.

- Taka bezczelna - Lou aż się dławiała. - On ma dwójkę dzieci i nic go nie obchodzi, jakie plotki to wywoła. Nie tylko o nią chodzi. On ma też jakąś kobietę w Del Rio. - Zrozpaczona Lou zaczęła wycierać oczy. - Żałuję, że go w ogóle spotkałam.

- Co chcesz przez to powiedzieć, że ma jakąś kobietę w Del Rio?

- Ładną meksykańską chłopkę, której ojciec jest właścicielem tawerny - odparła ochryplym głosem. - Cały czas tam spędza.

Thornowi wydało się to dziwne. Jeśli Curt miał szalony romans z Trilby, to dlaczego widywał się również z inną kobietą? I to na dodatek biedną meksykańską dziewczyną?

- Lubi mnie upokarzać - szepnęła Lou wbijając wściekle spojrzenie w plecy męża. - Sprawia mu przyjemność, że cierpię.

- Dlaczego to robi? - zapytał cicho Thorn.

Lou zarumieniła się.

- Byłam... przy nadziei, kiedy się pobieraliśmy - powiedziała z lekką niechęcią. - Nigdy nie pozwolił mi o tym zapomnieć. Nie chciał się ze mną ożenić.

Wszystko zaczynało mieć sens.

- Czy jesteś pewna, że widuje się z Trilby? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Znika co drugą noc. Może widuje się z nimi obiema.

Skąd mam wiedzieć? Nienawidzę go!

- Nie, wcale tak nie jest.

Pociągnęła nosem.

- Nie, nie jest. Ale chciałabym go nienawidzić. - Oparła głowę o ramię Thorn'a. - Dlaczego nie pokochałam ciebie, Thorn? Ty nigdy byś nie oszukiwał swojej żony.

- Nie mam tego w zwyczaju - przyznał jej rację.

- Spójrz na nią - szepnęła, obrzucając Trilby wściekłym spojrzeniem. - Taka kulturalna, miastowa i elegancka. Ale tak naprawdę nie ma na co popatrzeć. Same kości i twarz, której żaden mężczyzna nie nazwie ładną. Wyglądam znacznie lepiej od niej.

- Uspokój się, Lou - powiedział łagodnie.

Potknęła się i z trudem złapała równowagę.

- Wiem, jestem złośliwa. Dlaczego rodzice jej nie pilnują? Gdyby ją odpowiednio wychowali, nie zabawiałaby się z moim mężem!

To pytanie dało Thornowi do myślenia. Mary i Jack Langowie byli ludźmi z zasadami. Nie wychowali Trilby na ladacznicę. Gdyby wiedzieli, że widuje się z Curtem, z pewnością

położyliby temu kres. Oczywiście, myślał, mogą o tym nie wiedzieć.

Kilka minut później podszedł do Trilby, która nadal stała z Curtem.

- Pozwolisz, prawda? - z poważnym wyrazem twarzy zapytał Curta. Brwi kuzyna ze zdziwienia uniosły się w górę.

Thorn wziął Thirby za rękę i poprowadził na parkiet, gdzie kilka par tańczyło powolnego walca w takt muzyki granej przez wynajęty zespół.

Sądzę, że już pora, by Curt poświęcił swojej żonie trochę czasu - powiedział lodowato.

Trilby zarumieniała się z gniewu. Uśmiechnęła się chłodno.

- Jakże to miło z twojej strony, że tak dbasz o jego dobro.

Zobaczył, że Lou nakłania niechętnego Curta, by z nią zatańczył. Cała sytuacja wprawiała Thorna w gniew.

Objął Trilby, próbując tańczyć, ale ona zupełnie zeszywniała.

- Równie dobrze mógłbym tańczyć z kawałkiem drewna - zauważył, kiedy po raz drugi okrążali parkiet. Jego ręka mocno objęła jej szczupłą talię. Delikatnie potrząsnął dziewczyną.

- Odpręż się, dobrze?

Nadal była sztywna, bo złościły ją jego uwagi i wprawiało w przerażenie to, jak się czuje w jego obecności. Jej dłoń spoczywająca w jego dłoni była zimna i nerwowa, tym bardziej że splótł palce z jej palcami, czym sprawił, że nogi miała jak z waty. Był do niej tak wrogo nastawiony, a teraz zachowywał się, jakby chciał ją uwieść!

- Proszę, przestań to robić - powiedziała z irytacją, wrywając rękę.

- Co robić, panno Lang? - zapytał z niewinną miną.

Ze złością spojrzała w górę w jego roześmiane oczy i zaraz spuściła wzrok.

- Wiesz co.

- Odpręż się.

Zacisnęła zęby.

- Czy zupełnie nie masz pojęcia o cywilizowanym zachowaniu? - zapytała wyniośle.

Jego ciemne oczy zablęskły.

- Jestem mężczyzną - odparł spokojnie. - Może nie przywykłaś do tego gatunku.

Jej szare oczy spojrzały na niego groźnie.

- Znam kilku mężczyzn!

- Ładnych chłopców z miasta - odparował. - Z miłymi manierami, wymanikiowanymi paznokciami i ulizanymi włosami.

- Nie ma nic złego w manierach, panie Vance - powiedziała. - Rzeczywiście figurują dość wysoko na mojej liście rzeczy niezbędnych.

- Sprawiasz wrażenie bardzo oburzonej. Siedząca na jajach kwoka jest mniej nastroszona niż ty w tej chwili - rzekł kpiąco. - A wszystkie te nastroszone piórka i wściekłość są stąd, że obraziłem środowisko, z jakiego pochodzisz. - Kiedy na nią spojrział, z jego twarzy znikł uśmiech.

- Pochowałem rodziców własnymi rękami - powiedział, czym ją zupełnie zaszokował. - Zostali zabici przez meksykańskich bandytów, którzy zrobili wypad do Arizony.

Nie żywię sympatii dla wyjętych spod prawa, a mam jej jeszcze mniej dla świeżo przybyłej ze Wschodu dziewczyny, która uważa, że mężczyznę ocenia się po sposobie wyrażania. Tutaj, panno Lang, mężczyznę mierzy się jego zdolnością utrzymania tego, co do niego należy, jego zdolnością chronienia swoich bliskich, tak by przeżyli. Wytworna pogawędka nie chroni przed kulami ani nie buduje imperiów.

- Masz bardzo złe mniemanie o ludziach z miasta - zaczęła.

- Mam. Kiedy zastrzelono moich rodziców, z Waszyngtonu przyjechały dwie ważne szychy. Próbowaliśmy im wyjaśnić, że w Meksyku zaczyna wrzeć i tutejsi osadnicy potrzebują pewnej ochrony. Jednak nie otrzymaliśmy nic poza obietnicami, że „rozważą tę sytuację”.

- Waszyngton jest dość daleko - przypomniała mu.

- Dla mnie nie - rzucił krótko. - Ani Waszyngton, ani armia nie udzielili mi wsparcia, więc sam załatwiłem ten problem.

- Problem?

- Wyśledziłem morderców moich rodziców po drugiej stronie granicy - wyjaśnił.

- Znalazłeś ich?

- Tak. - Spojrzał w stronę zespołu i dał im ręką znak.

Kończyli już, ale ponownie zaczęli grać.

Nie pytała dalej. Spojrzenie jego ciemnych oczu było aż nadto wymowne. Wyobraziła sobie zastrzelonych mężczyzn.

Poczuł, że jej plecy zadrżały.

- Musisz stać się trochę twardsza, jeśli chcesz tu żyć.

- Czy kiedykolwiek powiedziałam, że chcę tu żyć, panie Vance? - zapytała wyniośle. - Przyjechałam tutaj, bo nie miałam wyboru.

- Jednak niektóre rzeczy ci się tutaj podobają - ciągnął z lekkim sarkazmem.

- To prawda, kocham kurz! Zamierzam otworzyć przedsiębiorstwo eksportowe, żebym mogła podzielić się nim z całym światem. - Nie była w stanie dłużej się z nim sprzeczać. - Możemy przestać tańczyć?

- Dlaczego?

Trilby zezłościła go. Sugerowała, że jego ukochana pustynia to jakiś obcy i zapomniany przez Boga kraj. Sprawiała, że poczuł się niecywilizowanym dzikusiem. Cóż, może i nim był, ale nie podobało mu się to jej poczucie wyższości.

Nie ma prawa go oceniać, biorąc pod uwagę jej zachowanie wobec żonatego Curta.

Przycisnął ją do siebie, tak że pomimo odzieży poczuła ciepło jego piersi.

- Nie lubisz, jak cię tak blisko przytulam, Trilby? - zapytał z zamierzoną kpina, wpatrując się w jej zdumione oczy.

- To nieznośne, co mówisz! - Zesztywniała i przestała tańczyć. Żaden mężczyzna nigdy tak do niej nie mówił.

Spojrzała na niego, jakby nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Tak dobrze to robisz - zauważył cynicznie. - Prawie mnie przekonałaś, że cię zaszokowałem.

Poczuła się niepewnie i zupełnie nie wiedziała, co myśleć. Sprawiał, że czuła rzeczy, których nie chciała czuć.

- Szok to właściwe słowo. Proszę, puść mnie - rzuciła sucho.

- Bardzo dobrze - odparł, rozluźniając chwyt. - Ale nie sądz, że przede mną uciekniesz - dodał. - Nie ustępuję tak łatwo, kiedy ktoś albo coś mnie interesuje.

Jego słowa zabrzmiały złowieszczo.

- Wolałabym stać się obiektem zainteresowania grzechotnika! - odwdzieczyła mu się.

Rozbawiło go porównanie, jakiego użyła. Uśmiechnął się, co jeszcze pogorszyło sytuację. Trilby odwróciła się i mamrocząc pod nosem ruszyła w stronę rodziców i Teddy'ego.

Co innego stawić czoło bezpośredniemu oskarżeniu i na nie odpowiedzieć, a co innego wysłuchiwać Thorna, który cały czas coś mgliście insynuował. Nie wiedziała, jak na to zareagować. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego ma o niej tak złe mniemanie.

Mogła go o to spytać i nalegać na odpowiedź. Jednak skoro Richard był jedynym mężczyzną w jej życiu, jakie znaczenie miała opinia pana Vance'a?

Po wyrażonej uprzedniego wieczoru pogardzie Thorna, Trilby była podwójnie zszokowana, kiedy następnego ranka pojawił się nagle na ranczu i zaprosił ją na przejażdżkę po pustyni.

Sprawiał wrażenie, jakby się spodziewał, że odmówi, i uśmiechał się kpiąco.

- Nie konno, Trilby - powiedział wolno. - Jak widzisz, sprowadziłem samochód.

Z powątpiewaniem spojrzała na duży, otwarty kabriolet.

- Nie lubię automobili - odparła Trilby. - W Luizjanie mieliśmy samochód i naszemu szoferowi cały czas zrywały się paski i pękały dętki, wpadał też w rowy na błotnistych drogach.

Nawet ten, który teraz mamy, jest dla mnie za szybki - dodała, obrzucając przepraszającym spojrzeniem uśmiechniętego ojca.

- Zapewniam cię, że zaprzężony w woły wóz byłby znacznie mniej wygodny.

- Jedź, Trilby - powiedziała łagodnie matka. - Dobrze ci to zrobi.

- W rzeczy samej - przytaknął Jack Lang.

Trilby nie bardzo mogła im powiedzieć, jak zachował się Thorn poprzedniego wieczoru ani też oskarżyć go przed nimi, że publicznie potraktował ją jak kobietę lekkich obyczajów. Duma nie pozwalała jej rozgłaszać, że Thorn ma o niej taką opinię.

- A co z doktorem McCollumem? Nie zaniedbujesz go?

- zapytała, łapiąc się ostatniej deski ratunku.

- Craig wyjechał pociągiem do El Paso - odparł Thorn.

Po czym po prostu wpatrywał się w nią, jakby czekał, jaką teraz wynajdzie wymówkę.

Nie była tchórzem.

- Dobrze - odparła spokojnie. - Pojadę z panem, panie Vance.

Ubrała się w długą niebieską sukienkę i sznurowane buciki, a na głowę włożyła ozdobny kapelusz. Ramiona okryła szalem - na wypadek, gdyby zmieniła się pogoda - i wyszła na spotkanie Thorna.

Z całą pewnością wywarł wrażenie na jej rodzicach tym, jak o nią zabiega. Spokojny szary garnitur, który miał na sobie, również wywoływał właściwe wrażenie. Jack i Mary uśmiechali się promiennie, a ich aprobata była tak oczywista, że aż krępująca. Tylko Trilby zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, jakie są zamiary Thorntona Vance'a, z pewnością nie są tak szacowne, na jakie wyglądają.

- Odstawię ją przed zapadnięciem ciemności - zapewnił ich. - Nie martwcie się, zaopiekuję się nią.

- No, oczywiście, drogi chłopcze - odparł Jack Lang, jakby było to z góry ustalone i nie wymagało dodatkowego podkreślenia.

Trilby siedziała spokojnie, podczas gdy Thorn zakręcił korbą, a potem wsiadł do samochodu i zajął miejsce obok niej. Naturalnie, pomyślała z goryczą, nie będzie się przez pół godziny pocił i kłął pod nosem, żeby zapalić silnik, co zdarzyło się Richardowi, kiedy zabrał ją i Teddy'ego na przejażdżkę. Złościło ją, że w przeciwieństwie do większości znanych jej mężczyzn, ze wszystkim tak dobrze sobie radził.

Pomachała ręką rodzicom, i popędzili szeroką bitą drogą prowadzącą w stronę gór. Przytrzymała kapelusz, zadowolona, że samochód jest wyposażony w przednią szybę, która chroniła jej twarz przed gęstym kurzem. Samochód ojca nie miał przedniej szyby. Teddy przez

przypadek wybił ją piłką do baseballa.

- Za szybko? - zapytał Thorn, spoglądając łobuzersko na Trilby. - Zwolnię trochę.

Zwolnił, unosząc stopę z pedału gazu. Silnik pracował tak głośno, że rozmowa była prawie niemożliwa, nawet gdyby Thorn był gadatliwy. Patrzył na brązowy odcień ziemi, gdzie trawy były już jesienią śpiące. Drzewa paloverde, które urozmaicały krajobraz, wyglądały wspaniale.

Spojrzał na Trilby, zastanawiając się, czy wie, co to jest.

Zjechał z głównej drogi na węższą, prowadzącą do kanionu.

Trilby zauważyła, że drzewa są tu liczniejsze, a góry zbliżają się, ogromne i zjawiskowe.

- Och! - wykrzyknęła z zachwytem na widok zalesionego kanionu.

Zjechał na bok drogi i wyłączył silnik.

- Podoba ci się?

- Tak, jest ślicznie - wykrzyknęła. W jej oczach widniał zachwyt. - Nie miałam pojęcia, że są takie miejsca w Arizonie. Myślałam, że tutaj jest tylko piasek i kaktusy.

- Dowiedziałabyś się o nich wcześniej, gdybyś kiedykolwiek zgodziła się wyjechać z ojcem i bratem - zganil ją.

- Dziękuję, już w domu najem się dość kurzu i nie muszę jeszcze go szukać podczas spędu bydła - odparła.

- Kurz cię nie roztopi, cukiereczku - powiedział z lekką drwiną.

- Wcale się tego nie obawiam i proszę, żebyś się powstrzymał przed zwracaniem się do mnie w taki sposób.

Odwrócił się na siedzeniu i patrzył na nią, leniwie zwijając papierosa. Byli tylko oni dwoje w tym pięknym i dzikim miejscu. Trilby była świadoma męskości Thorn'a i walczyła, by na to nie zareagować. Pamiętała, jak to było, kiedy ją wczoraj pocałował. Zbyt mocno na nią działał, a on ma przecież o niej tak złe zdanie. Musi cały czas o tym pamiętać. Wyprostowała się, starając się nie zdradzić mrowiącego podniecenia, jakie w niej wywołał.

On jednak dostrzegł jej speszenie i bardzo dobrze je zrozumiał.

- Trilby, jesteś bardzo sztywna i oficjalna w moim towarzystwie. Dlaczego?

Dzielnie przyjęła jego badawcze spojrzenie.

- To nie mną się pan interesuje, panie Vance - powiedziała krótko. - Nie jestem całkiem głupia.

Zdziwiła go. Nieczęsto mu się to zdarzało w towarzystwie kobiet. Sally była ładna, ale niezbyt inteligentna. Trilby była.

- Jeżeli nie interesuję się tobą, to wobec tego czym się interesuję?

- Woda na terenach mojego ojca - odparła śmiało.

Uśmiechnął się z uznaniem.

- Proszę, proszę. A dlaczegoż tak sądzisz?

- Potrzebujesz wody. Nie masz jej wystarczająco dużo, my zaś mamy, a mój ojciec nie chce ci jej ani sprzedać, ani wydzierżawić. Dlatego - odparła. - Mój ojciec nawet nie podejrzewa, że nadskakujesz mi dla ukrytych celów.

Uważa, że świetnie ci się powodzi. Tak sądzą również pozostali członkowie mojej rodziny.

- Spojrzała na niego z wściekłością. - Ja natomiast, panie Vance, uważam, że jesteś piratem, który stracił okręt.

Zaśmiał się cicho.

- No, to przynajmniej było szczere.

Wsunął zwiniętego papierosa w wąskie usta i wyjął zapalną, żeby go zapalić. Powietrze wypełnił gryzący dym.

- Właściwie cię nie winię - powiedziała po chwili. Bawiła się swoją torebką z materiału. - Myślę, że tutaj woda to życie.

- Faktycznie tak jest. - Jeszcze raz zaciągnął się papierosem. - Masz siły na krótki spacer?

- Oczywiście - odparła zadowolona, że może uciec z ograniczonej przestrzeni.

Obszedł samochód i otworzył drzwi, ostrożnie pomagając jej wyjść. Dotyk jego palców sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Szybko odsunęła się od niego i zaczęła iść przed siebie. Panował tu taki spokój. Słysząc było szum wiatru, a w powietrzu unosił się rześki zapach ziemi. Dostrzegła skały w dalekich wzgórzach. Złoto większości drzew w cudowny sposób odbijało się od czerwonych liści klonów.

- Co to za drzewa? - zapytała z ciekawością.

- Te złote? To drzewa paloverde. Na wiosnę mają długie pęki złotych kwiatów, a w jesieni są takie wspaniałe. Bardziej mi się podobają niż klony.

- Tamte to dęby, prawda?

- Niektóre z nich. Tamto - wskazał na ogromne drzewo z pochylonym pniem - to topola amerykańska. Kilkadziesiąt lat temu ludzie odzierali je z kory i nacinali, by uzyskać sok. Jest słodki jak syrop.

- Och - wykrzyknęła z zachwytem - jakie to sprytne!

- A to są wierzyby - dodał, wskazując gestem na kępę drzewek wielkości krzewów, rosnących nad brzegiem strumienia.

Rozejrzała się niespokojnie.

- Czy tu jest bezpiecznie? - zapytała szybko. - To znaczy, czy są tu jacyś Indianie?

Uśmiechnął się.

- Mnóstwo. Głównie Mescaleros i Apacze Mimbrenos.

Było wielu Chiricahuas, ale kiedy schwytano Geronima, rząd wysłał całą jego bandę na Wschód, na Florydę, i przez długi czas trzymał ich w forcie nad Zatoką Świętego Augustyna. Potem przewieźli ich do Nowego Meksyku. Geronimo zabił mnóstwo białych, ale biali również zabili mnóstwo Apaczów. General George Crook zmusił go w końcu do poddania się. Mocny facet, Nantan Lupan.

- Co?

- Szary Wilk. Apacze tak nazywali Crooka. Szanowali go.

Kiedy dał słowo, dotrzymywał go. Niezwykłe u białego. Przez resztę życia po poddaniu się Geronima robił, co mógł, żeby pomóc Apaczom. Geronimo zmarł w lutym zeszłego roku.

- Nie wiedziałam o tym.

Spojrzał na nią.

- Wy, ludzie ze Wschodu, niewiele wiecie o Indianach, prawda? Apacze są interesujący. Nazywali starego wodza Chiricahua Koczisem, ale jego imię w języku Apaczów brzmiało Cheis. To znaczy dąb. Bóg jeden wie, jak zmieniło się w Koczis. Był przebiegłym starym diablem, chytrym jak lis. Bawił się z kawalerią Stanów Zjednoczonych w ciuciubabkę, aż zapanował pokój. Geronimo nie chciał się jednak poddać i żyć w rezerwacie na łasce białych. Były takie czasy, jeszcze niedawno, kiedy sam dźwięk słowa Apacz powodował, że drżał tutaj nawet dorosły mężczyzna.

Milczała, czekając, by ciągnął dalej. Fascynowała ją jego wiedza na temat Indian.

Uśmiechnął się, wyczuwając jej zainteresowanie. Sprawiało mu to przyjemność.

- Indianie nie są ignorantami. Pracuje dla mnie dwóch Apaczów. Jeden z nich jest Chiricahua. I niezbyt - dodał sucho - przypomina wizerunek Indianina, jaki stworzyli ludzie ze Wschodu. Zrozumiesz, co mam na myśli, kiedy go poznasz. Ma na imię Naki.

- Co to znaczy? - zapytała z ciekawością.

- Właściwie ma na imię Dwie Pięści, ale w języku Apaczów występują takie wysokie tony... Nie potrafię wymówić jego drugiego imienia. Naki znaczy „dwa”.

- Czy jesteś... czy masz w sobie domieszkę indiańskiej krwi?

Potrząsnął głową.

- Moja babka była ładną, hiszpańską damą. Mieli córkę.

Mój dziadek zmęczył się odpowiedzialnością i porzucił je.

- Thorn sam nie wiedział, czemu o tym mówi. Nikomu przedtem o tym nie powiedział.

- Nie kochał jej na tyle, by zostać?

Zesztywniał.

- Jak widać, nie. Moja babka umarła z głodu. Gdyby nie cioteczny dziadek, który był właścicielem Los Santos, moja matka także umarłaby z głodu. Ona i mój ojciec odziedziczyli Los Santos po śmierci wuja. Miałem osiemnaście lat, kiedy Meksykanie nas najechali i zabili ich.

- Czy miałeś braci lub siostry?

- Byłem jednym z trojga dzieci. Miałem dwie siostry - powiedział. - Obie zmarły na cholere.

- Przykro mi.

- Byłem wówczas dzieckiem. Niezbyt dobrze je pamiętam. - Palił papierosa i wysoko trzymał głowę. Szedł nie garbiąc się, jego postawa była równie doskonała, jak jego ubranie. Jak na kowboja doskonale wyglądał w garniturze.

- Powiedziałeś, że twoja matka była Hiszpanką...

- A ty zastanawiasz się, dlaczego Meksykanie zaatakowali jej córkę i zięcia - zgał.

- Tak.

- Czy jeszcze nie wiesz, że większość Meksykanów nienawidzi Hiszpanów? To jeden z powodów, dla którego teraz walczą. Od czasów Corteza znajdują się pod dominacją Hiszpanów. Mieli już dość - powiedział po prostu. - Ale ludzie, którzy zabili moich rodziców, nie byli rebeliantami.

Byli po prostu bandytami.

- Przykro mi. Z powodu twoich rodziców.

- Mnie także było przykro.

W jego słowach zabrzmiał niezmierny ból, a ona z niechęcią przypomniała sobie, jak wyraz jego twarzy zdradził jej sposób, w jaki rozprawił się z mordercami. Skierowała uwagę na ziemię, na piaszczystą glebę.

- Czy dużo tu rośnie? - zapytała niezobowiązującym tonem.

- Hohokami, Indianie, którzy zamieszkiwali te tereny w niepamiętnych czasach, byli rolnikami. Nauczyli się siać zboże w kępach i nawadniać ziemię. Mieli coś na kształt rządu i religię, która daleko wyprzedzała ich czasy. Jako kultura mogli istnieć przez tysiące lat.

Ponownie spojrzała na niego z szacunkiem.

- Skąd to wszystko wiesz?

Zaśmiał się.

- McCollum - odparł po prostu. - Oplaca się mieć za przyjaciela profesora antropologii. Jest bardzo dobry w tym, co robi. Gdy bada okoliczne ruiny, mieszka u mnie. Kiedy wykłada, przyjeżdża kilka razy do roku.

- Lubię go. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest wykładowcą - powiedziała.

- Tak. Wykłada antropologię i archeologię w jednym z dużych college'ów na Północy.

- To musi być interesujące. Czy jeździsz z nim, kiedy poszukuje ruin?

- Jeśli czas mi pozwala. - Wsunął jedną rękę do kieszeni spodni i rzucił jej spojrzenie spod szerokiego randa kapelusza. - Podoba ci się archeologia?

- Bardzo mało wiem na ten temat - przyznała - ale to interesujące, prawda?

- Bardzo. - Nagle wysunął szczupłą, opaloną rękę i zatrzymał Trilby w pół kroku. - Nie ruszaj się przez chwilę.

Nic nie mów. Spójrz tutaj. - Wskazał w stronę krzaków, a ona poczuła, jak serce zaczyna jej bić przyspieszonym rytmem. Czy to grzechotnik? Chciała uciec, ale nie zdążyła, gdyż nagle zabawny, brązowy ptak wypadł spod krzaka i przebiegł drogę.

Roześmiała się.

- Co to jest? - wykrzyknęła.

- Roadrunner - powiedział. - Poluje i zabija węże.

- No to trzymam za niego kciuki - zachichotała.

- Węże są pożyteczne, głuptasku - zganil ją. - Pewne węże nie wyrządzają krzywdy.

Zjadają szczury i myszy.

A królewski wąż zabija i zjada grzechotnika.

- Nie mam ochoty patrzeć na któregokolwiek z nich na tyle długo, by go zidentyfikować - oznajmiła.

Potrząsnął głową.

- Daj spokój.

W końcu sprowadził ją ze szlaku i powiódł w cieniste miejsce, gdzie strumień przecinał leśne poszycie. Od strumienia do gór cały teren pokrywały ogromne głazy.

- To dawne obozowisko Apaczów - powiedział. - Oczywiście nie znajduje się na terenie rezerwatu, ale nadal czasami tu przychodzą. Naki lubi tu obozować, kiedy tropi zaginione sztuki bydła. Ma cudowną rękę do koni.

- Czy nosi barwy wojenne i pióropusz? - zapytała niewinnie.

Spojrzał na nią z wściekłością.

- Jest Apaczem - powiedział. - Apacze nie noszą pióropuszy jak Indianie z prerii. Noszą kolorową opaskę na czole, a włosy mają do ramion. Nie mieszkają również w namiotach, jak Indianie z równin. Mieszkają w pewnego rodzaju okrągłych lub podłużnych chatach, które nazywają wickiup.

- Czy tutejsi ludzie nienawidzą Indian? - zapytała.

- Niektórzy. Bywały takie czasy, że zawieraliśmy z nimi przymierze, a nawet z Meksykanami, by walczyć z Komanczami, kiedy próbowali pójść na południe i podbić nas.

- Och, Boże!

- I kiedyś, w czasie wojny secesyjnej, nad Tucson powiewała konfederacka flaga - powiedział śmiejąc się. - Wielu Południowców osiedliło się w Arizonie. Powinnaś czuć się jak u siebie w domu.

- Szkoda, że tak nie jest - odparła cicho. Mówiła prawdę.

Wbiła wzrok w ziemię. - Nie ma tutaj kaktusów.

- Na pustyni jest ich mnóstwo, głównie saguaro - powiedział. - Saguaro są ogromne i ciężkie. Mają wewnątrz coś w rodzaju drewnianego szkieletu. Człowiek może się zabić, kiedy na niego wpadnie.

- Jak się nazywają takie wysokie, cienkie?

- Ocotillo - odparł. - Meksykanie budują z nich kolczaste ogrodzenia.

- W Luizjanie mamy kłujący kaktus gruszkowaty - powiedziała.

- Naprawdę?

- Nie w Baton Rouge - dodała z uśmiechem.

Zatrzymał się i odwrócił, żeby na nią spojrzeć.

- Mówisz po francusku?

- Tylko trochę - odparła. - Mama mówi biegle. - Spojrzała w jego ciemne oczy. - A ty?

- Mówię biegle po hiszpańsku - powiedział. - I odrobinę po niemiecku.

Nie odwrócił wzroku, ale ona też nie. Patrzył na nią przez długie minuty, które wydawały się słodkie, choć pełne napięcia. Serce Trilby zaczęło bić jak oszalałe. Pomyślała, że Thorn działa na nią zabójczo.

Wpatrzył się w jej piersi, czego nie zrobiłby żaden dżentelmen. Wstrzymała oddech.

- Ograniczenia - szepnęła. - Wy, kobiety ze Wschodu, nie możecie bez nich żyć, tutaj, jeśli mężczyzna widzi coś, czego pragnie, po prostu to bierze.

- Włącznie z kobietami? - zapytała ochryłym głosem.

- To zależy od kobiety - odparł. - Moja żona była taka jak ty, Trilby - dodał z goryczą. - Cieplarniana orchidea przesadzona na gorącą, piaszczystą glebę. Nienawidziła jej.

Nienawidziła mnie. Nigdy nie powinna była wychodzić za mnie za męża. Nie zrobiłaby tego - dodał z cynicznym uśmiechem - ale spodobały się jej moje pieniądze.

Ta myśl zirytowała go. Nie lubił wspominać Sally. Trilby mu o wszystkim przypomniwała.

- Ko... kochałeś ją? - zapytała.

- Tak - odparł szorstko. - Kochałem ją. Ona jednak chciała poezji i róż każdego ranka, i

pokojówek, które by ją obsługiwały. Pragnęła dżentelmena, który towarzyszyłby jej w czasie wszelkich towarzyskich spotkań. Nie znosiła tego, że jestem szorstki, a także samotności. Zaczęła mnie nienawidzić. Wszystkiego, czym było moje życie - dodał, odwracając wzrok. - Nie musisz mi mówić, że jestem dzikusem. Sally mówiła mi to dwa razy dziennie.

To niewiarygodne, że mogę czuć dla niego litość, pomyślała, patrząc, jak jego surowe rysy jeszcze bardziej tężeją. Jakie to straszne, kochać kogoś, kto cię nienawidzi...

Spojrzał na nią i dostrzegł jej pełen współczucia wzrok.

Rozzłościło go, że ona się nad nim lituje. Tym bardziej że zaczął ją lubić i dobrze czuć się w jej towarzystwie. Była ladacnicą, a on dawał się jej omotać lepką siecią. Był głupcem!

Wyrzucił papierosa i sięgnął po nią.

- Nie potrzebuję twojej litości - rzucił krótko, wbijając wzrok w jej usta. Jesteś bardziej godna pogardy, niż ja kiedykolwiek będę!

Wpił się namiętnie w jej usta, raniąc ją. Westchnęła i próbowała go odepchnąć. Jego ramiona były jednak zbyt silne, a jego wargi miały smak tytoniu i prawdziwego mężczyzny. Starając się ją upokorzyć, sięgnął po jej ciało. Objął dłońmi jej biodra i mocno przycisnął je do swoich ud.

Ta bliskość była porażająca dla dziewczyny, która właściwie nigdy przedtem się nie całowała. Miała wrażenie, że cała płonie z wrażenia, gdy poczuła, jak zmienia się jego ciało przylegające do jej brzucha. Krzyknęła, do żywego oburzona na to, na co sobie pozwalał. Zaczęła bić go pięściami i usiłowała kopnąć.

Puścił ją, zdziwiony tym pokazem oburzenia. Stała, wpatrując się w niego z zaczerwienioną twarzą, z włosami wymykającymi się ze schludnie upiętego koka, z płonącymi szarymi oczyma. Podniosła rękę i uderzyła go w usta tak mocno, jak zdołała.

- Ty dzikusie! - krzyknęła, cała się trzęsąc. - Wiedziałam... że nie jesteś... dżentelmenem!
- rzuciła z wściekłością.

- A ty nie jesteś damą, dziwko z Luizjany! - powiedział, nie skrzywiwszy się nawet pod ciosem. Był rozwścieczony.

- Gdybym był trochę mniej cywilizowany, powaliłbym cię na tę zakurzoną drogę i wziął siłą.

Jej twarz jeszcze bardziej poczerwieniała. Usta jej drżały, w oczach pojawiły się łzy, gdy usłyszała tę oczywistą zniewagę. I tylko pomyśleć, że kochany, pełen kurtuazji Richard nie posunął się nigdy do niczego więcej poza dotknięciem jej ręki, a ten dzikus...

- Tknij mnie tylko palcem... a uderzę cię konarem! Jak...

śmiesz? - dławiała się, prawie szlochając z wściekłości. - Powiem... ojcu!

- Zrób to - odparł spokojnie - a ja opowiem mu o twoim romansie z moim żonatym kuzynem!

Patrzyła na niego, jakby oszalała.

- O czym ty mówisz?

- Za późno już jest, żeby kłamać - powiedział zimnym z pogardy głosem. - Sally widziała, jak całujesz się z Curtem. Opowiedziała mi o tym kilka tygodni przed śmiercią.

Jej twarz zmieniła kolor z czerwieni na śmiertelną bladość. Zachwiała się i omal nie upadła. Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, ona jednak z nienawiścią ją odepchnęła.

- To kłamstwo - szepnęła, cała drżąc. - To podłe, nieuzasadnione kłamstwo!

- Dlaczego moja żona miałaby kłamać? - zapytał powoli.

- Teraz już nie żyje. Jakież to dla ciebie wygodne. Nie może zaprzeczyć, prawda?

Przełknęła ślinę. Miała uczucie, że za chwilę zemdleje.

Śmiertelnie zbladła. Wyraz jego twarzy uzmysłowił jej, że żadne argumenty nie zmienią jego przekonania. Kłamstwo jego żony miało dla niego wartość słowa świętego. Cokolwiek powie, nie przekona go, że jedynie rozmawiała z Curtem.

Zimnymi, drżącymi rękoma uniosła spódnicę i niepewnym krokiem ruszyła w stronę samochodu.

Poszedł za nią, otwierając przed nią drzwi z przesadną kurtuazją.

Nie popatrzyła więcej na niego. Nie potrafiła znieść jego widoku. Siedziała nieruchomo jak posąg, kiedy zapalał silnik i zawracał samochód.

Odezwał się dopiero przed jej domem.

- Nie ma potrzeby, żebyś przede mną grała męczennicę.

- Wiem, kim jesteś.

- Gdybym była mężczyzną, strzeliłabym ci prosto w serce - odparła dławiąc się. Drżała z oburzenia i złości. - Kiedy powiem mojemu ojcu, o co mnie oskarżyłeś, prawdopodobnie cię zastrzeli! Mam nadzieję, że tak zrobi!

Uniósł w górę brwi.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że rzeczywiście wszystko mu wyznasz? - zapytał beczelnie. - Zniszczysz jego złudzenia.

Z trudem powstrzymała ponowną chęć wymierzenia mu policzka.

- Panie Vance - powiedziała z zimnym oburzeniem. - W celu utrzymywania tajnego związku z pańskim kuzynem musiałabym opuszczać dom po zapadnięciu zmroku.

- To żaden problem. Macie samochód - przypomniał.

- Nie umiem ani prowadzić samochodu, ani jeździć konno - odparła sztywno.

Zawahał się.

- Wobec tego ktoś mógł cię zawozić.

Skinęła głową.

- Och, oczywiście. Moi rodzice z pewnością by się nie zdziwili, gdybym chciała wyjść z domu w nocy, sama, czego nigdy w życiu nie robiłam!

W jego teorii zaczęły pojawiać się dziury. Zmarszczył brwi. Nie podobały mu się zimne fakty, które mu przedstawiała.

- Incydent, o którym opowiadała mi Sally, miał miejsce w trakcie przyjęcia, w którym uczestniczyli twoi rodzice - powiedział, odwracając wzrok ze wzrastającym niepokojem.

- Rozumiem. Osądzono mnie z góry, nie dając mi nawet szansy obrony. - Patrzyła prosto przed siebie, drżąc, gdy do głowy przyszła jej ohydna myśl. Jej ręce zacisnęły się na torebce. - Przypuszczam, że... twoja żona nie tylko tobie się z tego zwierzyła.

- Powiedziała Lou, żonie Curta - odparł.

Zamknęła oczy. To wyjaśniało, dlaczego żona Curta spogląda na nią z taką wściekłością. Prawdopodobnie podła plotka obiegła całą okolicę. Wszystko dlatego, że lubiła Curta, a rozmowa z nim sprawiała jej przyjemność. Nie było w tym przecież nic złego.

- Dlaczego nie zapytasz swojego kuzyna, czy mam z nim romans? - rzuciła słabym głosem.

- I zmuszę go do kłamstwa w obronie twojego dobrego imienia? - Roześmiał się. - To byłoby inteligentne, prawda?

- Panie Vance, nigdy by mi nawet do głowy nie przyszło, by oskarżyć pana o jakikolwiek inteligentny czyn - odparła ostro. - A co się tyczy pańskiego ohydneho pomówienia: jest nieuzasadnione i potwornie niesprawiedliwe. Tak, powiem rodzicom. - Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Prawda jest najlepszą bronią, jaką znam. A pan będzie żałował, że posłuchał kłamstwa bez zadawania pytań swojej zmarłej żonie.

Zapamiętał jej oburzenie i pamiętał je też później. Wysiadła z samochodu nie przyjmując jego pomocy i pomaszerowała w stronę domu. Poszedł za nią.

W środku nie było ani jej rodziców, ani Teddy'ego, tak więc nie musiał wyjaśniać im przyczyn wrogości Trilby.

Poszła prosto do swojej sypialni, zatrzasnęła drzwi i zaryglowała je, nie odzywając się do niego ani słowem.

Stał przed zamkniętymi drzwiami. Dlaczego zachowała się tak, jakby wyrządził jej jakąś niewysłowioną krzywdę?

Przecież mówił prawdę?

- Och, przeklęte kobiety! - zaklął gwałtownie i wyszedł tylnymi drzwiami.

Kiedy Jack i Mary wrócili, Trilby zdołała opłukać już twarz i ręce w zimnej wodzie. Jej oczy nadal jednak były zaczerwienione tak samo jak zadarty nos.

- Cóż to, moja droga? - wykrzyknęła Mary. - Co się stało?

- Wasz bohater pokazał, kim jest naprawdę. - Trilby z godnością zwróciła się do ojca. - Jego żona powiedziała mu, że widziała, jak całuję się z jego żonatym kuzynem Curtem. Wierzy, że mam tajny romans z tym mężczyzną.

Mary gwałtownie wciągnęła powietrze. Twarz Jacka stężała z powstrzymanej wściekłości.

- Jak on śmie?! - krzyknął. - Jak śmie wysuwać w stosunku do ciebie takie oskarżenia?!

- Nie chcę więcej widzieć pana Vance'a - rzuciła wymownie, mocno zaciskając dłonie. - Od początku mówiłam wam, że uważam go za niecywilizowanego dzikusa. Być może teraz rozumiecie, dlaczego.

- Jestem zaszokowana - powiedziała Mary z bólem. Ujęła Trilby za rękę, pociągnęła za sobą do salonu i posadziła na sofie. - Dzięki Bogu, że Teddy nadal naprawia uprząż z panem Torrance'em. Nie chciałabym, żeby to słyszał.

- Tak - rzucił zwięźle Jack. - Ubóstwia Thorna.

- Pan Vance jest dobrym gospodarzem - powiedziała Trilby zdławionym głosem. - Jest bardzo zamożny i nie możesz sobie pozwolić na wrogość w stosunku do niego.

Ale czy teraz wreszcie przestaniecie oboje pchać mnie w jego ramiona? On uważa, że jestem... że jestem kobietą lekkich obyczajów, a kiedy był ze mną sam na sam, zachował się zupełnie nie jak... dżentelmen. - Mocno zacisnęła dłonie. Mówienie tego wszystkiego rodzicom było dla niej bardzo bolesne. - Chciałabym, żeby mnie już nikt nie zmuszał do przebywania w jego towarzystwie.

- Oczywiście, że nie będziesz zmuszana! - odparła krótko Mary, patrząc, czy mąż ośmieli się jej sprzeciwić.

- Z pewnością nie - wymamrotał Jack. Westchnął ciężko i przeczesał palcami lekko posiwiałe włosy. - Trilby, błędnie ocenilem tego człowieka. Jest mi bardzo przykro.

- Mnie także, ojczy, ponieważ go podziwiasz.

- Jak może myśleć o tobie coś takiego? - jęknęła Mary.

- I dlaczego żona powiedziała mu tak oczywiście kłamstwo?

To nie ma sensu.

- Ma wiele sensu, jeśli skłamała, by odwrócić podejrzenie od siebie samej - odparł zimno Jack. - To jest coś, czego nigdy nie możemy powtórzyć poza domem - ostrzegł kobiety. - Nie

chę, żeby wytoczono nam proces o oszczerstwo, kiedy już i tak jesteśmy w finansowych tarapatkach.

- Nie chcę sprawiać żadnych kłopotów panu Vance - powiedziała z godnością Trilby. - Chcę tylko, by trzymał się ode mnie z daleka.

- Możesz być tego pewna - zapewnił ją Jack. - Jeśli będziemy mieć jakiś interes do załatwienia, który będzie wymagał jego obecności tutaj, ostrzegę cię zawczasu, moja droga. Bardzo mi przykro, że wplątałem cię w tak niezręczną sytuację.

- Nie mogłeś wiedzieć, jak bardzo mnie nie lubi - odparła z goryczą. - Och, jak żałuję, że wyjechaliśmy z Luizjany! Richard niedługo wróci do domu...

- A ty chcesz go zobaczyć - powiedziała Mary. Uśmiechnęła się i poklepała Trilby po ręce.

- Cóż, może przecież przyjechać do nas w odwiedziny. Chciałabyś tego? Może zostać u nas tak długo, jak zechce.

- Mówisz poważnie? - zapytała z entuzjazmem Trilby. - Naprawdę?

- Naprawdę. - Mary roześmiała się i uścisnęła córkę. - Towarzystwo młodego mężczyzny w domu będzie stanowiło przyjemną odmianę.

- Czy mógłby przywieźć ze sobą Sissy i Bena? - zapytała; to była jego siostra i brat. - A także swoją kuzynkę Julie?

- Oczywiście.

- Chwileczkę - roześmiał się Jack. - Jak mam wykarmić tylu pielgrzymów?

- Możemy przecież zabić byczka - odparła Mary - a jarzyn jest pod dostatkiem.

- Poddaję się. Dobrze, zaproście go.

- Jesteś kochany, tato - powiedziała Trilby, zapomniawszy już o przykrym przeżyciu poranka z wrażenia, że może spełni się jej największe marzenie. Znowu zobaczy Richarda! Doświadczenia tego dnia były niemal tego warte.

4

Trilby wysłała list do siostry Richarda, Sissy Bates, zapraszając całą czwórkę na rancho, po czym pojechała z ojcem do domu i zajęła się swoimi codziennymi obowiązkami. Dni mijały, a ona z niecierpliwością czekała na odpowiedź.

Zepchnęła Thorna Vance'a na dno serca. Nie obchodziło jej już jego zdanie, a ojciec odwiedził Curta i Lou Vance'ów następnego dnia po tym, jak Thorn obraził jego córkę.

Przyjechał do domu wściekły. Wymienili z Lou ostre słowa. Wtedy wszedł Curt i zapytał, o co chodzi. Kiedy Jack przytoczył, co powiedział Thorn, Curt był oburzony.

Chociaż według Jacka Curt sprawiał wrażenie bezsprzecznie winnego, natychmiast zaprzeczył temu, że w jakikolwiek sposób był związany z Trilby. Przepraszył za swojego kuzyna Thorna i wyraził żal, że naraził Trilby na przykrości.

Surowo zrugął swoją żonę, obiecał też porozmawiać z kuzynem i zmazać niezасłużoną skazę na honorze Trilby wobec każdego, kto dał się zwieść tej plotce. Jack wyjechał nieco udobruchany, nadal jednak wściekły na myśl o sytuacji córki. Nie rozumiał, dlaczego taki człowiek jak Thorn Vance tak łatwo uznał winę Trilby. Większość mężczyzn, włącznie z nim samym, posiadała instynktowne wyczucie kobiet. Trilby nigdy nie oddalała się od domu, nigdy też nie była wyzywająca ani w ubiorze, ani w sposobie bycia.

Dobre imię własne i całej rodziny stanowiło największy skarb Jacka. Miał nadzieję, że szkodę da się naprawić.

W Baton Rouge nikt, kto kiedykolwiek znał rodzinę Langów, nie zakwestionowałby dobrego imienia jego córki czy żony. Tutaj jednak, w Arizonie, było inaczej.

Trilby zamartwiała się opinią publiczną. Nie była tchórzem, ale Blackwater Springs to mała społeczność. Jeśli do jakichś drzwi docierała złośliwa plotka, zamykały się. Nienawidziła tych plotek znacznie bardziej ze względu na matkę niż na samą siebie. Nie miała pojęcia, jak znowu spojrzą sąsiadom w oczy.

Musieli jednak to zrobić. Jack Lang upierał się przy tym, by w następną niedzielę zabrać rodzinę do kościoła. Usadził ich w widocznej ławce, rozglądając się wokół, jakby gotował się do stoczenia bitwy w obronie córki. Powiedział rodzinie, że ukrywanie się w domu jest równoznaczne z przyznaniem się do winy. Ponieważ Trilby nie miała powodów, by czuć się winna, nie było też powodu, by sąsiedzi nie mieli ich zobaczyć z podniesionymi głowami.

Dopiero po nabożeństwie dwie z najbardziej prominentnych towarzysko matron podeszły, by porozmawiać z rodziną Langów. Jedna z nich wspomniała, że pewne złośliwe plotki na temat Trilby zostały ukrócone przez samego Curta Vance'a. Były przekonane, że w ich

rozpowszechnianiu naczelną rolę odegrała jego żona.

Trilby nieco się uspokoiła. Zauważyła, że wśród wiernych nie ma Thorna Vance'a. Nie, pan Vance nie przychodzi do kościoła od śmierci żony, wyjaśniła jedna z kobiet.

Szkoda, zauważyła nadto, gdyż jego mała córeczka z pewnością skorzystałaby na naukach głoszonych przez Ewangelię.

Trilby wydała stosowny pomruk. Odczuła ulgę słysząc, że Curt zrobił, co mógł, by położyć kres nieprzyjemnym plotkom. Miała jedynie nadzieję, że wkrótce całkowicie umilkną. Była pewna, że do końca życia nie wybaczy Thornowi Vance'owi tego, co jej powiedział i zrobił.

Dni mijały, Thorn nie wstępował do nich i Trilby faktycznie zaczęła się odprężyć i patrzeć na całe wydarzenie z perspektywy czasu. Najważniejsze, że otrzymała z Luizjany telegram. W następnym tygodniu Richard, jego brat, siostra i kuzynka wyjeżdżają do Blackwater Springs. Trilby wydała okrzyk, słyszalny chyba w całej okolicy, i tanecznym krokiem pokonała całą drogę do powozu.

- Jak przypuszczam, dobre wieści? - zaśmiał się ojciec.

- Tak! Och, tato, on przyjeżdża, naprawdę przyjeżdża!

- To miło znowu zobaczyć uśmiech na twojej twarzy, córeczko - powiedział cicho. Ciepło uściskał jej dłoń. - To warte każdego zachodu, byleby znowu widzieć cię szczęśliwą.

- Nie mogę się doczekać!

- Nie dziwię się.

Tego dnia całą rodziną uczcili szczęście Trilby. Późnym wieczorem, kiedy już szykowali się do snu, na pustyni rozległy się głośnie wystrzały, którym towarzyszył ryk spłoszonego, przerażonego bydła.

Jack i Teddy ubrali się pospiesznie i wypadli na ganek.

Był już tam stary Mosby Torrance, wysoki, wyprostowany; jego niebieskie oczy płonęły w twarzy koloru garbowanej skóry.

- Dziesięciu - wydyszał, po przebiegnięciu całej drogi z baraków. - Widzieli ich Vasquez i Moreno. Sądzą, że to Meksykanie kradną bydło.

- Pogonimy ich - odparł zimno Jack. - Każę Mary przygotować jakiś suchy prowiant. Zbierz ludzi, a ja pójdę po dodatkową amunicję.

- Już się robi, szefie. Biegnę po swojego winchestera...

- Och, ty nie, Torrance - rzucił gwałtownie Jack, patrząc na niego tak, jakby stary teksański żołnierz postradał zmysły. - Nie, ty musisz pilnować kobiet. Ty także, Teddy - rzucił synowi, który sprawiał wrażenie zaszokowanego. - To nie jest robota dla żadnego z was. Przyniosę broń.

Torrance sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar wybuchnąć. Teddy wysunął się do przodu.

- W porządku, panie Torrance - powiedział ze smutkiem. - Widzę, że obaj jesteśmy z tego wykluczeni.

Stary przełknął ślinę.

- Wiesz, chłopcze, najgorszą rzeczą, kiedy człowiek się starzeje - powiedział zdławionym głosem - jest to, że wszyscy uważają, iż już się nie liczysz.

- Ja uważam, że jest pan wspaniały!

Kiedy Torrance patrzył na chłopca wielbiącego w nim bohatera, poczuł, że jad zawarty w słowach Jacka znika.

Gdzieś tam, w świecie, przebywa jego syn. Jednak żona Torrance'a umarła na zapalenie płuc pewnej zimy, kiedy on ścigał banitów. Nie wiedział, gdzie wysłano chłopca.

Zanim wrócił do domu, wszystko się skończyło, a jego jedyne dziecko zniknęło bez śladu. Szukał go, lecz bez skutku. Patrzył na Teddy'ego i miał nadzieję, że jego syn jest równie silny i dzielny jak on.

- Umiesz strzelać? - zapytał Teddy'ego.

- Jasne, że tak - odparł Teddy. Skrzywił się jednak, kiedy spojrzał na oddalającego się ojca. - Do licha, panie Torrance, wszyscy sądzą, że nie nadajemy się do walki, prawda?

- Na to wygląda. Cóż, tak czy owak wydobędę swoją strzelbę, na wypadek gdyby próbowali zaatakować dom.

Możesz pomóc mi pełnić wartę na zewnątrz. - Spojrzał z wściekłością w stronę hallu. - Myślę, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Nie, jeśli mu o tym nie powiemy - odparł Teddy i uśmiechnął się konspiracyjnie.

Torrance zaśmiał się. Teddy naprawdę był wspaniałym chłopcem.

Poszedł z powrotem do baraku i wyjął swojego niklowanego colta 44 z rączką wykładaną macicą perłową. Ten colt był z nim w wielu bitwach. Nadal wzbudzał szacunek, mimo że dzisiaj prawie wszyscy używali 45. Podobnie jak on sam, jego colt był nie na miejscu w wieku, który szczylił się maszynami, poruszającymi się po ziemi szybko jak koń i latającymi w powietrzu. Myślał czasami, że jest człowiekiem prehistorycznym. Ktoś, kto utracił świat, do którego należał, i który nie całkiem potrafi się przystosować do nowego.

Tuż po wojnie secesyjnej było całkiem inaczej. Wtedy to wstąpił do Tekszańskich Wywiadowców Konnych i pisał własną historię. Razem z Bigfootem Wallace'em był legendą wśród tekszańskich kawalerzystów. Tropił banitów i rewolwerowców. Raz nawet rozprawił się z całym tłumem, który chciał zlinczować więźnia. Tutaj jednak nikt nic o tym nie wiedział ani też

nikogo nie obchodziło, kim był pięćdziesiąt lat temu.

Pewnie powinien być wdzięczny, że ma pracę. Jack Lang specjalnie go nie wybierał. Torrance był brygadzystą, zanim Lang odziedziczył ranczo. Teraz zajmował się bydłem, a Lang był jego szefem.

Wsunął rewolwer do olstra i wziął swojego remingtona, sprawdzając go, zanim ponownie opuścił barak. Torrance był wysoki i szczupły. Gdyby nie siwe włosy, wyglądałby prawie tak samo jak wówczas, kiedy miał trzydzieści kilka lat. Jego kroki zabrzmiały pewnie i mocno na drewnianej podłodze ganku. Co za potworny wstyd, pomyślał z lekkim rozbawieniem, że człowiek się starzeje. Dawniej był pewien, że zawsze będzie młody.

Jack Lang wyszedł przez drzwi zapinając pas palcami, które z trudem sobie z tym radziły. Był ubrany w przesadnie zachodnim stylu - miał skórzane opaski na nadgarstkach, i nowe buty z ciężkimi kółkami przy ostrogach.

Niósł strzelby w ozdobnych wełnianych futerałach i dwa sześciostrzałowe inkrustowane masą perłową rewolwery, które przywodziły na myśl tanią powieść sensacyjną.

Mężczyzna ze Wschodu zawsze się tak ubierał, kiedy szli polować na złodziei bydła. Nigdy nikogo nie udało im się złapać. Lang nie ufał młodemu Apaczowi, który tropił, i nie wierzył, że można znaleźć ślady kogoś, kto szedł strumieniem.

Torrance potrząsnął głową. Ktoś powinien powiedzieć temu facetowi, że wełniane ochraniacze są dobre w czasie północnych zim i noszą je kowboje z Montany i Wyoming, a nie ludzie z Arizony. I te ciężkie meksykańskie ostrogi... żadnemu szanującemu się mężczyźnie nawet by nie przyszło na myśl, by popędząć nimi konia. Pistolety były ładne, ale nigdy z nich nie strzelano. A te opaski na nadgarstkach przydałyby się komuś rzucającemu lasso, nie zaś Jackowi Langowi.

Torrance zachował jednak te myśli dla siebie i tylko skinął głową, kiedy szef kazał mu pilnować kobiet. Potrafił równie dobrze tropić jak ten Meksykanin, Vasquez, któremu Lang powierzył zadanie tropiciela. Lepiej. I nadal strzelał lepiej niż którykolwiek z pozostałych kowboi Langa. Znał Meksykanów, kiedy służył w Tekszańskich Zwiadowcach Konnych, wytropił ich tak wielu. Lang jednak nawet się o tym nie dowiedział ponieważ uważał, że mężczyzna w wieku Torrance'a nie nadaje się do pracy kowboja.

Oddział odjechał i Torrance westchnął z żalem. Podszedł Teddy.

- W porządku, panie Torrance - powiedział. - Wiem, że pan wykonałby tę robotę lepiej niż którykolwiek z ludzi taty. Nawet jeśli on tego nie wie.

Torrance spojrzał na niego z zachwytem.

- Jesteś cudowny, Teddy.

- Pan także, panie Torrance.

Trilby patrzyła przez okno, jak mężczyźni odjeżdżają, i zmartwiła się. Jeden z kowboi wspomniał coś o tym, żeby przejechać przez Los Santos i zabrać Thorna Vance'a. Ojciec pokłócił się z tym człowiekiem i Trilby wiedziała, dlaczego nie chce prosić go o pomoc. Wtedy właśnie usłyszała dzwonek telefonu i mamrotanie ojca.

Kazał telefoniście zadzwonić do Los Santos i prawdopodobnie rozmawiał z Thornem, chociaż bardzo zwięźle.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym ojciec zgodził się zatrzymać w Los Santos podczas pościgu za bandytami. Miała nadzieję, że Thorn nie wciągnie jej bezbronnego ojca w żadną strzelaninę. Jack Lang starał się trzymać fason, ale praktycznie nic nie wiedział o walce...

Kiedy naprędce zebrany oddział dotarł do Los Santos, Thorn już na nich czekał. Strzelbę miał w futerale, nosił również przyboczną broń, colta 45, który należał do jego ciotecznego dziadka.

Z trudem przekonał Jacka Langa, by pozwolił mu przyłączyć się do wyprawy. Ten upierał się, że chce jechać tylko z kilkoma swoimi ludźmi, ale Thorn nagle zobaczył oczami duszy tego starszego mężczyznę leżącego gdzieś w pyle Arizony.

Sumienie przypiekało go do żywego z powodu oszczerstw skierowanych pod adresem Trilby. Taką szkodę wyrządził jej reputacji, że nie potrafił pojawić się ponownie na ranchu Langa. Wiedział, że Jack i reszta rodziny pogardzają nim za to, co powiedział Trilby, chociaż i tak cud, że nie opowiedziała nikomu, co naprawdę zdarzyło się podczas tej przejażdżki po pustyni. Przyznawał, że nie zasłużył na tę łaskę. Teraz przynajmniej mógł starać się chronić życie jej ojca. Może choć trochę odkupi swoje winy.

Samantha spała, nie obudził jej więc. Dziecko było ostatnio tak zamknięte w sobie i dziwnie wyciszone, że aż się martwił. Dziewczynka była taka szczupła i blada, że wyglądała na chorą. Żałował, że tak bardzo wyprany jest z wszelkich uczuć, że nie umie się z nią porozumieć. Po śmierci Sally Samantha zamknęła się w sobie, a on nie potrafił już do niej dotrzeć.

Z poważnym wyrazem twarzy patrzył, jak Jack Lang do niego podjeżdża.

Jack z kolei badawczo przyglądał się mężczyźnie z Zachodu, doznając nagle uczucia, że sam jest niestosownie ubrany i nie na miejscu. Thorn wygląda groźnie, pomyślał Jack, i nawet zważywszy na okoliczności, był w stanie to docenić. Thorn był w niebieskich dżinsach, kowbojskiej koszuli w niebieską kratę z czerwoną chustką na szyi. Podobnie jak Jack miał na nadgarstkach opaski, ale były znoszone i ciemne ze starości. Przy butach miał ostrogi z małymi kółkami i szerokie skórzane ochraniacze. Jego kapelusz nie był nowy, jak kapelusz Jacka. Był znoszony i zniekształcony, ale jakoś było mu w nim do twarzy. Na łąku zawiesił zwój liny, a przy

siodle przytroczył derkę, jakiej używała większość jego ludzi. Kolorowe meksykańskie poncho przerzucił przez jedno szerokie ramię i z całkowitym spokojem palił papierosa. Jak na człowieka, który udawał się na wojnę, sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego.

Jack musiał przełknąć słowa gniewu. Właściwie nie rozmawiał z Thornem od czasu swojej rozmowy z Curtem Vance'em. Trudno było załatwiać coś z człowiekiem, który niemal zszargał reputację jego córki.

- Gotów do wyjazdu? - zapytał przeciągle Thorn, kiedy Jack do niego podjechał. - Mogę przyłączyć się do wyprawy z dziesięcioma ludźmi.

- Jestem pewny, że mamy dość ludzi - odparł sztywno Jack. - Jest ze mną sześciu.

Sześciu ludzi, on sam i Vance, by opanować grupę bandytów. Thorn omal nie roześmiał się z naiwności Jacka.

Grupa meksykańskich rewolucjonistów liczyła prawdopodobnie pięćdziesięciu mężczyzn. Z dnia na dzień walki na granicy nasilały się, w miarę jak narastał opór przeciwko rządowi Diaza. Kilka różnych małych grup powstańców napadało na miejscowe stada z północnej prowincji Meksyku, Sonory, i nie mieli żadnych oporów przed przeprowadzaniem bydła na drugą stronę granicy, by je sprzedać i nakarmić swoich głodnych ludzi. Oczywiście nie płacili za bydło, które zabierali. Sprawy w Meksyku definitywnie zmierzały do wojny, myślał Thorn i coraz bardziej martwił się możliwością amerykańskiej interwencji, jeśli walki przeniosą się na drugą stronę granicy. Interwencja oznaczałaby wojnę z Meksykiem, a nikt tego nie chciał.

- Czułbym się pewniej, gdyby towarzyszyli mi moi ludzie - powiedział Thorn. Mówiąc to popatrzył Jackowi prosto w oczy, a ten nawet nie mrugnął. Jego spojrzenie parzyło jak przekleństwo.

- Jak sobie życzysz - odparł sucho Jack. Nie wspomniał ani słowem o Trilby, a Thorn też tego nie zrobił. Jednakże obu mężczyznom naturalne zachowanie sprawiało trudności.

Thorn słyszał o wizycie Jacka u Curta i o tym, co tam zostało powiedziane. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, pokłócił się wówczas z kuzynem. W końcu jednak Curt przekonał go, że jego tajemniczą przyjaciółką nie jest Trilby. Po tym wyjaśnieniu Thorn poczuł się zmieszany i mocno zawstydzony. Obraził Trilby tylko dlatego, że Sally ją oskarżyła. Dlaczego jednak Sally kłamała? Nie potrafił dopasować tego kawałka łamigłówek.

Teraz jednak nie było na to czasu. Thorn wsadził palce do ust i wydał przeraźliwy, dziki gwizd. Natychmiast pojawiło się sześciu ludzi na koniach i dołączyło do grupki.

Wszyscy wyglądają jak ich szef, pomyślał Jack. Większość z nich była ubrana w znoszone ubrania i uzbrojona po zęby. Niektórzy robili wrażenie tęgich zabijaków. W grupie znajdowało się dwóch Apaczów - jeden niski, starszawy, drugi wysoki i dobrze zbudowany, z dziwnie

inteligentnymi, czarnymi oczami. Wyglądał bardzo groźnie.

- Nie zabierasz chyba Indian? - zapytał Jack pod nosem.

Thorn policzył w myślach do dziesięciu.

- Naki i Tiza są moimi tropicielami - powiedział. - Są najlepsi w mojej grupie. Nawet ja nie potrafię zauważyć znaków, które oni znajdują.

- Posłuchaj, nie ufam Indianom - rzucił Jack. - Opowieści, jakie o nich słyszałem...

- Pewnie nie słyszałeś, że w dawnych czasach niektórzy biali trzymali Apaczów jako niewolników? - zapytał spokojnie Thorn. - Albo że żołnierze często atakowali indiańskie wioski i zabijali kobiety i dzieci?

Lang odchrząknął.

- Cóż...

- Odpowiadam za moich ludzi. Za wszystkich moich ludzi - powiedział spokojnie Thorn. - Jedźmy.

- Tak, oczywiście. - Jack podniósł rękę i dał znak swoim ludziom, żeby za nim ruszyli. Próbował dotrzymać kroku Vance'owi, ale ten lekko przyłożył ostrogi do boków konia i popędził niczym wiatr. Jack Lang wiedział doskonale, że przy szybkości, z jaką jechał Vance, nie zdołałby nawet utrzymać się na koniu. Został z tyłu, ze swoją grupą, a Vance ze swoimi ludźmi popędził do przodu. Jack nie chciał zadawać sobie pytania, kto tutaj przewodzi. Było oczywiste, że Vance.

Pomimo bladej poświaty zachodu słońca nad górami, panowała prawie całkowita ciemność. Mimo to od czasu do czasu Apacze zsiadali z koni i przyglądali się głazom i kamienistemu gruntowi. Lang był pewien, że żaden człowiek nie jest w stanie znaleźć śladów na skale, jednak Apacze widać mogli. Poprowadzili ich przez szeroką, rozlaną rzekę, która oddzielała ziemię Jacka od ziemi Vance'a, i dalej na zachód od Douglas.

- Vance, jesteśmy blisko granicy. Cholernie blisko granicy - powiedział Jack, dając wyraz swojemu niepokojowi.

- Bez pozwolenia nie możemy wjechać do Meksyku.

Thorn spojrzał na Jacka Langa.

- Słuchaj, nie ma wątpliwości, że bandyci przekroczyli granicę. Musimy tylko ustalić, w którym miejscu. Zapewne są poniżej Agua Prieta i możemy ich znaleźć, jeśli się pospieszymy. Jeżeli będziemy czekać na uzyskanie zgody, stracisz połowę stada. Poza tym nie możemy ryzykować, że podąży za nami wojsko.

- Ależ, człowieku, jeżeli zostaniemy schwytani...

- Nie zostaniemy. - Dał znak swoim ludziom i szybkim galopem ruszył do przodu.

Jack zawahał się, lecz po chwili podążył za nim.

Pojechali śladem Meksykanów do doliny tuż za San Bernardino Valley, bacząc na to, by zachować spory odstęp od oddziałów armii Stanów Zjednoczonych, które rozbiły się obozem wzdłuż granicy. Przestępcy byli tak pewni siebie, że zasiedli do przyjemnego, spokojnego śniadania, którego główne danie stanowił zaszlachtowany byczek ze stada Jacka Langa.

Było ich tylko sześciu. Przekonało to Thorną, że są to jedynie bandyci, a nie rebelianci z sił Madero. Najwyraźniej tym razem działali na własną rękę, ale nie wyglądali na tak sprytnych, by nie mieć żadnych mocodawców. Chciał wiedzieć, dla kogo pracują.

Dał znak swoim ludziom, zapominając o grupie Jacka Langa, i ruszył na obóz, równocześnie rozwijając lasso. Zarzucił pętlę na mężczyznę, który wyglądał na przywódcę, i powalił go na ziemię. Pozostali wyciągnęli broń, lecz widząc, że napastnicy przewyższają ich liczbą i uzbrojeniem, podnieśli ręce w górę, wrzeszcząc coś po hiszpańsku.

Thorn szybko coś odpowiedział i zręcznie zeskoczył z konia, by związać pojmanego przywódcę. Kiedy jednak zaczął go przepytować, wyższy z Apaczów podszedł do niego i obrzuciwszy Jacka Langa zimnym spojrzeniem, przemówił w swoim własnym języku.

- Nie jesteśmy tutaj sami.

- Mów po angielsku - warknął Thorn.

- Nie przy nim - odparł Naki, wskazując Jacka Langa.

- Słyszałem, co mówił. Jeżeli jeszcze raz mnie obrazi, przywiążę go nagiego do kaktusa. Powiedz mu to - dodał, łypiąc zimno okiem w kierunku Jacka Langa, który pod tym spojrzeniem poczuł się dość niepewnie.

- Czy powiesz mi, co znalazłeś?

- Kiedy powiesz temu operetkowemu kowbojowi, że szybkim krokiem zmierza do pala i wiązki chrustu, to ci powiem.

Thorn rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- To Irokezi na północnym wschodzie, a nie Apacze palili ludzi na stosach.

Naki popatrzył na niego z równą nienawiścią jak na Jacka.

- Jesteś pewny?

- Do diabła!

- No, cóż, dobrze! Jakaś setka *federales* jedzie w tym kierunku.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej?! - Wskoczył na siodło. - *Federales!* - rzucił ostro. - Musimy się wynosić.

Pogońcie to bydło! - zawołał do swoich ludzi.

Wystrzelili w powietrze, żeby przestraszyć drepczące zwierzęta, a Thorn szybko rzucił w poprzek siodła swój związany łup, zanim wskoczył na konia i pognął w stronę granicy.

- Nie oszczędzajcie koni! - zawołał do Jacka Langa. - Nie możemy dać się złapać po tej stronie granicy!

- To właśnie powiedziałem, zanim się tutaj zapuściliśmy - mruknął Jack do siebie, nie na tyle jednak głośno, by Thorn go usłyszał.

Udało im się wraz z bydłem przekroczyć granicę zaledwie kilka chwil przed meksykańskimi żołnierzami. W zawierusze, która potem nastąpiła, wszystkim pojmanym, z wyjątkiem Meksykanina przerzuconego przez siodło Vance'a, udało się zbiec, kiedy kowboje ratowali bydło. Co prawda stracili kilka sztuk, nie tyle jednak, by było to tragedią dla Jacka Langa.

Z pędzącym na złamanie karku Thornem na przedzie, pojechali na rancho Blackwater Springs. Trilby usłyszała, że nadjeżdżają, i podbiegła do okna. Jack Lang i Thorn właśnie zbliżali się do frontu budynku. Poczuli taką ulgę na widok ojca, że kierując się instynktem wybiegła na ganek.

Thorn zobaczył ją, kiedy zrzucił na ziemię związanego Meksykanina i poluzował krępujące go lasso. Zwracając się do niej, Thorn sprawiał wrażenie zupełnie bezwzględnego.

- Wejdz do domu i zostań tam! - rozkazał zimno.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, Meksykanin spojrział na nią i roześmiał się. Powiedział coś po hiszpańsku.

Widocznie było to coś obraźliwego o niej, bo Thorn od razu się na niego rzucił. Meksykanin wyciągnął nóż, którego Thorn, w gniewie, nie zauważył. Dostrzegł go jednak Naki.

Kiedy Meksykanin uniósł rękę, by zadać cios, Naki błyskawicznie sięgnął ręką do wielkiego myśliwskiego noża, wiszącego mu u pasa. Wyciągnął go i rzucił, trzymając za ostrze, z przerażającą szybkością i precyzją, wytrącając Meksykaninowi broń z ręki.

- Nieprawdopodobne! - wykrzyknął Jack Lang, siedzący przy Nakim.

Apacz zręcznie zeskoczył z konia i podniósł swój nóż.

Thorn i Meksykanin ostro się teraz starli, zupełnie nie zważając na to, czyich popleczników zranią przy tej okazji.

- Bezbożne dzikusy - skomentował to Naki, ponownie wskakując na siodło.

Jack Lang spojrział na niego z niedowierzaniem, straciwszy zainteresowanie walką.

- Popatrz! - rzekł Naki z emfazą, wymachując jedną ręką w stronę Thorn'a. - Na Boga, człowieku, nic cię nie obchodzi, że mogą sobie rozwalić łby? - Skrzywił się z obrzydzeniem i popatrzył na Langa z wyrazem wyższości.

- Mówisz po angielsku?! - wykrzyknął Jack.

- Tak, ale przyprawia mnie to o straszny niesmak. Zmieszane metafory, podwójne

przeczenia, aliteracja...

Zawrócił konia i odjechał, nadal mrucząc coś do siebie pod nosem. Z trudem udało mu się powstrzymać od śmiechu, kiedy Jack Lang patrzył za nim z otwartymi ustami.

Thorn i Meksykanin byli złani potem, pokryci kurzem i krwią. Thorn był wyższy, ale Meksykanin bardziej krępy i strasznie rozzłoszczony.

W końcu jednak Thorn pobił go prawie do nieprzytomności i podciągając w górę, zaczął surowo przepytować po hiszpańsku. Mężczyzna odpowiadał niechętnie, wreszcie jednak powiedział to, co Thorn chciał wiedzieć. Wtedy Thorn odepchnął go i puścił wolno.

- Daj mu konia - powiedział do Jacka Langa. - Zapłacę ci za niego.

- Puszczamy go wolno? - jęknął Jack. - Powinien przecież zostać aresztowany i osądzony za przestępstwa!

- Powiedziałem, pozwól mu odejść - rzucił Thorn tonem, który wykluczał wszelki sprzeciw.

Jack dał znak jednemu ze swoich ludzi, by wyszukał odpowiedniego wierzchowca.

Kiedy doszło do tego nieprzyjemnego incydentu, Trilby weszła do domu, jednakże odgłos walki chorobliwie przyciągał ją w stronę okna. To, co zobaczyła, sprawiło, że pobiegła na ganek na tyłach domu, gdzie gwałtownie zwymiotowała.

Teraz siedziała przy stole, dla ukojenia nerwów sącząc gorącą, słodką herbatę. Do kuchni wszedł Thorn i ojciec.

Thorn był bez kapelusza; dłonie i twarz miał poważnie poranione.

- Możesz coś zrobić dla Vance'a, Trilby? - zapytał ojciec.

- Twoja matka jest w sypialni i pewnie z niej nie wyjdzie.

Trilby rozumiała matkę.

- Oczywiście - odparła, zbierając siły. Z trudem się powstrzymywała. Uczucie mdłości było przemożne. Wzięła rondel i podeszła do zlewu. Nalała do garnka wody i wrzuciła czysty gałganek. Usiadła przy stole obok zmęczonego Thorn'a i powoli zaczęła obmywać jego rany. Nie patrzyła mu w oczy. On również spuścił wzrok i sprawiał wrażenie dziwnie pokornego. Pewnie go boli, pomyślała ze smutkiem. Musiała zwalczać pokusę, by nie wyjść z pokoju i nie zostawić go w takim stanie, jednakże jej miękkie serce wzięło górę nad niechęcią.

- Nie rozumiem, dlaczego puściłeś Meksykanina wolno - powiedział z irytacją Jack.

- Gdybyśmy go zatrzymali, jego ludzie przyjechaliby go odbić - wyjaśnił Thorn, krzywiąc się, kiedy Trilby obmywała mu rozcięty policzek. - Niektórzy Meksykanie zachowują się podobnie jak Apacze, kiedy chcą zemsty.

Jack powoli zaczął rozumieć sytuację.

- Rozumiem.

- Wątpię w to, ale musisz po prostu uwierzyć mi na słowo. Nabrali zwyczaju napadania na przygraniczne rancza i porywania bydła, które później sprzedają bogatemu właścicielowi ziemskiemu z prowincji Sonora. Powiedziałem im, że jeśli złapię ich znowu po tej stronie granicy, utnę sobie pogawędkę z ich dobroczyńcą. Nie sądzę, żebyśmy w najbliższej przyszłości mieli ich znowu zobaczyć. Są jednak inni. To jeszcze nie koniec tego wszystkiego.

- Bałem się, że to właśnie powiesz. - Jack skrzywił się, kiedy zobaczył twarz Thorn'a. Targały nim sprzeczne uczucia. Thorn bardzo mu pomógł, mimo że wcześniej wyrządził mu krzywdę. - Wyglądasz strasznie.

- Walka nigdy nie jest ładna, prawda, Trilby? - zapytał Thorn z błyskiem w ciemnych oczach.

Odwróciła wzrok.

- Nie jest. - Z trudem wydusiła z siebie to słowo. - Co takiego powiedział, że go zaatakowałeś?

- Nigdy ci tego nie powiem - odparł z powagą. - Zrobił to, żeby mnie sprowokować. Miał nadzieję, że mnie zaskoczy i wsadzi mi nóż w brzuch.

- Twój indiański przyjaciel jest inny, niż sądziłem - odezwał się niepewnie Jack.

- Tak, jest inny, niż wszyscy sądzą - odparł Thorn. - Dzięki Bogu, że tak świetnie posługuje się nożem. Gdyby nie on, Meksykanin wyprułby mi flaki.

- Dzięki Bogu, że tak się nie stało - powiedziała Trilby.

Spojrzała mu prosto w oczy. - Wydaje mi się, że broniłeś mnie - zauważyła.

Powstrzymał wybuch gniewu. Kiedy się odezwał, jego głęboki głos brzmiał miękko.

- Tak. Żadnemu cholernemu bandycie nie powinno się pozwolić na mówienie w ten sposób o przyzwoitej kobiecie - odparł zwięźle.

Ponownie zanurzyła zakrwawiony gałganek w wodzie - przed chwilą kryształowo czysta, znowu się zaróżowiła.

Jeszcze raz przyłożyła go do twarzy Thorn'a.

- Przecież według ciebie nie jestem przyzwoitą kobietą - odparła z goryczą.

Mocno schwycił ją za nadgarstek. Zobaczyła w jego oczach prośbę o wybaczenie.

- Curt powiedział mi, jak było naprawdę. Przykro mi.

Bardziej przykro, niż sądzisz.

- Niech pan nie psuje swojego wizerunku, panie Vance - powiedziała; wyszarpnęła rękę i kontynuowała zabiegi. - Nie sądzę, by przeprosiny należały do pańskiego repertuaru.

Ojciec Trilby stał w pobliżu. Thorn żałował, że nie znajduje się w Montezumie. Chciał się

spotkać z Trilby na osobności, żeby zobaczyć, czy uda mu się złagodzić chłód, jaki między nimi zapanował. Ona zachowywała się tak, jakby go nienawidziła, ale przecież dał jej ku temu powody.

Nawet ślepy zauważyłby, że jej niewinność nie jest udawana.

- Twój człowiek, ten Apacz, mówi po angielsku - drążył temat Jack.

- Naprawdę? - zapytał Thorn i udało mu się sprawiać wrażenie zdziwionego.

Jack odchrząknął i wyszedł.

Ta chwila jego nieobecności dała Thornowi okazję, jakiej pragnął, by spróbować załagodzić konflikt z Trilby.

- Spójrz na mnie - powiedział cicho. - Trilby... spójrz na mnie.

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

- Przepraszam - powiedział łagodnie. - Czy przestraszyłem cię wtedy?

Oblała się rumieńcem i odwróciła.

Wstał i stanął za nią. Jego szczupłe dłonie delikatnie schwyciły ją za ramiona.

- Jesteś zdenerwowana. Nigdy przedtem nawet się z nikim nie całowałaś, prawda? - zapytał z żalem.

- Nie - rzuciła przez zęby. - A to, co zrobiłeś...

Odetchnął ciężko.

- Tak. To, co zrobiłem, to coś, co mogą robić ludzie, którzy są sobie poślubieni. Dowiedziałaś się o mnie rzeczy, z którymi nigdy byś się nie zetknęła w normalnych okolicznościach.

Zarumieniła się zadowolona, że on nie widzi jej twarzy.

- Lepiej skończę opatrywać pańską ranę, panie Vance - powiedziała sztywno.

Starał się spojrzeć jej w oczy.

- Przestań mnie nienawidzić - powiedział zadziwiająco cichym i delikatnym głosem. - Myliłem się. Pragnę to odkupić.

- Naprawdę? Wobec tego schodź mi z drogi. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Nie chcę mieć z tobą do czynienia.

- Była wyraźnie skrepowana. - Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Thorn zeszywniał. W jakiś sposób sprawiła, że poczuł się źle. Zdjął ręce z jej ramion i siedział pochylony.

Patrząc na niego, Trilby poczuła się winna.

- Wybaczam panu, panie Vance, jeśli to panu potrzebne.

Bez względu na wszystko dziękuję, że mnie pan bronił.

Przykro mi, że przeze mnie został pan ranny.

- To drobne zacięcie? - powiedział lekceważąco. - Szczypie, ale to nic strasznego. Bardziej bolały rany po kulach, bo one rozdzierają ciało.

Jej ręka zatrzymała się w pół drogi.

- Rany... po kulach? - Zachwiała się, kolana jej zadrżały.

Schwycił ją, kiedy zaczęła osuwać się na ziemię, i oparł ją o swoje silne ciało.

- Trilby, na litość boską...

Odetchnęła głęboko i uczucie słabości zaczęło powoli mijać.

- Przepraszam - powiedziała cichym głosem. - Chodzi o to... że tyle jest tutaj przemocy!

Była taka krucha. Taka krucha. Thorn pochylił się, uniósł ją z podłogi, wziął w ramiona i skierował się do salonu.

Nagle zjawił się jej ojciec.

- Trilby, co się stało? - zapytał Jack.

- Zemdląca. Nie powinienem był mówić o ranach od kul - odparł Thorn ponuro. - Trzeba ją położyć.

- Tak. Oczywiście. Tędy.

Jack poprowadził go do jej schludnej sypialni, w drzwiach usunął się na bok i przepuścił Thorna, który wniósł ją do środka i położył delikatnie na białej haftowanej narzucie.

- Jack? - niemal histerycznie zawołała Mary Lang. - Jack, gdzie jest Teddy?

- Myślę, że jest za domem z Torrance'em - rzucił Thorn przez ramię.

- Och, do licha - mruknął Jack. - Trilby, kochanie, czy wszystko w porządku?

- Tak, ojciec - szepnęła. - Jest mi tylko trochę niedobrze.

I cieszę się, że nic ci się nie stało.

Skinął głową.

- Zaraz wracam.

Pozostawiona na chwilę sam na sam z Thornem Trilby próbowała unikać jego wzroku. Wyglądał na bardzo pokiereszowanego i Trilby nie była pewna, czy rana na policzku nie pozostawi blizny.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego - powiedział sztywno. - Domyślam się, że również nigdy dotąd nie widziałaś walki na pięści.

- Wystarczyło mi słuchanie o nich. - Spuściła wzrok. - Powinieneś jeszcze raz przemyć twarz dziś wieczorem - szepnęła.

- Zrobię to. Naki ma jakieś zioła, które stosuje na rany.

Pozwolę mu się opatrzyć.

- Czy jesteś pewny, że cię nie otruje? - zapytała nieco żartobliwie.

- Jest moim przyjacielem - odparł po prostu. - Przyjaciele nie trują się nawzajem. Jeśli jesteś pewna, że nic ci nie jest, ruszam w drogę.

- Dziękuję za opiekę nad ojcem - powiedziała.

- Potrzebował tego - odparł zwięźle. - Mój Boże, straci wszystko, jeśli nie będzie trochę twardszy.

- Życie tutaj jest takie brutalne - rzuciła nagle, a jej wielkie oczy stały się jeszcze bardziej wyraziste.

- Niestety tak. To nie miejsce dla mimozy.

Pobladła. Złożyła dłonie na brzuchu i popatrzyła na niego. Czuła się zagrożona, kiedy w sypialni znajdował się mężczyzna. Zdawał się wypełniać całą przestrzeń, dominować nad nią. Thorn patrzył na Trilby, jakby była beznadziejnym przypadkiem. Może rzeczywiście była.

Jego ciemne oczy prześlizgnęły się w dół po jej ciele aż do szczupłych kostek u nóg i ponownie powędrowały w górę. Była szczupła i dobrze zbudowana, a samo wspomnienie pocałunku sprawiało mu ból.

Patrzyła na niego przestraszona. Pomyślał z goryczą, że pewnie tak właśnie jest. Od samego początku był do niej wrogo nastawiony. Obraził ją, okazał się brutalny, a potem skalał jej reputację. Jak mógł się spodziewać, że będzie mu ufać?

Żałował tego, tym bardziej że zaczęła na niego działać w całkowicie nowy sposób. Była śmiertelnie przerażona, gdy walczył z Meksykaninem, ale zachowała się dzielnie!

Pobladła i drżąca, mimo wszystko znalazła w sobie tyle siły, by przemyć mu rany. Podziwiał ją, kiedy toczyła z nim słowne pojedynki, co robiła od chwili ich pierwszego spotkania. Nie potrafił sobie przypomnieć ani jednej sytuacji, w której podziwiał swoją zmarłą żonę - chyba że na samym początku ich związku.

- Nie dopuszczę do tego, by cokolwiek się stało twojemu ojcu, Trilby - powiedział spokojnie. - Nikomu z twojej rodziny.

Przełknęła ślinę, by powstrzymać atak mdłości, i zamknęła oczy.

- To straszny kraj - szepnęła. - Żałuję, że tu przyjechaliśmy.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił mu wielką przykrość.

- Posłuchaj, nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Trilby, chciałbym pokazać ci moją pustynię...

Otworzyła gwałtownie oczy; rozbłysły gniewem.

- Tak samo, jak mi pokazałeś ostatnim razem? - zapytała oskarżycielskim tonem.

Mruknął coś pod nosem i wstał. Rękawem koszuli otarł pot z czoła.

- Nie możesz spojrzeć na to z mojego punktu widzenia?

- zapytał spokojnie. - Działalem zgodnie z tym, co uważałem za prawdę.

- Osądzający Bóg? Panie Vance, pańska opinia przyprawia mnie o większe mdłości niż pańskie rany - powiedziała ochryplym głosem. Szeroko rozwarte szare oczy bez mrugnięcia patrzyły na niego z bladej jak opłatek twarzy. - Nie chcę mieć nic do czynienia z mężczyzną, który pochopnie wyciąga wnioski i nie chce zmienić zdania nawet wówczas, gdy wszelkie fakty temu przeczą.

- Sally skłamała - powtórzył.

- Tak.

- Nie znałem cię - upierał się przy swoim. - Nie miałem pojęcia, jaka naprawdę jesteś.

- Mogłeś przynajmniej założyć, że się mylisz - odparła zimno. - Tak się jednak złożyło, że mój ojciec zdołał naprawić szkody, jakie ty wyrządziłeś mojej reputacji. To dobrze, bo wkrótce przyjeżdża do mnie w odwiedziny mój narzeczony. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby pod wpływem miejscowych plotek nabrał o mnie złego mniemania.

Oślupiał.

- Twój narzeczony? - zapytał.

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Jak widać, uważasz, iż to, że nie jestem piękna, wyklucza odwiedziny dżentelmenów. Może zainteresuje cię to, że nie wszyscy mężczyźni osądzają kobietę po jej wyglądzie i sylwetce. Richard podziwia we mnie intelekt.

- Richard jak?

- Richard Bates. Razem wyrosliśmy w Baton Rouge.

Zarówno jego rodzina jak i moja bardzo pragnęły, żebyśmy się pobrali - powiedziała zupełnie świadomie. - I ja także.

Kocham Richarda od lat!

Był napięty jak lina. Jej niechęć i pogarda były tak namacalne jak niegdyś jego uczucia do niej. Poczul się mały i podły, a ponieważ poczucie winy paliło go do żywego, zaatakował.

- To miastowy chłopak, jak sądzę? Jeden z tych dandysów bez mózgu i jaj?

- Richard jest dżentelmenem, panie Vance - powiedziała nieco wyniośle. - A o to żadna kobieta nie mogłaby chyba pana oskarżyć. Szczególnie wtedy, gdyby miała nieszczęście znaleźć się z panem sam na sam!

Zaczerwienił się. Jego dłoń zmięła rondo kapelusza, a jego zraniona twarz przybrała fioletowy odcień.

- Nie szczędzisz ciosów, prawda?

- Żałuję, że nie mogę zadać panu paru ciosów, panie Vance - odparła gwałtownie. - Żałuję, że chociaż przez pięć minut nie jestem mężczyzną. Odniósłby pan znacznie poważniejsze obrażenia, niż zadał panu ten Meksykanin!

Wyprostował się.

- Przeprosiłem cię już - rzucił krótko.

- I uważa pan, że to wymazało całe miesiące brutalnego traktowania, pogardy i zniewag?

Wcale tak nie uważał. Przyglądał jej się dłuższą chwilę, zanim zdał sobie sprawę, jak bardzo nienawidzi samego siebie. Za jednym zamachem tracił zarówno ją, jak i dostęp do wody jej ojca, a ten głupek ze Wschodu, którego kochała, miał się nagle zjawić i sprawić, że Trilby zniknie z jego życia.

Nie powiedział ani słowa więcej. Odwrócił się gwałtownie, wcisnął kapelusz na głowę i wyszedł z pokoju.

Trilby zamknęła oczy. Niech sobie idzie, pomyślała ze złością. Była pewna, że go nie chce. Nigdy nie chciała!

Zamiast tego zaczęła myśleć o Richardzie i wyraz jej twarzy natychmiast złagodniał. Richard w końcu przyjeżdża!

Przynajmniej raz miała wrażenie, że spełniają się jej marzenia. Kiedy tylko Richard przyjedzie, złośliwy pan Vance stanie się zaledwie przykrym wspomnieniem.

Przykrym, podobnie jak wspomnienia tego dnia. Trilby nie chciała myśleć o niebezpieczeństwie, w jakim znalazł się jej ojciec. Nie chciała, by cokolwiek zepsuło czekające ją szczęśliwe dni.

5 minut później, kiedy Trilby wstała, Mary Lang nadal czuła się słabo z powodu tego, co zobaczyła przez okno. Cały nieprzyjemny epizod rozgrywający się przed domem obnażył wyraźnie wszystko, co było najgorsze w ich nowym miejscu zamieszkania.

- Nie miałam pojęcia, że mężczyźni tak się biją - powiedziała do córki Mary, gdy już podała Jackowi posiłek i spokojnie usiadły. - Nigdy nie widziałam bijących się mężczyzn.

- Ja także nie. Meksykanin powiedział coś na mój temat.

Pan Vance nie chciał mi powtórzyć, co to było, ale dlatego właśnie go uderzył.

- Dziękuję, Trilby, że zajęłaś się jego ranami - powiedziała Mary. - Ja bym po prostu nie była w stanie!

Po raz pierwszy Trilby poczuła się starsza od matki.

Wkrótce miało się okazać, że wcale nie ostatni raz tak się czuje.

Myśl, że Thorn bił się w jej obronie, była zaskakująca.

Powiedział, oczywiście, iż zmienił o niej zdanie, nie wymazało to jednak podłych słów,

jakimi ją obrzucił.

Przyjechał z wizytą pewnego późnego popołudnia pod koniec tygodnia, kiedy Jack Lang wrócił z objazdu rancza.

Słońce zachodziło w feerii barw i sprowadziło Trilby na zacienione stopnie ganku. Kiedy podjechał Thorn, siedziała tam samotnie; reszta rodziny rozmawiała przy kuchennym stole.

Serce zabiło jej przyspieszonym rytmem, gdy zręcznie zeskoczył z konia i przywiązał wierzchowca do słupa. Sądziła, że tę reakcję wywołuje strach. A może gniew. Thorn nadal miał na sobie robocze ubranie.

Wrodzona uprzejmość nie pozwalała jej na ostentacyjne okazywanie gościowi niechęci, mimo wrogości, jaką w niej wzbudzał.

- Zazwyczaj przyjeżdża pan konno, kiedy nas pan odwiedza, panie Vance - rzuciła uprzejmie ze swego miejsca na najwyższym stopniu. - Myślałam, że lubi pan automobile.

- Nie lubię. Nieszczególnie. - Usiadł obok niej i zapalił papierosa. Na głowie miał kapelusz z dużym rondem. Pachniał skórą, tytoniem, kurzem i potem, co jednak nie wydało się Trilby w najmniejszym stopniu odpychające.

Zadziwiła ją ta reakcja. Skoro go nie lubi, to czy jego bliskość nie powinna wydawać się jej nieprzyjemna?

- Ojciec jest w kuchni z mamą i Teddym... - zaczęła.

- Nie napadnę cię, Trilby - powiedział spokojnie. - Nie tym razem. Porozmawiaj ze mną.

- Cóż, o... o czym? - zapytała niepewnie.

- Poróżniłem się z moją córką na temat szkoły - powiedział. - Próbowałem jej pomóc w odrabianiu lekcji, ale ona nie chce ze mną współpracować. Jest tak zamknięta w sobie, że zupełnie nie mogę się z nią porozumieć.

Mimo niechęci do Thorny, interesowała się dzieckiem.

- Nie chodzi do szkoły?

- Chodziła, ale szkołę zamknięto, kiedy nauczycielka wróciła na Wschód, żeby wyjść za mąż. Potem uczyła ją Sally. Teraz nie ma kto tego robić, oprócz mnie. Jediną alternatywą jest wynajęcie domu w Douglas i posłanie jej tam do szkoły, jak to uczyniło kilku innych żonatych ranczerów.

- Czy łatwo się uczy?

- Dość łatwo, jeśli chce. Nie jest jednak sobą, odkąd zmarła jej matka. Postanowiłem spędzać z nią więcej czasu. Może zachęcę ją do nauki, jeśli sam będę z nią pracował. Zapewne ją zaniedbywałem. Miałem na głowie wiele spraw.

- Z pewnością. Od ciebie jest bliżej do Meksyku niż od nas. Przypuszczam, że niepokoisz

się rewolucją.

- Niepokoi się każdy, kto mieszka na pograniczu - odparł wprost. - Każda strona uważa, że popieramy drugą, podczas gdy robimy co w naszej mocy, byśmy mogli pozostać neutralni. Sprawia to pewne trudności.

- W gazecie pisano coś o antyamerykańskich zamieszkach w mieście Meksyk - powiedziała. - I doszły nas słuchy, że Madero i jego zwolennicy planują zdecydowany atak.

- Wszystkie znaki na to wskazują. - Z uznaniem obrzucił wzrokiem jej ładną kretonową sukienkę w biało - niebieską kratkę, z białą falbanką wokół kwadratowego dekoltu. Długie rozpuszczone włosy nagle gwałtownie podnieciły Thorna.

Jego szczupła ręka łagodnie wsunęła się w gęste fale, tak że Trilby musiała odchylić głowę do tyłu.

- Proszę, nie rób tego - powiedziała sztywno. Ze złością szarpnęła go za rękę.

- Mam słuch jak lis - rzucił. Jego głos brzmiał cicho, miękko. - I jest tutaj ciemno. - Pochylił się ku niej jeszcze bliżej, aż poczuła na ustach jego papierosowy oddech, co sprawiło, że zrobiło się jej dziwnie słabo, a równocześnie zapragnęła ponownie poczuć dotyk jego warg. Własna reakcja wywołała w niej uczucie gniewu, toteż silnie zaparła się o jego pierś.

- Nie ma potrzeby, byś ze mną walczyła - powiedział z irytacją. - Nie zamierzam cię skrzywdzić.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się, ale w jej oczach płonęła wściekłość. - Zacziesz mi się narzucać, a potem powiesz, że cię kusiłam!

Natychmiast ją wypuścił.

- Mój Boże - powiedział z powagą. - Nigdy nie zapomnisz, prawda?

Drżącymi rękami przyglądała włosy i spódnicę, odwracając wzrok od jego poważnej twarzy.

- Nie chcę pańskich atencji, panie Vance. Miałam wrażenie, że całkiem jasno dałam to panu do zrozumienia.

- Jestem bogaty... - zaczął.

- I myśli pan, że ma to dla mnie znaczenie? - zapytała ostro. - Nie sprzedałabym się nawet najbogatszemu mężczyźnie na świecie, gdybym go nie kochała. Natomiast mojego Richarda kochałabym nawet wtedy, gdyby był poetą bez grosza przy duszy. Nie dbam o jego pozycję społeczną.

- Myślałem, że jesteś dorosłą kobietą - odparł krótko. - Mówisz jak nastolatka opętana cielecą miłością!

Uniosła w górę brodę; jej szare oczy rozblęły gniewem.

- Nie wolno ci lekceważyć moich uczuć! Nic o mnie nie wiesz!

Przyglądał się badawczo jej szczupłej, bladej twarzy.

- To prawda - powiedział, a jego głos w wieczornej ciszy zabrzmiał dziwnie głęboko. -
Założyłem bardzo wiele, ale tak naprawdę nigdy nie próbowałem cię poznać.

Zwróciła twarz w stronę horyzontu, na którym widniała już tylko barwna smużka. Kolory fiesty, przyszło jej na myśl.

Zachód słońca miał dzisiaj meksykański smak.

- Nie aprobujesz mnie, prawda, Trilby? - zapytał spokojnie, opierając się o drewniany filar, żeby skrócić następnego papierosa. - Nie jestem ani cywilizowany, ani bezpieczny, jak ten twój głupek ze Wschodu.

- Cywilizowana mężczyzna traktuje kobietę jak damę.

- Mówisz tak jak dobrze wychowana hiszpańska dziewczyna - powiedział z rozbawieniem.
- Bardzo przyzwoita, lecz bezbronna bez swojej przyzwoitki.

- Żadna przyzwoitka przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłaby ci się zbliżyć na milę do swojej podopiecznej - powiedziała bez ogródek, patrząc na niego z nienawiścią; przypominała sobie ból jego pocałunku, kiedy zabrał ją na przejażdżkę po pustyni.

- Zraniłem cię, prawda? - zapytał spokojnie. Wpatrywał się w koniec swojego papierosa. -
A ty nie zamierzasz wybaczyć mi tego, co się stało?

- Wybaczyłam panu, panie Vance. Chodzi tylko o to, że mogę panu zaoferować jedynie przyjaźń - dodała.

Spojrzał na nią z wściekłością.

- Co może ci dać mężczyzna ze Wschodu, czego nie mógłbym dać ja? - zapytał.

- Cywilizowane zachowanie! - odparła. - Przyzwoite traktowanie. Czulość. Rzeczy, o których nic nie wiesz.

Roześmiał się bez radości.

- Sądzę, że takie właśnie odebrałaś wrażenie. Jesteś dzielną dziewczyną, Trilby. Gwałt przyprawia cię o mdłości, miałaś jednak tyle siły, by mnie opatrzyć. Nie zapomnę o tym. Masz siłę.

- Wyobrażam sobie, że wiele osób, które mają z tobą do czynienia, mogą się bez niej obejść - wymruczała.

- Uznaję to za komplement - powiedział.

Trzasnęły drzwi i ojciec wyszedł na ganek.

- Thorn, to ty? - Jack Lang przywitał się z nim wyciągając rękę, podczas gdy Thorn leniwie się podnosił. Jack zapomniał o wrogości, po tym jak Thorn uratował mu bydło. Jak

widać Vance i Trilby znowu ze sobą rozmawiali, co wszystkim dobrze wróżyło. - Cieszę się, że cię widzę. Wejdz do środka i napij się z nami kawy.

- Dziękuję. Wstąpiłem, żeby zapytać, czy chcielibyście przyjechać na fiestę jutro wieczorem.

- Na fiestę?

- W Maladorze. To obchody dnia patrona. Muzyka, tańce i poczęstunek. Myślę, że się wam spodoba. To tylko godzina jazdy i możemy wziąć samochód.

- To byłaby świetna zabawa - powiedział Jack. - Jestem pewny, że sprawiłoby to przyjemność Mary, Teddy'emu i Trilby.

Trilby nie interesowały fiesty ani też towarzystwo Thorna Vance'a. Jednakże ojciec wykazywał taki entuzjazm, że gdyby odmówiła, zachowałyby się obrzydliwie.

- Lubię muzykę - powiedziała.

- Tak jak Samantha - odparł. - Oczywiście, będzie ze mną, to jej urodziny.

Uśmiechnął się do Trilby, a ona poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Nie wiedziała, czy ma zaufać, czy nie, tym niepokojącym emocjom, jakie w niej rozbudzał. Musiała pamiętać o swoim ukochanym Richardzie, który za kilka zaledwie dni miał się pojawić.

Thorn Vance był nieokiełzany, niemożliwy do okiełzania.

Nie było bezpiecznie z nim flirtować ani się z nim kochać.

Wcale nie był typem mężczyzny, jakiego pragnęłaby w końcu poślubić, nawet gdy przebywanie z nim było ekscytujące. Ponieważ tak się właśnie rzeczy miały, musiała zachować przytomność umysłu.

- Dziękuję - odparł Jack z uśmiechem. - Będziemy zachwyceni.

- Świetnie. Wpadnę po was około czwartej po południu.

Dobranoc. - Uśmiechnął się do Trilby. - Będę tego wyczekiwał z niecierpliwością.

Ze ściągniętymi brwiami patrzyła, jak odjeżdża. Zastanawiała się, dlaczego postanowił zabrać jej rodzinę na fiestę. Może po prostu pragnie wszystko naprawić, pomyślała, i powróciła do snów na jawie o Richardzie.

Pułkownik David Morris odłożył słuchawkę telefonu w forcie Huachuca, a na jego przystojnej twarzy pojawił się grymas. Były nowe kłopoty na granicy i kolejny raz musiał tam wysłać oddział, żeby kontrolował sytuację. Od chwili wybuchu rewolucji w Meksyku starcia stawały się coraz poważniejsze. Tym razem pojedzie sam z kapitanem Bellem, pomyślał z rezygnacją, i porozmawia z ranczerem, któremu uprowadzono bydło. Nie miał prawa przekraczać granicy. Gdyby chociaż jeden z jego ludzi zrobił krok przez linię graniczną, mógłby sprowokować wybuch wojny. Nawet gdyby miał przekraczać granicę, też by to nic nie dało, bo

przecież Meksyk to ogromny kraj. Bóg jeden wiedział, kto kradnie bydło. Nie mógł aresztować obywateli niepodległego kraju i wypytywać ich, gdzie znajdują się ukradzione byczki.

Ta myśl go rozbawiła. Uśmiechnął się i jego twarz o wystających kościach policzkowych sprawiała wrażenie mniej surowej niż zazwyczaj. Wstał zza biurka i przeczesał ręką gęste jasne włosy. Zanim go tutaj wysłano, były jasnobrązowe, lecz słońce Arizony wypaliło je na blond. Przyjrzał się sobie w wiszącym na ścianie pokrytym plamami lustrze i ściągnął usta. Jak na trzydziestosześcioletniego mężczyznę wygląda nienajgorzej, pomyślał z lekkim sarkazmem.

Miał wrażenie, że Selina uważa go za jakąś postać z greckiej mitologii. Zwłaszcza kiedy był bez ubrania.

Jego żona, Lisa, nigdy na niego nie patrzyła. Pogrzyżyła się w smutku od czasu poronienia przed kilkoma miesiącami. Nigdy nie sprawiała jej przyjemności przebywanie z nim łóżku, nawet zaraz po ślubie. Tak jak i jemu. Nie czuł do niej wstrętu, ale też i nigdy go nie podniecała.

Wiedział, że na początku go kochała. On jednak ożenił się z nią tylko ze względu na jej ojca, który był wpływowym generałem. Kiedy to odkryła, straciła resztki uczucia, jakie do niego żywiła. Wówczas on zaczął wślizgiwać się do łóżek innych kobiet.

Ostatnio nic nie mówiła na temat jego kochanek. Była dziwnie milcząca. Właściwie trzymała się tak na uboczu, że prawie zapomniał, że znajduje się w jego kwaterze.

Naprawdę powinien z nią porozmawiać, pomyślał wzywając swego adiutanta. Będzie to jednak musiało poczekać.

Jak zwykle sprawy wojskowe miały pierwszeństwo.

W drodze do samochodu zaszalutowali mu ubrani w czarne mundury żołnierze z Dziewiątego Pułku Kawalerii. Dziewiąty i Dziesiąty Pułk były słynnymi „żołnierzami Buffalo”, których historia dawała mu powód do dumy, że jest tu komendantem.

Przez całą długą jazdę do Douglas myślał o tym, że znowu zobaczy się z Seliną. Była właścicielką hotelu na cieszącej się złą sławą w miasteczku Szóstej Ulicy. Była to raczej knajpa niż hotel, ale Selina miała wspaniałe ciało i dar sprawiania, że mężczyzna czuł się przy niej jak zdobywca.

Lisa była cicha, nieśmiała i niezbyt piękna. Ale Selina... ach, oddziaływała na części jego ciała dosyć odległe od serca. Jej rozkoszne ciało potrafiło go podniecić na samo wspomnienie. Dawał jej kosztowne podarunki, posyłał kwiaty, spełniał jej kaprysy. Dzięki Bogu, Douglas było na tyle odległe od fortu, że niebezpieczeństwo, iż Lisa się o niej dowie, było doprawdy niewielkie. W tych dniach Selina stanowiła jego jedyną rozrywkę.

Kierowca pędził wielkim samochodem, mijając mały oddział wojskowy, stacjonujący na błoniach Douglas; David przejeżdżając salutował oficerom. Mały garnizon nie był dostatecznym

zabezpieczeniem przed zwolennikami Madero, ale służyło w nim kilku dzielnych mężczyzn, którzy potrafili radzić sobie w trudnej sytuacji. W razie prawdziwego niebezpieczeństwa szybko można było wysłać do zapalnych miejsc oddziały z Fortu Huachuca i innych. Ostatnio doszło do pewnych incydentów i David martwił się o przyszłość. Z całą pewnością sytuacja tu, na granicy, wkrótce się pogorszy.

Hotel Gadsden był, według niego, idealnym miejscem do zebrania miejscowych plotek na temat sytuacji na pograniczu. Hotel był majestatycznym, choć niezbyt pięknym budynkiem, w którym spotykali się ludzie bogaci i potężni.

Kilka minut po przyjeździe otrzymał od dobrotliwego recepcjonisty informację, której poszukiwał. Zaraz wyjechał z miasta.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio było tak dużo kurzu jak dzisiaj. Jego ludzie mocno zawiązali chustki na ustach i nosach, by nie udusić się ziarnami żółtego piasku. W Douglas często skrapiano ulice wodą, by zapobiegać unoszeniu się pyłu w powietrzu, ale to tylko pogarszało sprawę. Na każdym ganku leżała miotłka z piór, którą goście odkurzali ubrania, zanim weszli do środka. Podobnie jak skrapianie ulic, niewiele to dawało.

Był przyjemny dzień, na tyle chłodny, że długa jazda na ranczo wydawała się znośna. Morris rozglądał się bacznie na prawo i lewo, wypatrując śladów napastników. Meksykanie z pewnością przejdą przez granicę, pomyślał, i wywołają kłopoty. Miał nadzieję, że wojsko upora się z nimi.

Ranczo Blackwater Springs nie sprawiało imponującego wrażenia. Gdy podjeżdżali pod drewniany dom, zobaczył, że płoty zapadają się i wymagają naprawy. Pasące się tu i tam bydło było wychudzone, a pasza wydawała się marna.

Jeśli było w Arizonie jakieś ranczo, które miało kłopoty, to właśnie to.

Przybysze ze Wschodu, pomyślał, byli tak pewni siebie, dopóki nie zetknęli się z realiami prowadzenia hodowli na pustyni. Nie było to miejsce dla osób delikatnych, ale wszyscy oni musieli przekonać się o tym w dość brutalny sposób.

Kazał kierowcy podjechać pod dom. Zatrzymał swoją małą konną kolumnę i czekał, aż ktoś pojawi się na ganku.

Jack Lang był zadowolony, ale i trochę zszokowany, kiedy zobaczył przed progiem swojego domu oddział kawalerii. Przedstawił się jednak i zaprosił pułkownika do środka, jak zwykle wykazując się wykwintnymi manierami.

- Nie mam czasu, jednakże dziękuję - odparł krótko Morris. - Proszę posłuchać: chcę się dowiedzieć wszystkiego o pana kłopotach.

Jack zarumienił się słysząc jego nieco szorstki ton, opowiedział jednak oficerowi, co się

wydarzyło. Nie wspomniał o tym, że przekroczył granicę, by pochwycić napastnika.

Powiedział jedynie to, że przepytali go i puścili wolno.

- Powiedział, że nie należy do oddziałów Madero?

- Tak.

Morris zamyślił się.

- Zawsze na obrzeżach armii pojawiają się ludzie, którzy na własny rachunek popełniają zbrodnie, ale trzeba się przed tym pilnować, panie Lang. Nie możemy pozwolić, by meksykańscy patrioci walczyli o swoją sprawę za pieniądze Stanów Zjednoczonych.

- Zgadza się. Chodzi tylko o to, jak temu zapobiec.

Mam niewielu pomocników.

- To zawsze jest problem w oddalonych terenach. My ze swej strony zwiększymy oczywiście liczbę patroli. Ostrzegę również oddziały w Douglas i w San Bernardino Valley w pobliżu rancza Slaughter, jeśli pan sam tego nie zrobił.

- Ależ zrobiłem - zaprotestował Jack. - A właściwie zrobił to mój sąsiad, Thorn Vance.

- Vance. - Pułkownik wypowiedział to nazwisko z lekką obawą. - Tak, słyszałem o nim. Wobec tego, dobrze. Wzmocnimy nasze patrole i miejmy nadzieję, że uda się nam uniknąć powtórnego napadu. Przykro mi z powodu pańskich kłopotów.

- Udało się nam odzyskać większość skradzionego bydła - powiedział mu Jack.

- Jeniec?

- Puściliśmy go wolno - odparł Jack.

- Mądre posunięcie - zgodził się Morris. - Meksykanie są mściwi. Nie chciałby pan mieć ich przecież na głowie, gdyby przetrzymywał pan jednego z nich wbrew jego woli.

- Tak właśnie powiedział Vance.

- Spędził tutaj całe życie. Dobrze pan zrobił słuchając jego rady. Jest słuszna. - Dotknął dłonią kapelusza. - Miłego dnia.

- Miłego dnia, pułkowniku.

Jack patrzył, jak odjeżdża, i zastanawiał się, dlaczego przyjechał. Wojsko tak niewiele mogło pomóc w tej sytuacji. Było to rozległe terytorium - z mnóstwem kryjówek zarówno dla ludzi jak i bydła. Westchnął i ponownie wszedł do domu.

Po powrocie do Douglas David kazał swoim ludziom wracać do fortu. Powiedział też, że on sam zostaje, bo ma do załatwienia w mieście pewien prywatny interes. Nie padły żadne komentarze, a dwóch żołnierzy śmiało się pod nosem, kiedy opuszczali miasto. Fakt, że pułkownik ma utrzymanie, był publiczną tajemnicą.

Dla zachowania pozorów kazał kierowcy załatwić kilka spraw i ruszył w stronę małego

pensjonatu, w którym pracowała Selina.

Siedziała przy stoliku bardzo starannie ubrana, z czarnymi włosami związanymi w miękki węzeł, w ładnej różowej sukience, która zakrywała niemal całe jej ciało. Widząc, jak Morris ściąga kapelusz i podchodzi bliżej, uniosła w górę wzrok i uśmiechnęła się zalotnie.

- Davidzie, jak to cudownie znowu cię widzieć! - powiedziała z lekkim hiszpańskim akcentem, a jej oczy rozblęły na sam jego widok.

Uniosła się z krzesła i ujęła jego dłoń, skromnie spuszczać wzrok, na wypadek, gdyby ktoś się im przyglądał.

Jednakże o tej porze dnia hotel był prawie pusty i w pobliżu nie było nikogo.

- Chodź zobaczyć, jaką nową sofę właściciele wstawili do biblioteki - zachęciła go.

Poszedł z nią, a serce waliło mu w piersiach jak oszalałe. Zaprowadziła go do małej czytelnicy i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie, a wówczas rozległ się cichy brzęk, gdy przekręcała w nich klucz.

- Jesteś pokryty pyłem - poskarżyła się, kiedy ją objął.

- Nie zważaj na pył. Pocałuj mnie!

Odnalazł jej usta i pocałował ją z nieposkromionym głodem. Jęknął, gdy poczuł, jak Selina unosi biodra i gwałtownie przyciska się do niego.

- To już dwa tygodnie - jęknęła.

- Wiem!

Drżącymi dłońmi podciągnął w górę spódnicę, aż natrafił na miękkie uda. Gładził je, jednocześnie pożerając jej usta, znajdując rozkosz w jej cichych jękach i szaleństwie jej drobnych rąk, zmagających się z kurtką jego munduru.

Oparł ją o drzwi i pochylił się. Jego ręka rozerwała zapięcia, które ich dzieliły. Uniósł głowę i spojrzał w jej rozplomioną twarz, po czym nagle schwycił jej biodra, podniósł i nadział na twardy, napierający członek.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Da... widzie! Nie możemy!

Jego usta zdławiły jej protest. Przytrzymując ją nieruchomo, rytmicznie w nią uderzał. Drzwi wydawały ciche trzaski, w miarę jak rosło napięcie, zaczęły drżeć, kiedy jego biodra w bezrozumnym zapomnieniu poszukiwały spełnienia.

Selina uśmiechnęła się smutno, czując jego konwulsje.

Nigdy nikogo tak bardzo nie pragnęła, ale on, jak większość mężczyzn, myślał tylko o własnej rozkoszy, nie o tym, żeby dać ją również jej.

Oparł czoło o drzwi, z trudem łapiąc oddech, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Po chwili

odprężył się i ciężko się o nią oparł.

- Cieszę się, że w domu nie było nikogo - szepnął z miną łobuziaka.

- Tak. Puść mnie, Davidzie - powiedziała cicho.

Wówczas uniósł głowę i spojrzał na nią; w jego oczach widać było zaspokojenie.

- Nigdy nie wyglądasz, jakbyśmy się kochali - zastanowił się. - Tylko ze względu na mnie przystajesz na to, prawda?

Kochasz mnie, ale seks zupełnie cię nie interesuje.

Wzruszyła ramionami.

- To nie ma znaczenia.

Ściągnął usta.

- Najwyższy czas, bym więcej pomyślał o twojej przyjemności, malutka.

Odsunął się od niej i zaczął się rozbierać. Był jasny dzień. Nigdy nie widziała nagiego mężczyzny. Była lekko zaszokowana widząc, że David nadal jest zdolny do miłości.

Miał ładne ciało, muskularne i szczupłe.

- To jest biblioteka... - zaczęła.

- W rzeczy samej. Nigdy nie kochaliśmy się na podłodze, prawda?

Zarumieniła się. Jego dłonie dotknęły jej ubrania i zręcznie zaczęły je usuwać. Ani razu nie zaprotestowała, nawet wówczas, kiedy była naga, a jego wzrok pożerał jej pełne piersi i długie, zgrabne nogi.

- Co za mina. - Zaśmiał się cicho, po czym pochylił się, objął ustami jedną jej pierś i zaczął ją ssać. Równocześnie wziął Selinę w ramiona i zaniósł na wielki perski dywan, który leżał na podłodze pomiędzy krzesłami a obitą aksamitem sofą. Położył ją na nim, a sam ukląkł między jej udami. Przez kilka minut, które ciągnęły się jak godziny, tylko na nią patrzył i delikatnie głąskał. Po czym zniżył głowę do jej brzucha i zaczął pieścić ją ustami w taki sposób, w jaki w całym jej życiu nie dotykał jej żaden mężczyzna.

Jęknęła, kiedy ścisnął mocno jej uda dłońmi i łapczywie pochylił głowę nad jej łonem. Zadrzała, ale żar jego ust sprawiał taką rozkosz, że nie mogła się jej przeciwstawić.

Prowadził ją poprzez różnorodne odcienie cudownych wrażeń do momentu pełnego bólu napięcia.

Szlochała, wpijała się palcami w jego ramiona i błagała, żeby wstał z klęczek i wziął ją. Przy pierwszym mocnym, gwałtownym dźgnięciu ogarnęły ją konwulsje. Spazmy trwały cały czas, kiedy wchodził coraz głębiej w jej napięte ciało. Śmiała się i płakała, i przywierała do niego, przez całą drogę, którą prowadził ją do rajcu, zanim w końcu przeszedł go ostatni dreszcz i opadł na nią bezwładnie.

Później siedziała oszołomiona na krześle, już w pełni ubrana, i nawet nie śmiała na niego spojrzeć.

- To było tak, jakbym brał dziewicę - powiedział z satysfakcją, stając nad nią w mundurze.

- Przypominało to nasz pierwszy wspólny raz, tylko że wówczas byłaś zdenerwowana, nieśmiała i przestraszona.

Wbiła wzrok w dłonie leżące na podolku.

- Czy robisz to... ze swoją żoną?

- Nigdy z nikim tego nie robiłem - odparł krótko. - I nigdy nie będę. Tylko z tobą.

Kocham cię. Nie przyszło ci to do głowy?

Uniosła twarz, bladą i napiętą. Jej ciemne oczy napotkały jego wzrok.

- Kochasz... mnie?

- Kocham cię - potwierdził.

- Ale ja... ja nie jestem damą, ani w ogóle nikim...

- Dla mnie jesteś - powiedział stanowczo.

- Jak może ci na mnie zależeć? Na kimś tak nisko urodzonym. - Rozpłakała się.

Ujął jej twarz w dłonie i uśmiechnął się z lekkim triumfem, odkrywając w niej tak ujmującą bezbronność.

- Jesteś wspaniałą kobietą, Selino.

Pocałował ją: przywarła do niego, przytulając policzek do jego piersi.

- Proszę, powiedz mi, że jestem jedyna, nawet jeśli nie jest to prawda - szepnęła.

- Jesteś moją jedyną kobietą - odparł uczciwie. - I będziesz ostatnią w moim życiu. -

Pochylił się i pocałował ją z powolną czułością. - Wróć.

Patrzyła za nim, jak odchodził, a w głowie szumiało jej pod wpływem ostatnich przeżyć. Zanim ponownie go zobaczy, dni będą się jej bardzo dłużyły.

Pomyślała o jego żonie i krew w niej zawrzała. W końcu będzie musiała coś z tym zrobić. Nie chciała się nim dzielić z inną kobietą. Na razie jednak musi cierpliwie czekać.

Jeśli rzeczywiście ją kocha, a była tego prawie całkiem pewna, nie będzie chciał, by się nim z kimkolwiek dzieliła.

Pomyślała, że na pewno nie kocha swojej żony. Pewnie mu na niej wcale nie zależy. Zaczęła nucić cicho i zajęła się swoimi obowiązkami.

6

Trilby z przyjemnością przyglądała się, jak kolorowo odziani Meksykanie tańczą w takt pulsującego rytmu.

W czasie tych długich miesięcy, jakie spędzili w Arizonie, był to pierwszy tego typu festyn, jaki widziała. Mimo że z natury była cicha i spokojna, poczuła, że wciągają ją mieniące się kolory i świąteczna atmosfera.

Obok niej stał Thorn; oparł się leniwie o mur z wypalanej na słońcu cegły, okręcając na szczupłych palcach kawałek rzemienia. Nie ubrał się odświętnie na tę okazję.

Jack także nie. Trilby i jej matka były jedynymi osobami w całym tłumie, które wyglądały na przybyszy ze Wschodu.

Większość meksykańskich kobiet miała na sobie białe bluzki i kolorowe spódnice, a mężczyźni białe spodnie i jaskrawe poncha. Trilby skrzywiła się patrząc na swoją schludną granatową sukienkę, wykończoną białą koronką i na zapinane na guziczki buciki na obcasach. Nerwowo szarpała wysoki kołnierz sukienki.

- Nie denerwuj się - zganił ją delikatnie Thorn. - Wyglądasz świetnie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że będę tak przesadnie wystrojona - zaprotestowała. - Jest tu tak... tak swobodnie.

- Ci ludzie nie mają dość pieniędzy, by kupować modną odzież - odparł po prostu. - A mimo to są szczęśliwi.

- Takie sprawiają wrażenie - zgodziła się, w jakimś sensie zazdroszcząc im żywioowości. Ona sama zawsze bardzo się kontrolowała, powstrzymywała przed okazywaniem radości. - Czy przebywanie tutaj nie jest niebezpieczne, zważywszy na problemy w Meksyku?

- Nawet jeśli niektórzy z nich sympatyzują z rebeliantami, nic nam nie grozi - pocieszył ją. - Znam większość tutejszych wieśniaków. Niektórzy z ich krewnych pracują dla mnie.

Trilby nie uspokoiła się. Nawet teraz mocno zaciskała dłoń. Gdy Thorn to zauważył, z lekkim uśmiechem wsunął rzemyk do kieszeni białej koszuli i wziął ją za rękę.

- Uspokój się - powiedział, spokojnie i pewnie patrząc jej w oczy. - Jesteś zawsze taka spięta, malutka, taka krucha.

- To... to dla mnie takie trudne - powiedziała łamiącym się głosem.

Wokół nich głośno grała muzyka, przerywana śmiechem i okrzykami szczęśliwych ludzi. Miała dziwne odczucia, kiedy wpatrywał się w nią dłużej, niż wypadało. Miała wrażenie, że przesywa ją wzrokiem na wylot.

- Co jest trudne? Bawienie się?

- Tak mi się wydaje. W moich rodzinnych stronach jesteśmy bardziej opanowani.

Uniósł brwi.

- Rzeczywiście? Myślałem, że Cajunowie są dzicy.

- Ale ja nie jestem Cajunką - odparła. - Nie tak naprawdę. Moja rodzina wywodzi się z Wirginii. Przodkowie przyjechali do Baton Rouge po wojnie secesyjnej i tam się osiedlili. Od tamtej pory tam mieszkamy.

Jego uścisk stał się delikatniejszy, bardziej pieszczotliwy.

- Nigdy nie rozpuszczasz włosów?

- Ja... cóż, nie, nie rozpuszczam - wymamrotała. - Zawsze uważałeś mnie za kobietę swobodnych obyczajów. Wydawało mi się, że noszenie rozpuszczonych włosów jest w jakiś sposób niewłaściwe...

Skrzywił się.

- Nie wiem, dlaczego Sally to powiedziała - odezwał się z żalem. - Gdybym znał cię wówczas chociaż trochę lepiej, nigdy bym jej nie uwierzył.

- Twój kuzyn zachowywał się w stosunku do mnie tylko przyjaźnie - odparła. - Był dla mnie miły, tylko tyle. Po prostu miły.

Podniósł jej dłoń do ust i powoli pocałował wewnętrzną stronę, sprawiając, że w całym ciele poczuła mrowienie.

- Ja także będę dla ciebie miły, Trilby, jeśli mi na to pozwolisz - powiedział cicho, patrząc jej w oczy. - Jest mi naprawdę przykro, że tak źle się z tobą obszedłem. Bardzo mnie to dręczy.

Zwalczyła w sobie cudowne uczucie przyjemności, jakie rozpałił w niej swoim uważnym spojrzeniem. Wbrew swojej woli czuła do niego pociąg i wcale nie była z tego zadowolona. Był łobuzem, nie to, co jej Richard.

- Nie mam ci tego za złe - odparła powoli. - Nie znałeś mnie.

- Chcę cię poznać - powiedział ochrypłym głosem.

Miała wrażenie, że oczy mu pociemniały - dostrzegła w nich mądrość i pewność, które wprawiły ją w jeszcze większe zakłopotanie.

Zespół grał teraz wolną, tęskną melodię. Thorn pociągnął ją w stronę tłumu tańczących i bardzo poprawnie objął ramionami.

- Zatańcz ze mną, Trilby.

Zaczęli się poruszać zgodnie z rytmem. Nie zrobił nic, żeby ją obrazić, ale dotyk jego ciepłej, silnej dłoni w talii i lekko pieszczący uścisk jego palców sprawiły, że miała miękkie kolana. Spojrzała mu w oczy i poczuła, że jest zgubiona.

- Czy zaczynam ci się wydawać mniejszym dzikusiem, Trilby? - zapytał spokojnie. - Czy

wciąż nie potrafisz zapomnieć tego, co zobaczyłaś, kiedy przywiozłem na rancho Meksykanina?

Zaczerwieniła się lekko.

- Przypuszczam, że człowiek w końcu przyzwyczaja się do takich rzeczy.

- Musi - odparł. - Staje się twardszy, maleńka. Musisz to w sobie wyrobić.

- Zastanawiałam się, czy nie wrócić do domu - powiedziała znienacka.

Jego wysoka postać zeszywniała.

- Dlaczego?

- Tęsknię za nim. Tęsknię za Richardem! - wykrzyknęła gwałtownie w próżnym wysiłku, by powstrzymać swe serce, które tak szaleńczo biło, kiedy trzymał ją w ramionach.

- Z czasem zapomnisz o nim - rzucił krótko. Nagle jego ramię objęło ją mocniej i przyciągnęło. Oparł policzek o jej włosy.

- Nie rób tego! - poprosiła pozbawionym tchu głosem.

Jego szeroki tors rozgniał jej piersi, a w tak mocnym uścisku, w ogarniającym ją ciepłe jego silnego ciała, poczuła, że serce bije jej jak oszalałe. - Thorn!

Podnieciło go brzmienie własnego imienia, wypowiedzianego przez nią. Wolno pogłaskał jej plecy.

- Nie pozwolę ci wyjechać - szepnął.

- Ja... nie nadaję się do tutejszego życia - zdołała wyszeptać. Bezsilnie zamknęła oczy, kiedy mimo wszystko jego dotyk i zapach sprawił, że poczuła się bezbronna. - Do życia na wsi. Jestem dziewczyną z miasta.

- Możesz się nauczyć, jak być dziewczyną ze wsi.

- Ta decyzja nie należy do ciebie.

- Nie bądź tego taka pewna - odparł ponuro.

Chciała zaprotestować, ale w chwili gdy jej usta formułowały słowa, Samantha zaczęła ciągnąć ojca za rękaw.

- Tato, czy mogę zjeść smażony placek? Nazywa się *tamales* - zapytała.

- Spali ci język - zachichotał; wypuścił z objęć Trilby, by uklęknąć przed córką. - To prawdziwie meksykańska potrawa, dziecko, a nie rozwodniona wersja, jaką Maria serwuje nam w domu.

Samantha rozpromieniła się, widząc jego czuły uśmiech.

- Naprawdę? - zapytała, patrząc na niego wielkimi oczyma.

Skinął głową. Samantha skrzywiła się.

- No cóż, dobrze. - Nieśmiało spojrzała na Trilby. - Wygląda pani bardzo ładnie, panno Lang - dodała.

- Ty także, panno Vance - odparła Trilby z łagodnym uśmiechem.

Samantha odwzajemniła uśmiech i popędziła w kierunku sprzedawców.

- Zrobi to wbrew temu, co powiedziałem, i przez cały wieczór będzie ją bolał brzuch - jęknął.

- Jest bardzo podobna do ciebie, prawda? - rzuciła Trilby.

Spojrzał jej w oczy.

- Pod pewnymi względami, tak. - Czubkiem palca dotknął jej miękkich ust. Podskoczyła z wrażenia i cofnęła się o krok. Uśmiechnął się. - Jesteś bardzo zarumieniona.

Taniec ze mną sprawia, że serce wali ci jak oszalałe.

Czułem to, kiedy trzymałem cię w ramionach.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Nie mówisz jak dżentelmen.

- Nie jestem dżentelmenem - przypomniał jej. Spojrzenie jego ciemnych oczu spoczęło na jej ustach. - Chciałbym zaciągnąć cię za budynek i całować tak długo, aż nie byłabyś w stanie utrzymać się na nogach. Chciałbym uczynić twoje usta tak czerwonymi, jak chustka tamtego Meksykanina.

- Panie Vance! - zaprotestowała.

Rozejrzała się szukając wzrokiem swojej rodziny. Wszyscy byli zajęci rozmową i Thorn zaśmiał się cicho, po czym nagle schwycił Trilby za rękę i pociągnął ją w wąski, ciemny zaułek.

- Co robisz? - wyszeptała zaniepokojona. - Co sobie ludzie pomyślą?

Umilkła, gdy ją pocałował. Jego ramiona uniosły ją i przytuliły. Całował ją powoli, z cudowną delikatnością, i miał wrażenie, że unoszą się w powietrzu. Zawirowało mu w głowie i jeszcze mocniej przytulił ją, a wtedy jej wargi rozwarły się pod naciskiem jego ciepłych ust.

Trilby opierała się, ale tylko przez chwilę. Jego ciepło, siła, intymność jego ust odprężyły ją tak bardzo, że miała wrażenie, iż cała się roztopia. Poddała się całkowicie i opasała go ramionami, drżąc z wrażenia. Nie umiała oprzeć się przyjemności, jaką jej oferował. Odrzuciła wszelkie protesty i bez namysłu poddała się żarliwym pieszczotom.

Pocałunek przedłużał się. Ciało Trilby zaczęło gwałtownie pulsować, kiedy przysunęła się do niego, drżąc z powodu bliskości jego potężnego torsu, rozplaszczającego jej piersi. Była pod zbyt silnym wrażeniem, by umiała się oprzeć. Mogła jedynie przybliżyć się do niego coraz bardziej, pragnąc przedłużyć rozkosz, zaspokoić głód, który wciąż w niej narastał.

Jej reakcja szybko uderzyła mu do głowy. Nie miał kobiety od śmierci żony, a ona wyczyniała cuda z jego złaknionym ciałem. Jęknął i Trilby poczuła, że jego ręka przesuwana się do jej piersi i kciuk delikatnie pociera sutek, który nagle stwardniał.

To nieprzyzwoite, pomyślała histerycznie. Powinnam go powstrzymać!

Zatapiała się jednak w nowych doznaniach. Mroczna, zakazana przyjemność, jakiej jej dostarczał, była cudowna.

Poczuła, jak Thorn ją lekko przesuwając, na tyle, by mieć lepszy dostęp do jej nabrzmiałego pożądaniami ciała.

- Jesteś słodka - szepnął załamującym się głosem. - Jesteś najslodszy kochaniem, jakie kiedykolwiek miałem, Trilby. - Jęknął i przesunął się. - Pozwól mi dotknąć się pod stanikiem.

Zaczął rozpinać haftki. Powiedział, że już nie myśli o niej tak źle, tymczasem intymność tego, co robił, nagle dotarła do niej poprzez gorączkę ciała. Gwałtownie zaczęła go od siebie odpychać, zaszokowana tym, co robi. Dysząc wyszarpnęła się z jego objęć z zaczerwienioną z gniewu twarzą.

- O co chodzi? - zapytał lekko oszołomiony.

- Twierdzisz, że nie wierzysz w to, co powiedziała twoja żona, ale to nieprawda! Widocznie w to wierzysz, skoro tak mnie znieważasz! - szepnęła, z trudem łapiąc oddech. - Och, puść mnie! - krzyknęła, odpychając go, kiedy chciał ją powstrzymać.

Skrzywił się.

- To nie była zniewaga. Trilby, uspokój się i wysłuchaj mnie! - jęknął, zacieśniając uścisk.

Z determinacją wyrwała mu się i pobiegła z powrotem w stronę muzyki i tańca. Łzy piekły ją w oczy. Thorn nadal uważał ją za kobietę lekkich obyczajów. Dotykał jej w tak nieprzyzwoity sposób. A ona mu na to pozwoliła! Nawet go... zachęcała!

Złapał ją za ramię w chwili, gdy dotarła do kręgu tańczących, i zaczął z nią łagodnie tańczyć.

- To nie była obelga - powtórzył z uporem, patrząc prosto w jej przepelnione łzami oczy. - Do licha, jesteś przecież kobietą! Czy twoja matka nie mówiła ci o tym, jak to jest pomiędzy mężczyzną a kobietą?

- Przyzwoici mężczyźni nie dotykają przyzwoitych kobiet w sposób, w jaki ty mnie dotykałeś - szepnęła ze łzami w oczach.

Westchnął głęboko i jego wzrok spoczął na jej miękkich jasnych włosach. A on uważał ją za doświadczoną! Nie bardzo wiedział, jak sobie z tym poradzić.

- Posłuchasz mnie przynajmniej i pozwolisz, żebym ci to wyjaśnił?

- Chcę jechać do domu - odparła zdławionym szeptem.

Wbiła w niego wzrok. - Nienawidzę cię!

Sally tak wiele razy mu to powtarzała. Kiedy stwierdziła, że jest w ciąży, mówiła to prawie co dzień. W oczach Trilby widoczny był ten sam wyraz pogardy, co niegdyś w oczach jego żony, i

przyprawiało go to o mdłości. Jego gniew przewyciężył współczucie.

Gwałtownie wypuścił ją z objęć.

- Jak sobie pani życzy, panno Lang. Wyjdziemy, skoro tylko pani rodzina będzie gotowa. Może mimo wszystko nie jest pani odpowiednią dla mnie kobietą!

Rzucił tę obraźliwą uwagę i opuścił ją.

Patrzyła, jak odchodzi. Wiedziała, że zraniła jego dumę.

Nie chciała im wszystkim zakłócić zabawy, nie mogła jednak dłużej tu zostać po tym, co się wydarzyło. Nie wiedziała, dlaczego pozwoliła mu zaciągnąć się w zaułek, dlaczego pozwoliła mu dotykać się w tak nieprzyzwoity sposób.

Jej twarz płonęła żywym rumieńcem, kiedy musiała zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście jest kobietą niemoralną i czy doświadczony mężczyzna mógł to dostrzec. Może Thorn po prostu zobaczył, jaka jest naprawdę. Przełknęła łzy i pobiegła z powrotem do rodziców.

- Jesteś taka zarumieniona, Trilby - wykrzyknęła Mary ze śmiechem. - Dobrze się czujesz?

- Jest mi niedobrze - odparła bez żadnych wstępów, przyciskając do żołądka szczupłą dłoń. - Przepraszam, ale czy moglibyśmy już pójść?

- Kochanie, oczywiście, że tak. - Mary objęła ją i poszły poszukać Jacka. Kilka minut później jechali już długą bitą drogą do rancza Blackwater Springs.

Trilby siedziała z tyłu z Mary i Teddym. Jej mały brat bez przerwy mówił z podnieceniem o *pinatas*, podczas gdy Jack Lang przekrzykując ryk silnika komentował z Thornem fiestę.

Była zadowolona, że zabawa już się skończyła. Mogła wrócić do domu i uspokoić się, zanim przyjedzie Richard.

Może miała słabość do tego dzikusa na przednim siedzeniu, ale to Richard całkowicie władał jej sercem. Odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy. A jeśli Richard odgadł, że jest kobietą lekkich obyczajów? Może było to widać?

I jak mogła pozwolić, by Thorn dotykał jej w taki sposób, skoro kochała Richarda - jeśli nie jest kobietą niemoralną?

Zamartwiała się tą kwestią długo po tym, jak milczący Thorn zostawił ich przy drzwiach i razem z córeczką pojechał w stronę domu.

Lisa Morris usłyszała, jak zatraskują się drzwi do kwatery oficerskiej. Odwróciła się, kiedy jej mąż zdjął kapelusz i kurtkę i rzucił je niedbale na krzesło. Niewiele myśląc podniosła je i oczyściła szczotką. Pył był tak gęsty, że miała wrażenie, iż nie uda jej się utrzymać ubrań w czystości.

Jej uwagę przyciągnął długi czarny włos i zapach perfum. Tanich perfum. Powąchała je.

Ona miała włosy blond i nigdy nie używała perfum.

Nie spojrzała na niego, kiedy z ukrywanym obrzydzeniem odkładała kurtkę.

- Wyjechałeś z fortu.

- Tak. Szukałem zaginionych Meksykanów - odparł i ziewnął. - Jestem zmęczony.

- Gdzieś blisko granicy? - zapytała uprzejmie.

- W pobliżu Douglas - powiedział i spojrzał na nią z ciekawością. - Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałam się, czy widziałeś jakichś powstańców - odparła ostrożnie.

Roześmiał się. A on myślał, że go podejrzewa! Tak czy owak, skąd miałyby się dowiedzieć o Selinie?

- Nigdy ich nie widzę. Są niczym duchy. Znikają jak dym na wietrze. Zapytaj kogokolwiek.

- Tak, rozumiem. - Zrobiło się jej niedobrze. Wiedziała o jego utrzymanie w Douglas. Wstrętna, złośliwa żona innego oficera z wielką rozkoszą opowiedziała jej o Selinie.

Nie mogła wiedzieć, że Lisę już dawno przestało obchodzić, czyje łóżko grzeje jej mąż. Była nim zmęczona, zmęczona życiem.

Jej niewierny mąż nie zdawał sobie sprawy, że potajemnie wniosła sprawę o rozwód. Wkrótce David dostanie papiery, nie miała jednak pojęcia, jak na to zareaguje. Bała się wybuchu jego gniewu, ale nie mogła już dłużej znosić upokorzenia. Pragnęła wolności.

- Davidzie - zaczęła spokojnie - chciałabym wrócić na Wschód.

Odwrócił się zaszokowany.

- Co?

Złożyła ręce na piersi; jej nieciekawa twarz, pobladła, ale spokojna, nie ujawniała wewnętrznego niepokoju. Spojrzała na niego łagodnymi niebieskimi oczyma, w których pojawił się wyraz bólu i smutku.

- Powiedziałam, że chciałabym wrócić do Baltimore - odparła. - Mam tam kuzynkę, która pozwoli mi u siebie zamieszkać.

- Kuzynka Hetty - warknął - która zrobi z ciebie niewolnicę!

Dumnie uniosła głowę.

- A tutaj jestem czymś więcej? - zapytała ochryplym głosem. - Prowadzę ci dom, podczas gdy ty odwiedzasz swoją utrzymankę i wracasz do mnie śmierdząc tanimi perfumami!

Gdyby się na niego wściekała, krzyczała czy też w jakiś sposób zachowała wyniośle, potrafiłby uporać się z tym oskarżeniem. Nic takiego jednak nie zrobiła. Mówiła spokojnie i prawie obojętnie, a jej oczy nie wyrażały żadnych emocji.

Patrzył na nią i policzki pokrył mu ciemny rumieniec.

- Moja droga, wypędziłaś mnie z łóżka, kiedy straciłaś dziecko - przypomniał zwięźle. -
Mężczyzna robi się głodny.

- Ale ty nigdy mnie nie chciałaś, Davidzie - powiedziała ze spuszczonej oczami.

Była to bolesna prawda.

- Może zmęczyło mnie kochanie się z woskową lalką!

Nie poruszyła się. Nie potrafiła się już denerwować.

Lata temu straciła nerwy. Ta niewdzięczna okolica zabrała jej młodość i dziecko. Nie pragnęła Davida, ale pragnęła dziecka.

- Ożeniłaś się ze mną, ponieważ mój ojciec był twoim dowódcą - powiedziała oskarżycielsko. - Oboje to wiemy. Nie kochałaś mnie. Udawałaś miłość, dopóki nie dostałaś patentu oficerskiego. Nadal udawałaś po otrzymaniu awansu. Gdy zmarł mój ojciec, nie musiałaś już udawać. Ale oficer nie opuszcza żony, prawda, Davidzie? Przynajmniej wtedy, jeśli nadal chce awansować. Widzisz - powiedziała z lekkim rozbawieniem, kiedy się zarumienił - bardzo dobrze cię znam.

Mój ojciec także cię znał, ale ja nie chciałam go słuchać.

Nie mógł zaprzeczyć temu, co powiedziała. Była to prawda. Nigdy jej nie kochał. Była zimna i niechętna w łóżku i nawet jej ciąża nie rozbudziła w nim żadnych cieplejszych uczuć. Nie kochał jej. Ponościł winę za to, że udawał, a robił to, bo był biedny i ambitny. Jej ojciec był bogaty i miał wysoką rangę. Uznał, że małżeństwo z Lisa będzie szybkim sposobem, by wspiąć się po szczeblach wojskowej drabiny. Jednakże po pewnym czasie niedola bycia poślubionym kobiecie, której nie kochał, przesłoniła uczucie triumfu z powodu zawodowego sukcesu.

- Nie musiałaś za mnie wychodzić - powiedział.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Przyglądała się jego przystojnej twarzy z większą tęsknotą, niż sądziła, że jeszcze odczuwa. - Wiedziałałam, że żaden mężczyzna nie ożeni się ze mną dla mnie samej - zaszokowała go. - Wojskowy stopień mojego ojca był jedynym plusem, jaki miałam. W porządku - dodała - nie byłam tak całkiem nieszczęśliwa. Właściwie były takie chwile, kiedy sądziłam, że mi na tobie zależy. Ale najlepiej będzie, jeśli się rozstaniemy. Nie mogę już dłużej z tobą mieszkać, Davidzie, wiedząc o... o niej.

Wziął głęboki oddech.

- Nie wyjedziesz - powiedział zimno. - Niech mnie licho, jeśli wyjedziesz! Należysz do mnie - dodał.

- Nie jestem rzeczą.

- Jesteś, jeżeli ja mówię, że jesteś - odparł. - Nie masz żadnych własnych pieniędzy, a ja ci ich nie dam. Jak zamierzasz zapłacić za przejazd do Marylandu?

- Dlaczego nie chcesz pozwolić mi wyjechać? - krzyknęła. - Nie chcesz mnie przecież!

- Jesteś moją żoną - odparł sztywno - a ja jestem dowódcą tego posterunku. Nie chcę, żeby moi ludzie o mnie plotkowali.

- A więc o to chodzi? Nie masz nic przeciwko temu, bym uciekła, byle tylko nie rzuciło to na ciebie cienia!

Zacisnął szczęki.

- Nie masz na co narzekać. Masz dach nad głową, świetną reputację i ładne stroje.

- Przypuszczam, iż uważasz, że to uczyni moje życie znośnym, podczas gdy ty będziesz się zabawiał ze swoją kobietą lekkich obyczajów.

Zirytowała go jej mina.

- Jeśli chcesz mieć dziecko, dam ci je - powiedział krótko.

- Davidzie, jakie to wspaniałomyślne z twojej strony - powiedziała z wyższością, którą po raz pierwszy usłyszał w jej głosie. - I jakież bez wątpienia będzie to dla ciebie trudne zadanie.

Zdziwiła go jej wrogość. Spojrzał na nią i nagle zdał sobie sprawę, że nigdy w ciągu tych dwóch lat małżeństwa nie zadał sobie trudu, by ją poznać. Była jak cień - prowadziła dom, gotowała, sprzątała. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Kochał się z nią, kiedy tego potrzebował, a ona zaszła w ciążę i straciła dziecko.

Potem była Selina. Jego zainteresowanie żoną nigdy nie było niczym więcej niż ciekawością. Nigdy nie obdarzył jej taką czułą namietnością jak dzisiaj Selinę. Nigdy nawet nie podjął wysiłku, by podniecić Lisę. Teraz zastanawiał się, dlaczego. Miała małe piersi, ale ładną figurę i przyjemne krągłości. Pocałował ją raz czy dwa i wcale nie było to nieprzyjemne. Ale to Selina doprowadzała go do szału, rozpałała jego krew. Kochał Selinę.

- Nie chcę tutaj zostać, Davidzie - nalegała Lisa.

Podszedł do niej bliżej i uniósł w górę jej brodę.

- Napiłbym się trochę kawy.

Zarumieniła się z rozżalenia i gniewu, gdy jej dotknął.

Zrozumiał to jako oznakę nieśmiałości; uśmiechnął się zarozumiale, po czym nachylił się, chcąc ją pocałować.

Kiedy tylko jego wargi dotknęły jej ust, z płonącym wzrokiem odsunęła się od niego.

- Nie dotykaj mnie! - rzuciła niepewnie. - Jak śmiesz zaraz po wyjściu z łóżka tej kobiety próbować mnie obłapiać?

Wytarła ręką usta, jakby jego dotyk przyprawiał ją o mdłości, jakby czuła do niego odrazę.

- Pochlebiasz sobie - powiedział głęboko urażony. - Selina jest o wiele więcej warta od

ciebie.

- Wobec tego zachowaj dla niej swoje pieszczoty - odparła dumnie. - Zmuszasz mnie do pozostania tutaj, ale nigdy nie zmusisz mnie do tego, by sprawiało mi to przyjemność.

Poszła do kuchni, a on patrzył za nią z mieszaniną zdziwienia i zaskoczenia.

Thorn Vance klęczał przy wodopoju, kiedy podjechał jeden z pracujących dla niego pasterzy i zatrzymał konia.

W pobliżu na słońcu leżały dwie zdechłe krowy.

- Woda jest zatruta, prawda *senor*? - zapytał Jorge.

Thorn zaklął.

- Tak, jest zatruta. Alkaloidami, niech to lichu! - Podniósł się. - Myślałem, że może to być arszenik. Mam przecież ziemię w Meksyku.

- Wiadomo, że pozwala pan zwolennikom Madero poić tutaj konie, że z sympatią odnosi się pan do sprawy - poważnie, choć z uśmiechem odparł Jorge. - Żaden prawdziwy rewolucjonista nie zrobiłby panu krzywdy.

- Wygląda na to, że nie będą musieli. Było to ostatnie dobre źródło wody, jakie miałem - odparł szorstko Thorn.

Z wściekłością wpatrywał się w wodę. - Spragnione bydło wyzdycha, jeśli nie dostanie wkrótce wody. - W San Bernardino Valley wiercili w ziemi i znaleźli podziemne źródła - powiedział. - Być może będę zmuszony zrobić to samo.

- Jest woda w rzece.

- Tak, ale znajduje się na ranczu Blackwater Springs, a Lang nie chce mi go sprzedać. Nie chce nawet wydzierżawić mi wody.

- W dawnych czasach, *senor*, pański ojciec skorzystałby z wody nawet bez pozwolenia - przypomniał mu ponuro Jorge.

- Nie jestem moim ojcem. - Thorn zręcznie wskoczył na siodło. Nie chciał, by pasterz domyślił się, że gdyby nie Trilby, pewnie poszedłby tą drogą. Już i tak uważała go za niecywilizowanego dzikusa. Nie zniósłby tego, gdyby myślała o nim jeszcze gorzej niż do tej pory.

Z niechęcią myślał o tym, jak uciekła od niego w noc fiesty. Chciał jej powiedzieć, że to nie chęć znieważenia jej tylko namiętność spowodowała, iż dotykał jej w taki sposób. Bardzo jej pragnął i stracił panowanie nad sobą.

Nie miał zamiaru jej zdenerwować.

Była to jego wina i zasłużył na karę. Gdyby nie miał o niej tak głupio błędnego zdania, nigdy nie dałby powodu, by wątpiła w jego zamiary. Stracił całe pole, jakie udało mu się

odzyskać, a Richard wkrótce miał przyjechać na rancho w odwiedziny.

Na myśl o tym mężczyźnie omal się nie udławił. Wiedział, że gość ze Wschodu jest jego całkowitym przeciwieństwem i Trilby wyobraża sobie, że jest zakochana w tym nadętym głupku.

Jack Lang tylko raz wspomniał o zalotniku Trilby i to wcale nie lekceważąco. Nieznany Richard przyjeżdżał z ich świata, świata salonowych manier i łatwego życia. Nie będzie śmierdział bydlęciem i dymem, jego ubrania nie będą pokryte kurzem, nie będzie wiedział, gdzie jest lufa, a gdzie spust rewolweru. Dla Trilby to są zalety. Thorn widział w nim konkurenta.

- Spróbujemy dalej w terenie - powiedział, ruszając wolno.

- Apacz może znaleźć wodę, *senor* - powiedział Meksykanin. - Wie pan, że to prawda. Naki ma dar.

- Może pozwolę mu spróbować. Mam ogromny szacunek dla talentów tych wychowanych na pustyni Apaczów, Jorge.

Posiadają wiedzę, jakiej biali nigdy nie zdobyli.

- Ach, *senor*, pan nie jest taki jak ci nowo przybyli *gringos*, którzy z pogardą patrzą na ludzi o ciemniejszej skórze - powiedział ze smutkiem. - Pan jest taki jak patron, pański ojciec. Wie pan, jak się rzeczy mają, *senor*.

- Mam szacunek dla wiedzy pod wszelkimi postaciami - odparł Thorn. Roześmiał się gorzko. - Co sprawia, że w oczach niektórych przybyszów ze Wschodu uchodzę za dzikusa.

Jorge wiedział, o kim mówi, ale niezręcznie mu było przyznać się do tego.

- Wielu to samo mówi o Madero. Kimkolwiek jednak by był, jest wyzwolicielem gnębionych.

- Mówisz jak agitator.

- *Senor!*

Zaśmiał się z oburzenia Jorgego.

- Wiem, co twoi krajanie myślą o Madero i dlaczego.

- *Si, senor* - przytaknął Jorge, trochę ugłaskany. - Dla moich rodaków jest świętym i on, i inni, którzy walczą o naszą wolność.

- Będę go wspierał, ale nie będę za niego walczył - rzucił Thorn. - Wewnętrzne sprawy Meksyku nic mnie nie obchodzą, chyba że Madero lub jacyś jego ludzie zmuszą mnie do tego. W takim wypadku - dodał cicho - pożałuje, że tak się stało.

Meksykanin wyczuł gniew Thorna.

- Czy ucisk nie powinien być sprawą każdego wolnego człowieka? - zapytał ze spokojną dumą.

Thorn spojrział na niego.

- Och, do diabła, może tak - odparł ze złością. - Ale mam dość własnych problemów bez dodawania do nich waszych. Jedźmy. Dzisiaj, Jorge, potrzebna jest woda, a nie wojna domowa.

Jorge zaśmiał się.

- Jak pan każe, patron. Zapewniam pana, że powstańcy nie chcą panu wyrządzić szkody. Walczą z Diazem. Ci cudzoziemcy, którzy kopią naszą ziemię, mają tak wiele - zauważył Jorge w zamyśleniu. - A przecież w Meksyku małe dzieci głodują. Taki jest porządek świata, a nie powinno tak być, *senor*.

- Czy stajesz się socjalistą, *compadre*? - zapytał Thorn.

Jorge roześmiał się; jego białe zęby zabłyśły w twarzy niczym odlane z brązu.

- Ależ skąd, *senor*. Raczej zwolennikiem Madero.

Thorn ściągnął z głowy kapelusz i próbował trzepnąć nim Meksykanina. Jorge zaśmiał się i ostrogami popędził wierzchowca.

Później, na ranczu, Thorn zastanawiał się nad tym, co Jorge powiedział na temat wody. Może to znikoma szansa, ale warta rozmowy.

Poszedł do Nakiego. Jego imię w języku Apaczów naprawdę składało się z dwóch słów, ale większość ludzi potrafiła wymówić tylko Naki, tak więc w okolicy Los Santos Apacz stał się znany jako Naki. Na swój uprzejmy sposób reagował na to imię, jakby się z nim urodził.

Naki był wysoki jak na swoją rasę, milczący i spokojny.

Nie miał żony ani innej rodziny. Nie był starym człowiekiem, jednak w jego czarnych oczach kryło się coś odwiecznego.

Trzymał się na uboczu. Jedynie dla Thorn'a Vance'a żywił ciepłe uczucia, a to dlatego, że Thorn zadał sobie trud, by nauczyć się jego języka. Jak daleko sięgała pamięć Nakiego, był jedynym białym, który kiedykolwiek to zrobił, z wyjątkiem archeologa McColluma. A Naki rozumiał nie tylko język Apaczów. Mówił kilkoma językami, ale kiedy był zamyślony, odpowiadał tylko w rodzimym języku. Teraz właśnie tak było.

Spróbował bezskutecznie porozmawiać z nim po angielsku, Thorn odezwał się w rodzimym języku:

- Gdzie jest Tiza? - zapytał o przyjaciela Nakiego z plemienia Mimbreno; zazwyczaj trzymali się razem.

- Oyaa. Naghaa - odparł Naki swoim powolnym, głębokim głosem, dodając następnie kilka innych słów i przeciągając długie samogłoski, wyraźnie podkreślając sylaby nosowymi spółgłoskami i wysokimi tonami, by znaczenie było jasne. - Poszedł. Chodzi gdzieś tutaj.

Thorn spojrzał w stronę horyzontu i zachichotał.

- Nakwii - poprawił go, patrząc złośliwie na Nakiego. - Wymiotuje.

Apacz wzruszył ramionami.

- Napój białego człowieka. Nie ja mu go dałem.

Thorn przykląkł na jedno kolano napotykać spokojne spojrzenie towarzysza. Naki miał trzydzieści kilka lat, niewiele więcej niż trzydzieści dwa lata Thorn'a.

- Zrobiłem to, co chciałeś. Teraz mów po angielsku.

- Jak sobie życzysz. Ale to pozostawia nieprzyjemny smak na moim języku - odparł sucho Naki, prawie doskonałą, niemal pozbawioną akcentu angielszczyzną, spuścizną po latach spędzonych na ukrywaniu się u księży, kiedy po pojmaniu Geronima jego krewni ze szczepu Chiricahua zostali wysłani do więzienia na Florydzie. - Brakuje ci praktyki w mówieniu językiem Apaczów.

- Nie mam na to czasu. Muszę znaleźć wodę. Mnóstwo wody.

- To wszystko? - Naki machnął ręką. - Kilka mil stąd jest rzeka - poradził mu.

Thorn z wściekłością spojrzał na Indianina.

- Potrzebuję wody tutaj, dla mojego bydła - powiedział z naciskiem. - Nie mogę przenieść rzeki.

Naki wzruszył ramionami.

- Możesz przenieść bydło.

- Potrafisz być taki denerwujący - powiedział Thorn ze złością. - Powinienem cię zwolnić!

- A kto będzie ci czytał Herodota po grecku? - usłyszał kpiącą odpowiedź. - Nie wspominając o zaprowadzeniu twojego przyjaciela archeologa na najlepsze wykopaliska.

Gdybym go nie prowadził, McCollum wpadłby głową do przodu do kopalnianego szybu i nigdy więcej byśmy go nie ujrzeli.

Thorn uniósł ręce do góry.

- W porządku, zgadzam się, że jesteś niebywale edukowany. A teraz może powiedziałbyś mi, gdzie mam szukać wody.

Naki konspiracyjnie nachylił się do Thorn'a, a jego proste czarne włosy opadły na przystojną twarz o wysokich kościach policzkowych.

- Spróbuj na ranchu Blackwater Springs.

Apacz wstał i odszedł, pozostawiając Thorn'a szalejącego z wściekłości. Pomyślał, że nawet Chińczycy nie mogli się równać z jego przyjacielem; był taki nieprzenikniony.

Niezwykłe łatwo Naki wskoczył na konia i pojechał z powrotem tam, gdzie Thorn wciąż stał, patrząc za nim z wściekłością.

- Nie masz powodu patrzeć na mnie takim wzrokiem - powiedział niewzruszony. - My, Apacze, jesteśmy małomówni. Kiedy znajdę wodę, wrócę - powiedział. - Jeśli nie znajdę, przyślę ci wiadomość, zanim skoczę z najbliższej skały.

- Apacze nie mają poczucia humoru - przypomniał mu Thorn. - Piszą tak w każdej książce, jaką na wasz temat przeczytałem.

- Czytałeś niewłaściwe książki. Zapytaj swojego przyjaciela archeologa, McColluma. Spędził z nami miesiąc.

Udzieliliśmy mu wiele bardzo interesujących informacji na temat naszego ludu. - Uśmiechnął się szeroko.

- Craig McCollum nie jest archeologiem, jest antropologiem, choć wykłada także archeologię. Przyszli historycy przeklną cię, jeśli wprowadziłeś go w błąd w sprawie waszej kultury - uświadomił go Thorn.

- Miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby nauczyć się naszego języka, tak jak ty. Większość twoich pobratymców jest zbyt arogancka, by odczuwać taką potrzebę.

- To cholernie trudny język do nauki.

- A więc antropolog. - Wypowiedział to słowo z naciskiem. - Robił notatki w języku Apaczów i chcąc spisać historię życia starszyny, przeprowadzał wywiady w celu uzyskania informacji. Jednakże, biały człowieku, nasz język jest i tak łatwiejszy niż wasz - odparował Naki.

- Do zobaczenia za kilka dni. - Skierował swojego mustanga i truchtem pojechał w stronę zachodzącego słońca.

Tiza pomachał mu ręką. Naki zatrzymał się i powiedział staremu, gdzie jedzie, ale nie życzył sobie towarzystwa.

W niektórych sytuacjach, pragnął samotności. Teraz była jedna z takich sytuacji.

Jak na sobotę na stacji kolejowej w Douglas panował znaczny tłok. Trilby niemal tańczyła na peronie, a kiedy chodziła tam i z powrotem, jej kretonowa niebieska sukienka omiała kostki nóg. Na czubku głowy, na zaczesanych do góry włosach, miała wdzięczny kapelusik. Wyglądała młodo i atrakcyjnie z rozpromienioną twarzą, a Mary Lang uśmiechnęła się, widząc jej niecierpliwość.

- Do licha, siostrzyczko, nie możesz na chwilę usiąść? - zamruczał Teddy. - Wychodzisz dziurę w deskach!

- Nie mogę się doczekać! Och, co będzie, jeśli nie przyjedzie tym pociągiem? - jęknęła Trilby. - Nie zniosę tego, jeśli nie będzie go w pociągu!

- Posłał nam przecież telegram, że przyjeżdża. Są z nim także Julie, Ben i Sissy. Będziemy się świetnie bawić, córeczko - zaśmiał się Jack. - Miło będzie zobaczyć znajome twarze.

- Zwłaszcza jedną, zdaniem Trilby - powiedziała Mary z pobłażliwym uśmiechem.

- Och, Richardzie, weź mnie z sobą! - powiedział Teddy teatralnym głosem, zasłaniając oczy dłonią.

Trilby uderzyła go parasolką.

- Przestań!

Pokazał jej język.

- Richard i Trilby, Richard i Trilby - ojej!

- Przestań, młody człowieku - skarcił go Jack. - Na dzisiaj wystarczy.

Teddy rozcierał bolące miejsce i ze złością spoglądał na ojca.

- Jesteś dla mnie okropny, tato.

- Przypomnij mi o tym następnym razem, kiedy będziesz kupował w sklepie miętowego lizaka.

Oczy Teddy'ego zabłyśły.

- A może zamiast tego lody?

- Nie dzisiaj. Nasi goście będą zmęczeni i zechcą pojechać prosto na ranczo. Ale kiedy następnym razem przyjedziemy do miasta, obiecuję ci, że dostaniesz lody. Zgadzasz się?

- Oczywiście, tato!

Trilby prawie nie słyszała tej wymiany słów. Wbiła wzrok w dal, gdzie widać już było pociąg wyrzucający wściekłe obłoki - gęsty dym to się podnosił z wiatrem, to opadał na ziemię.

- To cholerstwo na całej drodze roznieca pożary - mruknął jakiś obdartus. - Nienawidzę pociągów. Nienawidzę cywilizacji. Kiedy przyjechałem tutaj w pięćdziesiątym drugim, nie było nawet drogi. Ani miasta, jeśli o to chodzi. Byli tylko Apacze i kilku Meksykanów. Było to świetne miejsce bez tych wszystkich herbaciarni, lodziarni i lig obrony praw kobiet!

- W ostatnim tygodniu zamknęli jedyną knajpę, w której miał kredyt - szepnął z uśmiechem Jack do Mary. - Od tej pory nie miał nic w ustach.

Mary zdławiła śmiech. Spojrzała w stronę poczekalni, która pomieściłaby zaledwie trzy osoby, chyba że stłoczyłyby się jak sardynki. Richard przywoził ze sobą Bena, Sissy i Julie - to już czworo. Trilby, jej ojciec, matka i Teddy - następna czwórka. Nie udałoby się im upchnąć wszystkich do samochodu, więc wynajęli jeszcze jeden, wraz z szoferem. Był to pomysł Trilby i zapłaciła za to z pieniędzy zarobionych na sprzedaży jajek i masła. Mary zrobiło się smutno, że z

takim trudem stać ich na niewielką opłatę.

Ona, podobnie jak Trilby i reszta rodziny, przywykła do znacznie wyższego standardu niż ten, jakim mogli się cieszyć od czasu przyjazdu do Arizony.

Przyjazd pociągu przerwał tok rozmyślań Mary. Kiedy gryzący dym oznajmił jego przybycie, jeszcze więcej ludzi wyległo na peron, usiłując coś zobaczyć. Kilka osób zakaszłało, kiedy w końcu żelazny koń zatrzymał się, a pasażerowie zaczęli wysiadać.

- Patrzcie! - krzyknęła Trilby, kiedy wysoki mężczyzna o piaskowych włosach, trzymający w ręce walizę, wysiadł ostrożnie z pociągu. - To Richard!

Richard Bates usłyszał ją i spojrzał w jej kierunku. Był wysokim, jasnowłosym mężczyzną, miał bladą cerę i niewielki wąsik. Ubrany był w modny szary garnitur i stosowny melonik. Kiedy wypatrzył ją w tłumie, na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech.

- Trilby!

Chciała mu się rzucić w ramiona, ale jego postawa nie była aż tak zachęcająca. Podszedł do niej swym zwykłym leniwym krokiem i ujął jej dłoń. Ucałował ją ciepło, ale z lekkim rozbawieniem. Obrzucił wzrokiem jej rodzinę, zanim ponownie na nią spojrział.

- Jak to miło z waszej strony, że nas zaprosiliście - powiedział. - Wszyscy niecierpliwie wyczekiwaliśmy tych odwiedzin. Chodź tutaj, Sissy! - krzyknął z irytacją przez ramię. - Jest taka denerwująca - jęknął. - Mam wrażenie, że nie potrafi zrobić dwóch kroków, by się nie przewrócić.

Tak właśnie jest, jeżeli ktoś spędza życie z nosem w książce!

Sissy była jego siostrą, jedną z najdawniejszych przyjaciółek Trilby.

- Nie możesz być dla niej taki niemiły, Richardzie - zganiała go. - Sissy jest bardzo inteligentna.

- Jest niemożliwa. Wiesz o tym! - jęknął. Spojrzał w tył i uśmiechnął się w całkiem inny sposób do uderzająco pięknej blondynki, która wysiadała z pociągu tuż przed Sissy. - Oto moja wspaniała dziewczyna. Chodź tutaj, kuzynko Julie, i poznaj Langów. To moja kuzynka, Julie Montreaux z Nowego Orleanu. Pamiętajcie, oczywiście, moją siostrę Sissy, właśnie schodzi ze stopni pociągu. I mojego brata - Ben, gdzie jesteś?

Młody ciemnowłosy mężczyzna, troszeczkę zbyt chudy, pomagał Sissy wysiąść z wagonu. Stanowili interesującą parę - drobna szatynka w okularach i chudy, niezdarny młodzieniec. Lubili siebie wzajemnie znacznie bardziej niż swojego starszego brata.

- Są tak zafascynowani myślą o dzikich Indianach, że na każdym kroku w czasie podróży wprawiali mnie w zakłopotanie, wyglądając za nimi przez okna pociągu - powiedział zde gustowany Richard. - Sądzili, że jak tylko przekroczymy granicę Arizony, zostaniemy

wszyscy oskalpowani. Nigdy bym ich ze sobą nie przywiózł, gdybym wiedział, jak będą się zachowywać w trakcie podróży. - Ponownie odwrócił się do swojej kuzynki, podczas gdy Sissy i Ben rozglądali się wokół, zafascynowani nowym otoczeniem. - Julie - ciągnął z uśmiechem - pamiętasz Trilby, prawda?

- Minęło wiele lat, odkąd się widziałyśmy, ale oczywiście, że pamiętam Trilby - odparła uprzejmie Julie, a w jej niebieskich oczach pojawiły się iskierki. Z przyjaznym uśmiechem wyciągnęła rękę. - To takie miłe z waszej strony, że zaprosiliście nas wszystkich. Mam nadzieję, że nie sprawimy zbyt dużego kłopotu.

- Nie mów głupstw, oczywiście, że nie sprawicie! - odpowiedziała Mary Lang podchodząc do nich, by się przywitać. Trilby nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa, kiedy ze ściśniętym sercem zobaczyła, jak Richard i Julie zachowują się w stosunku do siebie. - Uważajcie ranczo za swój dom tak długo, jak tylko zechcecie.

Richard objął wzrokiem pustynny krajobraz i piaski i skrzywił się.

- Sądzę, że nie będzie to długo, pani Lang. Jak człowiek może przeżyć w tak potwornym miejscu?

- Zapewniam cię, że nie jest to łatwe - powiedziała Trilby, starając się, by całkiem normalna reakcja Richarda na pustynię nie wyprowadziła jej z równowagi. W końcu naprawdę było tu potwornie. Czyż sama nie powtarzała tego cały czas?

- Cóż, wcale nie jest tu tak strasznie, mój chłopcze - zaprotestował z oburzeniem Jack Lang. - Sam zobaczysz.

To miejsce ma wiele do zaoferowania.

Richard jedynie wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Julie.

Podeszła Sissy i Trilby mocno uściskała najpierw ją, a potem Bena.

- Och, jak to dobrze znowu cię zobaczyć! - powiedziała.

- Nie mam tutaj żadnych przyjaciółek. Gdyby nie mama, w ogóle nie miałabym z kim rozmawiać o kobiecych sprawach.

- Nie nazwałbym Sissy kobietą - powiedział Richard ze szczerością brata. - Jest płaska jak deska, a na dodatek uczęszcza do college'u! - dodał, jakby zdobywanie wyższego wykształcenia było jakimś zboczeniem. - Ma dwadzieścia trzy lata i nigdy nie miała narzeczonego...

- Zamknij się, Richardzie - mruknęła Sissy, szybkim ruchem poprawiając okulary. Za szklami jej zielone oczy groźnie błysnęły w stronę brata. - Co ty o mnie wiesz?

- Jesteś niemiły, Dick - powiedział Ben i zaczerwienił się na myśl o własnej śmiałości. - Zawsze dokuczysz Sissy.

- Oboje przestańcie, i to już - zganiała ich kuzynka Julie.

- Pamiętajcie, że jesteśmy tutaj gośćmi, a wy zachowujecie się jak dzieci.

Zarówno Sissy jak i Ben spojrzeli na nią z wściekłością.

Była młodsza od nich, miała dziewiętnaście lat, i jej także nie lubili.

Zdała sobie chyba sprawę, że przekroczyła granice, ponieważ uśmiechnęła się, a potem nerwowo się roześmiała.

- Chodźmy już. Tutaj jest strasznie gorąco! - Powachlowała się.

- Popieram ten pomysł. - Richard westchnął, biorąc Julie pod rękę. - Już nienawidzę tego miejsca! - powiedział, lekceważąco rozglądając się wokół.

Z minuty na minutę Trilby czuła się coraz gorzej. Ujęła mocno ramię swej przyjaciółki, Sissy, która spojrzała na nią ze współczuciem, teraz jednak nie miały czasu na rozmowę.

Ben pomógł Sissy i Julie wsiąść do wynajętego samochodu, podczas gdy Jack Lang zajął się bagażem. Żaden z przyjezdnych młodych mężczyzn nie wykazywał chęci pomocy. Kiedy Trilby na to patrzyła, próbowała wyobrazić sobie Thorna pozwalającego, by jej ojciec dźwigał te ciężary. Zezłościła się, że jej się to nie udało.

Ostatnią kroplą, która wszystko przeważyla, było to, że Richard wolał jechać nie z nią, tylko ze swoją kuzynką, siostrą i bratem. Trilby pękało serce, ale starała się nie dać tego po sobie poznać. Mary jednak wiedziała. Jej uśmiech miał podtrzymać córkę na duchu, Trilby miała ochotę jedynie płakać. Pokładała wszystkie swe nadzieje w tych odwiedzinach. A przecież nic się nie zmieniło. Tylko sceneria, w której Richard uśmiechał się uprzejmie i patrzył przez nią na wylot.

Powrotna jazda na ranczo była długa i męcząca. Trilby siedziała sztywno obok ojca i matki, podczas gdy Teddy rozwaliał się na tylnym siedzeniu. Richard objął niedbale Julie, kiedy wsiadali do wynajętego samochodu. Jego ramię nadal znajdowało się w tym samym miejscu, zauważyła Trilby, gdy poprzez gęsty pył spojrzała w tył na drugi samochód.

Tak długo czekała na te odwiedziny... a teraz zastanawiała się, czy przypadkiem nie zmienią się w koszmar.

Richard był uprzejmy, ale nic ponadto. Z całą pewnością nie zachowywał się tak, jakby za nią tęsknił w czasie tych miesięcy, kiedy się nie widzieli.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu. Gdy zbliżali się do rancza, otoczyła ich grupa mężczyzn na koniach. Trilby zachwyił pokaz jeździeckiego kunsztu. Poczula jednak irytację, kiedy zdała sobie sprawę, że są to jeźdźcy z Los Santos - a ich kpiący, przystojny szef jedzie na czele.

- Thorn, jak dobrze cię widzieć - pozdrowił go Jack Lang. - Co cię tu sprowadza?

- Służymy jako eskorta - powiedział wymijająco Thorn.

Jego wzrok powędrował od Trilby na przednim siedzeniu do wysokiego, przystojnego

mężczyzny i pozostałych pasażerów w drugim samochodzie, i w jego oczach pojawiły się iskierki. Jawił mu się obraz, który obalał wszelkie jego obawy, mimo że Trilby miała minę, jakby właśnie co zmarł jej ulubiony piesek. - Niedawno doszło do kilku incydentów na granicy - dodał - a słyszałem o waszych gościach ze Wschodu. Pomyślałem, że poczujecie się pewniej, jeśli będziemy wam towarzyszyć.

- Jak najbardziej, i wielkie dzięki - roześmiała się Mary.

- Thorn, pozwól, że przedstawię cię naszym gościom. - Samochody zatrzymały się i zarówno ona jak i Trilby wysiadły. Thorn zeskoczył z konia i wszyscy podeszli do drugiego samochodu, by dokonać prezentacji.

Trilby z zainteresowaniem obserwowała ich reakcje.

Oczy Sissy były szeroko rozwarte, kiedy z ciekawością rozglądała się po groźnie wyglądającej grupie mężczyzn. Dostrzegła towarzyszących Thornowi Apaczów i jej oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły.

Sissy fascynowała się antropologią. Zapisła się do college'u na Północy, gdzie ją wykładano, i zamieszkała ze starą ciotką, by móc uczęszczać na zajęcia. Teraz miała przerwę semestralną i cieszyła się, że może odnowić dawną znajomość ze swoją przyjaciółką, Trilby.

Fascynowała ją możliwość poznania innych kultur, a szczególnie interesowali ją Apacze. Jej profesor wiedział o nich bardzo dużo i pożyczał jej książki i artykuły na ten temat. Przeczytała każdą informację, jaką mogła znaleźć w bibliotece, a teraz oto miała przed sobą żywy okaz. Nie tylko żywy - lecz tak męsko piękny, że od razu ścisnęło się jej serce.

Był wysoki. Miał długie czarne włosy opadające na ramiona, proste i błyszczące jak upierzenie kosa, gęste i lekko rozwiane na wietrze, przytrzymywane przez szeroką, kolorową opaskę na czole. Był dobrze zbudowany, sprawiał wrażenie bardzo silnego - począwszy od szerokiej piersi okrytej koszulą w niebieską kratę do potężnych nóg w mokasynach. Nosił ochraniacze ze skóry, ale jego brązowe, muskularne uda były pod nimi nagie. Piękne ręce skrzyżował na łęku siodła. Jej wzrok spoczął na jego długich, opalonych palcach.

Jednakże to jego twarz stanowiła istne dzieło sztuki. Miał wysokie kości policzkowe i prosty jak strzała nos. Jego oczy były duże, głęboko osadzone i bardzo brązowe. Usta miał dziwnie wąskie jak na Indianina, szczękę kwadratową, a czoło wysokie. Kiedy tak mu się przyglądała, przyszło jej na myśl, że mogłaby spędzić resztę życia po prostu tylko na niego patrząc.

Naki aż nadto był świadom ognistego spojrzenia białej kobiety, ale udawał, że nic nie zauważa. Publiczne zwracanie uwagi na kobietę Apacze uznawali za rzecz w bardzo złym guście. Ich surowy kodeks moralny miał pod tym względem wiele zakazów. Pomimo swojego

wykształcenia i czasu, jaki spędził w towarzystwie białych, Naki przywiązywał wielką wagę do zwyczajów Apaczów.

Zauważył jednak białą kobietę. Była szczupłą, wysoka i miała przyjemną powierzchowność. Nosiła okulary. Zastanawiał się, czy oznacza to, że jest inteligentna. Czasami odczuwał potrzebę intelektualnej rozmowy. Kochał swą zmarłą meksykańską żonę, ale jej słownictwo ograniczało się do prostej rozmowy o nich samych i otaczającym ich świecie. Wcale nie była wykształcona. Zastanawiał się, jakby to było siedzieć z jakąś kobietą i rozmawiać o pisarstwie Poego czy Thoreau. Zaśmiał się w duchu. Ta kobieta była pewno w równym stopniu przerażona co zafascynowana. Prawdopodobnie myślała o nim w stereotypowy dla białego człowieka sposób: biedny, wzbudzający litość, nieuczony dzikus. Odgrywanie takiej roli sprawiało mu przyjemność, choćby po to tylko, by zobaczyć miny na twarzach swoich ofiar, kiedy zaczynał cytować Tukidydesa lub Herodota, lub też recytować dziewiętnastowieczną poezję brytyjską.

- Proszę mi wybaczyć, panie Vance - przerwała mu delikatnie Sissy, a jej zielone oczy za małymi okularami w drucianych oprawkach wydawały się bardzo wielkie. - Czy to...

Apacz? - zapytała, ruchem głowy wskazując Nakiego.

- Tak, ale proszę się nie denerwować, w dzisiejszych czasach Apacze nie są wrogo nastawieni, pomimo opowieści, jakie mogły panie usłyszeć w czasie jazdy pociągiem - powiedział uspokajająco Thorn. Dał znak Nakiemu, który podjechał do przodu. Apacz w jakiś sposób wyglądał po królewsku - miał przystojną twarz przypominającą odlaną w brązie pośmiertną maskę. Jednakże w jego ciemnych oczach, które spojrzały na Thorną, pojawił się chochlikowaty błysk. - To jest Naki. - Thorn przedstawił go szczupłej, ubranej na niebiesko dziewczynie z dalekiego Wschodu. - Naki, to panna Sissy Bates. Pochodzi z Luizjany.

Nakiemu nie spodobało się to, jak te zielone oczy na niego oddziaływały. Od czasu śmierci Conchity jego serce było całkiem martwe i chciał, by takim pozostało. Zrobił więc, co tylko mógł, by wydać się kimś innym, niż był w rzeczywistości. Przyłożył dłoń do piersi.

- Ugh! - stęknął, kiwnąwszy głową. - Ja bardzo dobry Indianin!

Thorn uniósł brwi, a jeden z kowboi zasłonił dłonią twarz. Sam Jack Lang z trudem powstrzymał się, by nie zniweczyć tego pokazu - słyszał przecież, jak Naki mówi doskonałą angielszczyzną - ale skoro Indianin chciał zachować to w tajemnicy, to jego sprawa.

Sissy, wzięwszy sobie do serca wspaniały występ Apacza, była rozczarowana. Spodziewała się czegoś więcej po tak eleganckim mężczyźnie. Wobec tego dobrze, ona także odegra coś, co prawdopodobnie stanowiło zwyczajową rolę białej kobiety. Może wzbudzi to jego zainteresowanie, a ona chciała, by ją zapamiętał, chociaż zupełnie nie wiedziała, dlaczego.

Znajomość z takim człowiekiem nie miała przecież przyszłości, chociaż zainteresowała się nim nagle i całkowicie.

- Och... on, pan Naki, nie skalpuje ludzi, prawda? - zapytała Thorną głośnym szeptem. To dziwne, jak oczy Indianina nagle zabłysły, prawie tak, jakby go to rozbawiło.

Takie inteligentne oczy.

Thorn musiał powstrzymać się od śmiechu. Z namysłem zmarszczył brwi.

- Cóż, wydaje mi się, że w tym miesiącu nikogo nie oskalpował. - Odwrócił się i w języku Apaczów zapytał Nakiego, czy się dobrze bawi.

Naki skinął głową i w swym rodzimym języku zadał pytanie:

- Czy ta kobieta jest chora umysłowo?

- Dziwi cię to, prawda? Musieli jej w pociągu opowiadać o Apaczach.

- Powiedz jej, że mam w kieszeni skalp - mruknął Naki.

- Jeśli się odważysz.

- Zamknij się - odparł Thorn.

- Co on do pana mówi? - zapytał zaciekawiony Ben.

- Mówi, że biała kobieta wygląda na silną i ma dobre zęby - odparł Thorn, kryjąc uśmiech. - Chce wiedzieć, ile koni za nią chcecie.

Sissy i Ben aż otworzyli usta, Richard mruknął coś z pogardą, a Langowie zawahali się, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na ten szalony afront, jaki spotkał ich gości.

- To kłamstwo - odezwał się do Thorną obrażony Naki.

- Nie wziąłbym jej, nawet gdyby zaoferowali mi za nią sto koni! Wcale nie ma na kościach ciała. - Nie było to prawdą, ale nie miał zamiaru przyznać się swojemu pracodawcy, że ta kobieta go zafascynowała.

- Zaczynają cię podejrzewać - powiedział mu Thorn, nadal w języku Apaczów. Uśmiechnął się. - Nie możesz się uśmiechnąć?

Naki rozciągnął wargi i groźnie spojrzał wprost na Sissy.

Przechyliła głowę na bok i wbiła w niego wzrok. Och, cóż, jeśli chce, by udawała, może to zrobić. Przyłożyła dłoń do piersi i głośno wciągnęła powietrze. Próbując się cofnąć, niemal siadła Benowi na kolanach.

- Teraz już idź - powiedział Thorn do Nakiego po angielsku i krótko skinął głową.

- To ja mógłbym ci powiedzieć, gdzie masz jechać - odparł złośliwie Naki w języku Apaczów. Odjechał, nie patrząc do tyłu.

- Czyż nie jest majestatyczny? - zachwyciła się Julie. - Och, Sissy, przestań być taka przerażona. Sprawiał całkiem miłe wrażenie.

- Dzikusy - odparł niepewnie Richard. - Jak możecie znieść ich sąsiedztwo?

Thorn zmierzył go wzrokiem.

- Jakoś udaje się nam uporać z wszelkiego rodzaju szelmami - powiedział Richardowi złośliwie. - Nawet z przybyszami ze Wschodu.

Jack Lang wziął to za żart i roześmiał się. Richard także, tak głośno, że nawet nie zauważył zniewagi. Trilby jednak zauważyła. Rzuciła Thornowi spojrzenie, które zdołałoby zatrzymać konia. Tylko się uśmiechnął.

- Musimy jechać - powiedział Jackowi, zręcznie wskakując na siodło. - Miło mi było was poznać. - Dotknął palcami runda kapelusza, ale go nie zdjął.

- Dziękujemy za eskortowanie nas, Thorn - powiedział ciepło Jack Lang.

Richard pochylił się do przodu.

- Słuchaj, czy są jakieś szanse, by urządzić tu, w tej dziczy, polowanie? - zapytał. - Wiesz, stary, jestem trochę sportowcem. Ostatnio polowałem na dziki w Afryce.

- Mam tutaj dzikie świnie - wtrącił się Jack Lang. - I sarny. Spodziewam się, że Thorn nie będzie miał nic przeciwko zabranii was na całonocny biwak, jeśli się nie boicie.

- Oczywiście, że nie! - zachwycił się Richard. - Zabrałem z sobą namiot...

- Mam mnóstwo namiotów - odparł Thorn powoli, beznamiętnie. Wszystko coraz bardziej szło po jego myśli. - Jak długo tu będziecie?

- Mam nadzieję, że całkiem długo - odparła Trilby ze złością.

- Tylko tydzień lub coś koło tego, kochana staruszko - westchnął Richard. - Przykro mi, ale mój kuzyn, książę Lancaster, zaprosił mnie w odwiedziny do swojego zamku w Szkocji.

- Och, Richardzie, ależ ty jesteś snobem! - zganiła go Julie. - Naprawdę nie przystoi dżentelmenowi wspominać o czymś takim, kiedy dopiero co wysiadł z pociągu.

- Przepraszam - powiedział, uśmiechając się do niej głupkowato.

Nie uszedł uwagi Trilby błysk w oczach Julie. Thornowi też nie.

Wyprostował się w siodle, wysoki i elegancki nawet w roboczym ubraniu. Ochraniacze nie zdołały ukryć twardych, potężnych mięśni jego nóg. Julie przyglądała się im spod rzęs. Trilby zauważyła to i poczuła dziwną złość.

- Będę więc z wami w kontakcie. Trzymaj się głównej drogi, Jack - ostrzegł ojca Trilby. - Będziemy w pobliżu, dopóki nie dotrzecie do domu. Zagwiźdź, jeśli będziesz nas potrzebował.

- Mam ze sobą strzelbę - odparł Jack.

Thorn skinął głową. Własną broń miał przy boku i była ona doskonale widoczna w starym, czarnym olstrze.

- Panie Vance, czy to rzeczywiście konieczne, by w miejscu publicznym nosić broń? -

zapytała z ciekawością Julie.

Jego piękna, szczupła dłoń dotknęła wytartej kolby. Miał długie palce o nienagannie płaskich paznokciach.

- Tak, proszę pani - odparł. - Od wybuchu rewolucji meksykańskiej mieliśmy tutaj sporo kłopotów. W Douglas znajduje się posterunek wojskowy, ale mieszkamy w znacznej odległości od miasta. Czasami musimy polegać na sobie.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że Meksykanie naprawdę do was strzelają? - zapytała przerażona Julie.

Thorn uniósł jedną brew.

- Właśnie to chcę powiedzieć. Jack was uświadomił, że teraz nie jest całkiem bezpiecznie jeździć po okolicy bez eskorty ani też zbytnio oddalać się od domu, chyba że będzie wam towarzyszył jakiś mężczyzna. Nie zaszkodzi przedsięwziąć pewnych środków ostrożności.

- Zadbamy o to, by dziewczęta zbytnio się nie oddalały.

Dzięki, Thorn - rzucił Jack.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Dotknął palcami szerokiego randa kapelusza, w cieniu którego kryły się jego oczy. - Życzę przyjemnego dnia. Miło mi było was poznać.

Krótkim skinieniem głowy dał znak swoim ludziom, przyłożył ostrogi do boków konia i popędził przed nimi traktem biegnącym równoległe do drogi. Jechał tak, jak robił wszystko - z wdziękiem i klasą. Wzrok Trilby niechętnie podążał za nim.

- Och, Boże, ależ on jeździ! - powiedziała z entuzjazmem Julie. - Ten wasz sąsiad jest bardzo przystojny.

- Jest wdowcem - objaśnił ją Jack.

- Tak, i ma słabość do Trilby - zachichotał Teddy.

Trilby zarumieniała się.

- Uspokój się, Teddy! - krzyknęła.

- Sprawia wrażenie dość nieokrzesanego - zauważył chłodno Richard. - A ci ludzie... niektórzy z nich byli Meksykanami i aż mnie dreszcz przechodzi, kiedy sobie pomyślę, że ci Apacze nocą poruszają się swobodnie po okolicy. - On mieszka z dzikusami, prawda?

- Tak... cóż - odparł sztywno Jack, poczuwając się do obrony Thorny. - Kiedyś to była ich ziemia.

- Nic nie potrafili tu zrobić - zauważył wyniośle Richard. - Tacy zacofani ludzie! Jak to wszystko znosisz, Trilby? - zapytał.

Było to pierwsze pytanie, jakie jej bezpośrednio zadał.

Trilby aż się rozpromieniała.

- Jest tu zupełnie inaczej niż w domu - przyznała mu rację. - Strasznie za nim tęsknię.

- Nie dziwię się - powiedział Richard.

Sissy i Ben stali trochę z boku.

- Dlaczego drżysz? - zapytał szeptem brat. - Oboje wiemy, że zafascynował cię szlachetny czerwonoskóry.

- Ten konkretny czerwonoskóry jest prawdziwą zagadką - odparła spokojnie. - Czy zauważyłeś, jak jego oczy zablęskły, kiedy pan Vance do niego przemówił? Mogę się założyć nie wiem o co, że to wszystko była gra. Nie sądzę, by był głupi. Uważam, że się z nami bawił.

- Sissy, większość Indian dość istotnie różni się od profesorów college'u - zauważył łagodnie brat.

- Większość tak. Ale ten... - Zagryzła dolną wargę. - Ben, czyż nie był wspaniały? - zapytała cicho. - Nigdy nie widziałam nikogo takiego jak on.

- Uważaj - ostrzegł ją. - Panują tutaj podziały rasowe.

Nie próbuj ich pokonać. Wiesz, jaki jest Richard.

- Nic mnie nie obchodzi Richard - odparła. - Chcę się więcej dowiedzieć o pomocniku pana Vance'a.

- Bądź ostrożna, dobrze?

- Słyszeliście, co ten czerwonoskóry powiedział o Sissy?

- mruknął nagle Richard. Spojrzał na nią. - Taka zniewaga!

- Nie mogę w to uwierzyć! - krzyknęła Sissy. - To mój profesor antropologii! Doktor McCollum!

Trilby roześmiała się.

- Nigdy nic o tym nie mówiłaś! Nie napisałaś o tym w żadnym z listów!

- Zachowywałam to na spotkanie z tobą - wybrnęła zręcznie Sissy. - Jak to wspaniale, że tu przyjechałam!

- I ja się cieszę, że tu jesteś - dodała Trilby. Spojrzała na Richarda, ale ten zajęty był pokazywaniem Julie miejscowego kolorytu.

- Pan Vance jest całkiem przystojny, prawda? - zapytała Sissy.

- Lepiej uważaj, Trilby, bo Sissy odbije ci miejscowego adoratora. - Julie zaśmiała się miło, popatrując z ukosa na Richarda, który stał ze zmarszczonym czołem. - Przypuszczam, że jest dość dziki, prawda? Życie pośród Meksykanów i Indian zapewne sprawia, iż człowiek robi się szorstki.

Trilby wyglądała, jakby miała mdłości, co zresztą było prawdą. Julie bardzo dobrze pokazywała, o co jej chodzi.

- Richard jest jej i nie pozwoli Trilby zbliżyć się do niego nawet na krok. Jeżeli nawet Richard widział tę postawę posiadaczki, wcale mu to nie przeszkadzało. Uśmiechnął się do Julie pobłażliwie.

Nie mówiąc ani słowa więcej Trilby ruszyła z powrotem do samochodu. Tak czy owak, nie wiedziała, co powiedzieć.

Richard z nagłą konsternacją zauważył jej ciche odejście.

Zaczął coś mówić, ale przeszkodził mu Jack Lang, popychając Teda i Mary w stronę samochodu. Znowu ruszyli.

Ryk silnika zagłuszył dalszą rozmowę.

Kilka mil od Los Santos mała rodzina meksykańskich peonów przyjmowała jednego z oficerów Madero. Pokryta strzechą chatka z wypalanej na słońcu cegły była pusta, jeśli nie brać pod uwagę nielicznych kurczaków drapiących klepisko. Mały ogień oświetlał ponure wnętrze, gdzie żona peona piekła tortille z niewielkiej ilości mąki, jaką przywiózł im poplecznik Madero.

- *Muchas gracias* - mruknął wysoki, młody mężczyzna, kiedy na tortille położono mu łyżkę fasoli. Miał się na baczności, by nie obrazić tych ludzi, odmawiając przyjęcia poczęstunku. Nic nie mieli, byli jednak dumni. Odmówienie przyjęcia ich cennego pożywienia oznaczało niewybaczalną zniewagę.

- Jesteśmy szczęśliwi, że możemy cię gościć - powiedział z zapałem peon. - To właśnie dla takich ludzi jak my walczysz z *federales*.

- Pewnego dnia zwyciężymy, *amigo* - odparł z żarem człowiek Madero. - Walczymy o słuszną sprawę. Odzyskamy ziemię, którą naszemu ludowi zabrali ci podli Hiszpanie. Każemy tym psom zapłacić za krzywdy, jakie wyrządzili Meksykowi.

- *Si* - przytaknął peon z ogniem w oczach.

- A teraz powiedz mi, jakie są wieści.

- Powiadają, że na rancho Blackwater Springs przyjechała w odwiedziny grupa *gringos*. Zamożni z bogatych miast na Wschodzie.

Oficer skinął głową i w zamyśleniu zmarszczył brwi.

- Nie są tacy jak ten gringo, który ostatnio odwiedził patrona z Los Santos? Uczony człowiek bez pieniędzy?

- No, *senor* - gwałtownie zaprotestował peon. Ci *gringos* mają dużo pieniędzy. *Mucho dinero*. Mój przyjaciel Juan pracuje na rancho Blackwater Springs. Mówi, że na własne oczy widział banknoty i złote monety.

- A, to interesujące - odparł gość. - Zabiorę ze sobą do Meksyku te wiadomości. A następnym razem - dodał, uśmiechając się i wstając - będzie więcej mąki. Może nawet trochę

kawy.

- *Senor* - zaszlochała kobieta, przyklękając, by pocałować go w rękę - dziękujemy ci w imię Najświętszej Dziewicy za twoją dobroć. W moich modlitwach co noc będę prosiła Najświętszą Panienkę, by się za tobą wstawiła i baczyła na twoje bezpieczeństwo.

- I za wszystkich naszych ludzi - dodał z powagą mężczyzna. - To niesprawiedliwe, że my mamy tak mało, a oni tak wiele i chcą mieć jeszcze więcej. A co *federales* zrobili z chłopami? Odzyskamy naszą ziemię! Nakarmimy głodnych i odbierzemy to, co zabrali nam najeźdźcy. Każemy im zapłacić za popełnione na nas zbrodnie, przysięgam! - powiedział ochryplym głosem.

Przypomniawszy sobie sceny, które przyprawiły go o mdłości, okrucieństwa, jakich dopuszczali się *federales*, wspierający rząd Diaza. Mieli wśród peonów fatalną reputację.

Torturowali niewinnych, zabijali kobiety i dzieci, wszystko w imię rządu w Meksyku. Rząd, pomyślał ze złością, a jego pełne współczucia oczy omiotły nędzne wnętrza chaty.

Rząd, który pozwalał, by biedni głodowali, i który usiłował zabrać im nawet to, co jeszcze mieli, nie był rządem ludu.

Trzeba coś zrobić.

- *Vaya con Dios, mis amigos* - powiedział, zdejmując kapelusz. - Zawiozę wiadomości, które mi przekazaliście, do naszego przyjaciela, Francisca Madero. *Adios!*

Richard sztywno chodził wokół domu Langów, starając się rozruszać obolałe członki. Julie położyła się, wraz z Sissy, ponieważ obie nie mogły znieść upału. Ben i Ted poszli do baraków, by słuchać jeżących włosów na głowie opowieści o dawnym Zachodzie opowiadanych przez starego teksańskiego żołnierza o nazwisku Torrance.

Jego nie interesowały takie rzeczy. Polował, ale nie miał czasu na bajeczki bezużytecznych staruszków.

Trilby była w kuchni z matką i piekła herbatniki. Oparł się ramieniem o framugę drzwi i przyglądał się im, a jego niebieskie oczy ze spokojem i ciekawością spoczęły na Trilby. Zmieniła się, odkąd widział ją ostatni raz. Nadal nie była zbyt piękna, ale za to naprawdę słodka. Julie czasami denerwowała go swoim ostrym językiem i bezpośrednim zachowaniem. Trilby stanowiła jej całkowite przeciwieństwo. W jakiś sposób sprawiała, że przy niej czuł się wyższy. Podobało mu się uczucie, jakie wywoływało w nim jej milczące uwielbienie. Brakowało mu tego.

- Bardzo zajęta, prawda? - zapytał żartobliwym tonem.

Trilby zaczerwieniła się i ręce jej zadrżały, kiedy wszedł do kuchni. Roześmiała się nerwowo.

- Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że odpoczywasz.

- Odpoczywanie to zajęcie dla dam. Całkiem już przyszedłem do siebie po podróży, trochę tylko bolą mnie mięśnie.

Czy wiesz, że niektórzy pasażerowie myśleli, że Meksykanie naprawdę mogą napaść na pociąg? Wyobrażasz sobie?

- Nie jest to tak nieprawdopodobne, jak ci się może wydawać - przerwała mu Mary, po czym opowiedziała o ostatnim incydencie w Meksyku, w czasie którego strzelano do pociągu Północnozachodniej Kolei Meksykańskiej i kilku pasażerów zostało zabitych.

- Zabitych? - zdziwił się Richard.

- Tak, w istocie - odparła Mary. - W całym Meksyku doszło do zamieszek i strzelaniny, zwłaszcza w Chihuahua.

Amerykańskie oddziały zostały wysłane do Teksasu w celu patrolowania granicy i mówi się, że tysiące powstańców gromadzi się w pobliżu Chihuahua, sposobiąc się do ataku.

- I najechano na rancho Madero w pobliżu Laredo - dodała Trilby. - Zbiegł, ale pojmano wiele jego koni.

- Wszędzie mówi się o wojnie - powiedziała zmartwiona Mary. - Naprawdę mam nadzieję, że z tego powodu nie dojdzie do wojny z Meksykiem. - Potrzęsła głową, wylewając do rondla puszkowaną fasolę i polewając ją wodą z sagana. Ostrożnie umieściła rondel na opalanym drewnem piecu, przykryła go pokrywką i fartuchem otarła twarz. - Naprawdę, gorąc w tej kuchni jest porażający. Trilby, zaprowadź Richarda na ganek i pokaż mu huśtawkę. Jestem pewna, że upał nigdy nie zelżeje, nawet na jesieni.

- Tam jest straszny kurz - powiedział Richard. - Wolałbym pójść do salonu. Czy dostaniemy jakiś podwieczorek?

To był długi dzień.

- Oczywiście - powiedziała Mary, uśmiechając się blado.

Wyraz dezaprobaty w oczach matki, choć szybko znikł, nie uszedł uwagi Trilby. Richardowi z całą pewnością tu się nie spodoba. Z minuty na minutę stawało się to coraz bardziej oczywiste.

Przeszli do salonu. Richard z obrzydzeniem spojrział na sofę. Była zakurzona.

- Jest rzeczą niemożliwą uchronić się przed kurzem - Trilby poczuła się zmuszona to powiedzieć. - Przepraszam...

- Ta przekłeta pustynia - rzucił, potrząsając głową. - Jak to się stało, że tu skończyłaś, Trilby? Zestarzejesz się tu przedwcześnie. A tutejsze towarzystwo... Ten facet Vance i jego niecywilizowani towarzysze. Mój Boże!

Trilby nie potrafiła bronić Thorna Vance'a, chociaż tak naprawdę musiała oprzeć się

pokusie, by tego nie zrobić.

To dziwne, jak ją raniło słuchanie o nim niepochlebnych słów, kiedy tak bardzo zaszargał jej własną reputację.

Chociaż ostatnio był inny. Niemal... czuły.

Przyglądała się, jak Richard z grymasem obrzydzenia opadł na sofę. Oparł o nią swą zgrabnie obutą stopę, nie bacząc na jej wiekowość i cenne obicie.

Bawiła się spódnicą swej zwyczajnej kretonowej sukienki w brązowo - białą kratkę, w którą przebrała się po powrocie ze stacji. Blond włosy opadały jej na ramiona, a przed chwilą uszczypnęła się w policzki i wargi, by stały się bardziej różowe. Nadal jednak, niestety, była nieatrakcyjna. Richard z pewnością porówna ją z Julie i dojdzie do wniosku, że sporo jej brakuje.

- Julie strasznie się tu nie podoba - powiedział ziewając dyskretnie. - I nie sądzę, by Sissy dużo dłużej wytrzymała.

Czy widziałaś wyraz jej twarzy, kiedy Indianin uśmiechnął się do niej?

- Uważam, że nie doceniasz Sissy - odparła, czując nagły przypływ oburzenia. - Nie jest tchórzem. A jeśli uczy się o Indianach na kursach antropologii...

- Jest małą głupią gąską zupełnie pozbawioną rozumu.

Oczy Trilby zapłonęły.

- Jest przecież bardzo wykształcona, a jeśli znajduje się w swoim żywiole, potrafi być bardzo opanowana. Dziki Zachód nie dla wszystkich jest ulubionym miejscem.

- Moja biedna, z pewnością nie jest twoim. Wyglądasz nędznie, Trilby - powiedział w zamyśleniu. - Mizerna, blada, same kości. Uważam, że powinnaś wrócić z nami na Wschód.

Rozpromieniła się.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście! Znajdziesz przecież kogoś, u kogo mogłabyś mieszkać, prawda?

Zachowywał się tak, jakby było mu całkowicie obojętne czy ma, czy nie ma gdzie się podziać. Mina jej zrzędła. Tak wiele sobie obiecywała, a tak niewiele otrzymała. Uśmiechnęła się, jakby nie miało to wielkiego znaczenia, i wróciła do kuchni, żeby pomóc Mary. Wymarzone odwiedziny stawały się koszmarnie, a przecież Richard na razie spędził pod ich dachem zaledwie jeden dzień.

Pomyślała, że nie może być już gorzej, ale to nie była prawda. Richarda irytowało wszystko, począwszy od sypialni i braku wygod w domu, a skończywszy na przynoszonej ze studni wody, którą trzeba było grzać na piecu na kąpiel.

Po prostu musiał się codziennie kąpać, a kiedy Jack wspomniał, że woda jest tu cennym

towarem, tylko się roześmiał.

Ben był mniej drażniący. Spędzał większość czasu z Teddym i Mosbym Torrance'em i kowbojami, ucząc się, jak wypasa się bydło. Ku ogólnemu zaskoczeniu poczuł się przy koniach jak ryba w wodzie i w ciągu dwóch dni umiał już jeździć konno jak tubylec. Ubrał się nawet w kowbojski strój i nosił go z taką naturalnością, że jeden z Meksykanów stwierdził, iż już przynależy do rancza. Kiedy nie jeździł konno, siadywał z Teddym i z pochlebającym zainteresowaniem słuchał opowieści Torrance'a o szalonych dawnych dniach. Torrance natychmiast poczuł do niego sympatię, która wydawała się wzajemna.

Sissy przywarła do Trilby jak klej i jakoś wszelkie rozmowy o Richardzie stały się niezręczne. Nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ Julie - jeśli nie spała - wisiła u jego ramienia.

- Indianie na pewno nie zaatakują - Trilby zapewniała Sissy. - Musisz się odprężyć i przestać wypatrywać wojowniczych wypadów.

Sissy westchnęła i skrzywiła się.

- Czy rzeczywiście takie sprawiam wrażenie? Nie boję się wojowniczych wypadów - powiedziała, chociaż nie mogła się przyznać, że wypatruje tylko jednego Apacza, który ją zafascynował. To głupi pomysł, żeby on miał jej szukać.

Z ciemnymi włosami upiętymi w kok, w skromnej bluzce, długiej spódnicy i sznurowanych bucikach, Sissy wyglądała jak prawdziwa dama. Nawet okulary nie szpeciły jej ładnej twarzy i wielkich zielonych oczu. A kiedy się uśmiechała, była śliczna. Jednakże odkąd przyjechała, stała się dziwnie milcząca. Nie była już tą gadatliwą, entuzjastyczną towarzyszką, którą Trilby знаła z dzieciństwa. Wydawała się zajęta własnymi myślami.

- Mam wrażenie, że Julie dobrze się bawi - odważyła się powiedzieć Trilby, patrząc przez otwarte drzwi do hallu, jak gra z Richardem w warcaby.

- Ma bzika na punkcie Richarda - stwierdziła ze smutkiem Sissy. - Przykro mi. Wiem, że miałaś do niego słabość.

Ale oni są do siebie bardzo podobni, nie widzisz tego?

- Chyba tak. - Nie chciała, by to było prawdą. Czuła się podle.

Sissy objęła ją pod wpływem impulsu.

- Nie martw się, bo dostaniesz od tego zmarszczek.

Wiesz, wszystko będzie tak, jak ma być - dodała łagodnie.

Trilby odwzajemniła jej uścisk.

- Jest mi tak źle. Czy to widać? Myślałam, że za mną tęskni, ale to nieprawda. Nic się nie zmieniło. A ja zbyt długo śniłam na jawie. On szaleje na punkcie Julie.

- Wiem. Chciałam ci o tym napisać, ale nie mogłam.

Może te odwiedziny naprawdę czemuś się przysłużą. Kocham mojego brata, ale on nie zasługuje na kogoś takiego jak ty, moja przyjaciółko - powiedziała z powagą Sissy. - Do pięć nie dorasta Benowi.

Trilby roześmiała się cicho.

- Mój rozum to wie, ale moje serce nie chce tego słuchać.

Kochałam go od dzieciństwa.

- Nie za bardzo znam się na miłości - mruknęła Sissy, wbijając wzrok w horyzont. - Nie sądzę, by jakiś mężczyzna kiedykolwiek się we mnie zakochał. No i tym lepiej - powiedziała szybko, nim Trilby zdążyła zaprotestować. - Nie sądzę, bym tak naprawdę nadawała się do roli gospodyni i matki. Jestem zbyt dziwna. Trilby, czy sądzisz, że mogłybyśmy pojechać zobaczyć góry? - zapytała zniechęcona.

- Po prostu marzę o tym, żeby zobaczyć starożytne ruiny.

Dawno temu te tereny zamieszkiwali Indianie Hohokamowie, jak twierdzi doktor McCollum.

- I pomyśleć, że twój doktor McCollum jest przyjacielem Thorna Vance'a. Wydaje mi się, że wiele wie na temat tych okolic - powiedziała Trilby.

- Rzeczywiście tak jest, ale niewiele nam mówi o Apaczach - dodała Sissy z dziwnym grymasem. - Przypominam sobie, jak jacyś studenci mówili o pewnym Apaczu, którego McCollum wspomniał na wykładzie, ale tego dnia byłam chora, a notatki, które pożyczyłam, nic o nim nie wzmiankowały. - Spojrzała na Trilby. - Tutaj musi być wiele śladów przeszłości. Okolica jest ich pełna.

- Tak. Wydaje mi się, że moglibyśmy udać się na ich poszukiwanie. Zapytam tatę.

- Dziękuję - odparła Sissy. - To byłoby cudowne. Czy rzeczywiście pojedziemy na polowanie? Nie chciałabym do niczego strzelać...

- Nie będziesz musiała. To coś, co tylko mężczyznom sprawi przyjemność. Ale nocowanie pod namiotami będzie frajdą, prawda? - zapytała Trilby. - Często się zastanawiałam, jak to jest. Nigdy nie miałam okazji tego sprawdzić.

Ale kiedy wy wszyscy będziecie przy mnie, nie sądzę, by było to zbyt niebezpieczne.

- Z pewnością nie - przytaknęła z uśmiechem Sissy. - Co za wspaniały pomysł. Trilby, tak się cieszę, że nie mam teraz zajęć i mogłam tu przyjechać.

- Ja także się z tego cieszę - powiedziała przyjaciółce.

Jednak jej smutne oczy ani na chwilę nie przestały patrzeć na Julie i Richarda. - Będziesz mogła chodzić na zajęcia w drugim półroczu.

Richard usłyszał głos Trilby i wyczuł jej badawczy wzrok. Sprawiało mu przyjemność, że jest centrum zainteresowania w zacięłym boju pomiędzy nieśmiałą, małą Trilby a wyrafinowaną Julie. Podniósł wzrok i napotkał wzrok Trilby. Uśmiechnął się z wolna. Zarumieniła się, a on roześmiał się w głos.

- Coś cię bawi? - zapytała zaciekawiona Julie.

- Cóż, ta gra bardzo mnie ożywia - odparł.

Ale tak naprawdę nie mówił o warcabach.

8

Lisa Morris denerwowała się widząc znaczące spojrzenia i pełne litości miny żon innych oficerów. Przywykła do wojskowego życia, gdyż wychowała się w koszarach. Przywykła nawet do zdrad swojego męża. Nigdy jednak przedtem nie zachowywał się na tyle ostentacyjnie, by jego romans stał się publiczną tajemnicą.

Mogła to wytłumaczyć jedynie w ten sposób, że może tym razem rzeczywiście się zakochał. Jeśli tak jest w istocie, to będzie zadowolony, że żona chce się z nim rozwieść.

Musi mu o tym powiedzieć i to wkrótce.

Była tak zatopiona w myślach, że wpadła na wysokiego mężczyznę w mundurze koloru khaki.

- Spokojnie, pani Morris - zabrzmiał nad jej głową gruby, burkliwy głos. Silne, pewne dłonie chwyciły ją za ramiona... i równie szybko wypuściły je, gdy tylko złapała równowagę.

Spojrzała w górę w niewiarygodnie błękitne oczy wojskowego lekarza, doktora Todda Powella. Kapitan był zupełnie odmiennym typem mężczyzny niż jej mąż. Był tak surowy, że żaden z żołnierzy w garnizonie nigdy nie udawał choroby, by się wymigać od nieprzyjemnych obowiązków.

Miał bardzo wybuchowy temperament i potrafił być złośliwy, kiedy coś go zdenerwowało. Zdarzało mu się też wypić za dużo.

Jednakże dla Lisy zawsze był miły. Kiedy straciła dziecko, a jej mąż wyjechał na manewry, Todd Powell przez całą długą noc siedział przy jej łóżku, gdy na zmianę płakała i spała. To Todd pochował maleńkie niemowlę. To Todd z nią rozmawiał, słuchał jej i w końcu zmusił ją do powrotu do życia. Może inni się go bali, ale Lisa zawsze czuła dla niego dziwną czułość.

Teraz też pojawiła się w jej łagodnych oczach, kiedy uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję, kapitanie Powell - powiedziała cicho. - Przepraszam, zamyśliłam się nad czymś.

Popatrzył na nią uważnie.

- Zapewne nad ostatnim romansem pani męża? - zapytał bez ogródek.

Zarumieniła się.

- Nie powinien pan mówić mi takich rzeczy.

- Ktoś musi przemówić pani wreszcie do rozumu. Jak długo zamierza pani pokornie znosić oburzające zachowanie męża? Musiały dotrzeć do pani plotki.

- Oczywiście, że tak - zawahała się, rozglądając się wokół, by się upewnić, że w zasięgu jej

głosu nie ma nikogo.

- Ja... wniosłam o rozwód. Nie mam pojęcia, dokąd mam się udać...

Jego twarz złagodniała. Popatrzył na nią przyjaźnie.

- Ale ja mam. - Wziął ją pod ramię i poprowadził z powrotem tam, skąd przyszła, w stronę samochodu. - Proszę iść ze mną.

- Kapitanie Powell! - zaprotestowała.

- Powinna pani kogoś poznać - powiedział. Pomógł jej wsiąść i sam zajął miejsce obok. Z pewną trudnością uruchomił silnik, cały czas mamrocząc coś ze zniecierpliwieniem.

Z przyjemnością poczuła powiew wiatru na twarzy. Przestała się martwić, że wywoła następne plotki. Doktor Powell tak potrafił wziąć wszystko w swoje ręce, że poczuła się, jakby unosiła ją jakaś łagodna fala. Uśmiechnęła się, gdy dotarło do niej, że tym razem to nią ktoś się zajmuje.

Większość życia spędziła zajmując się ojcem, a potem Davidem. To miłe być traktowaną z taką troską.

Nie jechali daleko, zaledwie do małej osady za fortem, w pobliżu małego miasteczka Courtland.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział i poprowadził ją do schludnego białego domku stojącego pośród kilku innych otaczających maleńki budynek poczty. Zapukał do drzwi; uśmiechnął się, zdejmując kapelusz, kiedy otworzyła je szczupła starsza kobieta.

- Witaj, Todd - pozdrowiła go. - Kto to jest?

- Ta pani już niebawem będzie potrzebowała jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać - odparł Todd. - Czy ten pokój do wynajęcia jest nadal wolny?

- Oczywiście - odparła uprzejmie gospodyni. - Jestem pani Moyer. A pani może mi pomagać w zamian za utrzymanie, jeśli pani tego potrzebuje.

- Pani mnie nie zna... - zaczęła Lisa.

- Znam Todda - odparła pani Moyer. - Wystarczy mi jego opinia o pani.

- Jeszcze nie jestem całkiem gotowa... - powiedziała niepewnie Lisa.

- Kiedy tylko pani będzie, ma pani tu pokój - rzekła pani Moyer. - Może wejdziecie i napijecie się herbaty?

- Żałuję, że nie mamy na to czasu - podziękował uprzejmie Todd. - Może następnym razem.

- Będę tego oczekiwać. Do widzenia, moi drodzy.

Nie przedstawił nas pan sobie - zauważyła Lisa, kiedy Todd otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Nie byłoby to rozsądne. - Przez długą chwilę jego błękitne oczy z napięciem wpatrywały się w nią. - Jest pani za chuda - powiedział krótko - ale nadal śliczna.

Zakręciło jej się w głowie. Nigdy żaden mężczyzna nie patrzył na nią w taki sposób jak kapitan Powell. Sprawiał, że miała świadomość swoich ud i dolnej części brzucha.

W całym ciele czuła mrowienie. Nawet w najbardziej intymnych momentach przy Davidzie nigdy nie czuła takiej przyjemności.

Todd odchrząknął.

- Powinniśmy chyba wracać szybko do fortu.

- Tak, tak, oczywiście.

Wsiadła. Kiedy ujął ją pod łokieć, żeby jej pomóc przy wsiadaniu, zbyt długo go przytrzymał. Spojrzała na doktora i jej całe ciało ogarnął ogień. Todd był wysoki i postawny, ale nie gruby. Miał ręce wielkości bochnów chleba i twarz o nieregularnych rysach, którą trudno by było uznać za przystojną. Jego gęste czarne włosy były proste, niesforne i opadały na szerokie, spocone czoło. Miał gęste brwi i ogromny nos. Nie był przystojny. Ale miał usta, które pragnęła całować, i w panice musiała odwrócić od nich wzrok.

- Niech pani uważa na spódnicę - powiedział krótko.

Zatrzasnął drzwi i obszedł samochód. Patrzyła za nim z niepewnością i tęsknotą. Bała się pozwolić sobie na to, by jej na nim zależało. Był dla niej tylko miły.

Wiedział, co to znaczy cierpieć. Wiele lat temu jego żona i syn zostali zabici. Kiedy sobie to przypominał, pił. Opowiedział jej o tym, kiedy leżała obolała i zrozpaczona po stracie dziecka. Powiedział jej wówczas, że wie, co to znaczy stracić dziecko. Opowiedział jej o powstaniu Apaczów, w trakcie którego poniosła śmierć jego rodzina, o własnym bólu. Powiedział jej, że wcześniej z nikim o tym nie rozmawiał.

Była to chwila poza czasem, która później wprawiała ich w zakłopotanie. Starali się zapomnieć o uczuciu bliskości i nigdy nie wspominali o tym incydencie. Jednakże mimo to istniało pomiędzy nimi jakieś porozumienie, które z dnia na dzień stawało się coraz silniejsze. Obserwował ją, kiedy opuszczała koszary męża, tak samo jak ona obserwowała jego, kiedy na nią nie patrzył. Próbowała tego nie robić.

Była kobietą z zasadami, a kapitan Powell był mężczyzną z zasadami. Gdyby jednak nie była mężatką... Och, gdyby!

Wrócili do fortu nie dostrzeżeni przez żadne wścibskie oczy.

Dziękuję - rzekła z wahaniem. - To miło wiedzieć, że będę miała dach nad głową, gdybym go potrzebowała.

- Wie pani dobrze, że on się nie powstrzyma - powiedział spokojnie. - Najwyżej może się

pani spodziewać, że z czasem sprawa jeszcze się pogorszy. On jest lekkomyślny, a ona jest w nim bardzo zakochana. Nie jest zła - dodał burkliwie. - To dosyć miła kobieta i nie taka, która uganiałaby się za żonatym mężczyzną. To on, a nie ona, uczynił pierwszy krok.

- Rozumiem - odparła. Badawczo popatrzyła mu w oczy.

- Zna ją pan?

Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Słyszałem o niej. Jej rodzina jest biedna, ale uczciwa.

Nie aprobują tego, ale ona jest młoda.

Przestąpiła z nogi na nogę.

- Może on też jest zakochany - powiedziała spokojnie.

- To by wyjaśniało jego zachowanie w ostatnich czasach. - Podniosła wzrok. - Dziękuję za pomoc.

Zacisnęła szczęki.

- To żadna zasługa pomagać komuś w potrzebie. Życzę miłego dnia, pani Morris.

Patrzyła, jak idzie do swego gabinetu, z rękami założonymi do tyłu w charakterystyczny dla siebie sposób. Sprawiał wrażenie smutnego i samotnego, a jej było przykro, że jest sam. Tak naprawdę ona także była sama. Postanowiła, że dziś wieczór powie Davidowi o rozwodzie. Odkładanie tego na później niczemu nie służy...

Zdażyła zaledwie postawić kolację na stole, kiedy trzasnęły frontowe drzwi, a w kuchni, gdzie zdejmowała z pieca dzbanek z kawą, rozległy się ciężkie kroki.

- Kapitan Arthur powiedział mi, że pojechałaś gdzieś z kapitanem Powellem - rzucił David z wściekłością; był purpurowy.

Bardzo spokojnie odwróciła się do niego.

- Cóż, tak, rzeczywiście - odparła. - Twoja kolacja jest na stole.

Przez chwilę się nie odzywał. Widziała niemalże, jak pracuje jego mózg - próbował zdecydować, jak się zachować w obliczu jej nowego, dziwnego zachowania.

- Dlaczego jeździłaś z wojskowym lekarzem?

- Ponieważ wiedział coś o pokoju do wynajęcia - odparła; patrzyła na niego nieruchomymi oczami, niczym jadowity wąż gotujący się do ataku. W niesłychany sposób zmieniło to jej wygląd. Ze spokojnej szarej myszki nagle przemieniła się w niezależną kobietę, która wie, czego chce. Nawet jej postawa była inna.

- To źle wygląda, kiedy ludzie widują ciebie w towarzystwie innego mężczyzny... - zaczął.

- Czy wygląda lepiej, kiedy widują ciebie z inną kobietą? - zapytała spokojnie.

Zaczerwienił się.

- Selina to nie twoja sprawa - rzucił.

- To sprawa całego fortu. A może nie wiedziałeś, że żony twoich oficerów z rozkoszą mi to uświadamiają? - zapytała.

Z irytacją przeczesał palcami gęste jasne włosy i widać było, że czuje się niezręcznie.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy - powiedział powoli.

- To nie ma znaczenia, Davidzie. Już nie. Poszłam do adwokata - powiedziała. - Rozwodzę się z tobą.

Sprawiał wrażenie całkowicie oszołomionego. Patrzył na nią z otwartymi ustami.

- Roz... co! - wybuchnął. - Jak śmiesz?

Mocno zacisnęła pięści.

- Tak będzie lepiej... Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Jeśli naprawdę kochasz tę dziewczynę, a ona kocha ciebie...

Z zaskoczenia zaniemówił. Przede wszystkim pomyślał o karierze. Rozwód źle będzie o nim świadczył, zwłaszcza że to żona go opuszczała, a nie on ją.

- Musisz wycofać pozew - powiedział lodowato, z niebezpiecznym błyskiem w oku.

- Nie zrobię tego! Davidzie, oboje wiemy, że ożeniłeś się ze mną jedynie ze względu na moją pozycję. Przez lata zdradzałeś mnie z każdą kobietą, która ci się spodobała.

Ale ten ostatni afront jest nie do zniesienia. Uczyniłeś ze mnie pośmiewisko. Rozwodzę się z tobą. I nic, co powiesz czy zrobisz, nie powstrzyma mnie przed tym!

Stracił głowę. Bez namysłu, w strachu przed upokorzeniem, na jakie chciała go narazić, podniósł rękę i z całej siły uderzył ją w twarz. Lisa zachwiała się i upadła na rozgrzany piec.

Krzyknęła i odskoczyła, bo jej biodro poraził niesamowity ból; po chwili zobaczyła że materiał sukienki ogarniają płomienie. Próbowwała zdusić je dłońmi, desperacko walcząc z prawdziwymi płomieniami, w strachu i bólu zapominając o palącym policzku.

Przez chwilę David stał jak wryty, po czym szybko złapał wiadro wody stojące na kuchennym stole i wylał jego zawartość na suknię żony. Ogień zgasł, ale Lisa była poważnie poparzona. Przez poczerńiałą dziurę w sukni David zobaczył czerwoną skórę biodra i boku.

- Liso, wybacz mi, nie chciałem... - powiedział ochrypłym głosem.

Łkając z bólu, uderzyła go po rękach i odepchnęła. Robiło jej się coraz bardziej słabo. Po chwili ból stał się nie do zniesienia. David nagle zamazał się jej przed oczami i Lisa zapadła w czarną otchłań.

Kiedy obudziła się w wojskowym szpitalu, pochylał się nad nią Todd Powell.

W jego niebieskich oczach często pojawiał się zimny cyniczny wyraz, a bezpośredniość doktora i sposób nazywania rzeczy po imieniu zrażały prawie każdego. Żołnierze bali się go

prawie tak bardzo, jak bali się Indian, co niezmiernie go bawiło.

Teraz stał i patrzył na Lisę. Zmrużył jedno oko, kiedy przyglądał się nie uczesanim włosom i posiniałemu policzkowi kobiety leżącej na szpitalnym łóżku. Za nim stał blady David Morris.

- Pani Morris, dałem pani trochę morfiny dla złagodzenia bólu - rzucił krótko Powell. - Ma pani poważne oparzenia, po których prawdopodobnie pozostanie blizna, ale przeżyje pani.

- Dziękuję - powiedziała sennie.

- Czy mogę ją teraz zabrać do domu? - zapytał David.

Powell odwrócił się i spojrzał na niego.

- Nie.

- Jestem pańskim dowódcą - przypomniał mu David.

- Nie jestem ani ślepy, ani głupi - odparł spokojnie lekarz. - Jedno spojrzenie na ten policzek doskonale wyjaśniło mi ten... wypadek, pułkowniku Morris. Wszystkim nam są znane pana nielegalne związki. Wiem również, że pańska żona wystąpiła o rozwód. Nie wróci do pańskiej kwatery. Chyba że jest panu miła myśl o sędzie wojennym za zachowanie niegodne oficera i dżentelmena, w przeciwnym razie radzę panu nie upierać się przy tym.

- Bierze pan na siebie wielką odpowiedzialność - powiedział ze złością David, ale nie upierał się.

- Jestem tutaj od bardzo dawna, kapitanie - wyjaśnił spokojnie Powell, mierząc go wzrokiem. - Kiedy pan przebywał na Wschodzie, wyrabiając sobie pozycję w waszyngtońskiej socjocie, ja na pustyni wyciągałem groty strzał z ciał żołnierzy, gdy tropiliśmy Geronima w tej zapomnianej przez Boga dziczy.

David zaczerwienił się.

- Doktorze Powell...

- Niech pan idzie do domu, pułkowniku - powiedział Powell szorstko. - Nie jest pan tu potrzebny.

David zawahał się. Rzuciwszy przeciągłe, pełne żalu spojrzenie na twarz Lisy, wyszedł głośno zamykając drzwi.

- Dziękuję - powiedziała sennie.

Wielka, pokryta odciskami dłoń dotknęła jej czoła.

- Proszę spać, pani Morris. Niech pani nic nie mówi.

Zasnęła: Mimo bólu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuła się bezpieczna. Kiedy spała, ponury mężczyzna o dużym nosie i zmęczonych błękitnych oczach siedział obok niej i trzymał ją za rękę. Nie wypuścił jej aż do rana.

Święto Dziękczynienia minęło spokojnie. Kobiety spędziły ten dzień na gotowaniu, a wieczór na zmywaniu. Było to sympatyczne zgromadzenie, ale Trilby nie miała do niego serca. Atencja, jaką Richard otaczał coraz bardziej flirtującą Julie, zniweczyła dla niej świąteczny nastrój.

Sissy nakłoniła przygnębioną Trilby, by pojechała z nią na pustynię, tylko kawałek, do miejsca, gdzie znajdowało się kilka rozproszonych ruin.

- Czy to ruiny siedzib Hohokamów? - zapytała Trilby, kiedy we dwie wysiadły z bryczki i przechadzały się po pokrytej szczątkami naczyń równinie w pobliżu górskiego łańcucha.

- Nie wiem. - Sissy uklęknęła i podniosła kawałek jakiegoś naczynia. - To niewiarygodne - powiedziała z szacunkiem.

- Trilby, czy zdajesz sobie sprawę, że ten mały fragment naczynia został wykonany przez ludzkie istoty być może tysiąc lat temu?

Trilby powachlowała się kapeluszem z szerokim rondem; nosiła też bluzkę i długą spódnicę do konnej jazdy.

Sissy była podobnie ubrana, choć na pustyni było gorąco.

Powietrze wydawało się bardzo suche.

- Szkoda, że nie wzięliśmy samochodu - mruknęła Sissy.

- Uwierz mi, że konie i bryczka to znacznie mniejszy kłopot, ale i tak jestem ci wdzięczna, że powoziłaś w tę stronę.

- Uważam, że całkiem nieźle sobie radzisz jako uczennica - zauważyła Sissy.

Trilby uśmiechnęła się. Dziwiło ją, że znalazła w sobie tyle odwagi, by pojechać z Sissy, ale koń, który ciągnął bryczkę, był bardzo łagodny i nie przerażał jej, a poza tym to nie ona powoziła. Podniosła wzrok, marszcząc brwi. - Sissy, na horyzoncie pojawiły się chmury. Pamiętasz, co ci mówiłam o niebezpieczeństwie suchych burz, nawet wówczas, gdy deszcz jest odległy o mile, i o potwornej powodzi ubiegłego lata?

- Tak, pamiętam - mruknęła Sissy, choć tak naprawdę wcale o tym nie myślała.

- Lepiej wracajmy.

- Przecież dopiero co tu przyjechałyśmy.

- Sissy!

- Posłuchaj, Trilby. Chcę się trochę porozglądać. To mimo wszystko nie jest skała osadowa. Może zabierzesz Richarda z corralu? - dodała z podstępny uśmiechem. - Nie wolno mi teraz przeszkadzać. - Westchnęła teatralnie.

- Będziesz musiała pojechać sama. - Spojrzała na Trilby i uśmiechnęła się szeroko. - Jestem pewna, że serce będzie ci pękać, iż musisz mnie zabrać w drodze powrotnej.

Serce Trilby podskoczyło z radości. Była to okazja, by znaleźć się sam na sam z Richardem, który pojechał z nimi aż do corralu, żeby przyjrzeć się cechowaniu bydła. Dziewczęta tam go zostawiły, obiecując, że wrócą po niego za kilka minut. Sissy wzięła na siebie rolę Amora i Trilby była jej za to wdzięczna. Tyle tylko, że teraz sama będzie musiała powozić bryczką. Nerwowo przyglądała się spokojnemu koniowi - stał w miejscu; lejce leżały na ziemi. Trilby uważała, że takie wytrenowanie zwierzęcia graniczy z cudem.

- Nadal trochę się boję tego konia - powiedziała zmartwionym głosem.

- Lubi cię. Trzaśnij po prostu lejcami, żeby ruszył, i pociągnij je, kiedy będziesz chciała, żeby się zatrzymał. Pójdzie drogą, a z powrotem poprowadzi Richard.

- Cóż... dobrze. Ale nie powinnam zostawiać cię tutaj samej... - powiedziała Trilby.

- Nie bądź niemądra. Jestem całkiem bezpieczna. Mam nawet przy sobie tę brzydką rzecz, którą kazał nam zabrać twój ojciec. - Ostrożnie ujęła pistolet za kolbę, jakby był wężem. - Uch!

- Wracam za parę minut - obiecała Trilby, a oczy rozjaśniły się jej na myśl, że znajdzie się sam na sam z Richardem. - Jesteś taka kochana!

- Wiem - zachichotała Sissy. - Jedź. Daj Julie jakiś powód do zmartwienia.

- Mogła pojechać z nami - mruknęła Trilby.

- I zniszczyć sobie cerę na słońcu? Potworność!

Trilby roześmiała się. Wsiadła do bryczki.

- Zaraz wracam.

- Nie musisz - mruknęła Sissy, zajęta już poszukiwaniem kawałków pradawnych naczyń.

Trilby bezpiecznie dojechała do corralu, ale w drodze powrotnej z wdzięcznością oddała lejce Richardowi. Podskakiwali na wyboistej drodze w przedłużającym się milczeniu. Richard był zgrzany i nie w humorze z powodu upału i odoru piętnowania. W corralu zrobiło mu się niedobrze, autentycznie niedobrze, i niektórzy kowboje śmiali się z niego. Czuł się głupio.

- To miejsce jest ohydne - powiedział z irytacją. - Żałuję, że tu przyjechałem.

Trilby poruszyła się niespokojnie.

- Miałam nadzieję, że te odwiedziny sprawią ci przyjemność, Richardzie - odparła. - Nie jest tak źle, kiedy człowiek już się przyzwyczai.

- Nie mogę się z tym zgodzić. - Jego wzrok omiótł horyzont. - Tu jest jak w piekle, wybacz mi to porównanie. To naprawdę jałowa ziemia.

Trilby spuściła wzrok; Richard dotknął lekko lejcami końskiego zadu, zmuszając zwierzę do szybszego ruchu.

, - Czy zamierzasz ożenić się z Julie, Richardzie?

- Nie wiem - odpowiedział. - Jest ładna i słodka, a jej rodzina ma pieniądze. Z całą pewnością nie byłaby zadowolona mieszkając na środku przekłętej pustyni!

Oczy Trilby napełniły się łzami.

- Och, do licha! Posłuchaj, Trilby, nie mówiłem poważnie. - Richard pociągnął lejce i zatrzymał konia. Dotknął ręką jej zbolącej twarzy. - Przepraszam, małeńka. Naprawdę, naprawdę przepraszam. Trilby...

Uniósł w górę brodę dziewczyny i spojrzał na jej miękkie, drżące usta. Tylko raz je całował, dawno temu, ale teraz wyglądały bardzo kusząco, kiedy jej szare oczy przepełniały łzy. Z łobuzerskim uśmiechem pochylił się i lekko musnął wargami jej usta, po czym przywarł mocniej i przyciągnął Trilby do siebie.

Trilby spodziewała się, że ujrzy wszystkie gwiazdy, jeśli Richard pocałuje ją w ten sposób. Ze zdziwieniem stwierdziła, że w niczym nie przypominało to eksplodującej rozkoszy, jaką w jej ciele rozpalił Thorn. Zraniło ją to i starała się odwzajemnić jego pocałunek, zmuszając się do odczuwania tego, co powinna odczuwać. Kochała go! Oczywiście, że go kochała!

Przejeżdżający konno mężczyzna był tego pewien, kiedy zobaczył, jak się całują. Gotował się z wściekłości, czując się zdradzony. Zawładnęły nim mordercze instynkty.

- Przestań - powiedział spokojnie Naki, wyciągając silną, stanowczą rękę. - To nie jest dobry sposób.

- I to ty mówisz o powściągliwości - rzucił szorstko Thorn, wyszarpując ramię.

- Dla mojego ludu powściągliwość i sprawiedliwy sąd są dobrą kombinacją - powiedział Thornowi. - Pewnego dnia wyrzucimy stąd was, białych, tak jak teraz Meksykanie postanowili postąpić z hiszpańskimi panami, wzniesając rewolucję. Z tym wyjątkiem, że my to zrobimy legalnie, i pokonamy was w waszej własnej grze.

- Powodzenia.

- Kobiety są niestałe - dodał, patrząc jak Trilby wyplątuje się z ramion mężczyzny. - Ta nie pasuje do tutejszego życia.

- Mogłaby spróbować się dostosować - rzucił Thorn przez zęby. Z nasuniętym głęboko na oczy kapeluszem wyglądał bardzo groźnie. - Niech diabli porwą tego dandysa ze Wschodu! Po co tu w ogóle przyjechał? Nawet nie jest mężczyzną. Mój Boże, zwymiotował na widok znakowania bydła!

Naki zachichotał.

- Zauważyłem.

- Wszyscy zauważyli. Co ona w nim widzi?

- Przeszłość - odparł mądrze Naki. - Wspomnienia, jakie w niej żyją. - Spojrzał na swego

przyjaciela. - Jeśli ją chcesz, bierz ją.

- To twoja filozofia, prawda?

Naki wzruszył ramionami.

- Kobiety mojego ludu są silne, niezależne i gwałtowne, bardzo podobne do Meksykanek. Nie lubią słabych mężczyzn. Ta może być taka sama. Możesz wykazać jej słabości tego jasnowłosego mężczyzny i swoją siłę.

- Czasami zadziwiasz mnie wnikliwością. - Podjedźmy do nich i przerwijmy tę wzruszającą scenę.

Naki spojrział na niebo.

- Nadchodzi deszcz. Czy ta chuda kobieta w okularach była z nią, kiedy jechali w tamtą stronę?

Thorn zmarszczył czoło, zastanawiając się, skąd Naki to wie. Thorn widział ich, gdy przejeżdżali w podskakującej bryczce, ale Nakiego nie było wtedy w pobliżu.

- Rzeczywiście była. Jej młodszy brat powiedział mi, że mieli jechać na poszukiwanie jakichś dawnych naczyń.

- Lepiej jej poszukam. Ruiny znajdują się koło skał.

- Sprawiała wrażenie okropnie tobą przerażonej, kiedy zostaliście sobie przedstawieni. Lepiej ja pojedę.

- Ja pojedę - odparł Naki, uśmiechając się łobuzersko.

- Przywiozę ją na ranczo.

- Tylko nie baw się za dobrze.

Naki uniósł brwi.

- Czyż mógłbym się zabawiać wywołując przerażenie białej kobiety?

- Jasne jak diabli, że tak! Pamiętaj tylko, że oni są gośćmi Jacka Langa, a ja chcę jego wody.

- Równie mocno chcesz jego córki, chyba że się mylę.

- Zjeżdżaj stąd - mruknął Thorn.

Naki zachichotał. Zawrócił mustanga i odjechał w stronę ruin.

Trilby odsunęła się od Richarda, kiedy dostrzegła w oddali jeźdźców. Natychmiast zorientowała się, kim są. Rozzłościło ją to.

- O co chodzi? - zapytał Richard z uśmiechem. Pomyślał, że jest onieśmielona, i to go rozczuliło. Nie była tak podniecająca jak Julie, ale jej miękkie usta były słodkie i całowanie jej sprawiało mu przyjemność. To, że Trilby znajduje się pod jego urokiem, pochlebiało mu i chciał to wykorzystać.

- To Thorn Vance i jeden z jego ludzi, Apacz, jak mi się wydaje - odparła Trilby nerwowo.

Richard skierował wzrok w stronę wzniesienia, na którym jeźdźcy siedzieli na koniach. Wtedy Indianin zawrócił mustanga i odjechał. Vance ruszył w ich stronę, równie dobrze czując się w siodle jak każdy z jego kowbojów. Richarda zirytował wygląd Vance'a - arogancki i pewny siebie.

- Dzień dobry - powiedział, dotykając palcami kapelusza. - Macie kłopoty z koniem, czy też zgubiliście się?

Trilby zarumieniła się.

- Ani jedno, ani drugie. Zatrzymaliśmy się jedynie po to, by porozmawiać - powiedziała niepewnym głosem. Sposób, w jaki Thorn na nią patrzył, sprawił, że poczuła się zakłopotana. Przypomniała sobie fiestę i wrażenie, jakie wywierała jego bliskość. Jego pocałunki były niczym dotyk ognia, podczas gdy to samo z Richardem wydawało się dziwnie letnie.

- Z pewnością ma pan coś ciekawszego do roboty? - burknął ze złością Richard.

Thorn zsunął kapelusz na tył głowy.

- Och, oczywiście że mam - przyznał z rozbawieniem. - Ale zaraz będzie ulewa i pomyślałem, że powinniście jak najszybciej pojechać do domu.

Trilby nagle przypomniała sobie o przyjaciółce.

- Sissy! Zostawiłam ją w ruinach!

- Pojechał po nią Naki - odparł Thorn. - Nic jej się nie stanie.

- Apacz? - Trilby była przerażona. - Przecież ona zemdleje na jego widok! Boi się go!

- Lepiej niech się do niego przyzwyczai - odparł Thorn.

- Jedzie z nami na obóz. Nadal chce pan jechać? - zapytał Richarda.

Młody mężczyzna rozpromienił się.

- Oczywiście, że tak. Potwornie się nudziłem siedząc w domu.

- Na pewno lubi pan polować? - zapytał Thorn; była to zawołowana okazja do kłopotów z żołądkiem w czasie znakowania bydła.

Policzki Richarda pokryły się rumieńcem.

- Jest dość istotna różnica pomiędzy polowaniem a dręczeniem bydła.

- Kradzież bydła stanowi tutaj bardzo poważne zagrożenie, synu - odparł Thorn z wyższością. - Jeśli nie ocechujemy bydła, to go nie będziemy mieli.

- Jestem przekonana, że Richard to wie, panie Vance - powiedziała dobitnie Trilby.

Spojrzał jej spokojnie w oczy. W jego wzroku dojrzała rozbawienie i ślady pożądania. Wpatrywał się w usta dziewczyny na tyle długo, że wywołało to przyspieszenie jej pulsu. Nerwowo zaciskała palce na lejcach, bojąc się, że Richard może zauważyć zainteresowanie

Thorna.

Zauważył. Bawiło go, że Vance uważa Trilby za atrakcyjną, podczas gdy ona nie przejawia zainteresowania nim.

Objął Trilby gestem posiadacza i przyciągnął do siebie, czując, że mięknie.

- Kiedy pojedziemy na tę myśliwską wyprawę? - zapytał.

Thorn wyprostował się w siodle, a jego fascynacja ustami Trilby zmieniła się w szczerą niechęć do siedzącego obok dandysa.

- Za dwa lub trzy dni - odparł. - Uzgodnię wszystko z Jackiem Langiem i zrobię jakieś zapasy. Ma pan własne strzelby?

- Tak, oczywiście - odparł Richard. - Nigdy nie podróżuję bez obozowego i myśliwskiego ekwipunku.

- To świetnie.

- Przykro mi, że tak się panu spieszy z powodu deszczu, panie Vance - powiedziała znacząco Trilby.

- Z tego powodu tak się spieszę? - zapytał. - Rzeczywiście. Wobec tego muszę się pospieszyć. Bądźcie ostrożni i nie zatrzymujcie się po drodze przy żadnych wykopaliskach. Mogłoby się to okazać fatalne. Jeśli chcecie, mogę was eskortować.

- Sami potrafimy dotrzeć do domu - szepnęła Trilby. - Czy jest pan pewny, że pański indiański kowboj zajmie się Sissy?

- Jestem pewny - oznajmił.

Richard zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że pan osobiście zajmie się Sissy - powiedział. - Nie podoba mi się to, że moja siostra jest sam na sam z Indianinem.

- Zapewniam pana, że pańska siostra będzie całkowicie bezpieczna.

Richard uznał, że oznacza to, iż Thorn pojedzie po nią, i uspokoił się.

- Cóż, wobec tego dobrze. Życzę miłego dnia - Richard trzepnął lejcami i skłonił konia do ruszenia truchtem, zostawiając z tyłu rozbawionego Thorna.

- Ten facet potrafi człowieka zdenerwować, prawda? - powiedział Richard, zdejmując rękę z jej ramienia; przeciągnął się leniwie. - No, ale miło będzie trochę popolować.

Masz - wręczył jej lejce - możesz przez chwilę powozić.

Jestem wykończony. Staraj się wymijać wyboje, co, kochana?

Rozparł się, skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy, a Trilby miała ochotę zawyć. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Richard zwraca na nią uwagę tylko po to, by zdenerwować Thorna. Nie było to nawet chwilowe prawdziwe zainteresowanie, wyłącznie udawanie. Chciało

jej się płakać.

Kiedy jechali drogą w stronę rancza, chmury zaczęły się zagęszczać. Miała nadzieję, że Sissy jej wybaczy.

Z minuty na minutę Sissy denerwowała się coraz bardziej. W oddali rozległ się grzmot, a Trilby nadal nie wracała. Przypomniła sobie przerażające opowieści Trilby o powodziach, które zdarzyły się zaledwie kilka miesięcy temu - zginęło w nich wiele osób. Objęła się mocno, ściskając cenne kawałki naczyń zawinięte w chusteczkę. Miała nadzieję, że umiłowanie przeszłości nie przywiedzie jej do zguby.

Tok jej myśli przerwał stukot końskich kopyt. To dziwne, pomyślała, nie był to ten zwykły metaliczny odgłos, który towarzyszył zbliżaniu się koni pana Langa. Przypomniła sobie, że to Apacze zazwyczaj jeżdżą na nie podkutych koniach.

W chwili, gdy ta myśl przyszła jej do głowy, pojawił się na grzbiecie wzniesienia wysoki Apacz, ten sam, którego pan Vance nazywał Naki. Nie mogła w to uwierzyć! Źrenice się jej rozszerzyły, a serce zabiło mocniej. Tak majestatycznie wyglądał na tle chmur. Nie ośmieliła się jednak okazać mu zainteresowania.

Podjechał prosto do niej i ściągnął wodze, zatrzymując konia. Z wysokości siodła spojrzął na nią wyniośle. Tym razem nie uśmiechnął się groźnie. Tylko się w nią wpatrywał. Jego ciemne oczy nic nie mówiły, rejestrując jej pozę i opanowanie. Zachowywała się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Rzeczywiście jest szczupła, pomyślał, i bardzo blada.

Ale nawet jeśli się go boi, umiejętnie to ukrywa i nie ucieka. To go zaintrygowało.

- Deszcz - powiedział wskazując na horyzont, a potem za skałę. - Biała kobieta utonąć tu, kiedy padało - powiedział ze spokojem.

Wpatrywała się w niego z łobuzerskim błyskiem w zielonych oczach. Była przekonana, że on jest zupełnie kimś innym, niż udaje. Jest bardzo przystojny, pomyślała, i takiej szarej myszki jak ona nie zaszczyciłby jednym spojrzeniem.

Westchnęła, kiedy zdała sobie sprawę, że jej brak urody jest tutaj taką samą przeszkodą jak w domu. Nic się nie zmieniło z wyjątkiem miejsca, w którym jest nieszczęśliwa, pomyślała.

- Nie musisz robić takiej miny, jakby perspektywa mojego rychłego zejścia sprawiała ci rozkosz - powiedziała z kwaśnym humorem.

Uniósł w górę brwi.

- Może ty pójść na dno jak kamień w tym. - Skinął głową w stronę jej długiej, sutej spódnicy.

Rozłościła ją ta uwaga.

- A może ty spaść z tego wysokiego konia i skrócić sobie kark - powiedziała naśladując

jego akcent.

Roześmiał się i skrzyżował dłonie na łąku siodła, pochylając się nad nim, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Podobała mu się. Od czasu śmierci Conchity nie myślał tak ciepło o żadnej kobiecie. Conchita była piękna. Ta kobieta taka nie była. Było w niej jednak coś, co go poruszało.

- Tu bardzo dużo grzechotnik.

- Przykro mi, że muszę rozwiać twoje nadzieje, ale nie mam nic przeciwko grzechoczącym węzom. Mamy je na Wschodzie i to większe, niż dotychczas widziałam w Arizonie. - Popatrzyła na niego. - Bardzo mi było miło stać tu i rozmawiać z tobą, dobry człowieku, ale nie mam ochoty tu utonąć. Moja przyjaciółka zaraz się tu zjawi, żeby mnie zabrać.

- Nie zaraz. - Potrząsnął głową. - Zbyt zajęta całowaniem białego mężczyzny w bryczce.

- Do licha! - powiedziała zmartwiona. - Zapomni o mnie i rzeczywiście utonę!

- Indianin uratować białą kobietę. Zabiorę stąd.

Spojrzała na niego niepewnie. To wszystko wydawało się nierealne. Apacze byli teraz cywilizowani, ale wiedziała, że nawet dzisiaj niektórzy z nich nadal żyją wolno w Sierra Madre i napadają na meksykańskie wioski. Jeśli w duchu śmiał się z niej, a tak właśnie uważała, to nadeszła odpowiednia chwila, by go zdemaskować.

- Ani mi się śni - powiedziała pewnie. - Nie zamierzam dać się zawieść do twojego tipi i być zmuszona do zucia twoich mokasynów. Nie zapomniałam o tym, że pytałeś pana Vance'a, ile koni chce za mnie mój brat. Nie poszłabym z tobą nawet za najbliższą skałę!

W jego oczach pojawiły się chochliki.

- Pieprz chili - mruknął.

- Ostry jak diabli pieprz chili - przyznała mu rację. - Uważaj, żebym cię nie spaliła, czerwonoskóry.

To tyle jeśli chodzi o podchody. Nie miał nic przeciw temu, by pokazać tej złośliwej kobiecie ze Wschodu, kim naprawdę jest.

- Jest pani interesującą osobą, panno Bates - odpowiedział doskonałą angielszczyzną. - Możemy jednak później przeanalizować pani przerażające metafory. Nie podoba mi się ta chmura. Proszę wsiadać, zanim oboje utoniemy.

Uniosła brwi, zanim zdała sobie sprawę, że miała co do niego dobre przecucia. Roześmiała się.

- To słońce - powiedziała. - Za długo na nim przebywałam. - Nieźle sobie ze mnie żartowałeś, prawda?

- Tak się składa, że całkiem dobrze mówię po angielsku, ale nie ma co żartować z

możliwości utonięcia - odparł swobodnie, przybliżając się do niej. Wyciągnął do niej dużą, szczupłą rękę. - Chodź. Nie mamy dużo czasu. Odległość jest tutaj zwodnicza, a potoki wody mogą dopaść człowieka, zanim zdąży uciec. Dwóch znajomych Vance'a utopiło się w czasie letniej powodzi, choć znali te okolice.

- Naprawdę całkiem dobrze mówisz po angielsku - powiedziała nieśmiało.

- Mówię po angielsku, hiszpańsku i po łacinie. Ale w chwili obecnej angielski jest odpowiedni.

Odgłos spadającego deszczu przyspieszył jej reakcję.

Wyciągnęła rękę i poczuła, jak coś wciąga ją na siodło.

Zafascynowała ją jego siła. Przywykła do mężczyzn naukowców, nie do ludzi czynu. Ze znanstwem panował nad swoim mustangiem dociskając go jedynie kolanami, kiedy ją sadowił przed sobą. Skierował konia w stronę rancza Jacka Langa. Pachniał wiatrem, sosnami i pustynią. Wcale nie był brudny, chociaż jego ubranie pokrywała cienka warstwa żółtego pyłu. Jej odzież również.

- Dlaczego? - zapytała wpatrując się w przystojną twarz z brązu, która znajdowała się zbyt blisko, by czuć się swobodnie.

- Dlaczego ten wygłup? - Uśmiechnął się z lekką arogancją. - Sprawia mi przyjemność spełnianie oczekiwań większości białych na temat biednych, ciemnych dzikusów.

Zarumieniła się.

- Żadnemu z was nigdy nie przychodzi na myśl, że kwitły tutaj wspaniałe cywilizacje, kiedy wasi europejscy przodkowie walili sobie nawzajem maczugami.

- Hohokamowie byli bardzo cywilizowani - zgodziła się.

- Struktura ich społeczeństwa koncentrowała się wokół pokojowego współistnienia i dzielenia się wszystkim, a ich rytuały oczyszczające po zabiciu wroga trwały tak długo, że prawie nigdy nie byli w stanie ruszyć na wojnę - dodała.

- Jesteś wykształcona - powiedział zaskoczony i uśmiechnął się z zadowoleniem. Patrzył na nią, kiedy koń kroczył wolno między koleinami. - Tak. Hohokamowie żyli tutaj może nawet ponad tysiąc lat temu. Nawadniali i uprawiali ziemię, sadzili rośliny i budowali miasta. Byli inteligentni i pokojowi.

- Nie byli twoimi przodkami... ?

Wybuchnął śmiechem.

- Nie - wykrzyknęła, bojąc się, że go obraziła - nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że byli przodkami Apaczów, prawda?

- Nikt tego nie wie. Archeolodzy uważają, że może byli przodkami plemion Pima i Papago

- powiedział. - Czy wiesz, co znaczy samo słowo „Apacz”?

- Nie.

- To słowo w języku zuni. Znaczą „wróg”.

- A jak o sobie mówią Apacze?

- „Ludzie”.

- Na Wschodzie poznałam przelotnie dziewczynę z plemienia Czirokezów - oznajmiła z podnieceniem Sissy. - Powiedziała mi, że Czirokezi mówią o sobie „Główni Ludzie”.

- Siuksowie także znaczą „ludzie”. Większość Indian tak o sobie mówi. Jakim cudem udało ci się dowiedzieć o nas tak dużo, mimo strachu, jaki żywisz?

- To nie był strach. Chciałam tylko pasować do twojego wizerunku białej kobiety - zakpiła. - Apacze biorą kobiety w niewolę...

Spojrzał na nią i ściągnął usta.

- Faktycznie tak robimy - powiedział rozbawiony. - Jego wzrok spoczął na jej staniku. - I tylko pomyśl, co z nimi robimy. Ojej.

Zaczerwieniła się lekko i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Panie Naki...

- W moim języku nazywam się Dwie Pięści - poprawił ją. - Czy to nie brzmi całkiem po indiańsku, jeśli chodzi o imiona?

- Gdybyś przestał patrzeć na mnie w ten sposób...

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Pięknie się rumienisz - zauważył. - Nie gwałcę białych kobiet, panno Bates. Właściwie to wolę ciemniejszą skórę i trochę więcej ciała. Nie wspominając o tym, że to, o czym pani myśli, jest niemożliwe na koniu.

Wówczas jej policzki pokrył szkarłatny rumieniec.

- W ogóle nic nie myślałam!

- Przypuszczam, że powinienem przeprosić za tak nieprzyzwoitą uwagę, ale wie pani, jacy jesteśmy my, dzikusy.

- Coś nieprawdopodobnego!

- Tak nas nazywają nawet w książkach - dodał, ignorując jej wybuch. - Szlachetni dzicy. Jakbyśmy wcale nie mieli rozumu.

W końcu roześmiała się. Był bezczelny, to prawda.

- Jak się nauczyłeś tych wszystkich języków, którymi, jak mówisz, potrafisz się posługiwać? - powiedziała zmieniając temat.

- Ukryli mnie księża, kiedy rząd Stanów Zjednoczonych przesiedlił całe plemię Apaczów

na Florydę po poddaniu się Geronima. W końcu dojechali aż do Fort Still w Oklahomie, ale ja zrobiłem wszystko, by pozostać tu, w górach.

Księża odkryli, że potrafię się czegoś nauczyć.

- A twoi rodzice?

- Matka umarła przy moim urodzeniu. Ojciec został zabity, kiedy próbował zbiec przed kawalerią, która nas otoczyła - powiedział z goryczą.

- Przykro mi...

- Twoim krajanom zawsze jest przykro, prawda? - zapytał, bo przeszłość znowu sprawiła mu ból. Spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem. - Zabrali nam wszystko, co mieliśmy, zabili nas i wzięli w niewolę. Faktycznie wytrzebili Apaczów Chiricahua. Mam więcej wspólnego z meksykańskimi wieśniakami niż z białymi, panno Bates. Wiem, co to znaczy być rasą uciskaną i nie mieć możliwości buntu.

- Twój lud przecież walczył - powiedziała - tak jak teraz walczą Meksykanie.

- Może Meksykanie zwyciężą. Jest ich dostatecznie dużo, a Bóg wie, że walczą o słuszną sprawę - odparł z żarem. - Nas jednak było niewielu i byliśmy rozproszeni. Wie pani, co nas dzieli od białych, panno Bates? Czy wie pani, jaka jest różnica między wami a nami? Chciwość. Biały człowiek chce posiadać lub kontrolować wszystko, co go otacza.

Apacz chce tylko żyć w zgodzie ze światem i ludźmi. Chciwość jest tak obca większości z nas jak honor większości białych.

Była zaszokowana. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewała. Był bardziej wykształcony od niej i prawdopodobnie inteligentniejszy. Musiało być straszną rzeczą mieć taki umysł i być traktowanym jak mała.

- To musi być bardzo bolesne, kiedy ludzie tak błędnie cię osądzają - powiedziała po chwili.

Wpatrywał się w jej spokojne, łagodne oczy.

- Thorn powiedział, że cię przestraszyłem. Nie chciał, żebym po ciebie jechał.

- Wcale się ciebie nie boję - powiedziała łobuzersko. - Nie jesteś jedynym, który potrafi grać. Sądzę, że nie zechcesz opowiedzieć mi o swojej kulturze - dodała.

Zaśmiał się sucho, kiedy zbliżali się do rancza Langa.

- Może dam się nakłonić.

- Dlaczego nazywasz się Dwie Pięści? - zapytała.

Zatrzymał konia i odsunął Sissy, wbijając w nią nieruchome spojrzenie.

- Kiedy natarła na nas kawaleria, rzuciłem się na jednego z żołnierzy z pięściami.

- Och.

- Miałem pięć lat - mruknął z uśmiechem. - Księża wyblągali, by oficer, którego zaatakowałem, puścił mnie wolno, a on pozwolił mi odejść z nimi. Nigdy tego nie zapomniałem. Był lekarzem. Teraz stacjonuje w Forcie Huachuca i od czasu do czasu mnie odwiedza.

- Musi być dobrym człowiekiem.

- W jego wypadku była to wielka dobroć. Miesiąc wcześniej Apacze zabili jego żonę i małego synka.

- Musi być kimś wyjątkowym.

- Tak. Po obu stronach było wystarczająco dużo zabijania, by twoi ludzie i moi zawarli niespokojną przyjaźń.

- Tak sędzę. - Przesunęła rękę, która napotkała jego długie, gęste czarne włosy. Zaczęła cofać palce, po czym, pod wpływem impulsu, dotknęła długich błyszczących pasm. - Nigdy przedtem nie widziałam mężczyzny z długimi włosami.

Dotyk jej palców na włosach był bardzo denerwujący.

Złapał je i odepchnął, a jego oczy nagle przybrały zimny i odpychający wyraz.

- Wybacz... wybacz mi - wyjąkała, odwracając wzrok.

Poczuł się winny, że tak brutalnie ją odtrącił, ale w jego życiu nie było dla niej miejsca. Białe i czerwone nigdy się nie mieszało. Mogli stać się dla siebie nawzajem bardzo niebezpieczni.

- Lepiej unikać bezwyjściowych sytuacji - powiedział lodowato.

Kiedy zdała sobie sprawę, co chce jej powiedzieć, serce zabiło jej jak oszalałe. Powoli, bardzo powoli podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy - znalazła w nich coś, czego szukała przez całe życie.

- Nie - szepnęła w proteście, kiedy odniosła wrażenie, że wpada w sidła.

- Nie - zgodził się. Ale jego dłoń, spoczywająca na jej plecach, przesunęła się do gęstego koka upiętego na karku.

Wygiął ją tak, że jej ciało przywarło do niego, a twarz znalazła się na tyle blisko, że jego oczy wypełniły cały świat.

Zadrzała od nagłej, zdumiewającej rozkoszy.

- Dopóki tu będziesz, ogranicz swoje poszukiwania staroci do terenów wokół domu - powiedział ochryplym głosem. - To jest - podkreślił słowa jeszcze bardziej władczym uściskiem - silny wiatr i nie ma się gdzie przed nim schronić. Rozumiesz?

- Tak sędzę. - Znowu zadrzała z rozkoszy. Było to uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Skinął głową, a jego uścisk powoli zelżał. Spojrzał jej przenikliwie w oczy.

- Miałem kobietę - powiedział cicho. - Była to młoda, bardzo, bardzo ładna Meksykanka. Mieszkaliśmy tuż po drugiej stronie granicy w Meksyku. Jej brat był dysydem, nienawidził rządu i przyjaźnił się z człowiekiem o nazwisku Blanco, który dzisiaj zdobywa sławę jako rewolucjonista. Pewnego dnia do naszego domu przyjechał oficer rządowy z obstawą. Był u nas brat Conchity, Luis. Polowali na niego. Zastrzelili go, a nas oskarżyli o to, że jesteśmy rewolucjonistami. - Jego oczy pociemniały z bólu. - Oficer złapał Conchitę, a ja się na niego rzuciłem. Dwóch jego ludzi zdołało mnie pobić. Nie powiem ci, co zrobili Conchicie. Na szczęście w trakcie tego zmarła. - Jego twarz stężała z bólu. - Nie chcę już więcej czuć tego, co czułem do niej. Pracuję dla Thorna Vance'a i żyję samotnie. Będę żył samotnie do końca życia.

Gorące łzy zapiekły ją w oczy i popłynęły, zamazując szkła okularów. Oplakiwała jego i kobietę, którą kochał.

Oplakiwała siebie, że miała to nieszczęście tak nagle poczuć coś do mężczyzny, który nie chciał niczyjego uczucia.

Oplakiwała świat.

- Nie znoszę łez - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Zdjęła okulary i wytarła oczy grzbietem pokrytej pyłem dłoni.

- Och, ja także nie - szepnęła ze złamanym sercem.

- Proszę cię więc, nie płacz nigdy w mojej obecności.

Jeśli to zrobisz, rozsypię się na kawałki.

Chwilę później stwierdził, że się uśmiecha. Uśmiecha się, choć zaledwie kilka sekund temu odczuwał taki potworny ból. Szorstkim palcem przeciągnął po śladach łez na jej policzkach i spojrzał w jej wilgotne oczy z takim wyrazem, jakby znał ją od bardzo dawna. Ona tak rzadko płakała. Wiedział to, wiedział, że przed ludźmi nie pokazuje po sobie słabości, bólu ani smutku.

- Powiedziałaś, że tylko udawałaś strach przede mną, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy - powiedział nagle.

- Dlaczego?

Skrzywiła się.

- Mężczyźni mnie nie zauważają. Jestem nijaka, chuda i wykształcona... Chciałam, żebyś mnie zauważył - odparła zdławionym głosem, spuszczaając oczy I tak się stało. Szukał jej, pamiętał i tęsknił za nią.

Spojrzał na horyzont w stronę domu, gdzie teraz na frontowym ganku stali ludzie. Nie mogli dostrzec jego i Sissy, bo zasłaniały ich skały. Jednak wkrótce zdadzą sobie sprawę, że ich nie ma, i zaczną ich szukać. Musi ją tam zawieźć.

- Przepraszam - powiedziała, zakładając ponownie okulary. - Nie powinnam była udawać.

- Ja robiłem to samo - odparł poważnie. - Sprawia mi przyjemność reakcja białych, kiedy odkrywają, że nie jestem całkowicie głupi.

- Kobiety są także głupie, nie wiedziałeś? Jesteśmy stworzone do szorowania podłóg i rodzenia dzieci. Bóg dał nam mózgi, ale trzymamy je w spiżarni, żeby się nie zepsuły - stwierdziła sucho.

Wybuchnął śmiechem. Podnosiła go na duchu.

- Widzę, że otrzymałaś swoją porcję złego traktowania.

- To mało powiedziane. Kiedy wspomniałam, że idę na uniwersytet, połowa mojej rodziny zemdlą. Miłe dziewczyny nie kształcą się, tylko wychodzą za męża. - Odsunęła z twarzy kosmyk włosów, który wymknął się z jej schludnego koka. - Chcę wiedzieć jak najwięcej o dawnych ludach, które zamieszkiwały te tereny. Chcę wiedzieć, co robili, jaka była ich kultura. Ciebie to nie ciekawi?

- Tak - odparł. - Chciałbym wiedzieć więcej.

- Ty także mógłbyś się uczyć.

- Indianin na uniwersytecie? - Wyglądał na stosownie przerażonego.

- Cóż, przypuszczam, że kilka osób w twojej rodzinie także by zemdlą.

- Nie mam już żadnej rodziny - powiedział rzeczowym tonem.

- Przykro mi. Rodzina to dobra rzecz, nawet jeśli od czasu do czasu działa ci na nerwy.

- Tak słyszałem. Muszę zawieźć cię do domu - powiedział, spoglądając w niebo. - Deszcz jest tutaj bardzo niebezpieczny.

- Już to mówiłeś.

Zaśmiał się.

- Faktycznie. - Usadził ją wygodniej, kiedy koń szedł stępa. - Czy masz jakieś imię?

Skinęła głową.

- Alexandra. Moja rodzina mówi na mnie Sissy. Kiedy mój brat, Ben, był mały, nie potrafił lepiej wymówić mojego imienia.

- Alexandra. - Uśmiechnął się lekko. - Pasuje do ciebie.

- A czy ty masz jakieś imię?

- Księża nazywali mnie Hierro. To znaczy po hiszpańsku „żelazo”. Mówili, że taką mam głowę.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Kobieta ma się tylko zgadzać - skarcił ją.

- Wszyscy Indianie to dzikusy - zażartowała.

Uśmiechnął się. Sissy też się uśmiechała. Koń zaczął schodzić wolno ze skalistego wzniesienia w stronę domu.

Deszcz zaczął już padać.

Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś mu się przywieźć do domu w ten sposób - powiedział Richard wyniośle. - Indianin dotykał mojej siostry!

- Wolałbyś, żeby zostawił mnie na pustyni, by zabrała mnie powódź? - zapytała ze złością Sissy. Była zaskoczona atakiem przy kolacji. Mary i Trilby przebywały na ganku, kiedy Naki ją przywiózł. Nic nie powiedziały, chociaż Mary zaniemówiła z wrażenia. Mężczyźni zajmowali się bydłem i zostali powiadomieni o interwencji Nakiego, dopiero kiedy zasiedli do kolacji. Natychmiast zaczęła się kłótnia.

- Co za brak szacunku dla konwenansów... - zaczął Richard.

- Muszę się z tym zgodzić - przytaknął Jack Lang z surową miną. - Porozmawiam z Thornem o jego pracowniku.

- Dlaczego nie porozmawia pan o tym z nim? - zażądała Sissy. - Nie jest dzikusiem.

Richard parsknął z pogardą.

- Nawet nie rozumie po angielsku.

- Mówi trzema językami - odparła krótko Sissy. - Angielski jest jednym z nich. Jest znacznie lepiej wykształcony niż ty, drogi braciszku, i w dodatku nie jest snobem.

Wyszła, kładąc kres kłótni. Za plecami usłyszała, jak Jack Lang i jej brat nadal komentują karygodny czyn Nakiego. Dołączył do nich trel Julie, krytykujący niezwykle zachowanie Sissy. Naturalnie, że Julie z przyjemnością weźmie stronę Richarda!

Jeśli Sissy miała nadzieję, że zdrowy nocny sen zakończy wszelką dalszą dyskusję na temat jej przygody, czekało ją rozczarowanie. W trakcie śniadania Richard i Jack zzymali się cały czas i na przemian to ganili Sissy, to ją obgadywali.

- Mężczyźni! - powiedziała zdesperowana, kiedy zaferowana Trilby przyłączyła się do niej w salonie.

- Czy powiedziałaś wczoraj, że Naki mówi kilkoma językami? - zapytała z ciekawością Trilby.

- Tak. Kształcili go księża. Jest bardzo interesujący - powiedziała z wahaniem Sissy i zarumieniła się.

Trilby nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Wiedziała, że brat Sissy, Richard, jest zaszokowany jej zachowaniem.

A także rodzina Trilby i ona sama. Sissy była jej najlepszą przyjaciółką, ale gdzieś w głębi

duszy wiedziała, że Richard ma rację, widząc beznadziejność jakiegokolwiek związku białej kobiety z mężczyzną innej rasy.

- Sissy, on jest Indianinem - powiedziała. - Pomimo swego wykształcenia jest człowiekiem innej rasy.

- Och, nie, nie, ty także - rzekła ze smutkiem Sissy. Ze znużeniem usiadła na wytartej sofie. - Ben jest jedynym członkiem mojej rodziny, który nie uznał mojej postawy za szokującą. Wygląda na to, że będę musiała walczyć z całym światem i moją serdeczną przyjaciółką, by móc zostać przyjaciółką Nakiego.

- Nie, wcale nie - zaprzeczyła od razu Trilby, w której lojalność wzięła górę nad dezaprobatą. - Przepraszam.

- Powiedział, że całowałaś się z Richardem - mruknęła Sissy.

Trilby zawahała się. Skinęła głową.

- Tak, chyba tak. Nie było to jednak to, czego się spodziewałam - powiedziała niechętnie.

- Jesteś w nim zakochana, więc to powinno być to, czego pragnęłaś.

- Nie było. - Trilby usiadła obok niej i złożyła ręce na podolku. - Nie rozumiem tego.

- Ja także nie, chyba że te zjadliwe uwagi, jakie Julie robiła do twojego silnego sąsiada, naprawdę mają sens.

Thorn Vance jest bardzo atrakcyjny, Trilby. I patrzy na ciebie inaczej, niż większość mężczyzn patrzy na sąsiadki.

Trilby zarumieniła się.

- Cóż, źle się to wszystko zaczęło. Myślał, że jestem kimś innym, niż jest w rzeczywistości, i potraktował mnie w sposób niegodny dżentelmena.

- Och?

Zamyślona Trilby wpatrywała się w dal.

- Jest... bardzo doświadczony. Zobaczyłam taką jego stronę, której wcale nie powinnam była widzieć. Teraz tego żałuję, ale ja już mu nie ufam. - Skrzywiła się. - Sissy, od lat kocham Richarda. Ale kiedy mnie pocałował, nie poczułam nic!

Sissy złapała ją za rękę i uściśnęła ją.

- A kiedy bardzo przystojny pan Vance cię pocałował, poczułaś?

- Tak. - Zasłoniła twarz dłońmi. - Tak się wstydzę. Tak się czuć... w stosunku do łotra!

- A jak sądzisz, że ja się czuję? Czuję pociąg do dzikiego czerwonoskórego.

Trilby skrzywiła się.

- A ja nic ci nie pomogłam. Jestem... - Zawahała się i spojrzała na Sissy. - Sądziłam, że się go boisz!

- Zawsze chciałam zostać aktorką - odparła żartobliwie Sissy. - Był tak atrakcyjny i chciałam, żeby zwrócił na mnie uwagę. Teraz nie jestem pewna, czy powinnam była to robić. Wcale nie jest taki, jak się spodziewałam.

- To chyba działa w obie strony.

- Trilby!

Do pokoju wszedł ojciec.

- Proszę, włóż kapelusz i żakiet - zwrócił się do Trilby.

- Złożymy wizytę Thornowi Vance'owi. Muszę się upewnić, że załatwi tę sprawę. Sissy, będę musiał cię poprosić, byś nam towarzyszyła.

- Ale... - zaczęła Sissy.

- Zrób, o co proszę - odparł krótko. - Będę przemawiał w imieniu twojego brata, ponieważ lepiej znam pana Vance'a.

Co mówiąc po ludzku znaczy tyle, pomyślała złośliwie Trilby, że Richard nie ma ochoty, by pan Vance wybił mu zęby za znieważenie jego pracownika.

- Nie straciłabym takiej okazji za nic na świecie - szepnęła Trilby uśmiechając się do Sissy i szykując się do wyjścia.

Thorn ze zdziwieniem patrzył na swych gości.

- Oczywiście, musisz wyrzucić tego łobuza, Apacza - powiedział Jack Lang z irytacją. - Naprawdę nie mogę pozwolić, żeby w ten sposób traktował kobietę, która jest moim gościem, nawet jeśli szczyci się takim słownictwem jak naukowiec z Oxfordu.

- Nie potraktował mnie źle, panie Lang - jęknęła Sissy.

- Dlaczego nie chce pan posłuchać? Uratował mnie przed powodzią! - Zdesperowana zwróciła się do Thorn'a. - Panie Vance, czy nie może im pan tego uświadomić? Nie zostałam obrażona.

- Ależ zostałeś, moja droga - zaproponował Jack. - Kiedy taki dzikus cię dotykał...

- Skoro, jak mi się wydaje, jestem przyczyną tej burzy, może powinienem wziąć udział w debacie?

Ostrzeżony przez Thorn'a o czekających go odwiedzinach, kiedy Jack Lang zatelefonował i zapowiedział wizytę, przedmiot dyskusji ukazał się w drzwiach. Był zupełnie opanowany.

Naki sprawiał wrażenie milczącego i bardzo indiańskiego w swym charakterystycznym odzieniu i z opadającymi na ramiona długimi włosami. Uśmiechnął się do Sissy, która odwzajemniła ten uśmiech.

- Mówię... - zaczął niepewnie Jack Lang.

Naki był wysoki i sprawny, a Jack był świadom swoich fizycznych ograniczeń.

Naki podszedł bliżej; górował nad nim.

- Ma pan w stosunku do mnie jakieś obiekcje, panie Lang. Czy mogę wiedzieć, dlaczego?

- zapytał spokojnie.

Twarz Jacka przybrała purpurową barwę.

- Jesteś bardzo bezpośredni.

- Doszedłem do wniosku, że to zapobiega niepotrzebnej wymianie zdań - odparł Naki.

Nie spuścił wzroku i ani o krok się nie cofnął. Wyglądał groźniej niż Jack. - Chciałbym wiedzieć, co ma pan przeciwko temu, że odwiozłem pannę Bates do domu.

- To... to nie o to chodzi - zawahał się Jack. - Jesteśmy, oczywiście, wdzięczni, za pańską interwencję.

- Wolałby pan jednak, by uratował ją biały mężczyzna.

Niestety, w owej chwili nie było go pod ręką.

Jack miał na tyle przyzwoitości, by spuścić wzrok. Ten człowiek był tak dobrze wychowany, jak mówiła Sissy, i Jack poczuł, że zachował się jak osioł.

- Spodziewałbym się takich przesądów po mieszkańcach Arizony, panie Lang - odparł Naki. - To smutne - nie spodziewałem się tego po przybyszach ze Wschodu, którzy uchodzą za bardziej subtelnych i wykształconych niż miejscowi osadnicy.

Jack skrzywił się, kiedy jego wzrok napotkał spojrzenie Apacza.

- Z przykrością muszę stwierdzić, proszę pana, że przesady nie mają stałego adresu.

- Na Wschodzie ludzie o czarnej skórze, nie czerwonej, są obiektem pogardy, prawda? - zapytał zimno Naki. - Ludzie, którzy w swoim własnym kraju byli wojownikami.

- W bardzo dziwny sposób formułujesz zdania.

- Zanim przybyli Hiszpanie, Indianie w Meksyku byli Aztekami i Majami - ciągnął Naki. - Byli dumną i inteligentną rasą, mieli własny system rządzenia, strukturę religijną i ekonomiczną. Cortez i Hiszpanie oczywiście je zniszczyli. Aztekowie i Majowie byli „dzikusami”. A teraz inteligentni ludzie, hiszpańscy konkwistadorzy, zabierają ziemię peonom i dają ją zamożnym cudzoziemskim posiadaczom, a własny lud wpędzają w niewolę śmiertelną pracą i podatkami. Jak sądzę, to właśnie nazywane jest cywilizowanym zachowaniem?

Jack odchrząknął.

- Sir, ma pan dość dziwny osąd otaczającej rzeczywistości.

- Mam uczciwy i pozbawiony przesądów sposób postrzegania otaczającego mnie świata - odparł Naki. - Swoją opinię o ludziach opieram na ich charakterze, a nie na kolorze skóry.

- Naki spędza każde lato oprowadzając Craiga MaColluma po pustyni - powiedział Thorn.

- Jak widzicie, bardzo dużo wie. - Jego ciemne oczy zablysły. - A tutaj nie uważamy za zniewagę,

jeśli mężczyzna ratuje czyjeś życie.

- Ale tego się nie robi! - upierał się Jack.

- Uważam, że to ja powinnam powiedzieć, czy doszło do jakiejś zniewagi, czy nie - upierała się Sissy. - I zapewniam, że nie doszło. Ten dżentelmen uratował mi życie. Jak może go pan za to potępiać? - zapytała Jacka. - Czy gdyby chodziło o Trilby, wolałby pan, żeby zginęła w powodzi, niż przyjęła pomoc od mężczyzny, który ma trochę inny kolor skóry niż ona?

Kiedy tak to ujęła, Jack nie potrafił znaleźć żadnego dalszego argumentu. Poddał się.

- Muszę przyznać, że wolałbym raczej mieć córkę niż obstawać przy swoich uprzedzeniach. Ale twój brat...

- Mój brat jest pełnym przesądów, wymuskanym snobem - powiedziała Sissy lodowato, nie zważając na Trilby. - Podobnie jak jego rówieśnicy, ma bardzo płytkie poglądy na świat.

Jack odchrząknął, a Trilby zarumieniła się. W oczach Thorny zabłysło rozbawienie.

- Przepraszam za moje zachowanie - powiedział Jack do Thorny, niechętnie włączając do przeprosin Nakię. - Jestem wdzięczny za to, co pan zrobił.

- *De nada* - odparł Naki niedbale. - Śmiem twierdzić, że pogarda mojego ludu warta była uratowania komuś życia.

- Słucham? - zapytał Jack.

- Moi krajanie uważają białych za ohydnych, panie Lang - wyjaśnił mu Naki z przyjemnością. - Z dezaprobatą przyjmą mój kontakt z białą kobietą, bez względu na powód.

Jack aż zaniemówił.

- Co za impertynencja! - krzyknął w końcu.

Naki zachichotał cicho. Po chwili Jack dostrzegł analogię i uśmiechnął się lekko.

- Tak, rozumiem pański punkt widzenia - powiedział.

- Pozwólcie, że was odprowadzę - powiedział Thorn.

Ujął Trilby pod ramię, a ona aż drgnęła. To niewiarygodne, że Richard, którego kochała, nie potrafił wywołać takiej reakcji. Wywoływał ją jedynie mężczyzna, którego nie znosiła. Ale... czy na pewno?

- Niewiele brakowało, blada twarz - powiedział cicho Naki do Sissy.

- To nie mój pomysł, by przylecieć tu z awanturą.

- Wiem.

Przyglądała mu się natarczywie, wpatrując się w jego ciemne oczy.

- Zgodziliśmy się już, że to niezbyt dobry pomysł starać się zaprzyjaźnić.

- Bardzo zły - zgodził się.

- To wywoła sprzeciw.

Skinął głową.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Nienawidzę, jak ludzie mówią mi, kogo mam wybrać na przyjaciół.

Odwzajemnił jej uśmiech.

- Ja także.

Miała uczucie, jakby zza chmur wyjrzało słońce. Poczowała w sercu wielką radość. Jej zielone oczy rozpromieniły się.

Chciał od niej dużo więcej niż przyjaźni, ale tylko na tyle mogli sobie pozwolić. Wiedział to, nawet jeśli ona nie wiedziała.

- Nie ułatwi ci tego - powiedział, ruchem głowy wskazując pozostałych, którzy szli w stronę samochodu.

Spojrzała na niego niewzruszenie.

- Nie dbam o to - powiedziała ochryłym szeptem, nie zdając sobie sprawy, co naprawdę mówi, aż było za późno.

Jego oczy zabłysły uczuciem. Twarz stężała mu z wielkiej emocji, kiedy zrozumiał, o jakie uczucie chodzi. Zacisnął dłonie w pięści.

- Sissy! - zawołała ją szeptem Trilby.

Sissy szybko ruszyła, zostawiając Nakiego na ganku.

Sprawiała wrażenie wytrąconej z równowagi.

Trilby nie wiedziała, czy Thorn ma świadomość tego, co się dzieje. Spojrzał na Nakiego, a potem na Sissy, i wtedy zauważył zaniepokojony wzrok Trilby.

- Nie martw się - powiedział pod nosem. - Załatwię to.

- Nie rozumiesz - odparła szybko, pamiętając, że ktoś może ich słyszeć; Jack pomagał Sissy wsiąść do samochodu.

- Ależ rozumiem - powiedział. - Wszystko jest w porządku.

Dziwne, ale to ją uspokoiło. Uniósł do ust jej dłoń i żarliwie pocałował ciepłe, wilgotne wnętrze. Jej twarz zaróżowiła się, a on przez długą, pełną napięcia chwilę wpatrywał się w jej oczy.

- Doskonale wiem, co on czuje! - szepnął z żarem, a jego oczy spochmurniały, tak jak przed chwilą oczy Nakiego.

Gwałtownie wypuścił jej dłoń, po czym poprowadził ją do samochodu, gdzie z kamienną twarzą i bez jednego słowa pomógł jej wsiąść. Przez całą drogę do domu Trilby nie słyszała, o czym rozmawiano. Wnętrze dłoni nadal ją paliło.

Lisa Morris była zawieszona pomiędzy snem a jawą.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie huśtawkę na podwórku, gdy była małą dziewczynką. Ojciec wyjechał na manewry, a ona razem z matką pojechała do babki do Marylandu. Był to ogromny wiktoriański dom z wielkim ogrodem, gdzie na wysokim drzewie wisiała huśtawka.

- Tak uwielbiam się huścić - szepnęła niewyraźnie.

- To idiotyczne, żeby komuś śniło się coś takiego - dobiegł ją zde gustowany, sarkastyczny głos.

Zmusiła się do otwarcia oczu. Stał nad nią jakiś mężczyzna, wysoki, szczupły mężczyzna w ubrudzonym oficerskim mundurze i rozpiętej kurtce. Był nie ogolony, a jego gęste, czarne włosy w nieładzie opadały na szerokie czoło. Miał kpiący uśmiech. W wielkiej dłoni trzymał grubą szklankę, którą chyba przed chwilą opróżnił.

- Kapitan Powell? - zapytała ochrypłym szeptem.

- We własnej osobie. - Skinął głową. Z głośnym stukiem odstawił szklankę. Miał przekrwione oczy. - Jak się pani czuje?

- Obolała. - Skrzywiła się przy pierwszym ruchu, po czym zaczerwieniła się, kiedy zdała sobie sprawę, że leży nago przykryta tylko prześcieradłem.

- Och, na litość boską, jestem lekarzem - powiedział lodowato. - Czy naprawdę sądzi pani, że w moim wieku ciało kobiety stanowi jakąś tajemnicę?

Przełknęła ślinę i przycisnęła do siebie prześcieradło.

Była lekko zamoczona środkami przeciwbólowymi, a biodro i bok mocno piekły, zostało jej jednak trochę skromności.

- Jest pan mężczyzną - zaczęła, próbując wyjaśnić swoje zakłopotanie.

- A pani jest zamężną kobietą - dodał - która w dodatku straciła dziecko.

Jej twarz spochmurniała. Tak, dobrze to wiedział. Kiedy straciła dziecko, przez całą noc przesiedział przy jej łóżku.

Trzymał ją za rękę i przemawiał do niej głosem tak miękkim, że wcale nie przypominał zwykłego głosu tego cynicznego mężczyzny. David, przypomniała sobie, wyjechał na manewry. Dziś już wiedziała, że tej szczególnej nocy był w Douglas z Seliną.

- Został pan ze mną - powiedziała sennie i uśmiechnęła się. - Czy kiedykolwiek panu podziękowałam?

- Jestem lekarzem - przypomniał. - To moja praca.

Innymi słowy, niech Bóg broni, by ktokolwiek miał go oskarżyć o dobroć i współczucie, pomyślała nagle. Pod tą nieprzyjemną powłoką był bardzo miękki. Nic dziwnego, że robił, co mógł, by terroryzować otaczających go ludzi.

Z drżącym westchnieniem opadła na poduszkę. Włosy rozsypały się bezładnie na białe ramiona. Była wyniszczona i blada, ale patrzącemu na nią mężczyźnie wydawała się piękna.

- Nie ma pani żadnych śladów oprócz tego jednego na policzku - powiedział niespodziewanie.

Dotknęła bolącego miejsca.

- Nigdy przedtem mnie nie uderzył.

- I tak nim pogardzam za to, co zrobił.

Spuściła wzrok. Pod kurtką doktor miał rozpięty czerwony podkoszulek, w wycięciu którego zobaczyła gęste czarne włosy. Szybko odwróciła wzrok. Taki dowód męskości wydawał się jej w tym pokoju nieprzyzwoity.

- Czy wprawiam panią w zakłopotanie? - Roześmiał się.

Usiadł obok niej na łóżku i odwrócił jej twarz w swoją stronę. Jego oczy były żywego jaskrawoniebieskiego koloru i zdawały się przeszywać ją na wylot. - Nie lubi pani na mnie patrzeć, prawda? Jestem brzydki, owłosiony i wydaję się pani typem spod ciemnej gwiazdy, na którego z własnej woli nie spojrzalaby pani dwa razy, nawet gdyby nie była pani zameżna i przyzwoita.

Aż jej dech zaparło na taką bezpośredniość.

- Kapitanie Powell, proszę!

- Uderzył panią - powiedział ostro. - Mógłbym go za to zabić! Mój Boże, nigdy na panią nie zasługiwał!

Zaczęło jej świtać w głowie, że martwi się jej sytuacją.

Zdziwiło ją to.

- Jest pan bardzo dosadny.

- Tak, jestem. Dosadny. I trochę pijany. Piję, żeby zapomnieć, co Apacze zrobili z moją żoną i synem, pani Morris.

Przywiązali mnie do pala i zmusili, bym na to patrzył.

Uniosła rękę do jego twarzy i z nieśmiałym współczuciem dotknęła jego policzka.

- To straszne - szepnęła. - To takie straszne!

Głos mu się załamał. Położył nie ogolony policzek na jej piersiach przykrytych prześcieradłem i zaczął płakać.

Spadły na nią gorące łzy. Czują je nawet poprzez materiał i tylko przez chwilę się wahała, po czym przytuliła go. *Deja vu*, pomyślała. Pił, żeby zagłuszyć ból, na który nie był odporny. Jak często czuł tę rozpacz, a nie było przy nim nikogo, z kim mógłby ją dzielić, nikogo, kto by go przytulił?

Jaką parodią jest życie, pomyślała ze smutkiem. Czy na całym świecie jest ktoś wolny od cierpienia? Jej ramiona objęły go mocniej. Przytuliła do niego głowę i szeptała delikatne słowa pociechy.

Po pewnym czasie uniósł się i odsunął; twarz miał spokojną i lekko zawstydzoną.

- Tak się nad sobą użalałam - powiedziała cicho. - Sprawił pan, że się wstydzę. Tak niewiele mam do oplakiwania w porównaniu z panem.

Zesztywniał.

- Za dużo piję - powiedział nagle. - Czy potrzebuje pani czegoś na sen?

- Nie, dziękuję. Ból jest... nie jest taki wielki.

Skinął głową i ruszył do wyjścia.

- Kapitanie... Powell?

Odwrócił się, zakłopotany tym, że stracił nad sobą kontrolę.

- Tak, proszę pani?

- Proszę. Czy ma pan... koszulę lub coś, co mogłabym na siebie włożyć? - Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Proszę mi wybaczyć. Od bardzo dawna nie przebywałem w pobliżu przyzwoitej kobiety.

- Przeszedł do drugiego pokoju i wrócił z białą koszulą, bardzo długą. Położył ją obok niej na łóżku. - Nie da pani rady sama jej włożyć.

Jej twarz pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

- Proszę pana...

- Doktorze.

Po minucie przyjęła jego pomoc. Był lekarzem, a ona była zbyt słaba i zbyt obolała, by sobie poradzić.

Wsunął jej ramię pod plecy, pomagając usiąść. Jęknęła, ponieważ najłżejszy ruch sprawiał ból. Przyłożył jej maść na oparzenia i lekko je zabandażował. Każde poruszenie, które naciągało skórę, było niewymownie bolesne.

- Proszę siedzieć spokojnie i pozwolić mi się ubrać - powiedział sztywno.

Odsunął prześcieradło. W bladym świetle lampy spojrzął na jej drobne, sterczące piersi. Wyraz jego twarzy zmienił się. Poczowała, jak jego zawodowe zainteresowanie zmienia się w bardzo osobiste, a jej ciało zareagowało na jego badawczy wzrok w niepojęty sposób. David nigdy na nią nie popatrzył.

Brał ją, bardzo brutalnie i bez miłości. Nigdy nie chciał patrzeć na jej nagie ciało. A ten mężczyzna nie tylko patrzył, ale jego oczy mówiły, że uważa ją za cudowną.

Nie powinno mi to sprawiać przyjemności, powiedziała sobie. Tylko sprzedajna kobieta

pozwoiliaby mężczyźnie patrzeć na swą nagość tak otwarcie i nie protestować.

- Kapitanie Powell - powiedziała drżąc, po czym zakłopotana zasłoniła piersi ramieniem.

Spojrzał na nią badawczo.

- Proszę mi wybaczyć - szepnęła. - Proszę mi wybaczyć.

Ja... - Zajął się koszulą; wsunął w rękaw jedną jej rękę, potem, bardzo ostrożnie, drugą. Zapiął koszulę grubymi palcami, które tak bardzo drżały, że z trudem uporały się z tym zadaniem.

Pomógł jej z powrotem się położyć i nakrył ją prześcieradłem.

- Przez kilka dni będzie panią bolało. Jeżeli jest pani zdecydowana powrócić do koszar, pani... pani mąż będzie musiał pomagać pani w ubieraniu się, aż rany się zagoją.

- Nie mam zamiaru wracać do koszar. A nawet gdybym to zrobiła, mój mąż nie może znieść mojego widoku - wycodziła przez zęby, ze wzrokiem wbitym w sufit. - Prędzej mogłabym się spodziewać pomocy ze strony nieznajomego przechodnia niż od niego.

Przez długą, długą chwilę wpatrywał się w jej bladą twarz.

- Nie potrafię sobie wyobrazić mężczyzny tak ślepego, żeby mógł się oprzeć pani rozebranej. A jeżeli to, co mówię, jest nieprzyzwoite, wobec tego istotnie jestem grzesznikiem potrzebującym zbawienia.

Odwrócił się i trochę niepewnym krokiem wyszedł z pokoju. Lisa patrzyła za nim oniemiała ze zdziwienia. Jej ciało przeszywał dreszcz nowych wrażeń, takich, jakich zanedbujący ją mąż nigdy nie był w stanie w niej wzbudzić. Złapała prześcieradło i zamknęła oczy. Modliła się długo, błagając Boga o wybaczenie za grzech przyjemności, jakiej doznała widząc oczy doktora Powella. Była kobietą zamężną, dla której niewierność była rzeczą nie do pomyślenia. Nawet jeśli jej mąż miał grzeszny romans, ona była inna. Jej nie wolno było utrzymywać żadnego związku, nawet niewinnego, z innym mężczyzną. Do czasu, aż dostanie rozwód. A mimo wszystko wzrok doktora wywołał doznania, jakich nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu. Postanowiła, że nim nadejdzie ranek, wmówi sobie, że to był sen. Może z czasem uda się jej przekonać samą siebie, że tak było w istocie.

Pułkownik David Morris opuścił posterunek, czego nie miał prawa uczynić, i spędził noc w ramionach Seliny. Pomyślał, że to pierwszy raz, ale nie ostatni. Naprawdę kocha tę kobietę.

Obrócił się na bok, a jego twarz widoczna była wyraźnie w świetle księżyca, które wpadało przez okno. Zaszokowało go własne zachowanie. Nie zamierzał uderzyć Lisy. Na Boga, to prawda, miała prawo być oburzona na sposób, w jaki ją traktował. Ożenił się z nią, by awansować. Zaciągnął ją tu za sobą, każąc prowadzić życie, do jakiego nie była przyzwyczajona, zrobił jej dziecko, a potem nie zajął się nią, kiedy poroniła, gdyż miał gorący romans z inną

kobietą. Gdy Lisa oznajmiła mu, że go opuszcza, uderzył ją. Teraz, gdy sobie to przypomniał, jęknął głośno. Nie zamierzał jej uderzyć. A już z całą pewnością nie chciał tego, by się tak bardzo poważnie poparzyła.

- O co chodzi? - zapytała sennie Selina.

- Moja żona rozwodzi się ze mną - powiedział.

Selina usiadła; już nie chciało się jej spać.

- Rozwodzi? - Twarz się jej rozpromieniła.

- Tak - powiedział i zaśmiał się szorstko. - Możesz wyjść za mnie, jeśli chcesz, kiedy rozwód będzie prawomocny.

Rozpłakała się z radości. To było spełnienie wszelkich jej pragnień, więcej, niż kiedykolwiek ośmieliła się marzyć.

- Och, Davidzie, będę dla ciebie taka dobra - szepnęła z zapalem. - Taka dobra.

Pociągnęła go ku sobie i zaczęła to udowadniać w najlepszy sposób, jaki знаła. Dużo wcześniej, niż poddał się jego umysł, poddało się ciało. Może to i dobrze, że Lisa chce rozwodu, pomyślał, gdy zaczęło w nim wzbierać pożądanie. Bardzo dobrze.

Kiedy później jechał w stronę fortu, usłyszał dźwięki, które go zaniepokoiły. Ostrożnie, powoli skierował samochód w cień drzew paloverde i wyłączył silnik. Zazwyczaj jeździł konno, nienawidząc piekielnej maszyny, która psuła się częściej, niż mu służyła. Ale spieszył się do Seliny.

Słuchał. Konie. Wiele koni. Kiedy obserwował drogę ze swojego ukrycia, grupa mężczyzn - Meksykanów, sądząc po ich olbrzymich sombreroach - ostrożnie zdążyła w stronę Douglas.

Nie rozpoznał ich, ale wiedział, że to nie miejscowi. Było w ich wyglądzie coś, co aż krzychało, że to rewolucjoniści.

Musi dokładnie im się przyjrzeć. Kiedy dotrze do Fortu Huachuca, będzie mógł zatelefonować do garnizonu w Douglas i złożyć raport o pojawieniu się tego oddziału. Jeśli działali na terytorium Stanów Zjednoczonych, to wkrótce rozpęta się piekło. Może było coś w tych pogłoskach o szmuglowaniu i o miejscowym oddziale, które ostatnio dotarły do jego uszu.

Jadąc na rancho Langów Thorn Vance myślał o wielu sprawach. Po raz pierwszy od wielu lat nie mógł nakłonić Nakiego do rozmowy. Wiedział, że Apacz jest zafascynowany dziewczyną w okularach, która gościła u Langów, ale nie wiedział, co ma z tym zrobić. Jeśli Naki zaangażował się emocjonalnie, mogło dojść do niezręcznej sytuacji, zważywszy na stosunek brata dziewczyny do Indian. Nie wiedział, do czego może doprowadzić ten niefortunny związek, ale nie miał żadnego prawa trzymać Nakiego z dala od Sissy Bates.

Z drugiej strony może mógłby porozmawiać z dziewczyną, jeśli nadarzy się taka okazja.

Miał nadzieję, że będzie to możliwe na myśliwskiej wyprawie, tak więc podjął przygotowania do wyjazdu gości Langów w góry.

Jack Lang wcale nie podszedł do tego pomysłu z entuzjazmem, ale Richard po raz pierwszy od przyjazdu wykazał prawdziwe zainteresowanie.

- Wspaniale! - wykrzyknął małpując swego idola, Theodore'a Roosevelta. - Kiedy możemy wyruszyć?

- O brzasku - odparł Thorn. - Ze względu na sytuację w Meksyku nie chcę poruszać się po ciemku, dopóki nie rozbijemy obozu.

- Oczywiście. Ale czy nie będziemy się znajdować w pobliżu granicy? - dopytywał się Richard.

- Nie - zapewnił go Thorn. - Znacznie dalej.

- W takim razie ja się na to piszę. A ty, słoneczko? - zapytał żartobliwie kuzynkę Julie, która z jawną kokieteryą opierała się o jego ramię.

- Nie mogę się doczekać - odparła uwodzicielsko.

Trilby wiedziała, że powinna była odczuwać zazdrość.

Kiedy jednak jej wzrok napotkał zaciekawione spojrzenie Thorn'a, poczuła skurcz żołądka. Jej wzrok spoczął na jego ustach i zapragnęła ich z tak niespodzianie gorącą siłą, że wbiła paznokcie w dłonie. Odwróciła się, żeby poprawić serwetkę na stole, ale przez cały czas czuła na plecach wzrok Thorn'a.

- Weźmiesz ze sobą Samanthę? - zapytała Thorn'a Mary Lang.

- Tym razem nie - odparł dziwnie głębokim głosem. - Zostanie w mieście u mojego kuzyna Curta i jego żony.

Nie dodał, że Samantha błagała go o to, by ją ze sobą zabrał. Sprawiała wrażenie, że nie lubi przebywać u Curta i Lou. Dlaczego nigdy przedtem tego nie zauważył? Będzie musiał z nią o tym porozmawiać.

- Jak to miło z ich strony. Pewnie będzie za tobą tęsknić - powiedziała Mary.

Thorn tak nie sądził, ale uprzejmie przyznał jej rację.

- Zjawię się o brzasku, żeby was zabrać - rzucił.

- Thorn, możesz wziąć także mój samochód, jeśli go potrzebujesz - zaczął Jack.

- Pojedziemy konno. To jedyny sposób, żeby tam dotrzeć. Jeśli ktoś z was nie umie jeździć konno...

- Nie bądź niemądry. - Richard roześmiał się. - Ben, Sissy i ja wyrosliśmy na koniach, a Julie jeździ jak dzikuska.

- Trilby jednak nie - zauważył Thorn.

- Mogę się nauczyć - odparła krótko.

- Oczywiście, że tak - powiedział, patrząc na nią. - Ja cię nauczę.

Wyobraziła sobie dłonie Thorn'a spoczywające na jej ramionach, na jej ciele, kiedy będzie siedział za nią i przytrzymał ją na koniu. Poczowała, że robi się jej gorąco.

Sięgnęła po wachlarz i zaczęła nim poruszać, by się ochłodzić.

- Próbowałem ją nauczyć - powiedział Richard, czując ukłucie zazdrości na widok zainteresowania, jakie Thorn okazuje Trilby. - Słabo jej to szło...

- To nie *fair*, Richardzie - wtrąciła się Sissy. - Byłeś niecierpliwy i krzyczałeś na nią. Nie jesteś dobrym nauczycielem. Jestem pewna, że Thorn wykaże więcej cierpliwości.

- Tyle, ile będzie potrzeba - powiedział, a jego wzrok podkreślał wypowiedziane słowa, wprawiając Trilby w coraz większe zakłopotanie. Zarumieniła się, kiedy się w nią wpatrzył.

Richard przyglądał się tej grze i postanowił pokrzyżować szyki męskiemu panu Vance'owi. Nie chciał, żeby Trilby zakochała się poważnie w tym prymitywnym ranczerze. Zaprzagnął się upewnić, że spojrzenie Thorn'a nie wywarło na niej większego wrażenia.

- Richardzie, sprawiasz wrażenie bardzo zamyślonego - szepnęła Julie.

- Naprawdę? Zastanawiam się, dlaczego. - Spojrzał na nią z uśmiechem. Niemalże zamruczała z zadowolenia.

Pewnego dnia potraktuje na serio to jej beczelne flirtowanie i sprawdzi, czy jest gotowa wypełnić te wszystkie obietnice, jakie zapowiadały jej oczy.

Wyruszyli wcześniej następnego ranka - mała karawana poruszająca się zakurzoną drogą. Trilby niespokojnie siedziała w siodle; była tak nerwowa, że jej koń prawie się spłoszył.

Kiedy pozostali oddalili się trochę, Thorn zwrócił się do niej:

- Posłuchaj, małeńka, nic z tego nie będzie - powiedział łagodnie. Zsiadł z konia, podszedł i zdjął Trilby z siodła.

Kiedy niósł ją do własnego konia, ona trzymała się go kurczowo, niepomna na ciekawe spojrzenia patrzących na to ludzi.

- Co... co robisz? - zapytała niepewnie.

- Zamierzam posadzić cię przed sobą. Nie wierć się.

Zdenerwujesz Randy'ego.

- Kto to jest Randy?

- Mój koń. - Usadził ją w siodle i szybko wskoczył za nią. Jego szczupłe ramiona objęły ją i ujęły wodze, i Trilby poczuła za sobą potężną siłę jego muskularnego ciała.

Skierował gniadego wałacha na trakt wiodący w stronę gór.

Obejmował ją w talii, zapewniając jej bezpieczeństwo.

- Wszystko w porządku? - szepnął jej w ucho.

Poczuła, jak serce głośno bije jej w piersi i bała się, że on to słyszy.

- Tak - szepnęła.

Poczuła jego usta tuż obok swego ucha.

- Pachniesz kwiatami, Trilby - szepnął.

Zadrżała w jego uścisku. Zdołała jedynie powiedzieć:

- Thorn.

Rozwarł dłoń i mocno przytulił Trilby do siebie. Zadrżała i cicho jęknęła.

- Mój Boże! - szepnął. - Trilby!

- Nie... przestań - zdołała wyszeptać. Miała zamknięte oczy i drżała.

Popędził ostrogą konia i dołączył do pozostałych.

Julie i Richard jechali truchtem tuż koło siebie, cały czas rozmawiając. Sissy jechała bardzo spokojnie, tuż obok Bena.

- Naki z tobą nie pojechał? - zapytała Trilby, kiedy czuła, że wreszcie panuje nad głosem.

- Jest już na miejscu i rozgląda się. Wiesz, że zakochał się w Sissy?

- A ona w nim - powiedziała. - To dobrze. Sissy to dobra dziewczyna.

- Oczywiście, że tak. Ale Naki jest mężczyzną. Stuprocentowym mężczyzną. I jest tylko człowiekiem. Pożąda jej.

Pilnuj, by była w pobliżu ciebie. Nie wiem, czy zdają sobie z tego sprawę, ale działa tu bardzo potężny pociąg fizyczny.

Jeśli znajdą się w lesie sam na sam, nie ich nie powstrzyma.

- Są dorośli - odparła powoli.

- My także - szepnął i przysunął ją mocniej do siebie.

- Czy masz zamiar udawać, że nie jest ci gorąco i zimno na przemian, kiedy czujesz tak blisko moje ciało?

Przełknęła ślinę, zamykając oczy, gdy ponownie przysunął ją do siebie.

- Nie... wolno ci - powiedziała zdławionym szeptem.

- Wolno - wycedził przez zęby. - Boże, Trilby, nie widzisz, jakie przeżywam męki?

- To nie... o mnie chodzi - powiedziała, zraniona. - Bierzesz mnie za kogoś, kim nie jestem. Ty... ty nadal nie wierzysz, że nie jestem kobietą lekkich obyczajów.

- To nie ma nic wspólnego z tym, co czuję - zaprzeczył.

- Trilby, wiem, że nie jesteś taka, jak z początku podejrzewałem. - Powtarzałem ci to już dziesiątki razy!

- Ale traktujesz mnie w ten sposób!

- Traktuję cię tak, jakbym cię pragnął - powiedział; jego oddech był szybki i gorący. - I tak jest. Nie dlatego, że uważam cię za kobietę lekkich obyczajów, tylko dlatego, że pragnę cię każdą cząstką swego ciała. Marzę o tym, żeby być z tobą. Wszłaś mi w krew, Trilby.

Obejmował ją trochę niepewnie, i to ją przeraziło. Tak bardzo chciała go pocałować, że prawie ją to bolało, ale nie mogła, nie śmiała poddać się temu uczuciu. To grzech pragnąć czegoś takiego, nie będąc mężatką.

- Nie powinniśmy czuć nic takiego, to niewłaściwe - powiedziała z napięciem. - To złe, Thorn.

- Nieprawda - odparł. - Od czasu fiesty chciałem ci powiedzieć, że to nie jest złe. To, co czujemy do siebie, rzadko się zdarza. Dlaczego nie możesz tego zaakceptować?

- Ja... kocham Richarda - szepnęła.

- Powtarzasz to z przyzwyczajenia - stwierdził zimno. - Kiedy wreszcie odkryjesz, że interesuje się swoją kuzynką, zaraz przestanie ci się podobać.

- To nieprawda!

- Otwórz oczy i popatrz. Są nierozłączni. Umarłby, gdyby go o to poprosiła. Może on jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, ale ona już złapała go w swe delikatne rączki.

Miał rację. Wiedziała, że tak jest, ale nie chciała tego przyznać, bo Richard stanowił jej jedyną ochronę przed tym, co czuła do Thorny.

- Ale oni przecież są kuzynami - powiedziała.

- Na pewno wiesz, że kuzyni mogą się żenić - odparł.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- W porządku, Trilby, schowaj głowę w piasek. Ale tego, co rodzi się między nami, nie da się zbyt długo unikać.

Wiem to. I ty też to wiesz.

Wiedziała, lecz nie chciała się do tego przyznać. Trzymała się sztywno przez całą drogę w góry.

Przy strumieniu, gdzie rozbili obóz, było chłodno, ciemno i lesiście. Było również na tyle wysoko, że mogli się obronić, gdyby to było konieczne. Trilby miała o tym nie wiedzieć. Usłyszała przypadkiem dyskusję Thorny z Mosbym Torrance'em, który pojechał z nimi mimo protestów Jacka Langa utrzymującego, że jest na to za stary.

Namioty dla kobiet rozbito obok ogniska, podczas gdy mężczyźni rozbili swoje w krąg otaczając je na zewnątrz.

Dawało to większą przewagę, gdyby zostali zaatakowani.

- Nie chciałeś nas tu sprowadzać - powiedziała Trilby do Thorny, kiedy kowboje

przygotowali zaspokajający głód posiłek składający się z wołowego gulaszu i grzanek przypieczonych nad ogniskiem.

Thorn rozciągnął się na kocu, uprzednio przytroczonym do siodła; zdjął kapelusz, a ostrogi i ochraniacze rzucił obok na ziemię. Nadal trzymał w dłoni strzelbę.

- Masz rację, nie chciałem tu przyjeżdżać, kiedy tuż po drugiej stronie granicy, w Meksyku, aż wrze - przyznał jej rację, przysłuchując się Meksykaninowi z gitarą, który śpiewał serenady bawiąc towarzystwo. Naki wcale nie pojawił się w obozie, co zabolalo Sissy. Przykre było również to, że w towarzystwie ignorował ją całkowicie, a kiedy raz się do niego odezwała, zachował się tak, jakby go obraziła. Od tej chwili stała się milcząca i smutna.

- Dlaczego więc zgodziłeś się nas tu przywieźć? - zapytała Trilby; siedziała na małym głazie i przyglądała się Thornowi.

Zwrócił głowę w jej stronę.

- Ponieważ nie podobało mi się to, w jaki sposób patrzysz na Batesa - powiedział bez ogródek. - To miastowy chłopak. Snob. Wydaje ci się, że go chcesz, bo jest jedynym kawalerem, jakiego kiedykolwiek znałaś. Ale teraz ja tu jestem i pragnę cię.

Zarumieniła się.

- Ale ja pana nie pragnę, panie Vance - powiedziała.

Popatrzył na nią rozbawiony i na jego szczupłej twarzy pojawił się kpiący uśmiezek.

- Akurat - powiedział cicho.

Odwróciła wzrok. Nie chciała na niego patrzeć. Na drżących nogach podeszła do reszty towarzystwa i usiadła obok milczącej Sissy. Meksykanin śpiewał o złamanych sercach i nie spełnionych marzeniach.

Sissy poszła do strumienia po wodę na dodatkową kawę. Był koniec listopada i w nocy robiło się zimno; w dodatku po niebie przetaczały się gęste chmury. Najprawdopodobniej będzie padać. Nie martwiło jej to; właściwie korespondowało z jej pochmurnym nastrojem.

Kiedy schyliła się, żeby w wartkim potoku splukać granatowy dzbanek przed napełnieniem go wodą, do jej uszu dobiegł jakiś odgłos. W ciszy rozbrzmiewała muzyka, wzruszająca i piękna. Meksykanin nadal grał w oddali na gitarze, ale te dźwięki dobiegały z bliska. Z bardzo małej odległości.

Wstała i zaczęła nadśłuchiwać. Melodia przybliżała się.

Sissy podniosła dzbanek i ruszyła leśną ścieżką dochodzącą do strumienia. Kiedy zbliżyła się do rozłożystego drzewa paloverde, dostrzegła opartego o nie wysokiego mężczyznę.

Naki stał w narzuconym na ramiona kolorowym pledzie i grał na flecie. Bardzo dobrze grał.

Dotknięta jego wcześniejszym zachowaniem, miała zamiar przejść obok, ale zastąpił jej drogę.

- Czy mam się cieszyć, że mimo iż przez cały dzień zupełnie mnie ignorowałeś, wieczorem postanowiłeś zagrać mi na flecie? - zapytała najwyraźniej urażona.

Uśmiechnął się lekko.

- W obecności innych ludzi nie zwracamy uwagi na kobiety. Nie wiedziałaś tego?

Przycisnęła dzbanek do piersi. Był bardzo zimny.

- Taki... zwyczaj?

- Tak jest. W obozie mężczyźni i kobiety nawet na siebie nie patrzą. Jakakolwiek oznaka uczucia czy zainteresowania płcią przeciwną jest uznawana za objaw złego wychowania.

- Och...

- Nie wiedziałaś. - Skinął głową. - Wiele się jeszcze musisz nauczyć. - Zbliżył się do niej. W gasnącym świetle wyglądał dziwnie obco - wysoki, silny i dominujący. - Apacze przestają się razem kąpać, kiedy wyjdą z wieku dziecięcego. Nawet kiedy pływamy, zawsze mamy na sobie przepaskę. Skromność, nieśmiałość, to cechy Apaczów.

Spojrziała w górę, kiedy do niej podchodził.

- A... flet?

- Zaloty - odparł cicho.

Zarumieniała się. Miała uczucie, że jej skóra płonie. Tylko dłonie trzymające dzbanek zdrętwiały z zimna.

Zabrał dzbanek i postawił go delikatnie na ziemi. Potem wręczył jej flet. Odchylił połą pędu.

- Czy to coś... znaczy? - zapytała z wahaniem. - Ten gest?

- Wiele - odparł.

Bez dalszej zachęty schyliła się pod jego ramieniem, a on objął ją i okrył pędem.

- Co teraz? - szepnęła, zauroczona taką bliskością jego silnego ciała. Czowała się bezpieczna, spokojna i kochana.

- Teraz możemy rozmawiać, dopóki nas nie odkryją - odparł. - Albo mogę ci zagrać.

Wręczyła mu flet i uśmiechnęła się.

Melodia była cicha i powolna, i Sissy wiedziała, że zapamięta ją do końca życia. Na niebie powinny jaśnieć gwiazdy albo przynajmniej księżyc w pełni, ale wokół panowała jedynie pochmurna noc z delikatną mgiełką deszczu, który zaczynał padać.

Nie dbała o to. Została przeniesiona w inne miejsce, inny czas. Zamknęła oczy i przytuliła policzek do jego ramienia.

- Alexandra.

- Tak? - szepnęła.

- Rozpuść włosy.

Drżącymi palcami wyjęła spinki i jej bujne ciemne włosy opadły falami na ramiona i plecy. Sięgały do pasa.

- Tak - powiedział cicho, dotykając ich dłonią, w której trzymał flet. - Tak, są śliczne. Nigdy ich tak nie nosisz?

- To nie byłoby... właściwe - odparła z wahaniem.

- Kulturowe tabu?

- Być może.

Jego szczupła dłoń przesunęła się po jej włosach. Odważnie uniosła rękę i dotknęła jego gęstych włosów, zdumiona ich długością. Pochylił się i potarł policzkiem o jej policzek.

- Apacze... nie całują się, prawda? - szepnęła.

- Nigdy po ślubie. Rzadko przed. Ale miałem żonę Meksykankę, a ona uwielbiała mnie całować. Nauczyła mnie, jak się to robi.

Ostatnie słowa wypowiedział tuż przy jej ustach. Przywarł wargami do jej ust i przygarnął ją do swojej szerokiej piersi. Z trudem łapała oddech.

Uniósł głowę.

- Nie robiłaś tego przedtem?

Chwilę milczała.

- Cóż... nie - wyznała. Wpatrywała się w niego wielkimi oczami. - Widzisz, nie jestem ładna, ale jestem wykształcona.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Czy to jest dla ciebie obraźliwe, kiedy moje usta dotykają twoich?

Zadrżała.

- Nie, nie. Nie.

Podniósł jej brodę do góry.

- Czy mniej się będziesz bała, jeśli będę cię całował delikatnie?

- Ja... się nie boję - powiedziała niepewnym głosem. - Naprawdę nie.

- Kobiety Apaczów są czyste - szepnął. - Jak ty...

Tym razem go nie odepchnęła. Jego usta były twarde, ciepłe i wilgotne, i wielką przyjemność sprawiał jej ich dotyk. Schwyciła go za koszulę i jęknęła cicho.

Wplótł dłonie w jej włosy, a ona objęła go za szyję. Jej ciało zaczęło drżeć z dziwnej, pulsującej rozkoszy. Pragnęła przylgnąć do niego jeszcze bliżej, ale już przyciskał ją tak mocno, że czuła, jak swym torsem rozgniała jej piersi.

Nagle podniósł głowę. Nogi mu drżały, gdyż tak bardzo jej pragnął. A jednak nie chciał tego. Nie potrafił jej zhańbić.

Odsunął ją skromnie na bok i ponownie otulił pledem.

Oddychał nierówno i znowu zaczął grać na flecie; po chwili uspokoił się. Przytulona do niego Sissy drżała. Potrzebowała wiele czasu, żeby się uspokoić.

- Jak to się nazywa? - zapytała w końcu, wskazując na sposób, w jaki stoją.

Powiedział coś w języku Apaczów.

- Wy, biali, mówicie na to zaloty - przetłumaczył. - Są bardzo przyzwoite. Zazwyczaj.

- Tak jak ci powiedziałam, nigdy przedtem nikogo nie całowałam.

- Tak, zauważyłem to - stwierdził chłodno.

- Będę to robić lepiej, jak się nauczę - odparła trochę urażonym tonem.

- Już jesteś w tym całkiem dobra, ale ze względu na ciebie nie powinniśmy tego robić.

- Och!

Spojrzał na nią bacznie.

- Zaszokowałem cię? Zazwyczaj nie dyskutuje się o tych sprawach. Czy rozumiesz, co się może stać, kiedy mężczyzna i kobieta, którzy czują do siebie pociąg, spędzają za dużo czasu sam na sam?

- Nie jestem taka głupia - powiedziała, przełykając ślinę.

Westchnął ciężko.

- Już i tak znajdujemy się w niemożliwej sytuacji. Nie chcę zwiększać ciężaru, robiąc coś potwornego. - Uniósł jej twarz. - Alexandra, bez względu na to, co się stanie, nigdy nie może być dziecka... Nigdy.

Skrzywiła się, bo ta uwaga ją zaboląła, ale smutnie skinęła głową.

- To nie dlatego, że ja bym nie chciał - dodał - ale dziecko, które należy do dwóch kultur, nie należy do żadnej.

Takie mieszanie ras nie jest dobre.

- Dlaczego więc okryłeś mnie swoim płedem?

- Miałem na myśli mieszanie, z którego rodzą się dzieci - wyjaśnił. Spojrzał jej badawczo w oczy, próbując dostrzec je w ciemności. - Czuję do ciebie pociąg nie do zniesienia.

- Ja czuję to samo - szepnęła.

Jęknął cicho i oparł policzek o czubek jej głowy.

- To beznadziejne.

- Wiem.

Jednak nie odsunęła się, a on nie wypuścił jej z objęć.

Przywarła do niego, bezpieczna w jego ramionach. Delikatna mgiełka cienką warstwą okryła jej skórę.

Gęsty deszcz spadł później, kiedy już Sissy niechętnie opuściła Nakiego i poszła spać. Trilby już zasypiała, gdy poczuła, że namiot zaczął przeciekać. Miała dzielić namiot z Sissy, lecz w ostatniej chwili Julie urządziła awanturę i uparła się, żeby Sissy spała z nią. Trilby została sama, o co zapewne chodziło Julie, która bardzo chciała ją zdenerwować.

Była przemoczona. Spała w długiej rozpinanej spódnicy i bluzce i nie miała ochoty reszty nocy spędzić w mokrych ubraniach. Otworzyła torbę i wyjęła suche rzeczy, ale nie było miejsca, w którym mogłaby się przebrać. Do namiotu wlewała się woda.

Z nadzieją, że może uda się jej dotrzeć do namiotu Sissy i Julie, żeby się w nim przebrać, po omacku wyszła na zewnątrz. W pobliżu zamajaczył jakiś wysoki cień. Trilby omal nie krzyknęła ze strachu.

- Co tu, do diabła, robisz? - zapytał Thorn. - Dlaczego nie śpisz?

- Jestem przemoknięta do suchej nitki - wymamrotała Trilby. - Pewnie przesunęłam się na bok, gdzie namiot przecieka.

- Nie wydaje mi się - powiedział. - Chodź ze mną.

Wygląda na to, że niechcący stałem się częścią planu. Skoro tak się stało, pomogę ci go zrealizować.

- Nie rozumiem...

Pociągnął ją za sobą przez deszcz.

- Zaraz zrozumiesz.

Myślała, że zatrzyma się przy namiocie Sissy, ale nie zrobił tego. Pociągnął ją ku zewnętrznemu kręgowi, gdzie był rozbity namiot Richarda, i zatrzymał się. Pałaca się wewnątrz lampa rzucała na ściany namiotu cienie dwóch postaci; z wnętrza dobiegały coraz głośniejsze szepty.

Był to namiot Richarda. W obozie były tylko trzy kobiety.

Sissy była jego siostrą, a Trilby znajdowała się na zewnątrz z Thornem. A więc w środku mogła być tylko Julie.

Trilby była tak nieszczęśliwa, że nie zdawała sobie sprawy, dokąd Thorn ją prowadzi, aż znaleźli się bezpieczni w ciepłe jego namiotu.

Stała trzymając kurczowo suche ubrania, teraz już lekko wilgotne. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi szarymi oczami, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczyła i co jawiło się jej jako zdrada.

Thorn zdjął kapelusz i płaszcz nieprzemakalny, i rzucił je na bok. W ciemności panującej w namiocie zapalił zapałkę i popatrzył w oczy Trilby.

- Królowo tragedii - zakpił. - Teraz już wiesz, prawda?

Jestem pewny, że właśnie o to chodziło, żebyś się dowiedziała. Zobaczyłem, że ktoś przechodzi, dlatego wstałem.

Widocznie twoja przyjaciółka Julie postarała się, by twój namiot zaczął przeciekać, żeby wywabić cię na zewnątrz, abyś mogła przyłapać ją z Richardem. Jestem pewny, że teraz już, oczywiście - dodał brutalnie - jest w swoim namiocie i zaśmiewa się do rozpuku.

Trilby poczuła, jak twarz zaczyna jej pałać z niemego gniewu.

- Och!

Zgasił zapałkę.

- Dziwi cię, że tak ostro walczy, żeby go zatrzymać? Nie wiesz, jakie to może być bolesne, kiedy pragnie się kogoś tak bardzo, jak ona pragnie tego twojego niemrawego chłopaka.

- Nie wiem, o co ci chodzi...

Złapał ją i pocałował, nie dając jej dokończyć.

Szarpnęła się, ale nie zwracał na to uwagi. Przestała się szamotać, kiedy objęły ją potężne ramiona i z całej siły przytuliły. Jego ciało było ciepłe i silne, a pocałunki takie namiętne. Jęknęła.

- Pragniesz tego równie mocno jak ja. Stój spokojnie, Trilby. Nie hałasuj - szepnęła niepewnym głosem, i po chwili jego usta znowu drażniły jej delikatne wargi. - Nie ruszaj się, bo

ktoś może nas usłyszeć nawet poprzez szum deszczu.

Przyciągnął ją bliżej i znowu zaczął całować. Przyjemność, jaką jej sprawiał, była zbyt mocna i oszalamiająca, by było jeszcze miejsce na obronę. Zmiękła w jego ramionach i zaczęła odwzajemniać jego pocałunki. Po chwili poczuła, jak powoli osuwa ją na ziemię. Nie protestowała.

To, co robił, było zbyt słodkie. Całował ją w cudowny sposób. Był powolny, czuły i bardzo dokładny, a ona pragnęła, by trwało to dalej.

Nawet kiedy poczuła, że przyłgął do niej całym ciałem, nie wydała żadnego dźwięku. Był ciężki, ale ten ciężar w jakiś sposób łagodził pulsujący ból jej ciała. Przesunęła się lekko, by przycisnąć go do siebie w miejscach, gdzie odczuwała największy ból, i jęknęła czując nie znany dotyk podnieconego męskiego ciała.

Nie wiedziała, że mężczyźni tak się zmieniają, ani jak się to dzieje. Czuła twardość jego ciała, nie w pełni rozumiejąc, co to oznacza. Zagrażała jej jednak, więc trochę zeszywniała.

Jego jedyną odpowiedzią na ten znaczący gest było to, że ponownie ją pocałował i bardzo powoli wsunął jedną, odzianą w dżinsy nogę pomiędzy jej nogi, uwięzione w długiej spódnicy. Początkowo poczuła dziwne napięcie, ale było to ciepłe, słodkie, podniecające uczucie, które wkrótce zaczęło jej sprawiać przyjemność. Westchnęła i przycisnęła go mocno obiema rękami, mówiąc mu bez słów, że chce, by nie przestawał.

Uśmiechnął się i znowu ją pocałował. Jego wargi były subtelne i powolne, wywoływały jednak tak silną czułość i rozkosz, że po chwili zaczęła drżeć. Jego dłonie delikatnie dotykały jej ciała, nie chciały się w nie wdzierać, jeszcze nie. Jednak sposób, w jaki jej dotykał, sprawiał, że pragnęła, by tak się stało.

Kiedy jego szczupłe palce dotykały jej piersi, ciało dziewczyny wyginało się w łuk, jakby podążało za nimi w powolnym, bezsilnym rytmie. Podobało jej się to, co ich dotyk robi z jej piersiami, pragnęła tego. Chciała, żeby poczuł delikatne wzniesienia, żeby ich dotknął. Chciała, by zsunął z niej stanik i dotknął rozpalonej skóry, by mogła ochłonąć. Chciała, by dotknął jej piersi ustami.

Ledwie o tym pomyślała, poczuła, że jego ciepłe usta dotarły do miejsca, gdzie pragnęła je poczuć. Zadrzała i przywarła do niego. Deszcz uderzał o namiot i zagłuszał jej okrzyki namiętności.

Coś szeptał, głosem rozognionym i nagłym. Dotyk jego dłoni ukoił ból pożądania. Przywarł do niej chłodną, owłosioną klatką piersiową. Włosy ją łaskotały, ale nie zwracała na to uwagi, pochłonięta nowymi namiętnymi pocałunkami. Zadrzała z wrażenia.

Jego ciało również przylegało do niej, ale coś się zmieniło...

Kilka sekund później zdała sobie sprawę, co się dzieje, lecz było już za późno. Trzymał ją mocno, kiedy nagle znalazł się pomiędzy jej nogami i silnie pchnął. Wszedł w nią, całkiem do środka, w sposób, jakiego nigdy sobie nawet nie wyobrażała! Żadne lektury nie przygotowały jej na tę sytuację.

Krzyknęła z przerażenia i zaskoczenia, a potem również z bólu. Thorn żarliwie szeptał jej coś do ucha, podczas gdy jego członek rozrywał ochronną barierę jej błony dziewiczej. Posiadł ją całkowicie.

Thorn! Nie... możesz! - jęknęła z trudem.

Ale mógł i zrobił to. Bezsilnie dążył do satysfakcji, zaślepiony żądzą, nie mogąc wymówić słowa. Jęknął, a jego ciało przeszedł skurcz, kiedy poczuł, jak otaczająca go delikatna jak płatki kwiatów miękkość każe mu zaspokoić własną niepohamowaną żądzą. Przytrzymał Trilby pod sobą i pchał ślepo, rytmicznie, aż osiągnął szczyt rozkoszy.

Kiedy go poczuł, zatracił się zupełnie w miękkości Trilby, oddając się całkowicie oślepiającej przyjemności, która wygięła jego ciało w łuk.

- Och... mój... Boże! - Jego głos brzmiał nabożnie.

Zatrzymał się tylko przez chwilę i wyczerpany opadł na nią.

Trilby płakała gorącymi łzami; wiedziała, nie mogła nie wiedzieć, że dotarł do raju. Dla niej jednak ta wspinaczka była bolesna i nie dała spełnienia. Było jej zimno, gdyż krople potu z jego piersi chłodziły jej ciało... podczas gdy jego ciało nadal pulsowało po zaznanej rozkoszy; z trudem łapał powietrze. W intymnych miejscach czuła ból, jakby je rozerwano. Jego ciało ciążyło na niej, i było zimne, a tam... czuła nieprzyjemną wilgoć.

Poczuł jej lzy; odwrócił głowę i zaczął całować jej twarz z powolną czułością.

- Proszę - szepnęła z rozpaczą. - Puść mnie.

- Nie, maleńka - mruknął łagodnie. - Jeszcze nie.

Jego szczupła ręka przesunęła się po jej nagim udzie i zawędrowała pomiędzy ich ciała. Jego usta powoli znalazły jej wargi, otwierając je czule, podczas gdy palce przesunęły się w dół i zaczęły dotykać odsłoniętych najczulszych miejsc.

Zaparło jej dech i próbowała go odepchnąć. I wówczas, gdy gorączkowo protestowała przeciwko tej intymności, dotknął jej ciała w sposób, który sprawił, że nagle stało się jego własnością. Jej palce wpiły się w jego twarde ramiona, gdy ciało zalała fala słodkiej, mrocznej rozkoszy. Tym razem nie odepchnęła go.

Wiem - szepnął. - Bolało i jesteś rozczarowana. Ale teraz, obiecuję, nie będzie bolało. Czujesz, jak to jest, kochanie? - zapytał ochryłym głosem, błądząc po jej ciele i widząc, że zaczyna drżeć. - Czy nie jest ci dobrze, Trilby?

Nie chcesz tego więcej? Mogę ci to dać...

Sekundy przeciągały się w minuty. Zaczęła gryźć jego usta, pulsując rytmem w słodkiej rozkoszy. Wzmagające się napięcie było magicznie, piekielnie, wstydliwie satysfakcjonujące.

Wbiła paznokcie w jego ramiona. Nie widziała jego twarzy, ale słyszała oddech, równie szybki i urywany jak jej. Wiedziała, że do końca życia będzie pamiętać jego oddech zmieszany z jej własnym, gdy deszcz uderzał o grube płótno namiotu, wybijając rytm zagłuszający ich okrzyki rozkoszy.

- Och... proszę, Thorn - dusiła się, a jej głos był ciekim skowyt, kiedy wiała się pod nim. Tak silne wrażenia osłabiały ją, utrzymywały u szczytu napięcia, które wydawało się nie do zniesienia. - Proszę... proszę... uczyn mnie całą...

- Wkrótce - wyszeptał. - Nie możemy pójść za szybko.

Musi to być wolne i zabrać wiele czasu, tak żeby twoje ciało było gotowe przyjąć moje, kiedy wezmę cię ponownie.

Te słowa doprowadziły ją niemal do ekstazy. Wbiła palce w jego plecy, tak bardzo go pragnęła. Szeptala mu to do ucha, z trudem wymawiając słowa.

Przysunął usta do jej piersi. Gryzł je lekko, ssał i dotykał ich językiem, sprawiając niewysłowioną rozkosz. Nagłe pragnienie kazało jej poprowadzić jego rękę z niesłychanym żądaniem, co później aż ją szokowało. Teraz ważne było jedynie to, by zakończyć tę udrękę i napięcie, przedrzeć się przez tę barierę, która uniemożliwiała osiągnięcie rozkoszy. Jeszcze tylko... trochę. Tylko... trochę. Zadrzała nagle i z jej gardła wydobyły się ciche, ochryple okrzyki, gdy ogarnęła ją ekstaza.

Wówczas wszedł w nią i zobaczyła gwiazdy. Nie było bólu, przyszłości, przeszłości, tylko wtargnięcie ciała tego mężczyzny w jej ciało i przyprawiająca o konwulsje namiętność, która zostawiła ją całkowicie na jego łasce, kiedy uderzał o jej chętne biodra, aż zadrzała i straciła przytomność.

Trzymał potem długo jej bezwładne, miękkie ciało w swych ramionach, delikatnie gładząc jej włosy, a deszcz padał i padał. Nie poruszył się, żeby się ubrać, ona też nie.

Realność ich miłości była taka zadziwiająca.

- Muszę... wracać... do mojego namiotu, Thorn - powiedziała cichutko. Po policzkach popłynęły jej łzy.

Scałował je.

- Nie wolno ci płakać, kochanie - szepnął. - Dałaś mi swoje dziewictwo - jego głos brzmiał tuż przy jej uchu. - Czuję, że mi je dajesz, Trilby - jęknął. - Czuję to.

Z trudem łapała powietrze. Po chwili znowu go zapragnęła. Było to niewiarygodne. Jej

obolałe ciało domagało się jego. Zadrżała i przysunęła się bliżej, a jej dłonie gładziły jego szczupłe boki.

- Nie - szepnęła. - Nie, Trilby. Nie teraz. Nie wolno. Teraz by cię bolało.

Zaszlochała, ale objął ją ramionami i kołysał, tuląc, aż się uspokoiła.

- Musisz za mnie wyjść za mąż - powiedział w końcu. - Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Thorn.

- Mogłem dać ci dziecko, Trilby - szepnął jej na ucho.

Przestała oddychać. Leżała w ciemności, w jego ramionach, i starała się wyobrazić sobie, jak by to było urodzić jego dziecko.

Położyła policzek na jego unoszącej się ciężko, owłosionej klatce piersiowej i dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że spaliła za sobą wszystkie mosty. Tak, może być dziecko. A nie byli małżeństwem.

- Och... och, mój Boże - zaczęła łamiącym się głosem.

Zaufaj mi - szepnął ochryple. - Przestań ze mną walczyć. Pragnę cię bardziej niż życia. Mogę dać ci wszystko, co chcesz, wszystko, czego potrzebujesz. Małżeństwo nie jest końcem świata. A teraz nie mamy wyboru - dodał poważnie.

- Nie mamy wyboru - powtórzyła ze ściśniętym sercem.

Teraz nie było żadnej nadziei, że znajdzie szczęście u boku Richarda, choć dotąd oszukiwała się, że kiedyś zwróci na nią uwagę. Teraz nigdy już nie będzie mogła mieć Richarda.

Przez Thorną przestała być damą. Ukazał ciemną stronę jej duszy, która ją zaszokowała.

Thorn zajęty był własnymi myślami. Teraz miał Trilby - i dostęp do wody na gruntach jej ojca. I przy tym wszystkim przeżył zupełnie niewiarygodne doświadczenie zmysłowe.

I pomyśleć, że doszło do tego z dziewicą! Wszystkie jego plany zaczęły same nabierać kształtu bez żadnego świadomego wysiłku z jego strony. Ale pozbawił Trilby możliwości wyboru i teraz płakała. Nie był dumny z siebie.

- Samantha może nieść ci kwiaty - zaczął. - I jeśli Sissy zechce zostać do ślubu, może być druhną. Chciałabyś tego?

Ze strachu zagryzła wargę. Samantha. Małżeństwo. Dzieci. Ale Thorn nie powiedział ani słowa o miłości. Powiedział tylko, że jej pragnie. A ona, niczym idiotka, dała się ponieść emocjom. Oddała mu się!

- Musimy wziąć ślub wkrótce - dodał spokojnie. - Zaraz.

Zarumieniła się.

- Och... mój Boże - szepnęła niepewnie.

Z niezwykłą czułością pocałował ją w czoło.

- Nie zachowuj się jak kobieta upadła. Pobierzemy się, Trilby. Kochaliśmy się, ale świat się nie skończył. Zgoda?

- Zgoda - powtórzyła bezbarwnym głosem. Chciał ją pocieszyć, ale nie udało mu się to. Czowała się jak kobieta upadła. Wszystko, co do niej mówił... a ona odpowiadała tym samym! Zaczerwieniła się i wyswobodziła z jego ramion, żeby się ubrać.

Po chwili i on podążył za jej przykładem. Kiedy znowu byli ubrani, poczuła się jeszcze bardziej zawstydzona swoim brakiem zasad. Wyprowadził ją z namiotu, mocno ściskając jej dłoń. Zapalił dla niej lampę i zaprowadził ją do zapasowego namiotu, w którym złożyli ekwipunek.

- Będzie ci tu przynajmniej sucho - powiedział.

Spojrzała na niego po raz pierwszy od chwili, gdy byli razem. Wyglądał inaczej. Młodziej. Bardziej witalnie. Bez tej twardości i stanowczości, do których się przyzwyczaiła.

Wyglądał nieswojo. Skrzywiła się w duchu zastanawiając się, czy on tak samo jak ona żałuje chwili zapomnienia.

Z pewnością nie wyglądał na szczęśliwego. Może tak naprawdę wcale nie chce się z nią ożenić. Był jednak człowiekiem honoru, a oboje dali się ponieść emocjom.

Wymógł na niej obietnicę, że za niego wyjdzie, mimo że sądziła, iż kocha Richarda. Teraz było mu przykro, że nie oświadczył się jej honorowo. Zawsze będzie czuła się złapana w pułapkę. A jeśli naprawdę kocha Richarda? Ograbił ją z jakiegokolwiek szansy na szczęście. W nocy wydawało mu się to takie słuszne. Teraz daleki był od tego. Przeklinał swą porywczosć, swój egoizm.

- Nie martw się - powiedział spokojnie. - Będzie nam się razem dobrze żyło, Trilby. Zaopiekuję się tobą i twoją rodziną.

Przysięgam, nie będziesz miała powodu do narzekania.

Pomyślała ze smutkiem, że jednak będzie miała, ponieważ łączy ich tylko pożądanie. Thorn jej nie kocha. I nadal przecież był Richard. Nawet jeśli zdradził ją z Julie, przez tak długi czas stanowił cały jej świat. Zrobiło się jej słabo od poplątanych uczuć - winy i wstydu.

Wyczytał w jej twarzy niepokój.

- Postaraj się mnie nie znienawidzić - powiedział spokojnie.

- To była także moja wina, Thorn - odparła z wahaniem.

Nie wiedziała, co czuje. Wychowano ją tak, by wierzyła, że kobiety muszą znosić brudną chuć mężczyzn tylko po to, by mieć dzieci. Teraz wiedziała, że to tylko mit. Kobiety także mogą odczuwać rozkosz. Zaszokowało ją to.

Jego ramiona objęły ją, kiedy badawczo wpatrywał się w jej oczy.

- Teraz nie możesz się cofnąć - ostrzegł ją. - Nie możemy pozwolić, żeby nasi bliscy cierpieli za nasz błąd, jeśli będą konsekwencje.

- Ty już masz Samanthę - zaczęła, dostrzegając całkiem nowe komplikacje.

Nie mam nic przeciwko temu, by posiadać więcej dzieci - powiedział. - Myślę, że ty także. Kiedy tylko ta wyprawa się skończy, musimy poszukać pastora.

Samantha może mnie nie polubić - upierała się.

Samantha cię uwielbia. Nie wyszukuj dziury w całym dodał sztywno. Odwrócił wzrok. Trudno mu teraz przychodziło patrzeć jej w twarz, kiedy namiętność, która między nimi wybuchła, tak nagle ochłodziła. Nigdy nie dotykał Sally w ten sposób. Ani razu nie pragnął jej tak bardzo, żeby nie mógł się powstrzymać. Ale Trilby prawie go wzywała. Jego ciało nadal przeszywał dreszcz na myśl o ekstazie, jakiej z nią doświadczył.

- Wejść teraz do środka - powiedziała nieśmiało. Była obolała. Czuli się zawstydzona. Spojrzała mu w twarz, po czym jej wzrok przesunął się na jego koszulę. Nie zapiął jej całkiem i spora część jego szerokiej, owłosionej klatki piersiowej była widoczna. Szybko odwróciła wzrok, kiedy zdała sobie sprawę, co czuje, kiedy na niego patrzy.

Denerwowało ją, że jest na niego taka podatna fizycznie. Zawsze sądziła, że jest dość chłodna. Teraz odkryła w swoim ciele seksualność, która ją przerażała i odpychała.

- Muszę wejść - powtórzyła nerwowo.

- Będzie ci tu wygodnie i sucho - powiedział. - Śpij smacznie, Trilby. Jeśli to coś pomoże, to przykro mi, że pozwoliłem sprawom zajść tak daleko.

Sprawiał wrażenie niedostępnego, a w jego głosie brzmiało to samo zakłopotanie, które i ona odczuwała.

- Mnie także - odparła sztywno. - Dobranoc.

Skinął krótko głową i opuścił ją; nawet się nie odwrócił.

Weszła do namiotu, znużona i smutna, i zasłoniła wejście.

Przez długą chwilę Thorn stał na zewnątrz, wahając się, co robić. Nie powinien był pozwolić, by to się wydarzyło.

Wyraz jej twarzy będzie go prześladował. Od dnia, kiedy się spotkali, wciąż tylko wyrządzał jej krzywdę. Nie wiedział, dlaczego tak się zachowywał w stosunku do niej. Było to niewytłumaczalne. Chyba że ją kochał. Skrzywił się. Na starość robi się dziwny, pomyślał, wracając do swojego namiotu.

Trilby prawie wcale nie spała. Kiedy nastał ranek, czuła się wymęczona i miała poczucie winy. Julie sprawiała wrażenie urażonej, a Richard był ponury i nieprzystępny. Kiedy Julie

podeszła do niego, odwrócił się i odszedł.

Julie nie wiedziała, że w ciągu jednej nocy straciła jego szacunek i zainteresowanie. Pomyślał, że tak samo, jak przyszła w nocy do niego, mogłaby postąpić z każdym innym mężczyzną. A człowiek z jego sfery nie żeni się z kobietą łatwą.

Spojrzał na Trilby i po raz pierwszy od przyjazdu zrobiło mu się przykro, że tak źle ją traktował. Trilby była dziewczyną, którą mężczyzna szanował i z którą się żenił. Ona nie wystawałaby w nocy koło jego namiotu błagając, by ją wpuścił do środka. Tak, Trilby jest dla niego odpowiednia i nie jest jeszcze za późno, by wszystko naprawić. Julie mogła rozpaczać i wściekać się, jeśli ma na to ochotę, ale nikogo to nie będzie obchodziło. Nie chciał jej już. I nie obchodziło go, czy ona się o tym dowie czy nie.

Kiedy zebrali się wokół ogniska na śniadanie, Richard usiadł koło Trilby i zwrócił się do niej.

- Byłem dla ciebie podły, prawda? - powiedział spokojnie. - Przepraszam, Trilby. Byłem zauroczony Julie, ale teraz oczy mi się otworzyły - dodał rzucając wściekłe spojrzenie w stronę Julie.

Julie zarumieniła się i odwróciła wzrok. Nie przyszło jej do głowy, że Richard może w ten sposób zareagować na jej zachowanie. Chciała tylko, żeby Trilby usłyszała, że są razem. Zresztą całowanie go było takie słodkie. Tylko że on wyrzucił ją ze swojego namiotu, jak tylko Trilby przeszła.

Wróciła do namiotu, który dzieliła z Sissy, i zasnęła, wyczerpana płaczem. Dobrze, że Sissy smacznie spała i nic nie zauważyła. Natomiast Trilby wiedziała, musiała wiedzieć, i Julie nienawidziła litości, którą zobaczyła w jej oczach prawie tak samo, jak nienawidziła nagłej uwagi Richarda dla niej.

Trilby odgadła, dlaczego otworzyły mu się oczy, ale nie chciała o tym mówić. Wbiła wzrok w talerz. Wszystko, co czuła do Richarda, umarło nagłą śmiercią.

Thorn poszedł, żeby pomóc osiodłać konie. Kiedy wrócił i zastał Richarda siedzącego obok Trilby, rozżościł się.

Zatrzymał się z dala i z dziką wściekłością załadował strzelbę. Trilby zauważyła jego nieobecność. Miała wrażenie, że po tym, co się wydarzyło w nocy, całkowicie stracił zainteresowanie nią. Może nawet postanowił, że się z nią nie ożeni, a to byłoby przerażające. Co zrobi, jeśli zaszła w ciążę? Będzie zgubiona.

W miarę upływu dnia, Thorn nadal ją ignorował, tylko od czasu do czasu rzucając wściekłe spojrzenia. Nie sądziła, by był zazdrosny o nagłe zainteresowanie Richarda jej osobą. Sądziła, że skoro patrzy na nią z taką wściekłością, to czuje do niej pogardę za to, co się stało

ubiegłej nocy.

Jej własne poczucie winy upewniało ją w takiej ocenie sytuacji.

Po południu mężczyźni poszli na polowanie. Sissy i Trilby zostały wraz z przygnębioną, nieszczęśliwą Julie, która siedziała sama w namiocie i nie chciała z nimi rozmawiać.

Trilby niechętnie opowiedziała Sissy, co się wydarzyło.

- Byli razem całą noc? - zapytała Sissy.

- Uczciwie mówiąc, nie wiem. Jestem prawie pewna, że Julie zrobiła coś, żeby mój namiot zaczął przeciekać. Thorn przyszedł, żeby mi pomóc, i oboje słyszeliśmy ją i twojego brata. Nie wiem, czy do czegoś doszło, ale dziś rano Richard sprawiał wrażenie bardzo na nią rozgniewanego.

- Teraz widzisz, jaki jest naprawdę mój drogi braciszek, prawda?

Trilby skinęła głową.

- Niestety tak.

- Nareszcie - powiedziała Sissy.

- Zamierzam poślubić Thorna. Przynajmniej tak sędzę.

Poprosił mnie o rękę.

- Gratulacje! On się tobą dobrze zaopiekuje.

Trilby wzruszyła ramionami.

- Nie kocha mnie. Nie sędzę, by którykolwiek mężczyzna, jakiego do tej pory poznałam, mnie kochał. Ale Thorn jest zamożny i rozumiemy się. Mam nadzieję, że jakoś się nam ułoży.

- Kochasz go? - zapytała cicho Sissy.

Trilby spojrzała na nią ze smutkiem.

- To nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma.

Trilby przyglądała się przyjaciółce.

- Gdzie zniknęłaś wczoraj wieczorem po kolacji?

- Grano mi serenady. Nie słyszałaś fletu? - zapytała Sissy z udawaną wesołością.

- Fletu?

Skinęła głową.

- To zwyczaj Apaczów. - Posmutniała i cała jej udawana wesołość zniknęła. - Nie wiem, co zrobimy. On czuje to samo co ja, ale żyjemy w świecie, który nie zachęca do tego, by ludzie różnych ras zakochiwali się w sobie.

- Moje biedactwo.

Sissy westchnęła.

- Zawsze mam okropnego pecha, prawda?

- Ale wczoraj nie zwracał na ciebie uwagi.

Sissy uśmiechnęła się do niej.

- Jeszcze jeden obyczaj. To fascynujący ludzie. Powiedziałam mu, że doktor McCollum jest jednym z moich profesorów. Zrobiło to na nim wrażenie. Na wiosnę zapiszę się na jeszcze jeden semestr archeologii, a potem wrócę tu z inną grupą studentów. Rodziny opłaciły nam przejazd. Zostaniemy tu przez całe dwa tygodnie. Znowu go zobaczę - powiedziała ze smutkiem, jakby już czuła ból rozstania.

- Widzisz? - powiedziała Trilby łagodnie. - Masz o czym myśleć.

- Och, tak. Tyle tylko, że najpierw muszę się pożegnać - powiedziała ze smutkiem przyjaciółka. - Nie wiem, Trilby, co to będzie - szepnęła z żarem. - Tak bardzo go kocham!

Trilby nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Uściskała ją ciepło, pocieszająco; patrzyła na nią z troską.

- No już, przestań - powiedziała Trilby, oderwana od własnych trosk przez rozterki Sissy.

- Uprzątnijmy naczynia. Przyniosę wody ze strumienia.

Sissy osuszyła oczy i zmusiła się do uśmiechu.

Dobrze.

Richard latał ze strzelbą jak szaleniec. Thorn jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widział. Nawet Ben przestraszony kulił się, kiedy starszy brat strzelał w krzaki na chybił trafił.

Thorn złapał za lufę i podbił ją w samą porę, żeby uchronić jednego ze swoich ludzi przed poważnym zranieniem, kiedy źle wymierzony strzał Richarda omal w niego nie trafił.

- Niech pan uważa - powiedział krótko Thorn. - Jeżeli nadal będzie się pan zachowywał tak nieostrożnie, zabiorę panu strzelbę.

Richard był oburzony.

- Nie ośmieli się pan!

Thorn nawet nie mrugnął powieką.

- Nie pozwolę na to, by ktoś strzelał do moich ludzi.

Jeśli nie zabezpieczy pan tej strzelby, ja zabezpieczę pana.

Jego dłoń opadła na kolbę rewolweru. Nie powiedział ani słowa więcej. Nie musiał. Ten gest był aż nadto wymowny.

Richard roześmiał się nerwowo.

- Oczywiście, żartuje pan.

- Nie.

- Na litość boską, przecież nikogo bym nie zastrzelił.

- Cieszę się, że to słyszę. Możemy ruszać dalej?

Thorn odszedł ze strzelbą w ręce; szedł spokojnym krokiem, równie groźnym jak jego rewolwer. Naki, który stał w pobliżu, obrzucił Richarda zimnym spojrzeniem, zanim odwrócił się i przyłączył do Thorny, by dalej tropić zwierzynę.

- Na Boga, chyba by mnie nie zastrzelił? - szeptem zapytał Bena Richard.

Ben nie był tego pewien.

- Następnym razem lepiej uważaj, gdzie celujesz - powiedział spokojnie. - Pan Torrance opowiadał mi o Thornie Vansie. Tak, sądzę, że doprowadzony do ostateczności, użyłby broni. Wiesz, zabijał już ludzi.

Starszy brat poblądł jeszcze bardziej.

- Taki dzikus nie powinien chodzić na wolności!

- To bogaty dzikus - odparł Ben. - I niebezpieczny wróg.

Gdybyś kogoś przypadkowo postrzelił, nie wiadomo, co by zrobił.

Richard zrozumiał. Czuł się onieśmielony przez Thorny Vance'a - wyczuwał w nim ostrość, której wolał nie wypróbować. Przez resztę dnia był wzorowym gościem - udało mu się nawet ukryć swą pogardę do Indianina. Pomyślał ze złością, że do tego Apacza także nie odwróciłby się plecami. Może ma bogate słownictwo, ale wyraz jego oczu był dziki jak pustynia.

Tylko Ben ustrzelił tego dnia sarnę. Przerzucił ją przez siodło i dumnie wjechał z nią do obozu. Mężczyźni wykrzykiwali z zachwytem nad jej urodą, ciesząc się na myśl o smakowitym posiłku. Richard zauważył, że wypchana głowa sarny ładnie będzie wyglądać nad kominkiem. Trilby nawet na nią nie spojrziała. Była bardzo wrażliwa i kochała zwierzęta.

Sissy ciepło uściskała brata i pochwaliła jego umiejętności. Julie nadal przebywała w swoim namiocie. Sissy zaniósł jej talerz z kolacją, ale Julie nie chciała nic zjeść.

Richard wiedział, co jej jest, lecz nic go nie obchodził jej zły nastrój. Była dorosła i sama przysłała do niego ubiegłej nocy. Jeśli chciała udawać kobietę lekkich obyczajów, to niech teraz ponosi konsekwencje. Nie poczuwał się do winy.

Usiadł obok Trilby i z ożywieniem z nią rozmawiał, zapomniawszy już o tym, jak nieprzyjemnie potraktował go Thorn. Przechwalał się swoimi poprzednimi myśliwskimi wyczynami i wielką zwierzyną, którą kiedyś ustrzelił; starał się wszystkim zaimponować.

Nie wywarł jednak wrażenia na Thornie, który siedział trochę dalej z kubkiem czarnej kawy w ręce. Był równie ponury jak Trilby. Nie spojrzął na nią i nie odezwał się do niej ani słowem. W końcu obszedł wokół obozowisko i poszedł spać. Nawet nie powiedział Trilby „dobranoc”.

Trzymała się blisko Richarda, gdyż jego zainteresowanie łagodziło ból serca. To dziwne,

pomyślała, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej Richard stanowił cały jej świat. A teraz był zaledwie kamuflażem, który miał uniemożliwić Thornowi dostrzeżenie tego, jak bardzo czuje się nieszczęśliwa z powodu jego obojętności.

Kiedy w obozie zapanowała nocna cisza, nagle coś ją zakłóciło. Deszcz dawno już przestał padać. Trilby wróciła do swego namiotu i już prawie zasypiała, kiedy zaniepokoił ją jakiś ruch.

Wysoki mężczyzna wszedł do namiotu i uklęknął obok niej. Zerwała się gwałtownie; nim zdążyła krzyknąć, jej usta delikatnie zakryła czyjaś ręka.

- Bądź cicho - powiedział szeptem Thorn. - Ubierz się tak szybko, jak zdołasz. Umiesz strzelać?

Zadrżała.

N... nie - szepnęła, przerażona napięciem wyczuwanym w jego głosie. Na zewnątrz namiotu dostrzegła Mosby'ego Torrance'a.

- Torrance, zbudź pozostałych - rzucił Thorn przez ramię.

- Tak jest.

Torrance oddalił się. Trilby dostrzegła w ręce Thorn'a colta.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Meksykanie - odparł zwięźle. - Naki przeszukiwał wzgórze i wpadł na grupę, która nas śledziła. Może będziemy musieli ich przepędzić. Mam nadzieję, że twoi przyjaciele są odważni. Wszystko zależy od tego.

- Można liczyć na Sissy i Bena - odparła spokojnie. - Nie wiem, jak... z pozostałymi.

- Nie wiesz, czy twój ukochany ma na to dość odwagi?

- zapytał zimno. - Sądzę, że jeśli wrogów będzie więcej niż nas, padnie na kolana, żeby błagać o litość. Nie bój się, nie pozwolę, żeby coś mu się stało.

- A co z Sissy?

- Naki będzie ją chronił, nawet ryzykując życie. Myślę, że już to wiesz - dodał.

- Richardowi to się nie spodoba.

- Do diabła z Richardem! - rzucił zimno. - Wstawaj.

Zrobiła, co jej kazał. Po omacku poszukała butów; włożyła je szybko i otuliła się kurtką. Drżała, kiedy Thorn poprowadził ją z namiotu w cień drzew, gdzie Mosby Torrance i milczący Naki zgromadzili już pozostałych.

- To potwornie niewygodne - mruczał Richard. - Nic nie słyszę.

- I nie usłyszysz, dopóki nie poderżną ci gardła - zapewnił go Thorn. - Ci ludzie to zdesperowani rewolucjoniści. Nic nie mają. Jeśli będą mogli pojmać jedno z was i trzymać dla okupu, wierzcie mi, zrobią to.

- Czy armia nie może czegoś zrobić? - zapytał Ben.

- Nie ma tylu żołnierzy, by poradzić sobie ze wszystkimi rewolucjonistami - odparł Thorn. - To długa granica.

Chodźmy. Poruszajcie się najszybciej, jak dacie radę, i najciszej, jak to możliwe. Spróbujemy zejść z góry z drugiej strony i miejmy nadzieję, że uda nam się im wymknąć.

Jeśli nie, to obawiam się, że dojdzie do strzelaniny.

- Ja będę pilnować kobiet - powiedział Mosby Torrance, zbierając w jedną grupkę Julie, Sissy i Trilby. - Niech się pan nie martwi - dodał, podnosząc w pewnej ręce sześćostrzałowy rewolwer. - Nic koło mnie nie przejdzie.

- Wierzę w to, proszę pana - powiedział Ben i uśmiechnął się.

- Dzięki Bogu, że zostawiliśmy Teddy'ego w domu - rzuciła cicho Trilby. - Nie chciałabym, żeby był teraz z nami.

- Będzie wściekły, że go tu nie było. - Torrance zachichotał. - Chodźcie, miłe panie.

Sissy rzuciła zaniepokojone, smutne spojrzenie na Nakię, ale wiedziała, że go nie odwzajemni. Indiańska obyczajowość była w nim głęboko zakorzeniona. Modląc się po cichu o jego bezpieczeństwo, poszła za pozostałymi.

Naki miał za paskiem olbrzymi nóż, a w szczupłej dłoni trzymał strzelbę. Patrząc na niego Thorn pomyślał, że łatwo zrozumieć, dlaczego u wczesnych osadników słowo „Apacz” budziło taką grozę. W tych wysokich mokasynach i wąskich spodniach wydawał się zupełnie dziki. Miał na sobie koszulę, nie zmieniała on jednak w niczym jego przerażającego wyglądu. Kiedy wiedzieli już, że dojdzie do walki, Naki zanurzył palec w woreczku przytroczonym do paska, wymazał go czerwoną farbą i namalował sobie na policzku błyskawicę; nosił też na czole czerwoną opaskę. Wywoływał równie niepokojące wrażenie jak cała sytuacja.

Ilu? - zapytał go Thorn.

Przynajmniej dziesięciu - odparł spokojnie Naki. - Wszyscy na koniach.

Wróciłeś do obozu, prawda? Może ich tu przyprowadziłeś! - oskarżył go Richard.

Naki zwrócił się do blondyna z pełną rezygnacji irytacją.

Panie Bates, nawet głupi dzikus rozumie, że nie ma sensu pakować swego pracodawcy w opresję.

Richard zaczerwienił się. Denerwowała go doskonała angielszczyzna Indianina. Bez śladu akcentu!

Czy możemy spróbować im uciec? - zapytał Ben.

Na tych wolnych juczych mułach, na których jeździcie? - zapytał niedowierzająco Naki.

Thorn rzucił mu wściekle spojrzenie.

- Proszę, nie obrażaj moich koni.

- Właśnie to zrobiłem - powiedział Naki. - Mimo... niedoświadczenia twoich gości, odpowiednie wierzchowce byłyby lepsze.

- Czy to moja wina, że niektórzy z nich w trzy minuty spadliby z innych wierzchowców? - zaprotestował ranczer.

Z irytującą precyzją ponownie wsunął rewolwer do olstra.

- Ruszajmy. Ben, ty i Richard dogońcie Torrance'a i zabezpieczcie tyły.

- A gdzie ty będziesz? - zapytał z przekąsem Richard.

Thorn uśmiechnął się. Nie był to jednak przyjemny uśmiech.

- Naki i ja przywitamy gości w obozie.

Richard parsknął, ale poszedł z pozostałymi. Kiedy dogonili Torrance'a, podszedł do Trilby i ujął ją pod ramię, sprawiając wrażenie, że jest jej jedynym obrońcą. Thorn spojrział na niego z wściekłością, ale zaraz przestał na to zwracać uwagę - nie była to odpowiednia pora na zazdrość.

Dał znak Nakiemu i obaj zniknęli wśród drzew.

- Czy rzeczywiście zamierzają powitać Meksykanów, panie Torrance? - zapytała Sissy, kiedy szybko podążali do miejsca, gdzie w naprędcie skleconym corralu uwiązane były konie.

Torrance spojrział na nią. Szła najbliżej niego, a pozostali rozmawiali ze sobą. Ta działa jak mężczyzna, pomyślał, i nie okazuje żadnego strachu. Może jej powiedzieć prawdę, ponieważ potrafi ją znieść.

- Nie, panienko - odparł. - Zabiją tylu, ilu zdołają, a pozostałych skrepują, żeby zyskać szansę ucieczki.

Sissy zaparło dech w piersiach. Przerazona spojrzała w tył na wzgórze. Wiedziała, że Naki potrafi zadbać o siebie, ale jednak myśl, że może zostać zabity, była nie do zniesienia.

- Apacz jest ostrożny, panno Bates - zauważył spostrzegawczy Torrance.

Odwróciła się do niego, zarumieniona.

- Martwię się o nich obu - powiedziała.

- Tak, panienko, tędy.

Poszła za nim, zaskoczona jego zwinnością. Niektórzy zdawali się sądzić, że pan Torrance jest za stary, by warto było zwracać na niego uwagę, ale ona tak łatwo by go nie skreślała; było w nim coś, czego nie widziało się na pierwszy rzut oka.

Trilby nie odwracała się. Bała się, że zdradzi ją własna twarz. Thornowi jednak trochę na niej zależało, skoro najpierw przyszedł po nią. To musiało coś znaczyć. Teraz jednak zbyt się o niego martwiła, żeby się nad tym zastanawiać.

- Nic ci się nie stanie - powiedział Richard z uśmiechem. - Zaopiekuję się tobą.

- Jesteś niestały, Richardzie - zauważyła zrozpaczona Julie. Nie wyglądała ładnie. Była wyczerpana i zdenerwowana.

Odwrócił się i spojrzał w jej zaczerwienioną twarz.

- Większość mężczyzn traktuje kobietę tak, jak ona sama się ceni - powiedział krótko. - Kobiety łatwe same się poniżają.

Julie zapało dech i oblała się szkarłatnym rumieńcem.

- Jak możesz?! Jak mogłeś powiedzieć coś takiego? Kocham cię. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że cię kocham.

Mówisz tak, jakby nic się nie stało!

Twoje zachowanie było niedopuszczalne - powiedział bez ogródek. - Poniżyłaś się. Nie interesuje mnie, jakimi kierowałaś się motywami.

Julie zakryła twarz i rozplakała się.

To okrutne - powiedziała Sissy bratu. - Nie jesteś dżentelmenem!

A kim ty jesteś, żeby prawić mi morały, ty, która pozwoliłaś, żeby czerwony Indianin dotykał cię swoimi brudnymi łapami? - odparował cios Richard.

Oczy Sissy zabłysły z furją.

- Ty podły kundlu!

- Proszę - przerwała im Trilby. - Znajdujemy się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. To nie pora, żeby się kłócić.

Trilby ma rację - powiedział Richard i uśmiechnął się, żeby ukryć zdenerwowanie, wywołane niespodziewanym wybuchem siostry. - Wracajmy na ranczo, póki możemy.

- Mam nadzieję, że Thornowi i Nakiemu nic się nie stanie - powiedziała Sissy z niepokojem.

- Ja także - zawtórowała jej Trilby.

Ze zrozpaczoną Julie wlokącą się z tyłu dotarli do koni, gdzie Trilby przeżyła chwilę strachu, kiedy jej łagodny wierzchowiecomal nie zrzucił jej na ziemię. Jednakże już po kilku minutach zjeżdżali z góry bitym traktem. Z oddali dobiegł ich odgłos wystrzału, a po chwili usłyszeli następne. Rozpętała się walka. Trilby zaczęła się modlić. Bała się, że może Thorn jest ranny, że otaczają go wrogowie i nie ma przy nim nikogo, kto by się nim zaopiekował.

Nic mu się nie może stać, powtarzała sobie w myśli, patrząc zaniepokojonym wzrokiem w stronę, skąd przyjechali. Proszę, Boże, niech mu się nic nie stanie!

Pierwszy strzał rozległ się zza drzewa. Zanim przebrzmiał, Thorn odwrócił się z pistoletem w ręce. Wystrzelił, trafiając w ramię źle ukrytego mężczyznę w łachmanach i wypłowiiałym, kolorowym *serape*.

- Patrz tam! - zawołał szybko Naki.

Przez małą polankę pomiędzy skałami a drzewami przebiegało trzech Meksykanów, od czasu do czasu strzelając.

Przemówiła strzelba Nakiego, kładąc jednego z nich.

Dwaj mężczyźni skryli się, podczas gdy trzeci zaczął wymachiwać pistoletem.

Rozległy się szybkie niczym wystrzały okrzyki po hiszpańsku i odgłosy licznych kroków.

- Do licha! - mruknął Thorn patrząc ze złością na Nakiego. - Patrz, co zrobiłeś!

- Ja? - zdziwił się Apacz.

- Tak, nie udawaj niewiniątka. - Thorn ponownie załadował strzelbę.

- Nawet jeśli potkniesz się o kamień, jest to moja wina - skomentował Naki, zerkając zza swojego głazu.

- Cóż, zazwyczaj jest to twoja wina - odparł Thorn.

W pobliżu ze świstem przeleciała kula, odłupując kawałek skały, za którą przykucnęli.

- Wstretne łachudry - wściekł się Thorn.

- To wstyd, że uciekasz się do rasowych zniewag.

Thorn spojrzał na Nakiego.

- Żądny krwi dzikus.

Naki uniósł oczy do nieba.

- A ja sądziłem, że uda mi się ciebie zreformować...

- UWAŻAJ! - błyskawicznie skierował strzelbę w drugą stronę strzelił ponad ramieniem Thorn, w samą porę, by uratować go przed atakiem niewyraźnej postaci w zgrzebnym poncho. Rozległ się jęk i tępy odgłos upadającego na ziemię ciała.

- Dzięki - rzucił ochryple Thorn. Oddychał ciężko, podobnie jak Naki, kiedy w jego organizmie szalała adrenalina i gdy przez chwilę pomyślał o Trilby i pozostałych. Nie chciał teraz się tym martwić. By ich chronić, musiał skupić się na tym, co robi.

Naki myślał tak samo.

- Znajdziemy się w pułapce, jeśli czegoś nie zrobimy.

Nie mamy też żadnej gwarancji, że nie pojedą za tamtymi.

Gdzie jest ten nadęty biały paw?

Kto teraz rzuca rasistowskie obelgi?

Ale on naprawdę jest nadęty - powiedział, broniąc się, Naki. - Obejdę ich i zajdę od tyłu.

Tylko zrób to cicho.

Jestem Apaczem - przypomniał Naki. - Jak sądzisz, kto wynalazł ciche chodzenie?

Kilka sekund później już go nie było; zniknął w ciemnościach jak duch, tak cicho, że nie słychać było ani jednego stąpięcia.

Naki przesuwiał się po lesie, kryjąc się za drzewa i kamienie.

Trzej Meksykanie przykucnęli za dwoma głazami i starali się przesyć wzrokiem ciemność. Klócili się na temat taktyki walki, co pomogło Nakiemu. Kiedy krzyczeli jeden na drugiego, nie mogli go usłyszeć.

Wyciągnął nóż z pochwy i czekał z natężoną uwagą. Jego ciało było napięte jak struna, kiedy gotował się do zrobienia tego, co konieczne, by ocalić życie przyjaciela i drogiej mu kobiety.

Jeden z Meksykanów z niechęcią machnął ręką na pozostałych. Powiedział, że niech ich łyko weźmie; sam to załatwi; i poszedł.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział. Dotarł do drzew, gdzie czekał Naki - szybko i sprawnie został wysłany do swoich przodków.

Naki wytarł nóż o spodnie Meksykanina i szybko włożył jego sombrero i poncho. Z pochyloną głową wyszedł na otwartą przestrzeń i ze strzelbą w prawej ręce podszedł do pozostałych dwóch bandytów. Spierali się o wysokość okupu, jakiego powinni zażądać za *gringos*, których zamierzali porwać; kiedy Naki im się przysłuchiwał, zdał sobie sprawę, że ratowanie biednych meksykańskich towarzyszy miało dla nich znacznie mniejsze znaczenie niż napchanie sobie kieszeni amerykańską walutą.

Usłyszeli go i odwrócili się.

- *Chihuahua!* To tylko Juan! - warknął jeden z nich.

- *Lo siento, compadres* - powiedział Naki, odrzucając sombrero - *pero, no me llamo Juan.*

Zrozumieli, że ktoś mówi, iż nie nazywa się Juan, ale zareagowali za późno. Naki wycelował i strzelił z biodra, szybko kładąc obu mężczyzn. Nienawidził zabijać, ale ci ludzie nie zawahaliby się ani przez chwilę przed zabiciem jego przyjaciół.

W pewnym sensie rozumiał ich desperację, jednak nie mógł pozwolić, by skrzywdzili Sissy. Krew się w nim zagotowała, kiedy pomyślał o Meksykanach, którzy zabili jego szwagra Luisa i jego żonę Conchitę. Tamci byli *federales*, ale ci nie. To wielka różnica. Doskonale znał nędzę meksykańskich chłopów i współczuł im. Ale ci ludzie mogli zabić Sissy. Z tego, co

wiedział, niektórzy rewolucjoniści wcale nie byli szlachetni i walcząc o wolność, nie gardzili własną korzyścią. Ta myśl sprawiła, że poczuł lekkie mdłości.

Kiedy wyszedł na polankę, Thorn nagle zawołał do niego.

Naki podniósł wzrok, ponownie spokojny i cywilizowany, serdeczny przyjaciel, a nie pradawny Apacz dzierżący swój łup.

- Widzę, że ich znalazłeś - stwierdził Thorn.

- Na szczęście znalazłem ich w ostatniej chwili - odparł Naki. Wstał i wsunął nóż do pochwy.

- Było jeszcze dwóch, ale uciekli - poinformował go Thorn. - Pozwoliłem im.

Naki wymienił znaczące spojrzenie z przyjacielem.

- To byli Meksykanie, którzy zabili twoich rodziców.

- Tak. Ale podobnie jak ty nie zabijam z zimną krwią.

Strzelam tylko w obronie własnej.

Zanim Naki zdołał odpowiedzieć, jakieś hałasy zakłóciły ciszę i obaj odwrócili się natychmiast z wycelowanymi strzelbami. Na polankę wpadł Richard, ciężko dysząc, a za nim pozostali.

Na litość boską, zabierz stąd kobiety! - wrzasnął Thorn.

- Czy Apacz kogoś oskalpował? - wykrzyknęła jedna z kobiet. Oczywiście Julie.

- Nie, Apacz nikogo nie oskalpował - powiedział ze złością Naki. - Apacze nie skalpują ludzi ani nie napadają na dyliżanse. Na litość boską, teraz jest rok tysiąc dziewięćset dziesiąty!

Trilby spojrzała na polanę i kolacja podeszła jej do gardła. Popędziła w krzaki i zwymiotowała, gdyż widok zabitych mężczyzn, nawet w tym bladym świetle, był tak okropny i groźny, że nie mogła tego znieść.

Sissy ominęła Richarda i ruszyła do przodu, z szeroko otwartymi, zaciekawionymi oczyma.

- Nie! - powiedział stanowczo Naki, z takim samym żarem, jaki płonął w jego oczach, kiedy na nią patrzył. - Wracaj.

- Nie rozkazuj mojej siostrze - warknął Richard. - Chodź tutaj, Sissy - dodał.

- On nie może mi rozkazywać, ale ty możesz? - zapyłała wyniośle Sissy, patrząc z wściekłością na brata. - Nie jestem taka delikatna. Jeśli żyją, trzeba im udzielić pomocy.

- Z pewnością nie żyją - odparł zimno Naki.

Sissy wiedziała - powiedział jej to przecież - jaki miał powód, by żywić nienawiść do niektórych Meksykanów. Nie sprawiał jednak wrażenia triumfującego, tylko wyczerpanego. Chciała do niego podejść, ale wstrzymała ją jego rezerwa, a i okoliczności też nie były zbyt

sprzyjające.

Jej wzrok jeszcze raz omiółł ziemię, zanim się odwróciła i podeszła do pozostałych. Nie bała się śmierci - wierzyła w przyszłe życie. Tak czy owak, było jej żal zabitych Meksykanów, pomyślała jednak, że to nie pora, by o tym mówić.

- Jak mogłaś na to patrzeć? - zapytała ją załamującym się głosem Julie, kiedy przyłączyła się do grupki. - To straszne.

- Muszę się z tym zgodzić - powiedział wyniośle Richard. - Czy koniecznie trzeba było ich... zaszlachtować?

- Mieli równe szanse zaszlachtowania nas - powiedział Naki bez żadnego wstępu; kiedy stał naprzeciw białego mężczyzny, wydawał się jeszcze wyższy. - Czy chcesz wiedzieć, co zrobiliby kobietom? - dodał z zimnym uśmiechem.

Sissy już to wiedziała.

- Richardzie, wystarczy - powiedziała, widząc, że nadal chce dyskutować.

- Czy nie zapominasz, gdzie jest twoje miejsce? - przywołał ją do porządku brat.

- Moje miejsce - odparła - jest tam, gdzie mam ochotę przebywać. Nie masz do mnie żadnego prawa ani żadnej władzy nade mną. I nie zapominaj o tym.

- Widzę że będę miał matce coś do powiedzenia na temat twojego zachowania - uprzedził ją Richard.

Spojrzała na niego z błyskiem w oku.

- Myślisz, że mnie to obchodzi?

- Chyba nie - odparował - zważywszy na towarzystwo, z jakim przestajesz!

Uniosła dłoń i wymierzyła mu mocny policzek. Richard dotknął twarzy i spojrzał na Sissy ze zdumieniem.

- Uderzyłaś mnie! - stwierdził, z trudem łapiąc oddech.

- Faktycznie, i sprawiło mi to ogromną przyjemność - odparła Sissy. - Czy teraz możemy pójść, drogi bracie?

Nie odezwał się już ani słowem. Sissy nie spojrzała na Nakiego, kiedy mijala swego brata, podążając w kierunku, skąd przyszli. Zachowywała się zgodnie z obyczajem Apaczów i Naki musiał to wiedzieć. I wiedział. Uśmiechnął się i dołączył do Thorny, by pogrzebać zabitych Meksykanów.

Pochowali mężczyzn w płytkich grobach, które zasypali kamieniami. W tym skalistym terenie było to wyczerpujące zadanie, ale nie chcieli zostawić żadnego śladu, który mogliby znaleźć ich towarzysze.

- Musimy zawiadomić wojsko - powiedział chwilę potem Thorn. - Może to być początek

czegoś bardzo nieprzyjemnego. Mimo sympatii, jaką żywię dla ich sprawy, nie podoba mi się to, że meksykańscy rewolucjoniści tam i z powrotem bezkarnie przekraczają granicę. Mogę się założyć, o co tylko chcesz, że myśleli o okupie.

Rzeczywiście, ale wcale nie byli rewolucjonistami.

- Podśledzałem ich rozmowę - powiedział Naki. Gdy Thorn usłyszał, co planowali, spojrzał na Trilby, która już zdążyła się pozbierać, i przemknęło mu przez myśl, że gdyby tym wyrzutom udało się ją skrzywdzić, jego świat uległby zagładzie.

Zebrali pozostałych i zwinęli obóz. Myśliwska wyprawa definitywnie się skończyła. Na szczęście obyło się bez tragedii.

Trilby stwierdziła, że jedzie koło Thorn, kiedy opuścili górski trakt i wjechali na długą, krętą bitą drogę, prowadzącą na rancho. Nie trzymała się teraz w siodle lepiej niż w tę stronę, ale nie mogła znieść myśli, że miałyby jechać razem z Thornem. Zdawał się to wiedzieć, gdyż nie nalegał.

- Wszystko już w porządku? - zapytał z troską.

Nadal była bardzo blada, ale kiedy zapytał, postarała się być dzielna.

- Tak.

Spojrzał na nią z wyraźnym zainteresowaniem. Wyglądała młodo, bardzo krucho i bezbronnie. Chciał ją wziąć na ręce, znieść z góry i zatrzymać u siebie na zawsze.

Denerwowała go własna chęć posiadania.

- Miałem na myśli nasz ślub - powiedział powoli.

- Wiem. Ale... nie musisz... - zaczęła.

- Nie bądź śmieszna. Chcę tego. - Przesunął wodze w szczupłych dłoniach, a jego wysokie ciało kołysało się zgrabnie zgodnie z ruchami konia. Wydawało się, że prawie stanowi z nim jedność. Trilby natomiast podskakiwała na siodle, z trudem się w nim utrzymując. - Za mniej więcej trzy tygodnie jest Boże Narodzenie. Jeśli chcesz, moglibyśmy się przedtem pobrać.

- To... byliby w porządku - zgodziła się w końcu. - Czy zamieszkalibyśmy w Los Santos?

Ucieszył się, że się zgodziła.

- A gdzie indziej? - zapytał rozsądnie. - To mój dom, mój i Samanthy.

Poczuła, jak mury zacieśniają się wokół niej. Rzeczywiście nie było wyjścia. Ale nawet teraz nie mogła się zmusić, by spojrzeć mu w oczy. Czuła się w jego towarzystwie nieśmiała i zdenerwowana, jak na samym początku ich burzliwego związku.

- Mogłabym wrócić na Wschód... - zaczęła.

Przeszył ją zdumionym spojrzeniem.

- I co zrobić? Udawać, że zaadoptowałaś dziecko, jeżeli rzeczywiście ci je zrobiłem? I

gdzie będziesz mieszkać, Trilby?

Skrzywiła się.

- To takie trudne - zdołała powiedzieć.

Jego twarz stężała, kiedy zobaczył, jak z ukosa rzuca spojrzenie w stronę Richarda, który znowu jechał z Julie.

Prawie ze sobą nie rozmawiali, ale Richard spoglądał na nią od czasu do czasu, a Julie sprawiała wrażenie zupełnie innej niż ta niemądra flirciara, która wysiadła z pociągu.

Richard pokazał, kim jest naprawdę, a Trilby aż bolało serce, że była tak głupia, iż sadziła, że jest w nim zakochana. Nawet Julie zastanawiała się nad tym. Richard może rzeczywiście był przystojny, ale też płytki i samolubny.

- Z jego powodu? - zapytał krótko Thorn, skinąwszy głową w stronę Richarda. - Nie masz najmniejszych szans, jeśli się o wszystkim dowie.

- Wiem - powiedziała sztywno.

- Wobec tego spójrz na fakty - powiedział. - Spaliśmy ze sobą, a ty byłaś dziewicą. W moim świecie oznacza to, że musisz za mnie wyjść za mąż. Postępujemy słusznie starając się naprawić nasz błąd - ciągnął cicho. - Czy to go trochę nie naprawia?

Spojrzała na niego wielkimi, szarymi oczyma.

- Z twojej strony to nie jest nagła decyzja, Thorn. Nie mam pojęcia, czy zaplanowałeś to, co się stało, choćby podświadomie. Wiesz, słyszałam pogłoski.

- Jakie pogłoski? - zapytał powoli.

- W Los Santos są zatrute wodopoje, a także w twoich posiadłościach w Meksyku, więc potrzebujesz dostępu do wody na naszym terenie - odparła dzielnie. - Czy poślubienie mnie rozwiązuje ten problem?

Skinął potakująco głową.

Tak, to prawda - przyznał uczciwie. - Musisz jednak zdawać sobie sprawę, że cię pragnę. Nawet niewinna dziewczyna nie mogłaby wziąć mojego zainteresowania za chciwość.

Wiem - zgodziła się. - Oznacza to, że nigdy nie będę mogła wrócić do domu - powiedziała ze smutkiem. - Będę musiała z tobą zostać. - Zakryła twarz dłońmi. Po prostu było to za wiele jak na jeden raz.

Przestań - powiedział ze złością, zraniony jej brakiem entuzjazmu, z jakim przyjęła perspektywę zostania jego żoną. Przecież nie każdą kobietę prosił, by za niego wyszła.

Prawdę powiedziawszy Sally była jedyną kobietą, jakiej kiedykolwiek się oświadczył. - To nie koniec świata, że musisz za mnie wyjść za mąż, Trilby.

- Nie?

Jego twarz przybrała obcy dotąd wyraz, kiedy zrozumiał tę zniewagę. Chciał jej przypomnieć, że w jego ramionach była równie śmiała jak zwykła dziwka, ale nie byłoby to uczciwe. Miała teraz związane ręce. Poślubi go, ale jej serce nadal będzie należało do tego przybysza ze Wschodu. Jak mógł z tym walczyć? A co ważniejsze, dlaczego tak mu na tym zależało? Ta kwestia prześladowała go przez całą drogę do domu.

Dwa dni później Lisa Morris nadal leżała w szpitaliku.

Czuła się już lepiej, nie na tyle jednak, by go opuścić.

Będzie musiała pojechać do pani Moye, a na to nie miała jeszcze dosyć siły.

A tymczasem przyjemnie było leżeć i słuchać, jak poirytowany Todd Powell poświęca się wieczorami domowym obowiązkom.

Mruczał pod nosem, kiedy udało mu się ugotować potrawkę. Mięso było nie dogotowane, jarzyny zaś rozgotowane, ale sos był właściwie doprawiony. Przyniósł Lisie miseczkę i chciał sam co do kropli nakarmić ją łyżeczką.

Powiedział, że jest za szczupła. Mimo flanelowej koszuli, jaką miała na sobie, łatwo było stwierdzić, że straciła na wadze.

- Pani mąż przesłał wiadomość, że nie będzie sprzeciwiał się rozwodowi - poinformował ją. - Wygląda na to, że zamierza ożenić się z tą kobietą z Douglas.

Skinęła głową.

- To mnie właściwie nie dziwi. - Z lekkim westchnieniem opadła na poduszki. - Tym lepiej. Na długo, nim straciłam dziecko, byliśmy dla siebie prawie wrogami.

Odstawił miskę i łyżeczkę, po czym zmierzył jej puls. Wyczuł rytm trochę przyspieszony i uśmiechnął się z zadowoleniem. Założył na szyję stetoskop i włożył do uszu słuchawki.

- Proszę zakasać - polecił, wsuwając go pod gors koszuli i dotykając nim ciepłej, miękkiej skóry.

Zrobiła, co jej polecił, ale dotyk jego ręki przyprawiał ją o zawrót głowy. Wiedziała, że jej serce wariuje i że on to słyszy. Przy najdelikatniejszym muśnięciu jego palców jej ciało napinało się.

Uniósł głowę, nagle świadom jej zdenerwowania. Popatrzył na nią, ale nie cofnął ręki. Bardzo powoli, jakby na próbę, wypuścił szeroki metalowy krążek stetoskopu i położył rękę na jej nagiej piersi.

Głośno odetchnęła. Nie poruszyła się jednak ani nie odepchnęła jego ręki. Nie zaprotestowała, tylko jej oczy zrobiły się wielkie z wrażenia.

Wpatrywał się z napięciem w jej oczy, jednocześnie dotykając krągłych piersi. Zatrzymał się przez chwilę na nagle stwardniałym sutku i bardzo delikatnie zaczął go pieścić.

- Och, mój Boże - szepnął.

Drżała. Wyjął stetoskop i odłożył go na bok. Jego wielkie dłonie przesunęły się do guzików flanelowej koszuli.

Położyła na nich własne dłonie i bardzo delikatnie je pogłaskała.

Zajęło to kilka sekund, bo był nieporadny i onieśmielony. Pomógł jej usiąść i wolno zsunął jej koszulę do pasa, uważając, by nie urazić jej w miejscu poparzenia.

Siedziała zauroczona, wpatrzona we własne piersi, których dotykał koniuszkami dużych palców o kwadratowych paznokciach.

Lisa była niewysoka, ale miała jędrne i pięknie ukształtowane ciało. Przyglądała się rękom Todda, pieszczącym ją tak delikatnie - było to niezwykle erotyczne przeżycie.

- Nigdy... przedtem... nie sprawiało mi to... przyjemności - szepnęła.

Uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Jesteś piękna - powiedział cicho. - Taka piękna.

Dziwne, ale aż odczuła podziw, który pojawił się w jego błękitnych oczach.

- Delikatnie - szepnął. Oparł ją na zagłębieniu swego ramienia i pochylił się, by powoli, czule, przycisnąć usta do jej nabrzmiąłych piersi, do jej stwardniałych sutków.

Ssał bardzo delikatnie, a jego wielka dłoń obejmowała je i przytrzymywała przy głodnych ustach.

Jej drżące dłonie spoczęły na jego gęstych, prostych włosach. Z jej gardła wyrwał się głęboki, bezsilny jęk.

Zadrżała.

Położył ją z powrotem na poduszkach. Przez dłuższy czas siedział napawając się widokiem jej białego, gładkiego ciała. Potem delikatnie ją pocałował. Westchnęła i jęknęła pod jego gorącymi ustami, poddając się temu z bolesnym zapamiętaniem.

Z sekundy na sekundę jego opanowanie słabło i zupełnie je stracił, kiedy dotknął jej gładkich ud.

Jęknęła. Po czym poruszyła się, tylko trochę, tylko na tyle, by go zachęcić. Przez chwilę wpatrywał się w jej oczy, po czym przywarł do jej ust. Zamknęła oczy w oczekiwaniu dalszych pieszczot.

Zesztywniała, kiedy poczuła na sobie jego nagość. Z trudem złapała oddech.

Jego głowa tylko na ułamek sekundy oderwała się od jej ust.

- Pozwól, że sprawię ci rozkosz - szepnął przerywanym głosem. - Tak bardzo... mi na tobie zależy. Pozwól, że ci pokażę, jak może być, jak powinno być.

Spojrzała mu w oczy, zakłopotana. Nagle jednak odprężyła się, poddając się delikatnym,

powolnym pieszczotom jego rąk. Po chwili jeszcze raz na moment zerwała się z twarzą przerażoną ze strachu i szoku.

- Nie walcz ze mną, kochana - szepnął czule. - Och, Liso, nie walcz ze mną - jęknął, po czym jego biodra przesunęły się w dół i z niewysłowioną czułością złączył swe ciało z ciałem Lisy. Westchnął, poczuwszy rozkosz; był to jego pierwszy intymny kontakt od śmierci żony.

Płynny ruch zaskoczył Lisę i nagle za późno było na protest. Miękkie fale rozkoszy emanowały z powolnych, pulsujących ruchów jego ciała. Schwyciła go za szerokie ramiona, kiedy w jej ciele zaczęło szaleńczo narastać napięcie. Nigdy nie zaznała takich wrażeń, nigdy nie czuła się tak, jakby w jej brzuchu płonął ogień i rozkosz rozrywała ją na strzępy. Nigdy nie czuła tej niewiarygodnej pełni posiadania, tej wielkiej ekspansji własnego ciała. Napięcie było tak wielkie, że wywołało panikę.

- Todd! - krzyknęła przerażona.

- Och, tak - szepnął namiętnie. - Tak, tak, kochanie, tak.

Wygięła się w łuk i zaczęła drżeć rytmicznie, podczas gdy z gardła wydobywały się jej ciche krzyki, kiedy stała się zaledwie drobną łupinką unoszoną na fali czegoś znacznie potężniejszego i dzikszego, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała.

Szeptał jej do ucha tajemne rzeczy, szokujące rzeczy, głosem równie erotycznym jak jego dotyk. Kiedy ponownie zaczęła się unosić w spirali pożądania, jej ostatnią myślą było, że do tej chwili nie wiedziała, czym jest życie...

Potem uspokoił ją cichymi słowami i czułymi pieszczotami, i tulił do siebie, nim zasnęła. Kiedy się obudziła, powiedziała sobie, że był to sen. Nie wspomniała o tym ani słowem, a on także nie. Kiedy jednak opuściła go, udając się do pani Moye, wiedziała, że gdy już uzyska rozwód, nie będzie długo sama. Ani on.

Trilby nie mogła pomówić z matką o tym, co wydarzyło się w czasie wyprawy. Nawet z Sissy nie mogła o tym rozmawiać. Przez kilka dni gryzło ją sumienie. W tym czasie goście snuli się tylko po domu i dokładali pracy matce i jej.

Jedynie Sissy i Ben cokolwiek pomagali. Richard zdawał się mniemać, że wszelka posługa po prostu mu się należy, a Julie prawie przez cały czas przebywała w swoim pokoju.

Pomimo radości, jaką wywołała wieść o zaręczynach, którą przekazali dziwnie przygaszeni Trilby i Thorn, Jack i Mary Lang byli przerażeni opowieścią o ataku grupy Meksykanów.

- To niecywilizowane miejsce - powiedział do Mary Jack. - Żałuję, że kiedykolwiek wpadłem na ten szalony pomysł, żeby tu przyjechać. To wszystko moja wina, a teraz nie stać nas na powrót do domu. Co by było, gdyby zabili Trilby i innych?

- Tak się jednak nie stało, dzięki Thornowi i temu miłemu Apaczowi - odparła łagodnie Mary. - Przestań się martwić - dodała, poklepując go po ramieniu. - Już wszystko w porządku.

- Rzeczywiście tak myślisz? - zastanawiał się Jack. - Wiesz, wiele się mówi o okrucieństwach popełnianych wzdłuż granicy. Przywodzi mi to na myśl beczkę prochu, która tylko czeka, żeby ją ktoś podpalił.

- Mieszkamy dość daleko od Douglas - pocieszała Mary.

Jestem pewna, że nic się nam nie stanie.

- Chciałbym, żeby tak było - stwierdził Jack, chwilowo przestając się martwić; rozmowa całkiem naturalnie skierowała się na temat zaręczyn Thorn'a i Trilby, czym zarówno Mary jak i Jack ekscytowali się i z czego byli zadowoleni.

- Muszę przyznać, że nigdy nie wierzyłem, iż do tego dojdzie - dodał z uśmiechem. Przecież przez cały czas ze sobą walczyli. Ale zaryzykuję stwierdzenie, że uda im się. Cieszę się, że Trilby tak dobrze wybrała.

- Uważam, że Thorn także - powiedziała Mary i roześmiała się, gdy jej mąż zaczerwienił się, trochę głupio przepaszając, że nie docenił własnej córki.

Richard, Ben i Julie spakowali się tego samego dnia, przygotowując się do wyjazdu następnego ranka.

- Naprawdę nie zniosę tu ani jednego dnia dłużej. - Richard uśmiechnął się przepaszając. - Zachód po prostu mi nie odpowiada. Tęsknię za cywilizowanym towarzystwem.

- Jesteś snobem, Richardzie - westchnęła Sissy. - Cóż, jedź, jeśli musisz, ale ja nie

opuszczę ślubu Trilby.

- To było dość nagłe, nie uważasz? - zapytał Richard.

- Thorn powiedział, że planowali to już od dość dawna.

Zdecydowali się podczas wyprawy - objaśnił Ben.

Richard nie przestawał gderać.

- On ją wykorzystuje. Powinna wracać z nami i uciec przed nim, póki czas. Nie nadaje się do życia na pustyni.

- Drogi bracie - zaśmiała się Sissy - każda kobieta nadawałaby się do życia przy takim mężczyźnie jak Thorn.

Nie martw się, zaopiekuje się nią.

- Zawsze była moją dziewczyną - powiedział posępnie Richard.

- Głupstwa mówisz. Przecież od dnia przyjazdu flirtowałeś z Julie - skarciła go cicho Sissy, tak żeby Julie, już i spakowana i czekająca na nich w salonie, tego nie usłyszała. - Pchnąłeś Trilby prosto w ramiona Thorn'a, a ja się z tego cieszę. Jest o wiele lepszy od ciebie.

Twarz Richarda zapłonęła z wściekłości.

- Lepiej, żebym się nie dowiedział o żadnych randkach z tym wstrętnym Indianinem, który tak ci się podoba! zapowiedział.

- Ten wstrętny Indianin uratował ci życie - przypomniała mu. - A co się tyczy moich spraw osobistych, nie masz prawa do nich się wtrącać. Nie odpowiadam przed tobą.

Ba!

Nie zapomnij napisać. I powiedz mamie, że wrócę do domu po ślubie - dodała wesoło, puszczając oko do Bena, który starał się ukryć uśmiech.

- Mama będzie wściekła!

- Nie, nie będzie. Popierała mój pomysł pójścia na i uniwersytet, kiedy ty i tata kpiliście z niego. Zobaczysz, któregoś dnia zostanę archeologiem.

- Miejscem kobiety jest dom - powiedział Richard głosem przypominającym najsurowszy ton ojca.

- Może kiedyś tak było, ale teraz nie jest. A kiedy już wszystkie zdobędziemy wykształcenie, nie damy się trzymać cały dzień w kuchni.

- Głupstwa gadasz. Pakujmy się, Ben. Z żadną kobietą nie da się dyskutować - powiedział Richard z najwyższym obrzydzeniem.

Ben tylko wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się do siostry ciepło i szczerze.

Kuzynka prawie się nie odzywała. Wracała do domu całkowicie odmieniona - smutny cień dawnej Julie. Patrzyła teraz na Richarda zimnymi oczyma, czując do niego takie

obrzydzenie jak przedtem Sissy i Trilby. On jednak tak był zadufany, że niczego zdawał się nie zauważać.

Kiedy Trilby odprowadzała przyjaciół, na stacji znalazł się również Thorn.

Stał obok niej, lekko obejmując ją w talii, gdy podała rękę ponuremu Richardowi.

- Mam nadzieję, Trilby, że będziesz bardzo szczęśliwa - powiedział sztywno, rzucając Thornowi zimne spojrzenie.

- Bądź z nami w kontakcie, dobrze?

- Och, musicie przyjechać odwiedzić nas w przyszłym roku, kiedy już się całkiem urządzimy - rzucił Thorn. - Zorganizuję następną myśliwską wyprawę.

- Cóż, tak, to by było miłe - odparł Richard. Trochę za długo przytrzymał dłoń Trilby, wreszcie ją uścisnął.

Teraz, kiedy Trilby była dla niego nieosiągalna, żałował, że nie działał skuteczniej, kiedy jeszcze był czas. Zaślepiła go Julie. No cóż, Trilby należała do tego bezczelnego łotra i jeden Bóg wie, co się z nią stanie. - Do widzenia, Trilby - powiedział łagodnie. - Będę za tobą tęsknił.

Uśmiechnęła się, czując, że do oczu napływają jej łzy.

Nie przywołał ich smutek wywołany tym, że traci Richarda, lecz świadomość, iż żegna się z przeszłością. Stanowił część jej dzieciństwa, jej dorastania. Zawsze gdzieś w zakamarku jej serca był Richard, jej cudowny chłopak. Teraz całkowicie się nim rozczarowała. Jej marzenia były mrzonkami niemądrej dziewczyny. Richard wcale nie przystawał do cudownego wyobrażenia, jakie o nim miała. Żegnała się z tym wszystkim, co sądziła, że kocha, zastępując swe marzenia o miłości związkiem z mężczyzną, któremu wcale nie zależało na niej, tylko na tym, by małżeństwo z nią ułatwiło mu dostęp do wody.

- Och, Boże - szepnęła ze smutkiem.

Zarozumiały Richard pomyślał, że Trilby jawnie oplakuje jego utratę. Już miał coś powiedzieć, gdy dojrzał gwałtowny ruch Thorn'a i spojrzenie jego czarnych oczu; powstrzymał się.

- Gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebowała, zjawię się, Trilby - powiedział wyniośle, puścił jej rękę, odwrócił się i poszedł w stronę pociągu.

Miała ochotę roześmiać się na tę pyszałkowatość, ale czuła się zbyt znękana. Serce jej pękało i nie dbała o to, czy Thorn to zauważy. Złapał ją w pułapkę.

Zauważył. Nie potrafił jednak znaleźć odpowiednich słów, żeby wyrazić, co czuje. Chciał ją przeprosić za przyparcie jej do muru i miał ochotę wyciągnąć młodego Richarda z pociągu i wrzucić w kaktusowe zarośla. Nie zrobił tego jednak. Było dla niego oczywiste, że Trilby kocha Richarda, jego zaś nienawidzi za pozbawienie jej tej miłości.

Puścił ją gwałtownie i odszedł, wprawnymi palcami skręcając papierosa. Trilby miło pożegnała się z Benem i sztywno z Julie. Wreszcie pociąg opuścił stację w chmurach pary, a po kilku minutach był zaledwie obłoczkiem dymu na szarym horyzoncie.

Było zimno, nawet jak na południową Arizonę w grudniu.

Ślub odbył się trzy tygodnie później, w inny chłodny, ponury dzień. Mary i Jack próbowali namówić Trilby i Thorną, by poczekali z zaślubinami do wiosny, ale żadne z nich nie chciało się na to zgodzić. Zwłaszcza Thorn upierał się przy tej dacie. Zupełnie tak, pomyślała Mary w duchu, jakby miał jakiś powód do pośpiechu. Oczywiście w górach nic nie mogło się wydarzyć. W pobliżu było za wiele osób, by mogło dojść do jakiejś bliskości. Może chodziło tylko o to, że Thorn bał się, iż straci Trilby na rzecz Richarda. Tak, o to zapewne chodziło. Ale... Richard wyjechał, razem z Benem i ponurą Julie, z powrotem do Luizjany. Dlaczego więc Thorn tak się upierał?

Pytanie to pozostało bez odpowiedzi. Trilby stała w swej długiej atlasowej sukni, z twarzą, jakiej żadna panna młoda nie powinna pokazywać w dzień ślubu, nieruchomą i ponurą, i bezmyślnie, niczym lunatyczka, powtarzała słowa przysięgi. Ani w jej postawie, ani twarzy nie było śladu radości, a kiedy równie sztywny Thorn pochylił się, by ją pocałować, podsunęła mu nie usta, tylko policzek.

Dystans, jaki zachowywali, rzucał się w oczy. Przyjęcie wcale go nie zmniejszyło, zwłaszcza gdy kuzyn Thorną podszedł pocałować pannę młodą.

Trilby uśmiechnęła się do niego, czego do tej pory nie uczyniła w stosunku do męża.

- Dziękuję ci, Curt - powiedziała cicho.

- Przepraszam za to, co cię tu spotkało na początku pobytu - powiedział z zażenowaniem.

- Mam nadzieję, że będziecie z Thornem szczęśliwi. Mówię szczerze.

- Ja także mam taką nadzieję - zdołała odpowiedzieć.

Sissy przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Jest miły - stwierdziła.

- Tak, to prawda. - Trilby zauważyła, że Samantha była spłoszona, kiedy Curt coś do niej powiedział, i że natychmiast ponownie stanęła u boku ojca. Jednakże Sissy odwróciła jej uwagę i Trilby szybko o tym zapomniała.

Uśmiechnęła się, obrzuciwszy spojrzeniem przyjaciółkę w różowych falbankach i koronkach. - Wyglądasz bardzo ładnie - powiedziała, widząc, że choć raz Sissy ma rozpuszczone włosy.

- Pewien wysoki dżentelmen lubi, jak mam rozpuszczone włosy. - Westchnęła i rozejrzała się. - Oczywiście, nie ma go tutaj. Robi to, co uważa za stosowne, i mnie unika.

Pewnie w końcu usłyszę w nocy flet. Wtedy wymknę się z domu i będę stała okryta jego pledem. Będziemy rozmawiać o starożytnych rasach i recytować sobie na przemian sonety Szekspira.

- Nie mówisz poważnie - wykrzyknęła Trilby łobuzersko.

- Oczywiście, że tak. To takie beznadziejne, Trilby - dodała, a jej dobry humor zniknął. - Nie ma dla nas przyszłości, ale nie potrafię żyć z dala od niego. Każda sekunda jest cenna - jutro muszę wracać do domu.

- Mogłabyś zatrzymać się u mnie - powiedziała Trilby, chwytając się ostatniej deski ratunku.

Sissy roześmiała się smutnie.

- W czasie twojego miodowego miesiąca? - Skrzywiła się. - Wstydz się. Co by na to powiedział Thorn?

- Nie dbam o to.

Przyjaciółka łagodnie ścisnęła jej dłonie.

- Chyba się go nie boisz, co? - zapytała poważnie. - Niewiele więcej wiem na ten temat niż ty, ale wiele się naczytałam. Nie będzie bardzo bolało, a potem, jeśli kochasz mężczyznę, ma być bardzo miło, mimo tego, co mówią o tym starsi - szepnęła konspiracyjnie.

Trilby zarumieniała się, bo już wiedziała za dużo. Nie mogła się jednak do tego przyznać.

- Nie boję się go - powiedziała, rzucając spojrzenie w stronę swojego wysokiego, ubranego na ciemno męża - stał w pobliżu i odbierał gratulacje.

- Samantha się boi - zauważyła Sissy, skinąwszy głową w stronę dziecka. Dziewczynka stała samotnie przy stole z napojami orzeźwiającyymi, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. - Żal mi jej. Byłam taka sama w jej wieku. Ty także - dodała uśmiechając się łobuzersko do przyjaciółki.

- Żadna z nas nie była zbyt śmiała.

- Dobrze się nią zaopiekuję - powiedziała Trilby i gdy spojrzała na dziecko, poczuła, że serce przepelnia jej ciepłe uczucie. - Jest strasznie kochana. Jej ojciec nie jest typem mężczyzny, który wierzy w miłość.

- Może cię zdziwić - odparła Sissy. - Sprawia na mnie wrażenie człowieka bardzo skrytego, który ukrywa to, co czuje, ponieważ nie chce zostać zraniony. Nie miał szczęśliwego małżeństwa, prawda?

- Cóż, wydaje mi się, że nie.

Sissy skinęła głową.

- Może to najlepsze, co mogło spotkać was oboje. Z pewnością będzie ci lepiej z Thornem,

Trilby, niż byłoby ci z moim bratem. Sądzę, że i ty to wiesz.

- Tak, wiem. Richard stanowił wielką część mojego życia - powiedziała powoli. - Przypuszczam, że tak bardzo tęskniłam za przeszłością, że pomyliłam ją z nim.

- Na pewno będzie ci lepiej z Thornem. Nawet gdyby Richard ożenił się z tobą, zostawiałby cię w domu, a sam uganiałby się za innymi kobietami. Nie potrafi być wierny nawet narzeczonej. Co by to było, gdybyś musiała znosić takiego mężczyznę po ślubie?

- To byłoby straszne - przyznała Trilby. - Wiesz, kiedyś myślałam, że go kocham - powiedziała ze smutkiem. - Potrzeba było tej wyprawy, żebym się przekonała, że to nieprawda.

- Nauczysz się kochać Thorn'a. Jest bardzo męski - podkreśliła Sissy - Nie sądzą, byś miała kiedyś żałować.

- To się dopiero okaże. - Wsunęła rękę pod ramię przyjaciółki i pociągnęła ją w stronę wazy z ponczem, starając się nie myśleć o czekającej ją nocy. - Napijmy się czegoś.

Kiedy Samantha podeszła nieśmiało, Trilby uklękła, by znaleźć się na jednym poziomie z dzieckiem.

- Chciałam ci tylko pogratulować - powiedziała spokojnie Samantha. - Cieszę się, że wyszłaś za mojego ojca. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi.

- Mam nadzieję, że ty też będziesz - odparła Trilby. - Chcę, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

- Jak sądzisz, czy będziecie mieć dużo dzieci? - zapytała z rezygnacją dziewczynka, bez cienia uśmiechu.

Trilby zarumieniła się.

- Nie będziemy teraz o tym rozmawiać, dobrze?

Wywołało to blady uśmiech.

- Dobrze.

- Będziemy miały dużo czasu, żeby się dobrze poznać.

Postaram się być twoją przyjaciółką, Samantho. Naprawdę.

- Czy kocha pani mojego ojca, panno Lang? - zapytała Samantha bardzo dorosłym tonem. - Chciałam powiedzieć... mam - poprawiła się sztywno.

- Czy nie byłoby łatwiej, gdybyś po prostu zwracała się do mnie po imieniu? - zapytała Trilby, w zręczny sposób unikając odpowiedzi na pytanie.

- Tato kazał mi zwracać się do pani „mamo”.

- Powiedzmy, że będziemy tak robić tylko w jego obecności - powiedziała cicho Trilby i uśmiechnęła się. - A kiedy będziemy tylko we dwie, mów mi po imieniu.

Ciemne dziecięce oczy rozpromieniły się.

- Zgoda.

- To będzie nasza tajemnica - zaśmiała się Trilby.

- Trilby, czy mogłabyś pomóc mi w nauce? Nie chcę mieszkać z wujem Curtem i chodzić do szkoły w mieście - poprosiła.

- Jestem pewna, że coś uda się nam załatwić - powiedziała Trilby. - Nie podoba mi się to, że przebywasz teraz w Douglas, gdy na granicy dochodzi do incydentów. Porozmawiam o tym z twoim ojcem.

- Cieszę się. - Samantha spojrzała na Trilby zmartwionym wzrokiem. - Muszę dziś wieczór wracać z wujem Curtem. Muszę?

- Obawiam się, że tak. Nie lubisz swojego wuja i ciotki?

Samantha posmutniała.

- Są w porządku. Mówią, że jutro mogę wrócić do domu.

Trilby zaczęła ustępować, dopóki nie przypomniała sobie, że dzisiaj jest ich noc poślubna. Tylko ona i Thorn wiedzą, że nie będzie to ich pierwszy raz razem, nie mogli się jednak z tym obnosić.

- Wobec tego do zobaczenia jutro, dobrze? - zapytała Trilby i zmusiła się do uśmiechu.

Trilby i Thorn do późna zajęci byli żegnaniem gości.

W końcu jednak, co było nie do uniknięcia, znaleźli się razem w przytulnym salonie oświetlonym przez lampy i płonący na kominku ogień. Siedzieli sącząc resztki szampana.

Po wyjściu gości Trilby przebrała się w zwyczajną szarą sukienkę. Przyszło jej do głowy, że powinna włożyć strój nocny, ale bała się, że Thorn błędnie przyjmie to jako zaproszenie do łóżka. Była to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili pragnęła.

On wcale się nie przebrał. Nadal miał na sobie czarne spodnie, nieskazitelnie białą koszulę i czarny krawat. Zdjął tylko marynarkę, a w tej chwili jego szczupłe palce rozwiązywały krawat i rozpinały koszulę.

- Jestem zmęczony, a ty nie? - zapytał spokojnie. - Zapomniałem już, jakie to męczące zenić się.

Przypomniało jej to, że nie pierwszy raz stanął na ślubnym kobiercu. Przyglądała się badawczo bąbelkom w kieliszku z szampanem.

- Tak, to wyczerpujące.

Jego oczy spoczęły na zgrabnie ukształtowanym kieliszku, który trzymała w ręce.

- Czy wiesz, dlaczego kieliszki do szampana mają taki kształt? - zapytał niespodzianie.

Spojrzała na niego, po czym ponownie przyjrzała się eleganckiemu kieliszkowi.

- Nie, nie wiem. Dlaczego?

Uśmiechnął się lekko.

- Czy jesteś pewna, że chcesz to wiedzieć?

- Oczywiście, że tak - odparła zdziwiona.

Zmysłowo pogłaskał trzymany w dłoni kieliszek.

- Zostały ukształtowane na wzór piersi Marii Antoniny powiedział cicho.

Kieliszek wypadł z ręki Trilby. Nie dlatego, że zdziwiła ją jego odpowiedź, ale że patrząc na jej biust głaskał swój kieliszek tak zmysłowo.

Zaśmiał się cicho, odstawił kieliszek i wstał. Kiedy do niej podchodził, zobaczyła migotliwą mroczność w jego oczach, groźbę, jaką stanowiło jego ciało.

Wstała szybko.

- Lepiej to posprzątam - rzuciła się gwałtownie.

Podszedł i wziął ją na ręce, jakby nic nie ważyła.

- Najpierw będziemy się kochać - powiedział cicho.

Pochylił się i zaczął ją całować; jego usta pachniały szampanem i miętą.

Chciała zaprotestować, opierać się, ale jego dotyk zupełnie ją zniewolił. Poddała się dopiero kilka sekund później i nieśmiało objęła go za szyję. Jej ciało drżało w rozkosznym oczekiwaniu, pamiętając, że poprzednim razem było tak cudownie, pomimo chłodnej wilgoci namiotu rozbitego na twardym podłożu. Tym razem miało się to stać w ciepłym łóżku, bez zagrożenia, że ktoś im przeszkodzi.

I mieli przed sobą całą noc.

- Od tak dawna cię pragnę, Trilby - powiedział niepewnie, kładąc ją delikatnie na nieskazitelnie białej kapie łóżka. - Jesteś wszystkim, o czym marzyłem.

Leżała w mdłym świetle karbidówki, a jej piersi nieregularnie unosiły się i opadały, kiedy zaczął zdejmować koszulę. Miała już zamiar poprosić go, by zgasił lampę, kiedy zdjął koszulę i rzucił ją na bok. Zobaczyła to, co już dawno poznały jej ręce - że jest owłosiony, umięśniony i bardzo, bardzo męski. Była tak zafascynowana mięśniami jego torsu, że nie zauważyła, kiedy zaczął rozpinąć spodnie.

Kiedy je opuścił, odsłaniając tę część swego ciała, która była taka męska, tak groźnie męska, zamarła w bezruchu, a jej wargi rozwarły się w bezgłośnym okrzyku.

- Teraz wiesz - powiedział tonem lekkiej pogróżki.

Odwróciła wzrok, spodziewając się rozbawionego śmiechu, ale nie rozległ się. Do jej uszu dobiegł szelest materiału i stuk ciężkich butów, a zaraz potem Thorn siedział przy niej.

- Lampa. Thorn - szepnęła nerwowo, kiedy jego dłonie zbliżyły się do zapięcia jej sukni.

- Chcę, żeby się paliła, Trilby - powiedział bardzo spokojnie. - Chcę, żebyś mnie widziała.

Chcę widzieć ciebie w czasie tego najintymniejszego aktu.

- Ale... - Zarumieniła się gwałtownie, kiedy ściągnął z niej górę i ponownie ją położył, by rozebrać ją całkowicie.

Próbowała się przykryć, ale jej w tym przeszkodził. Po kilku sekundach szamotania leżała już spokojnie, podczas gdy on napawał oczy jej nagością.

- Thorn, proszę... - zaczęła niepewnie.

- Przez całe moje życie odbywało się to po ciemku - powiedział ze wzrokiem wpatrzonym w jej piersi. - Tym razem chcę widzieć wszystko, każdą sekundę. Nigdy nikogo nie pragnąłem tak jak ciebie. - Pochylił się i przyłożył usta do samego czubka jej piersi. Pocałował go i zaczął ssać, sprawiając, że bardzo szybko stwardniał.

Dech jej zapało z wrażenia. Jej dłonie nerwowo gładziły jego gęste ciemne włosy, gdy leżała skazana na jego łaskę.

Przesunął rękę wolno po jej nagich udach, potem biodrach i płaskim brzuchu. Sekundy przeciągały się w długie, leniwe minuty, a jego usta i dłonie stawały się coraz śmielsze, podobnie jak dźwięki, które wydobywały się spomiędzy spierzchniętych warg Trilby.

Kiedy już była całkiem gotowa, położył jej dłonie na własnym ciele, ucząc ją, gdzie i jak ma go dotykać, by jego rozkosz rosła w takim samym tempie jak jej.

- To... nieprzyzwoite! - zdołała wyszeptać, kiedy w końcu wsunął się pomiędzy jej nogi, złapał jej uda i uniósł, by wtargnąć w nią gwałtownie. Trilby przez cały czas wpatrywała się w niego. Poczula skurcz jego ciała spowodowany rozkoszą i zobaczyła, jak nagle pociemniały mu oczy i stężały mięśnie spoconej twarzy.

- Tak - jęknął. Jego wzrok powędrował powoli w dół do szerokiej przestrzeni, jaka pozostała pomiędzy ich ciałami, aż do miejsca, gdzie się łączyły. - Spójrz, Trilby - szepnął.

Zrobiła to bez zastanowienia i westchnęła, kiedy zamarł w bezruchu, pozwalając jej zobaczyć zbliżenie. Popatrzył w górę, napotykając jej zaszokowany wzrok. Wpatrywał się w jej oczy i powoli, ruchem przypominającym powiew letniego wiatru w drzewach, zaczął wsuwać się w głąb jej chętnego ciała.

- To piękne - szepnął, wpatrując się intensywnie w jej twarz, gdy jego ciało ogarniała fala rozkoszy. - To, z tobą, jest czymś daleko, daleko głębszym niż tylko pożądliwym połączeniem ciał.

Wzruszyła ją jego czułość. Odpreżyła się, objęła jego twarz i pocałowała go w usta. Z trudem łapał oddech i drżał.

Jej ciało również zaczęła ogarniać ekstaza. Drżała przy każdym powolnym, głębokim ruchu. Nie odwracała wzroku.

Pozwoliła mu na siebie patrzeć. To zdawało się wzmacniać jego rozkosz i jęczał teraz przy każdym delikatnym poruszeniu.

- Przyjmij mnie - szepnął niepewnie.

Nagle posiadał ją całkowicie i poraził ją ostrymi, szybkimi uderzeniami, które sprawiły, że w gorączkowym zapamiętaniu uniosła się z materaca.

Niczego wówczas nie pojmowała, czując jedynie jedwabisty wybuch koloru, żaru i zapamiętania, które sprawiło, że krzyknęła, czując, co jej daje.

Spełniała się przy nim. Było to tak proste, tak głębokie.

W końcu przetoczył się na plecy i wpatrując się w sufit próbował uporać się z faktem, że ją kocha. Tylko miłość mogła wyjaśnić gorączkę, jaką Trilby wywoływała nie tylko w jego ciele, ale w jego umyśle i sercu, w samej duszy.

Sposób, w jaki ją posiadał, niewiele miał wspólnego z przelotną potrzebą jego lędźwi. Prawie nie mógł uwierzyć w zaznaną rozkosz.

Trilby leżała obok niego, nie kryjąc się przed jego wzrokiem, i starała się spokojnie oddychać. Czowała się ociężała po zaznanej rozkoszy i miała wrażenie, że nadal stanowi część jego ciała. Patrzył na nią, a ona nie próbowała się zakryć. Teraz do niego należała.

Oglądał ją powoli i dokładnie, widząc wszystkie miejsca, gdzie jej dotykał ustami i rękami, dostrzegając czerwone oznaki namiętności, jakie jego głód na niej pozostawił.

- Będziesz miała sińce - powiedział spokojnie. - Przepraszam. Nie chciałem być taki brutalny.

- W końcu było... prawie niemożliwe być łagodnym - powiedziała i zarumieniła się. Odwróciła wzrok.

- Sprawilem ci rozkosz, prawda? - zapytał spokojnie, odczytując jej odpowiedź w ciemniejszym jeszcze rumieńcu i lekkim westchnieniu. - Uczono cię, że kobiecie nie powinno sprawiać przyjemności zbliżenie z mężem?

- Tak - wyznała. - Słyszałam, że tylko niemoralne kobiety odczuwają przyjemność z mężczyzną.

- Nie jesteś niemoralna. - Uniósł jej dłoń i pocałował delikatnie. - Dziękuję ci za rozkosz, jaką mi dałaś.

- Thorn...

Pochylił się i pocałował jej zamknięte oczy.

- Pozwól mi wziąć cię jeszcze raz - szepnął, powoli przysuwając usta do jej warg.

- Ale to byłoby niewłaściwe! - krzyknęła gwałtownie.

- Dlaczego nie?

Jego usta poruszały się leniwie, a po chwili wśliznął się ponownie na nią i znowu ją posiadł. Zanim zorientowała się, co się dzieje, leżała przy nim zaspokojona po raz drugi.

- Nigdy nawet nie marzyłem, że może być tak dobrze - powiedział sennie. Przytulił ją do siebie i nakrył. - Teraz śpij, maleńka.

- Moje ubranie - zaprotestowała.

Zanim zdmuchnął lampę, spojrzał jej głęboko w oczy.

- Rano znowu będziemy siebie pragnąć, nawet bardziej niż teraz. Będzie to łatwiejsze bez całego kłopotu ze zdejmowaniem ubrania.

Oblała się szkarłatnym rumieńcem i przeszedł ją dreszcz oczekiwania.

- To nie grzech chcieć się ze mną kochać - szepnął z uśmiechem. - Bóg dał nam możliwość odczuwania rozkoszy, by wzmóc radość małżeństwa i płodzenia dzieci.

Ciesz się mną, Trilby. Pozwól mi cieszyć się tobą. Nie trzeba się tego wstydzic.

Przestała protestować, bo tak bardzo go pragnęła. Nie było to całkiem rozsądne. Z całą pewnością gdzieś w głębi duszy miała jeszcze żal do Thorny za to, w jaki sposób zmusił ją do tego małżeństwa. Kiedy jednak trzymał ją w ramionach, uwodzicielsko działał na jej zmysły, na jej ciało. Kiedy zbliżał się do niej na odległość pięciu stóp, był wszystkim, czego pragnęła.

Z cichym westchnieniem przytuliła się do niego, położyła policzek na jego szerokim, ciepłym ramieniu i zamknęła oczy.

- Tak dobrze - szepnął. - Śpij. Wyczerpałem cię, prawda?

Pomyślała, że to najcudowniejsze wyczerpanie, jakiego kiedykolwiek zaznała. Powiedziała mu o tym szeptem, zapadając w sen.

Daleko od domu Langów dwie postacie stały okryte pledem i patrzyły na wschodzący księżyc. Jedna była wysoka i grała na flecie. Druga była bardzo kobieca i opierała głowę na piersi kochanego mężczyzny, ciesząc się ostatnim wieczorem, jaki z nim spędzała.

- Czym była ta ostatnia pieśń? - zapytała z zachwytem Sissy, kiedy skończył grać.

- Następną w długim szeregu pieśni miłosnych - szepnął sucho Naki. - Mamy ich bez liku. Mężczyźni zawsze próbują zwabić kobiety do swoich namiotów, by dbały o ogniska, gotowały i rodziły im dzieci.

Dzieci. Ona nie będzie mogła ich mieć, ponieważ dzieci rodziców z różnych ras były źle przyjmowane przez świat.

Ta myśl napełniła ją smutkiem.

- Gdybym była Apaczką, mogłabym z tobą mieszkać - powiedziała.

- Musiałbym za ciebie dać kilka koni - przypomniał jej.

- A twój brat nigdy by się na to nie zgodził.

- Mój brat jest okropnym człowiekiem.

- Czy twój ojciec też jest taki?

Westchnęła.

- Niestety. Ale moja matka jest taka jak ja. Ostro sprzeciwia się starym obyczajom. Uważa, że kobiety powinny móc posługiwać się rozumem. Uważa, że powinno się pozwolić nam głosować - dodała z uśmiechem.

- Apaczom nie wolno głosować - odparł i zaśmiał się krótko. - To nasz kraj, a odmawia się nam prawa głosu.

- Trzeba naprawić wiele niesprawiedliwości.

- Istotnie.

Stała spokojnie w jego ramionach i przez długą chwilę panowała między nimi cisza.

- Jutro muszę wyjechać.

- Mądra decyzja - odparł. - Kiedy się rozstajemy, coraz trudniej mi cię opuszczać.

- Mnie jest równie ciężko.

Przeciągnął kciukiem po jej brodzie i powoli uniósł ją do góry, tak by w bladym świetle księżyca dojrzeć jej oczy.

- Chciałabyś ze mną spać, prawda? - szepnął.

- Tak - odpowiedziała szczerze.

- A ja z tobą. - Westchnął. - Szkoda, że nie jesteś Apaczką.

- Albo że ty nie jesteś biały. - Podniosła wyżej głowę i pocałowała go w kącik ust. - Naki, mógłbyś ze mną pojechać do Luizjany...

Położył jej palec na ustach.

- Nigdy nie wypowiadaj mojego imienia - powiedział.

- To u nas tabu. Imię ma moc.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo przesądny.

- To moja spuścizna. - Gładził jej długie włosy. - Nie mogę stąd wyjechać. Na Wschodzie wzbudzałbym tylko ciekawość i wywoływał zakłopotanie. Tutaj jest moje miejsce.

- Więc ja mogłabym zostać - powiedziała dzielnie.

- I mieszkać w prymitywnym szałasie w rezerwacie? - zapytał ze smutkiem. - Gdzie byłabyś traktowana jak trędowata? Wielu z moich nienawidzi białych.

Jęknęła.

- Dlaczego musi tak być?

Jego potężne ramiona uniosły się i opadły.

- Kto to wie? - odparł ze smutkiem. - Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Nie wiem, jak się znaleźliśmy. Ale moje życie będzie puste bez ciebie.

- A moje bez ciebie - odparła łamiącym się głosem.

Nachylił się do jej ust, całując ją słodko z bolesną czułością.

- Och, nie w ten sposób - błagała, ciągnąc go za długie, gęste włosy.

Wyplątał jej palce i uścisnął ciepło.

- Tak właśnie - poprawił ją. - Tak, żebyśmy się mogli rozstać bez ryzyka, że przekroczyliśmy granice określone przez konwenanse.

- Zaryzykowałabym wszystko... - zaczęła.

- Dziecko, które możemy począć, zapłaciłoby za nas - przypomniał jej - a cena byłaby wysoka.

Uległa.

- Oczywiście masz rację. Dlaczego zawsze masz rację?

- Och, dlatego że jestem wspaniała i genialny.

Roześmiała się i żartobliwie uderzyła go w klatkę piersiową.

- Jesteś zarozumiała.

- To jest nie do uniknięcia, kiedy rzuca się na mnie piękna i inteligentna kobieta - szepnął.

Pocałowała go delikatnie.

- Tak jest. - Przytuliła się mocno do niego, z całych sił walcząc ze łzami. Miała wrażenie, że serce jej pęknie.

Naki podzielał jej emocje i czuł taki sam smutek. Rozstanie z nią było jedyną sensowną rzeczą, jaką mógł zrobić.

Ale to było takie trudne. Nigdy przedtem nie wiedział, co to znaczy, nawet jeśli tak sądził wtedy, gdy Conchita została zabita. Teraz jednak poznawał smak rozstania. Życie bez tej kobiety będzie bolesne.

Po chwili ponownie przyłożył do ust flet. Tym razem pieśń, jaką zagrał, nie była pieśnią miłosną. Była to melodia, którą jego lud tradycyjnie grał po śmierci kogoś ukochanego.

Następnego dnia Sissy odjechała pociągiem. Starła się pohamować łzy i była opanowana. Thorn i Trilby zawieźli ją na stację Fordem i patrzyli, jak odjeżdża. Nakięgo nigdzie nie było widać, ale Trilby mogła się założyć nie wiem o co, że znajduje się gdzieś w pobliżu.

Rzeczywiście tak było. Niedaleko od stacji znajdowało się niewielkie wzniesienie. Na jego szczycie Naki siedział na koniu, żegnając się cicho z kobietą, której pragnęło jego serce.

- Popatrz! Czy to nie Indianin? - zapytała z podnieceniem jedna z kobiet w przedziale, wskazując na niego.

- Tak - odparł jej towarzysz, nie wykazując zainteresowania. - Tutaj aż się od nich roi. Brudne, głupie dzikusy!

Świat byłby przyjemniejszy, gdyby zmieciono ich z powierzchni ziemi!

Sissy mocno ścisnęła torebkę, by powstrzymać się od wybuchu. Nienawidziła takiej ślepej ignorancji, ale tyle było jej na świecie. Ten rzucający obelgi mężczyzna prawdopodobnie nie miał pojęcia, jakim człowiekiem jest Naki, nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie kultury tu kwitły na długo przedtem, nim pierwszy biały człowiek postawił nogę na amerykańskiej ziemi. Była pewna, że któregoś dnia to się zmieni. Kiedy ludzie dowiedzą się więcej o rdzennych mieszkańcach Ameryki, nauczą się ich szanować.

Jej oczy odnalazły w oddali samotną postać na mustangu i pożegnała się z nim w milczeniu. Robił się coraz mniejszy, aż stał się krystaliczną rozmazaną linią w jej przepelnionych łzami oczach. W końcu był już tylko widoczny w oczach Sissy - jasne wspomnienie miłości, które miało jej wystarczyć do końca życia.

Thorn zawiózł Trilby z powrotem na ranczo i zostawił ją z Samanthą, a sam poszedł się przebrać w robocze ubranie. W dziennym świetle nadal nie czuli się ze sobą dobrze, mimo zmysłowej magii ubiegłej nocy.

- Zabiorę się więc do roboty - powiedział, kiedy się już przebrał. Schwycił swego stetsona i spojrzał na Trilby z lekkim zniecierpliwieniem. - Postaram się przyjechać do domu w południe - powiedział.

- To byłoby miłe.

Nie popatrzyła na niego. Szczupłą, delikatną dłonią uniósł jej twarz do góry.

- Dlaczego upierasz się, by mnie traktować jak obcego?

- powiedział, i było to na wpół pytanie, na wpół błaganie.

- Czy chcesz udawać, że ubiegłej nocy nie znalazłaś nieba w moich ramionach?

Trilby zarumieniła się.

- To nie jest temat... do rozmowy - wyjąkała.

- Ależ jest - odparł łagodnie. - Jesteśmy małżeństwem.

- Mimo wszystko...

- Mała purytanka - powiedział i westchnął cicho. - W porządku, miej swoje tajemnice.

Pewnego dnia będę znał je wszystkie. - Jego ciemne oczy zwięzły się, kiedy tak stał nad nią. - Brakuje ci twojej przyjaciółki, prawda?

- Sissy i ja przyjaźnimy się od lat - odparła. - Zawsze myślałam, że któregoś dnia będzie moją szwagierką.

W chwili gdy wypowiedziała te słowa, pożałowała, że nie może ich odwołać. Przyłożyła dłoń do ust widząc z przerażeniem wyraz twarzy Thorn'a.

- A więc to mężczyzny ci brakuje, nie jego siostry.

Powinienem był to wiedzieć - powiedział z goryczą. Odwrócił się, walcząc z urażoną dumą i z bólem. Po chwili, kiedy się odezwał, jego głos był bardzo opanowany. - Cóż, wydaje się, że pożądanie nie jest prawdziwym substytutem miłości, chociaż próbowałem sobie wmówić, że tak może być. - Spojrzał na nią ze złością i lekki grymas kpiny wygiął jego usta. - Jeśli musisz, Trilby, możesz marzyć o utraconej miłości. Nie ma to dla mnie znaczenia. Tylko nie wymawiaj jego imienia w łóżku.

- To podłe, Thorn!

- Będę robił tak samo - ciągnął wściekły, pragnąc ją zranić. - Postaram się nie szeptać imienia Sally, leżąc w twoich ramionach. Bóg widzi, że mimo iż jesteś tak słodka, nie zastąpisz mi jej!

Odwrócił się i odszedł, zostawiając ją głęboko zranioną.

To niewiarygodne, pomyślała zamroczona, że nie zdawałam sobie sprawy, jak jestem w nim zakochana, aż do chwili, gdy niemalże przyznał, iż nadal jest zakochany w swojej pierwszej żonie, a ja jedynie zastępuję ją w jego łóżku.

Usiadła ciężko na krześle i głośno jęknęła.

Thorn miał posiadłości w Meksyku i martwił się nimi.

Pod koniec listopada kawaleria z Fortu Huachuca została wysłana na granicę. Tylko jeden oddział kawalerii stacjonował w Douglas. Wodopoje wysychały, a źródła dawały mniej wody. Thorn wspominał o tym, że jest wdzięczny Jackowi Langowi za udostępnienie wody jego spragnionemu bydłu. Mówił również o tym, że dla pomniejszenia strat pozbędzie się swoich meksykańskich posiadłości.

Meksykańscy rewolucjoniści starali się przepędzić cudzoziemców, którzy byli właścicielami większości ziemi.

Nie dbali o to, czy inwestorzy, *haćendados*, byli dobrzy czy nie, chcieli jedynie, by Meksyk należał ponownie do ludu.

Może rewolucjoniści sądzili, że gdy zaatakują hacjendę Thorna w Meksyku, zmuszą go do jej opuszczenia. Uprawdzono dziesiątki sztuk bydła, a także koni. Zastrzelono dwóch z jego meksykańskich pracowników. Thorn nie powiedział tego Trilby, ale zrobił to Jorge. Od czasu zamieszkania na jego ranchu Trilby coraz więcej dowiadywała się o interesach, a Jorge był chodzącą encyklopedią w sprawach dotyczących Thorna.

- Jest taki dobry dla moich ludzi, *senora* - powiedział jej z uczuciem Jorge. - Jest dla nas *el jefe*, patron. Karmi głodnych i daje naszym rodzinom ziemię pod uprawę. Kiedy rząd zabrał nam ziemię, nie mogliśmy nawet zapewnić bytu naszym dzieciom. Wiele ludzi poszło do miast, ale nie znaleźli tam pracy i musieli żebrać o jedzenie. - Jego twarz pociemniała. - Powiadam pani, *senora*, przez Meksyk powieje wiatr i wyrwie Diaza z jego stanowiska. Kiedy Madero dojdzie do władzy, uleczy wszelkie rany, wiem to!

- Mam taką nadzieję z uwagi na twoich krewnych - powiedziała spokojnie Trilby. - Skoro jednak mój mąż jest dobry dla ludzi, którzy pracują w jego posiadłościach w Meksyku, dlaczego Meksykanie go atakują?

- To byli *federales* i *rurales*, *senora* - powiedział zimno Jorge. - Wieśniacy, którzy pracują dla Diaza i jego grabieżców. To są nasi wrogowie. Mordercy. *Matadores*!

Zamrugła.

- Myślałam, że matador to ten, co walczy z bykami.

- Nie ma hiszpańskiego odpowiednika dla tego, który walczy z bykami, *senora* - wyjaśnił jej cierpliwie. - Matador znaczy zabójca.

Zadrżała.

- Rozumiem.

- Wielu z moich ludzi nienawidzi Hiszpanów i Amerykanów. To wszystko są biali, którzy mają nad nami władzę.

Ale Madero, niech go błogosławi Święta Panienska, powiedział, że wypędzimy ich z Meksyku i odbierzemy im ziemię, którą nam ukradli. Już dłużej bogaty właściciel kopalni ani przemysłowiec nie będzie robił z nas niewolników.

- W Luizjanie - powiedziała z wahaniem - są farmerzy, którzy pracują dla bogatych posiadaczy. Nazywają się dzierżawcy za plon, ponieważ pracują na polach innego człowieka za część plonów. Zazwyczaj jednak kończy się tym, że farmer ma coraz większe długi i niewiele dostaje za swoją pracę.

- *Si* - przytaknął Jorge skinieniem głowy. - Tak się dzieje wszędzie, prawda, że biedacy

stają się niewolnikami bogaczy?

Jesteśmy głodni i zależy od nich, bo mają *dinero*. Ale to się zmieni. Ci... dzierżawcy za plon. Dlaczego się nie zbuntują, tak jak my, i nie zastrzelą bogatych posiadaczy ziemskich?

Trilby próbowała sobie wyobrazić zbrojną akcję podobną do tej w swym ojczystym stanie i uśmiechnęła się blado.

- Nie sądzę, by im to kiedykolwiek przyszło na myśl - powiedziała szczerze. - Mam nadzieję, że twoi rodacy uzyskają wolność, Jorge.

- Ja także mam taką nadzieję, *senora*. Tylu już zginęło.

A zginie jeszcze więcej. - Jego szczupłe ramiona uniosły się i opadły. - To źle, że ludzie muszą zabijać i umierać za odrobinę mąki i fasoli.

Przez resztę dnia rozmyślała nad tym, co powiedział Jorge. Gazety pełne były opisów walk rozprzestrzeniających się w Meksyku. Pascual Orozco, przywódca powstańców w zachodniej Chihuahua, wezwał pod broń wszystkich patriotów meksykańskich. Walki w Chihuahua były zażarte, a agenci Meksykańskiej Kolei Północnozachodniej mieli trudności nawet ze znalezieniem maszynistów, którzy zgodziliby się w tej okolicy poprowadzić pociągi. Tysiące ludzi, *irisurectos* i *federales*, gotowało się do starcia, a granica pozostawała pod stałym nadzorem miejscowych oddziałów kawalerii i piechoty. Wszyscy się zdenerwowali.

Trilby tak była pochłonięta myślami, że Samantha dwukrotnie pytała ją o przygotowania do Bożego Narodzenia.

- Och, oczywiście będziemy mieć *nacimiento* - powiedziała Samantha, mając na myśli meksykański zwyczaj wystawiania w domu szopki z rzeźbionymi w drewnie figurkami. - Ale strasznie chciałabym mieć choinkę. Moja mama zawsze miała taką wielką i nigdy nie pozwalała mi jej ozdabiać. Czy mogłabym ci pomóc?

- Oczywiście - odparła Trilby, uśmiechając się do dziecka. Był to pierwszy objaw radości, jaki zaobserwowała u dziewczynki.

Zaczęły przygotowania do Bożego Narodzenia z hamowanym entuzjazmem, ignorując pełne irytacji mamrotania Thorna o bałaganie, jaki powstaje, gdy robią łańcuchy z kukurydzy i żurawin i wycinają ozdoby z kolorowego papieru.

- Dopóki nie przypniemy ozdób do twojego siodła i uprzęży, nie masz powodu do narzekań - powiedziała Trilby bez cienia uśmiechu.

Chciała z niego zażartować, ale Thorn przeżył już tyle emocjonalnych kryzysów, że niełatwo się śmiał. Cofał się przed każdą próbą, jaką Trilby podejmowała, by się do niego zbliżyć. Rozumiała, dlaczego tak się dzieje.

- Czy któryś z twoich ludzi przychodzi na świąteczny obiad? - zapytała, jeszcze raz

podejmując próbę nawiązania rozmowy.

- Większość z nich ma rodziny, biorą więc wolny dzień i spędzają go z nimi - powiedział. - Naki nie ma rodziny i jest chrześcijaninem, toteż zazwyczaj zapraszam go na obiad.

- Jest mile widziany.

- Tyle tylko - dodał - że pojechał w góry zaraz po naszym ślubie i nikt nie wie, gdzie jest.

Trilby była prawie całkiem pewna, że zniknięcie Apacza miało coś wspólnego z Sissy. Gdyby między nią a Thornem panowała większa szczerłość, powiedziała mu to.

- Jeśli wróci na czas, nie będziesz miała nic przeciwko temu, by do stołu zasiadło dwóch dzikusów? - zapytał sucho.

Zarumieniła się i nie podniosła wzroku.

- Upiekłam dzisiaj na deser ciasto - powiedziała miło, ignorując jego sarkazm. - Cytrynowe.

- Nie będzie mnie na kolacji - odparł.

Kiedy znowu zostały z Samanthą same, Trilby pozwoliła sobie na żal, że Thorn w tych dniach tyle czasu spędza z dala od domu. Przez krótką chwilę miała nadzieję, że w świetle dnia staną się sobie tak bliscy, jak tej jednej magicznej nocy zaraz po ślubie. Jednakże w miarę upływu czasu wydawało się coraz mniej prawdopodobne, że cokolwiek zmieni się na lepsze. Thorn myślał, że ona tęskni za Richardem. Nie sprostowała tego, rozżalona jego uwagą o Sally. Teraz zastanawiała się, czy oboje nie ukrywają swoich uczuć, by się nie narazić na zranienie. Próbowwała się do niego zbliżyć, ale on się cofał.

Nie chciał rozmawiać na żadne osobiste tematy. Poddała się, nie dlatego, by jej na tym nie zależało, ale dlatego, iż było oczywiste, że już nic od niej nie chce. Nawet jej nie pożądał i to także dał jej wyraźnie odczuć.

Zaledwie tydzień temu jakiś mężczyzna z ładną żoną zabłądzili i zatrzymali się w Los Santos, prosząc o wskazanie drogi. Zachowanie Thorny w stosunku do kobiety było tak bardzo rycerskie i czułe, że przez resztę dnia Trilby na samo wspomnienie czuła się nieswojo. W stosunku do Trilby zachował się tak tylko raz, zanim przyjechał Richard i zniweczył jej nadzieję na szczęście.

Przyszedł list od Sissy. Wspomniała coś o możliwości przyjazdu ze studentami archeologii profesora McColluma późną wiosną. Nie wspomniała nic o Nakim, ale Trilby umiała czytać między wierszami.

Noc, którą Trilby i Thorn spędzili w namiocie, wydawała się taka odległa. Posmutniała, kiedy pomyślała o obcości, jaka panuje między nimi.

Thorn dostrzegł smutek w twarzy Trilby, spojrzał jej przez ramię i zobaczył piękne,

czytelne pismo Sissy. W dalszej części listu znajdowała się wzmianka o Richardzie i debutantce, którą był zauroczony. Thorn pomyślał, że to wzmianka o poprzednim ukochanym zasmuciła Trilby.

- A więc znalazł sobie kogoś nowego, co? Jakież to dla ciebie smutne, Trilby - powiedział zimno.

Przez chwilę niczego nie rozumiała, a potem zdała sobie sprawę, co miał na myśli. Spojrzała na niego z wściekłością.

- Nie masz nic lepszego do roboty, tylko mi dokuczać?

Uniósł w górę jedną brew.

- Wybacz mi. Jestem pewny, że spędzasz każdy dzień swego życia, porównując tego dżentelmena ze Wschodu ze mną, i żałujesz, że nie mogę się z nim równać. To słaba pociecha, prawda, moja droga, że jego środki utrzymania zależą od łaskawości krewnych?

Zamrugła oczami.

- Co masz na myśli?

- Podróżuje od jednego dworu do drugiego z własnego wyboru? Sissy powiedziała, że jej studia uniwersyteckie są dużym obciążeniem dla rodziny, ponieważ nie powodzi im się zbyt dobrze.

Nigdy jej to nie przyszło do głowy. Tak, Richard rzeczywiście wiele podróżował i zawsze odwiedzał siedzibę jakiegoś bogatego krewnego. Nigdy przedtem nie uważała go za pasożyta, ale widocznie Thorn tak.

Wyprostowała się dumnie.

- Styl życia Richarda jest jego prywatną sprawą.

- Na szczęście nie musisz go z nim dzielić. Czy chciałabyś być ciężarem dla swoich krewnych po to, by zachować pozory?

- Nie zniosłabym tego - odparła zdławionym głosem.

Przytaknął skinięciem głowy.

- Ja też nie. Jesteśmy do siebie podobni w tym, że oboje jesteśmy tak dumni. - Pochylił się nagle, owinął sobie jej włosy wokół szczupłej dłoni i odciągnął jej głowę w tył, by móc spojrzeć jej w twarz. Prawie nie zwrócił uwagi na to, że nie zaprotestowała. Zdała się całkowicie na jego łaskę.

Popatrzył na jej miękkie, rozchylone wargi.

- Co za strata - szepnął, pochylił się nad nią i pocałował ją z żarem.

Jęknęła odczuwając tę niespodziewaną przyjemność.

Tyle czasu minęło... tyle czasu!

Kiedy się jednak do niego przytuliła, wypuścił ją z objęć i wyprostował się, patrząc na nią kpiąco.

- Tak bardzo za nim tęsknisz? - zapytał. - Tak bardzo, że nawet ja mogę go zastąpić? Jaka szkoda, że nie wyjechałaś razem z nim.

Przełknęła ślinę, drżąc na całym ciele.

- Jaka szkoda, że mnie uwiodłeś!

Przez chwilę się zastanawiał. Potem bardzo powoli potrząsnął głową.

- Nie, nie zgadzam się z tym. To było piękne. Żałuję tylko, że nie dało to dziecka.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Ja... nie miałabym nic przeciw dziecku.

Zawahał się. Nie była już taka zamknięta w sobie jak przedtem. Przez chwilę niemal wierzył, że zaczyna żywić do niego cieplejsze uczucia.

- Mógłbym dać ci dziecko, gdybyś chciała - powiedział powoli, po czym wstrzymał oddech, czekając, co odpowie.

Zagryzła dolną wargę. Pokusa była obezwładniająca.

Pragnęła tego, pragnęła trzymać w ramionach własne dziecko, kochać je. Ale czy to ma sens, skoro prawie ze sobą nie rozmawiają, a Thorn nawet z niechęcią znosi jej obecność?

Spojrzała w jego badawcze ciemne oczy.

- Ty... nadal kochasz Sally - powiedziała powoli, ze smutkiem. - Nie chcę, by dziecko urodziło się dlatego, że użyłeś mnie jako jej substytutu.

Zaparło mu dech w piersiach. Nie mogła przecież w to wierzyć! A jednak wierzyła - zobaczył to w jej twarzy. Za dobrze odegrał swoją rolę.

- Czy o to chodzi? - zapytał - Czy też o to, że nie jestem tym bubkiem ze Wschodu?

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, żeby powiedzieć mu prawdę. Jej oczy złagodniały. Zanim jednak zdołała wydobyć z siebie jakieś słowa, Samantha wpadła do pokoju tanecznym krokiem, przynosząc jeszcze więcej kolorowego papieru. Nadal zachowywała się trochę nieśmiało w obecności ojca, przy Trilby jednak czuła się całkiem swobodnie. Usiadła obok niej i zaczęła szczebiotać na temat świątecznych dekoracji.

Thorn westchnął ciężko i wyszedł. Przez resztę dnia zastanawiał się, co by mu powiedziała Trilby, gdyby nie wejście Samantha.

- Lubię czerwony kolor, a ty, Trilby? - zapytała Samantha, kiedy Thorn wyszedł, i rozgorączkowane myśli Trilby skierowały się ku pracy, jaką wykonywała. Samantha smarowała papier klejem, zlepiając go w łańcuchy, a Trilby cięła papier na paski.

- Bardzo go lubię - odparła Trilby. - Jest taki żywy jak Boże Narodzenie, prawda?

- Och, tak. - Samantha gryzła przez chwilę dolną wargę; w końcu spojrzała na Trilby i zapytała z wahaniem: - Trilby, czy sądzisz, że kuzyn Curt przyjdzie w święta?

- Jestem pewna, że zarówno on jak i twoja ciotka przyjdą, jeśli tego chcesz.

- Nie, nie chcę! - krzyknęło dziecko. - Nie chcę, żeby przychodzili! Nie chcę go tutaj!

Trilby miała wrażenie, że serce przestało jej bić. Odłożyła nożyczki.

- Ale dlaczego, kochanie?

Olbrzymie oczy dziewczynki zaszkliły się łzami.

- Ponieważ ona zamknęła mnie w spiżarni.

- Nie rozumiem.

- Zobaczyłam, jak się całują. Moja mama i kuzyn Curt - powiedziała nieszczęsna Samantha. - Byli w łóżku i nie mieli na sobie żadnych ubrań. Otworzyłam drzwi i moja mama wrzasnęła na mnie i mnie uderzyła, a potem zamknęła mnie w spiżarni! Trzymała mnie tam przez całą godzinę, Trilby, a w spiżarni był szczur! - Dziewczynką wstrząsnął dreszcz. - Ugryzł mnie, a ja krzyknęłam przeraźliwie, ale ona mnie nie wypuściła. Patrz! - Ściągnęła pończochę i pokazała bliznę na łydce. Sądząc po jej rozmiarze musiało to być bardzo poważne ugryzienie.

- Och, mój Boże - powiedziała cicho Trilby i mocno objęła dziecko. - Mój Boże, to okropne!

Samantha wypłakała cały swój żal. Było jej miło, że chociaż raz dorosła osoba wysłuchała i utuliła ją. W ciągu swego życia tak niewiele uczucia otrzymała od dorosłych.

- Nie powiedziałaś o tym ojcu? - zapytała Trilby, kiedy łzy zaczęły znikać otarte chusteczką.

- Powiedziała, że mi nie wolno - wyjaśniło dziecko, pociągając nosem. - Powiedziała, że następnym razem zrobi coś znacznie gorszego niż zamknięcie mnie w spiżarni, a kuzyn Curt patrzył na mnie tak, jakby mnie bardzo nie lubił. Nadal mnie nie lubi. Niedawno zapytał mnie, czy powiedziałam coś ojcu. Boję się go. - Znowu otarła oczy.

- Nienawidzę mieszkać z kuzynem Curtem. Nie lubię go, a on także mnie nie lubi. Cały czas powtarza, że bym nie ośmieliła się powiedzieć ojcu, co widziałam.

- Już nigdy więcej nie będziesz musiała z nim mieszkać - obiecała Trilby. - Nigdy!

- Mój tata powiedział...

- Nieważne, co powiedział twój tata - odparła Trilby. - Porozmawiam z nim.

- Ale nie możesz mu powiedzieć - błagała ją Samantha.

- Nie możesz! Kochał moją mamę, Trilby.

Tak jak nie kocha mnie, pomyślała Trilby, ale nie powiedziała tego. Uniosła do góry brodę.

- Samantha...

- Nie wolno ci - upierało się dziecko. - To tajemnica.

Wzrok Trilby powędrował do blizny na nodze dziewczynki i zastanawiała się, ile ta mała musiała przetrzymać potwornych kar, podczas gdy Sally zabawiała się z kuzynem męża. Trilby nie rozumiała, dlaczego Sally wołała innego mężczyznę niż Thorn - przecież sama doświadczyła tego, że potrafi być wspaniałym kochankiem.

- Wobec tego nie będziemy już więcej o tym mówić - obiecała i uśmiechnęła się. Samantha poczuła zbyt wielką ulgę, by zauważyć, iż Trilby nie obiecała, że nie powie Thornowi.

Powiedziała mu jednak, i to ze szczegółami, po kolacji tego wieczoru, kiedy spędzali kilka rzadkich minut sam na sam w salonie. Mieli oddzielne sypialnie i oddzielne życie.

Mieli ze sobą tak mało kontaktu, że pomimo ślubu byli dla siebie jak obcy.

- Nie wolno ci więcej kazać jej z nim mieszkać - dodała spokojnie Trilby. - Rozumiesz teraz? Ona naprawdę się go boi.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział ponuro. - Żeby zarówno Sally jak i Curt mnie zdradzili... - rzucił ostrym tonem. - Nie!

- Przykro mi, że musiałeś się o tym dowiedzieć w ten sposób - powiedziała Trilby z bólem, trzymając ręce skromnie złożone na podolku. - Samantha obawia się jednak, że zaprosisz swojego kuzyna Curta na świąteczny obiad, a ona się go boi. Ma ogromną, potworną bliznę na nodze, w miejscu, gdzie w spiżarni ugryzł ją szczur.

- Ugryzł ją szczur?! - Thorn sprawiał wrażenie przerażonego.

- Krzyczała, ale twoja żona nie chciała jej wypuścić - powiedziała cicho Trilby. - Nigdy przedtem nie zauważyłaś ugryzienia?

- Widziałem głęboką ranę. Sally powiedziała mi, że Samantha upadła i przecięła sobie nogę na kawałku blachy odparł sztywno. - Nie miałem najmniejszego pojęcia!

Poczuła się winna. Wyglądał na zdruzgotanego, bo przecież kochał swoje dziecko, mimo że tego nie okazywał. Sally także kochał. Trilby była zazdrosna o jego pierwszą żonę, ale nie powiedziałaby mu o Sally, gdyby nie musiała. Zrobiła to ze względu na Samanthę. W pewien okrężny sposób uwalniało ją to także od cienia podejrzenia - jeśli Thorn takowe żywił - że cokolwiek łączyło ją z Curtem. Nic dziwnego, że Sally skłamała i oskarżyła Trilby o to, że jest tą drugą kobietą w życiu Curta!

- Nie wiem, czy to wszystkie cierpienia Samantha - dodała niechętnie. - Wybacz mi, ale jeśli twoja żona była zdolna do tego, by zamknąć ją ze szczurami w spiżarni...

- To mogła również zrobić coś innego - dokończył za nią Thorn. - Wbił wzrok w podłogę. - Byłem ślepy.

- Kochałeś swoją żonę. Nigdy bym ci tego nie powiedziała, gdyby nie to, że twoja córka tak bardzo boi się Curta.

- A ja ostatnio kazałem jej u niego mieszkać. - Wstał i zaczął bez celu chodzić po pokoju. Wziął do ręki zdjęcie Sally i wpatrywał się w nie przez chwilę. - Była piękną kobietą. Samantha nigdy nie była wystarczająco ładna, żeby ją zadowolić. Nienawidziła tego dziecka i mnie również. Wiedziałem, że jest nieszczęśliwa. Ale żeby odbijać to sobie na własnym dziecku, trzeba nie mieć serca!

- Żałuję, że musiałam ci to powiedzieć.

- Samantha nigdy mi nic nie powiedziała.

- Bała się, że jej nie uwierzysz - odparła Trilby.

Skrzywił się.

- Czy mnie też się boi?

Podeszła do niego bliżej, starając się zagłuszyć własne pragnienia. Tak bardzo chciała pocałunkami złagodzić jego ból.

- Thorn, spędzasz z nią za mało czasu - powiedziała.

- Sprawia wrażenie, że tak woli - odparł sztywno. - Zachowuje się tak, jakbym był dla niej obcy.

- Bo jesteś - powiedziała z naciskiem.

- Mała dziewczynka potrzebuje matki - upierał się niewzruszenie. - Nie mamy o czym ze sobą rozmawiać, żadnego wspólnego tematu.

Trilby nie wiedziała, jak ma postąpić. Nie zamierzał jej posłuchać.

- Curt nie wie, że Samantha coś powiedziała - zaczęła z wahaniem.

- Nie oczekuj, że będę to trzymał w tajemnicy, Trilby - odparł gwałtownie. - Niech go diabli! Pozwolił mi nawet podejrzewać ciebie, zamiast powiedzieć mi prawdę. Co by to wtedy szkodziło? Przecież już nie żyła.

- Kochałeś ją, prawda? - zaryzykowała.

- Na swój sposób, tak - odparł w końcu, nie podejmując tego tematu. Jego zachowanie nie zachęcało do dalszej dyskusji. - Porozmawiam z Curtem. Powiedz Samancie, że więcej tu nie będzie przyjeżdżał.

- Lubisz go.

- Żaden prawdziwy mężczyzna nie zabawia się z czyjąś żoną. - Jego głos był zimny jak lód. - Jeśli to ma... jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie - dodał z wahaniem - przepraszam cię za sposób, w jaki cię traktowałem. Sally powiedziała mi... Cóż, wiesz, co mi powiedziała. Jak widać próbowała odsunąć podejrzenia od siebie.

- Sama doszłam do takiego wniosku. - Wpatrywała się w jego surową twarz i było jej go żal. - Czasami kobiety robią szalone rzeczy, Thorn - powiedziała. - Nie znaczy to, że Sally cię nie kochała. Może szukała tylko podniecających wrażeń.

- Ryzykując utratę dziecka, męża i reputacji? - Zaśmiał się krótko. - Mam wrażenie, że żyłem w nierealnym świecie.

Czy ludzie kiedykolwiek są tacy, jakimi się wydają?

- Obawiam się, że nie - odparła ze smutkiem, myśląc o Richardzie i o tym, jak szaleńczo go kochała, dopóki nie wiedziała, jaki jest słaby. Podniosła wzrok. - Czy zdobędziesz dla mnie choinkę?

Przez chwilę nie odpowiadał. Kochał te łagodne szare oczy i ich niezwykłą czułość. Uśmiechnął się łobuzersko.

- Jakie drzewko chcesz? - zapytał cicho.

Wzdrygnęła się pod jego spojrzeniem.

- Tylko nie paloverde - szepnęła.

- Dobrze. - Pochylił się i bardzo delikatnie musnął ustami jej czoło.

- Nie martw się. Zajmę się Curtem.

Wyszedł, zanim zdążyła mu powiedzieć, jakie chce drzewko. Wrócił z kostropatą sosenką. Było to nędzne, małe drzewko, chociaż ręcznie wykonane przez nią i Samanthę ozdoby trochę je upiękaczyły.

Trilby upiekła ciasta, a Samantha je udekorowała. Nim nastał dzień Bożego Narodzenia, miały wspaniały wybór pieczonych smakołyków, którymi można było obdarować rodziny pracujących u nich ludzi, a i dla nich wiele zostało.

Usiedli do stołu ubrani w najlepsze odświeżone ubrania, a Thorn pokroił delikatnie przyrumienionego indyka, którego upiekła Trilby.

- Czy nie jest śliczny, tato? - zapytała nieśmiało Samantha. - Pomagałam go przygotować.

- Oczywiście, że tak - przyznała Trilby, uśmiechając się do niej. - Nie dałabym rady upiec go bez ciebie.

Thorn spojrział na córkę. Jasne było, że uwielbia Trilby, która była dla niej łagodna, miła i ciepła. Taka, jaka w istocie nigdy nie była w stosunku do niego. Unikała go, od czasu swego cichego wyznania. Czasami zastanawiał się, czy nie przyśniły mu się te dwie noce, które ze sobą spędzili.

Powiedział sobie, że nic nie pomoże patrzeć wstecz.

Tęskniła za swoim Richardem, a on zaharowywał się na śmierć, robiąc wszystko, by tylko nie pójść do niej pewnej ciemnej nocy. Trudno mu było zachować spokój.

Nie zachował go przy Curcie. Zastał go w domu i uderzył, powalając na ziemię, ku zaskoczeniu jego żony. Nic nie wyjaśnił, nie powiedział jednego słowa. Curt jednak wiedział: zobaczył to w jego oczach. Nie oddał ciosu. Thorn bez słowa zostawił go leżącego na podłodze, a Curtowi nie trzeba było mówić, że jego ulubiony krewny nie chce go już widywać w Los Santos.

Najtrudniej mu jednak było pogodzić się z myślą, że był takim głupcem. Nigdy nie podejrzewał Sally o niewierność, a tymczasem za każdym razem, kiedy wyrzucała go z łóżka, wciągała do niego Curta. Ta świadomość ogromnie obniżyła jego pewność siebie. Na początku Sally zależało na nim, tak jak jemu na niej. Teraz zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła zaufać swojemu osądowi. Samantha zapłaciła wysoką cenę za jego ślepotę. Zastanawiał się, czy winiła go za ból, który musiała znosić z rąk matki. Żałował, że nie potrafi jej o to zapytać.

- Tato, ty nie jesz - zauważyła nieśmiało Samantha.

- Co? Ach, tak, rzeczywiście. - Spróbował indyka i uśmiechnął się do córki. - Jest bardzo dobry.

- Dziękuję - szepnęła Trilby.

Nie odpowiedział. Kiedy skończyli jeść, rozparł się na krześle i skręcił papierosa.

- Może McCollum przyjedzie na wykopaliska trochę wcześniej, niż się spodziewał - powiedział.

- Twój przyjaciel archeolog? - zapytała ostrożnie Trilby.

- Tak. Przywozi ze sobą kilku studentów. Mogą spać w baraku.

- Czy Sissy przyjeżdża z tą grupą? - zapytała Trilby. - Nie wspomniała o tym w swoich listach, wiem tylko, że do stycznia nie będzie uczęszczać na jego zajęcia. Czy wobec tego pozwoli jej ze sobą przyjechać?

- Nie wiem. Poczekamy i zobaczymy. - Popatrzył na nią.

- Lubiałś go, prawda? - dodał i roześmiał się niewesoło. - Jest cywilizowany.

Wychodząc uśmiechnął się do Samantha.

Trilby spojrzała na niego, ale on unikał jej wzroku. Już raz okazał się głupcem. Nie zaryzykuje serca po raz drugi, tym bardziej kiedy widzi, że ona siedzi tu schnąc z tęsknoty za tym cholernym blondynem ze Wschodu.

Tego wieczoru rozpakowali prezenty. Trilby uszyła żółtą, koronkową, falbaniastą sukienkę dla Samantha - mała była nią zachwycona. Dla Thorna był jedwabny krawat w delikatny niebieskawy wzór, który również zrobiła własnoręcznie.

On z kolei dał swojej córce nową, kupioną w sklepie lalkę z jasnymi włosami, porcelanowy serwis do herbaty i grę w pchełki. Trilby obdarował pozytywką. Później siedzieli w salonie, a na choince paliły się świece. Kilku meksykańskich kowbojów przygrywało na

gitarach.

Była to prawie idylla, ale Trilby tęskniła za czasami, kiedy to Boże Narodzenie było takim radosnym i szczęśliwym wydarzeniem, a cała rodzina zbierała się wokół choinki. Było to jeszcze w Nowym Orleanie. W porównaniu z tym ich święta tutaj były smutne i samotne. Tego wieczoru zatelefonowała do rodziców i jej twarz rozjaśnił uśmiech, kiedy powiedzieli, że następnego dnia przyjadą ich odwiedzić. Przynajmniej przez chwilę nie będzie taka samotna.

Trilby wyszła życząc im dobrej nocy; zabrała ze sobą pozytywkę. Była okrągła i wykonana z drewna, w piękne zielono - złote wzory. W środku było miejsce na puder. Przekręciła kluczyk i z zachwytem słuchała wiedeńskiego walca, który pozytywka zagrała.

Odwróciła się, gdy rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

Thorn wszedł sztywno do pokoju, zatrzymując się tuż za progiem.

- Chciałem ci podziękować, że uczyniłaś te święta tak radosnymi dla Samantha - powiedział. - Od pewnego czasu niewiele na nią zwracano uwagi. Dzisiejszy wieczór sprawił jej radość.

- Mnie także - odparła spokojnie.

Jemu także, ale nie mógł tego przyznać, nie zdradzając swoich uczuć.

- Wyjeżdżam na kilka dni - rzucił z nagłą. - Nie da się tego uniknąć. Muszę pojechać do Meksyku i dopilnować pewnych spraw dotyczących moich tamtejszych posiadłości. Zatrzymanie hacjendy staje się zbyt niebezpieczne.

- Moi rodzice i Teddy przyjeżdżają jutro - powiedziała powoli. - Nie... możesz wyjechać trochę później?

- Nie ma sensu - odparł krótko, myśląc o tym, jak trudno by mu było patrzeć, jak Trilby śmieje się i weseli ze swoją rodziną, kiedy w jego domu sprawia wrażenie więźnia.

Oczy jej posmutniały; wbiła wzrok w podłogę.

Rozwścieczył go jej spokój.

- Jesteś tak cholernie dobrze ułożona, Trilby! - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Chociaż raz chciałbym zobaczyć, jak warczysz i plujesz.

- Zostałam tak wychowana, by właściwie się zachowywać - powiedziała.

- Tak, tak samo jak ten anemiczny miastowy chłopak, którego kochasz - odparł zimno. - Bóg jeden wie, co w sobie widzieliście. Oboje jesteście tak dobrze ułożeni, że prawdopodobnie nie zdołalibyście nawet uprawiać miłości. Gasilibyście światło i rozbierali się po omacku w ciemności, tak by nie wprawiać się nawzajem w zażenowanie.

- Przynajmniej nie jest dzikusiem! - krzyknęła.

Zesztywniał słysząc ten zarzut.

- W pewnych sytuacjach to ci nie przeszkadzało - rzucił brutalnie. - Właściwie nawet bardzo ci się to podobało!

Upokorzona złapała pozytywkę i z wściekłością rzuciła w niego. Pozytywka uderzyła w ścianę, upadła z hałasem na podłogę i rozbiła się. Wielkie, przerażone oczy Trilby patrzyły na niego z białej jak płótno twarzy.

- Jak śmiesz mnie tak traktować? - zapytała zdławionym głosem. - Jak jakąś zwykłą ladacznicę!

- Boże, jakbym chciał, żebyś taka była! - krzyknął. - Ladacznica ma przynajmniej tę zaletę, że jest uczciwa w tym, co czuje, myśli i robi. Jesteś taka sztywna, że żaden prawdziwy mężczyzna nie da rady się do ciebie zbliżyć.

Richard Bates był dokładnie w twoim stylu. Cholernie żałuję, że straciłem głowę i wymusiłem na tobie to małżeństwo. Żałuję tego bardziej, niż jesteś w stanie pojąć.

Spojrzał na roztrzaskaną pozytywkę, leżącą na podłodze.

Sam ją kupił, próbował znaleźć coś, co by się Trilby spodobało, coś, co należało do jej świata, jej stylu życia. I taki miała stosunek do prezentu, który jej dał. Był to dla niej śmieć. Nic więcej, tylko śmieć.

Kopnął gwałtownie pozytywkę, z wściekłością rzucił nią w ścianę i całkowicie ją zniszczył. I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Trilby podniosła rozbitą pozytywkę zimnymi, drżącymi rękami. I rozplakała się. Była to taka piękna rzecz, taki podarunek, że trudno jej było uwierzyć, że tak szorstki człowiek jak Thorn dał jej coś takiego. Ten podarunek świadczy! o wrażliwości ofiarodawcy i o przemyślanym wyborze, ale ona zniszczyła pozytywkę nieodwracalnie.

Dopiero gdy zobaczyła ją na podłodze, zdała sobie sprawę ze staranności, z jaką Thorn wybrał dla niej prezent.

Teraz to wiedziała i gorzko żałowała sprzeczki, która powiększyła dzielący ich dystans. Wyglądało na to, że nigdy nie zdołają go pokonać.

Rodzice i Teddy przyjechali następnego dnia i ich odwiedziny sprawiły Trilby wielką radość. Jednak Thorn wyjechał przed świtem, nie mówiąc ani słowa. Pomimo przyjemności, jaką sprawiała jej obecność rodziny, brakowało jej Thorna i było to widoczne.

- Wkrótce wróci, kochanie - powiedziała Mary Lang z uśmiechem, nieświadoma sytuacji, w jakiej znajduje się córka. - Czy jesteś szczęśliwa?

- Oczywiście - powiedziała Trilby, odwzajemniając uśmiech. - Chodź. Napijmy się kawy, a ja przeczytam ci ostatni list Sissy.

Thorn wrócił jeszcze bardziej milczący, niż kiedy wyjeżdżał. Trilby przeprosiła go za pozytywkę, ale on zdawał się jej nie słyszeć, a później zaczął jej wyraźnie unikać.

Trilby oplakiwała swoje marzenia o szczęśliwym pożyciu małżeńskim. Często próbowała zdobyć się na odwagę, by pójść do niego i wyjaśnić mu, co naprawdę czuje, zawsze jednak coś ją powstrzymywało. Minął Nowy Rok i nagle nastąpiła zima, ze śniegiem i mrozem.

Walki w Meksyku nadal były zażarte i jeszcze więcej oddziałów rzucono na pogranicze. Dwa dni przed Bożym Narodzeniem powstańcy przechwycili pociąg w pobliżu miasta Juarez i wyrzucili z niego pasażerów. Wysadzono mosty, pod szyny podłożono dynamit, a rebelianci uniemożliwiali naprawę. W Guzman porwano lokomotywę i wagon. Przywódca powstańców, Pascual Orozco, uprowadził pociąg w Chihuahua i oznajmił, że w tej akcji zginęło stu pięćdziesięciu powstańców.

Na początku lutego wysłano do San Bernardino mały oddział, by strzegł granicy, gdyż krążyły pogłoski, że Orozco zaatakuje Juarez. Było teraz trzech przywódców rebeliantów, wszyscy dobrze znani w okolicach Douglas. Byli to Barcamento, Cabral i najlepiej znany w okolicy niejaki Arturo „Rudy” Lopez, który doskonale mówił po angielsku i często bywał tłumaczem. Pułkownik Jose Blanco był prawą ręką dowódcy sił rewolucyjnych w Chihuahua. Między nim a Orozco doszło do rozłamu i teraz najgłośniej mówiło się właśnie o nim jako o przywódcy wszystkich frakcji.

Krążyły pogłoski, że kilku Amerykanów walczy wraz z rebeliantami pod dowództwem Lopeza, a Thorn był pewien, że jednym z tych ludzi jest Naki, który przecież tak nagle znikł tuż po wyjeździe Sissy. Trilby miała nadzieję, że Thorn się myli. Gdyby Nakiemu coś się stało, Sissy by tego nie przeżyła.

Starali się nie oddalać od domu, ponieważ incydenty, do jakich w tych czasach dochodziło na granicy, były coraz bardziej przerażające, a dwudziestu tysiącom żołnierzy rozkazano patrolować całą meksykańską granicę, od Teksasu do Arizony i oceanów po obu krańcach. Był to największy zakrojony na taką skalę ruch wojska i okrętów wojennych Stanów Zjednoczonych w czasie pokoju. Głośno już mówiono o wojnie z Meksykiem, chociaż prezydent Taft zapewnił niedomagającego prezydenta Diaza, że te pogłoski są bezpodstawne. Mimo publicznego oświadczenia, że wojska Stanów Zjednoczonych przeprowadzają na granicy „manewry”, zarówno ranczerzy jak i mieszkańcy miast trzymali pod ręką załadowaną broń i modlili się. Coraz więcej ludzi chodziło do kościoła.

W marcu dotarły do nich dalsze wiadomości o konflikcie. Trilby i Samantha zajęły się

szyciem i sprzątaniem, Thorn zaś martwił się uprowadzaniem bydła, rachunkami, a także pomagał swoim ludziom naprawiać budynki gospodarcze; wszyscy przygotowywali się do wiosennych siewów i cielienia się bydła.

Sprzedał już swoje posiadłości w Meksyku. Jednakże sytuacja nagle bardzo się zaogniła, gdy siły powstańcze pod dowództwem „Rudego” Lopeza pojawiły się na przedmieściach Agua Prieta opodal Douglas. Rebelianci wycofali się, a prawie równocześnie dotarły wieści, że Madero został ranny w walkach w Chihuahua. Diaz ustanowił karę śmierci dla działających bezprawnie rebeliantów w Meksyku, w ostatniej próbie stłumienia rebelii.

Gazety donosiły, że w Casas Grandes schwytano piętnastu Amerykanów i obawiano się, że zostali rozstrzelani w odwecie za groźbę Diaza o uśmiercaniu wszystkich powstańców. Thorn zaklął, kiedy przeczytał tę wiadomość, i natychmiast zatelefonował do tyłu wpływowych ludzi w Waszyngtonie, ilu znał - a było ich sporo - by się czegoś w tej sprawie dowiedzieć. Prezydent Taft poprosił Madero, by sprawdził, jaki los spotkał jeńców, ale do tej pory nadal nie była znana ich tożsamość.

McCullum zatelefonował do Thorny po nieudanym ataku na Agua Prieta, a Thorn nakłonił go, by odłożył przyjazd do kwietnia, kiedy może już będzie bezpieczniej. Trilby była lekko rozczarowana, gdyż miała nadzieję, że Sissy przyjedzie z grupą studentów, i że te odwiedziny uprzyjemnią jej trochę życie. W stosunku do niej Thorn był na zmianę wrogi i sarkastyczny. Prawie wcale ze sobą nie rozmawiali i trzymali się od siebie na dystans.

Trilby wpadła w smutną, milczącą rutynę; z jej oczu zniknęły iskiereki radości. Dawno już stwierdziła, że nie jest w ciąży. Była rozczarowana, ale wiedziała, że tak będzie lepiej. Wziąwszy pod uwagę jej stosunki z Thornem, dziecko tylko by na tym ucierpiało. Thorn nie powiedział ani słowa, kiedy go o tym poinformowała. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu i jeśli miała nadzieję, że w jakiś sposób zareaguje, to się rozczarowała. Teraz już prawie się do niej nie odzywał, chyba że musiał.

Tymczasem zdobywała coraz większe zaufanie Samanthy. Dziewczynka była bardzo bystra, a nauka sprawiała jej przyjemność. Kiedy zrobiło się ciepłej i nie było wiatru, siadywały na huśtawce na balkonie i tam przerabiały lekcje.

W pewien sposób był to dla Trilby najszczęśliwszy okres w życiu. Prowadziła dom i miała Samanthę do towarzystwa. Czasami potrafiła nawet zapomnieć, że leżała w silnych ramionach Thorny i drżała od jego pocałunków i pieszczot. Teraz wcale na nią nie patrzył. Kiedy miał więcej pracy, jadł i spał w budynkach folwarcznych. Trzeba było spędzać bydło, cechować i bacznie pilnować przed złodziejami.

W zimie niewiele było napadów. Kiedy jednak wiosna zaczęła zielenić drzewa paloverde i

trawę, i kiedy się ociepliło, wzrosła liczba ataków na bydło.

Jednostki wojskowe stacjonujące w Douglas patrolowały granicę i dochodziło do licznych incydentów. Pułkownik David Morris bacznie obserwował sytuację, gotów wesprzeć ponownie oddziały z Douglas, gdyby zaistniała taka konieczność.

Lisa Morris otrzymała rozwód i doktor Powell odwiedzał ją teraz regularnie. Nie było w tym ani cienia niewłaściwego zachowania. Nigdy nie widywała się z nim sam na sam, ale dobrze wiedziała, co doktor do niej czuje, a radość, jaką sprawiało jej jego towarzystwo, dla pani Moye była oczywista.

- Mój rozwód jest prawomocny - powiedziała doktorowi Powellowi. Ostatnio zachowywała się w stosunku do niego bardzo sztywno. To dziwne, zważywszy, że łączyły ją z nim bardziej intymne przeżycia niż kiedykolwiek z mężem.

- Tak, wiem. - Rozparł się na krześle i spojrzał jej w oczy. - Twój mąż podobno planuje poślubić tę kobietę z Douglas. Przynajmniej tak się mówi w forcie.

- Mam nadzieję, że będzie z nią szczęśliwy - oznajmiła spokojnie.

- Czy kiedykolwiek kontaktował się z tobą?

- Przez swojego prawnika - odparła. - Tylko po to, żeby mnie powiadomić, iż zamierza pokryć wszelkie koszty. Uważam, że to miłe z jego strony.

- Zważywszy na ból, jaki ci sprawił, był to jego obowiązek.

Zauważyła gniew w jego głosie i zrobiło jej się ciepło.

Nigdy nie powiedział nic na temat przyszłości. Sądziła, że się waha; nadal był bardzo małomówny, nawet wówczas, gdy celowo i śmiało podkreśliła swój świeży status kobiety wolnej.

- Wiesz, że byłem żonaty - powiedział. - A także to, że moja żona i syn zostali zabici przez Apaczów.

- Tak.

Odwrócił wzrok i przez chwilę obracał w rękach kapelusz. - Od tamtego czasu byłem martwy w środku. Nie chciałem się z nikim... związać.

Mocno ścisnęła złożone dłonie. Serce w niej zamarło.

Musiała całkowicie błędnie odczytać jego intencje.

- Oczywiście - powiedziała bezbarwnym głosem; czuła się zraniona.

Uniósł głowę i popatrzył na nią wzrokiem, który przywodził na myśl uderzenie pioruna.

- Ale teraz chcę - powiedział tym samym tonem. - Bardzo chcę.

Zarumieniała się - w jego głosie było tyle uczucia. Patrzyła na niego wielkimi oczami. Zapadła głucha cisza.

Wstał trochę niezdarnie.

- Można to było lepiej powiedzieć. Nie mam dobrych manier. Proszę o wybaczenie.

Ona także wstała.

- Nie szkodzi - odparła patrząc na niego jasnymi, szczęśliwymi oczyma. - Jestem... zachwycona... że ty... że ty...

Podszedł bliżej, uważając na otwarte drzwi i znajdującą się gdzieś za nimi panią Moye. Tutaj zawsze przestrzegano zasad obyczajności.

- Och, Liso! - szepnęła, a w jego oczach pojawiło się żarliwe uwielbienie. - Pragnę o wiele więcej, niż potrafię wyrazić w słowach. O wiele więcej!

Zabrakło jej tchu. Jej oczy promieniały z radości. Z wrażenia robiło jej się słabo.

Nerwowo gniótł rondo kapelusza i mamrotał coś pod nosem, starając się opanować; tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona i całować jej usta, aż staną się czerwone i nabrzmiałe.

- Muszę iść! - rzucił szorstko. - Muszę dołączyć do oddziału w Douglas. Wiesz, że mieliśmy tam trochę kłopotów. Musimy się teraz dobrze pilnować.

- Tak, wiem. Och, Todd, będziesz ostrożny? - szepnęła z troską.

To ciche pytanie sprawiło mu wielką radość. Nagle zaczął wyglądać, jakby nie mógł się opanować. Twarz mu poczerwieniała z hamowanego pożądania, nad którym starał się zapanować. Jego błękitne oczy tak intensywnie wpatrywały się w jej stanik, że poczuła, jak nabrzmiewają jej piersi; poprzez materiał sukni widać było sterczące brodawki. Doktor jęknął. Lisa zakryła piersi dłońmi. Doktor podszedł bliżej, ujął jej dłoń i łapczywie podniósł do ust.

- Tak. Będę ostrożny. To miłe, że... troszczysz się o mnie.

Do zobaczenia, pani Morris - powiedział nienaturalnie zdławionym głosem. Nie to chciał powiedzieć. Cholerne konwenanse!

Lisę także powstrzymywała świadomość, że za na w pół otwartymi drzwiami przebywa gospodyni.

- Do zobaczenia, kapitanie Powell - szepnęła nieszczęśliwa.

Obrzucił ją ostatnim, przeciągłym spojrzeniem i zmusił się, żeby ją opuścić. Wdowa Moye nie powiedziała ani słowa, ale spojrzenie, jakim obrzuciła wstrząśniętą Lisę, było bardzo wymowne.

Nadszedł kwiecień. Wydano nakaz aresztowania „Rudego” Lopeza za domniemane zabójstwo, po tym, jak meksykański konsul oskarżył go o chuligańskie wybryki w Douglas. Jednakże miejscowi stróże prawa zaprzeczyli temu, jakoby Lopez był pijany czy zachowywał się nieobyczajnie, i nie aresztowali go. Teddy przeczytał to i uśmiechnął się. Dla jego chłopięcego umysłu Lopez był bohaterem; gorliwie czytał każde słowo na temat rebelianckiego przywódcy i przekazywał wszystko Trilby za każdym razem, gdy się z nią widział. To Teddy podzielił się z nią

wiadomością, że Lopez jest teraz znany jako „El Capitan” i staje się miejscową legendą. Thorn poznał tego człowieka, lecz rzadko coś mówił. Trilby niepokoiło to, że tak niewiele mówił na ten temat i zastanawiała się, ile naprawdę wiedział.

Studenci archeologii przyjechali w pierwszym tygodniu kwietnia. Była to wesoła, szczęśliwa grupa młodych mężczyzn. Aż do ostatniej chwili Trilby miała nadzieję, że Sissy z nimi przyjedzie, ale z pociągu w Douglas wysiadł tylko McCollum w towarzystwie kilku młodych mężczyzn.

- Chciałem, żeby panna Bates z nami przyjechała - powiedział McCollum na swój jowialny, bezceremonialny sposób. - Musiałem jednak poruszyć kwestię przyzwoitki i jej matka uważała, że podróż w towarzystwie tylu młodych, nieżonatych mężczyzn, jest niewłaściwa. Sama Sissy podporządkowała się tej decyzji - dodał na wypadek, gdyby Trilby nie zrozumiała, o co chodzi.

A więc Sissy nie chciała przyjechać. Prawdopodobnie wiedziała, że Naki nie ustąpi ani na cal, i robiła to, co uważała za najlepsze dla nich obojga. Trilby posmutniała.

Bardzo chciała zobaczyć się z przyjaciółką. Cudownie by było móc z kimś porozmawiać, zwłaszcza że między nią a Thornem panował taki chłód. Sissy nie wiedziała o nieobecności Nakiego ani o tym, że zaczęli podejrzewać, jaka jest tego przyczyna. Nie było, oczywiście, żadnego potwierdzenia, że znajduje się w Meksyku, ale wydawało się to bardzo realne.

- Mam dla pani listy od panny Bates i jej brata - powiedział McCollum, podając je z uśmiechem. - Przesyłają pani serdeczne pozdrowienia.

- Jak się wszyscy czują? - zapytała Trilby, nie mając nikogo szczególnego na myśli. Była aż nadto świadoma obecności ponurego Thorny stojącego tuż za Craigiem McCollumem.

- Mam wrażenie, że młody Ben ma zamiar wrócić tu i szukać szczęścia jako kowboj. - Roześmiał się. - A Richard... - zawahał się, rzucając spojrzenie na Thorny.

- W porządku. Powiedz jej - zachęcił go ponuro Thorny.

- On... cóż, przysłał Trilby list.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, rzucę na niego okiem - powiedział Thorny.

- Mam - wtrąciła się Trilby, patrząc na niego z wściekłością. - To mój list!

- Jesteś moją żoną - powiedział Thorny i jego oczy zabłysły groźnie. - Zabraniam ci otrzymywać miłosne listy od innych mężczyzn!

McCollum sprawiał wrażenie, jakby czuł się niezręcznie.

I tak właśnie było. Bates zmusił go do wzięcia tego listu, a tymczasem okazało się, jak bardzo Thorny jest zazdrosny o swoją młodą żonę.

- Muszę go znaleźć - powiedział Thornyowi. - Jest zapakowany.

- Wobec tego dasz mi go, kiedy dojedziemy do domu - powiedział Thorn. Z trudem starał zachować zimną krew; był naprawdę wściekły. Cholerny Richard!

Trilby nie była pewna, czy Richard powinien pisać do niej listy; przecież wiedział, że jest zamężna. Niepokoilo ją to prawie tak samo jak nieuzasadniony gniew Thorn'a.

Wyglądało to tak, jakby pragnęła otrzymać list od Richarda!

McCollum uśmiechnął się przepaszająco do Trilby.

- Jestem archeologiem, nie dyplomatą - powiedział. - Mam nadzieję, że nie sprawiłem pani problemów. - Miał ciemne oczy o bardzo długich rzęsach i szczupłą, wyrazistą twarz. Był równie wysoki jak Thorn, ale bardziej krępy.

- Nie, oczywiście że nie - powiedziała. - Bada pan starocie, prawda? - zapytała. - Tak jak szkielety dinozaurów?

McCollum jęknął.

- To paleontologia, nie archeologia.

- Jeśli będzie pani mówić takie rzeczy, wrzuci panią do jakiegoś szybu - powiedział lekko rozbawiony jeden z jego studentów. - Jak na człowieka nauki jest bardzo gwałtowny.

Nieprawdaż, profesorze McCollum?

- Jeśli chcesz u mnie zdać egzamin, Haskins, lepiej traktuj mnie z odpowiednim szacunkiem - powiedział żartobliwie McCollum. - Na kolana, człowieku, i błagaj o przebaczenie!

Trilby zaczęła się rozglądać ostentacyjnie, oceniając dłonią oczy.

- Czego pani szuka? - zapytał McCollum.

- Ludzi ze sznurami.

McCollum roześmiał się. Miał głęboki, miękki głos.

- Rozumiem. Ma pani poczucie humoru, pani Vance.

Bez wątpienia przydaje się pani, jeśli mieszka pani z Thornem.

Thorn obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Mam bardzo łagodne usposobienie.

McCollum skinął głową.

- Podobnie jak grzechotnik, którego głowę wsadzono do dołu ze smołą.

Trilby zaczęła się śmiać, aż trudno jej było przestać. Po chwili Thorn wymamrotał coś na temat konieczności doglądnięcia wyładowania bagażu.

- Poczekaj, pomogę ci w tym - rzucił McCollum i ruszył w ślad za nim.

- Nie jest taki szorstki, kiedy się go już pozna - powiedział Haskins, student.

- Poznałam go już przelotnie - odparła uprzejmie Trilby.

- Czy jest żonaty?

- Jest wdowcem - powiedział Haskins. - Ma mniej więcej dwunastoletniego syna, który przez większość czasu przebywa u jego siostry. Nie za dobrze się rozumieją.

- Lubi go pan? To znaczy doktora McColluma.

- Wszyscy go lubimy - odparł Haskins. - Bardzo dużo wie i pomimo swojego szorstkiego sposobu bycia jest bardzo miłym człowiekiem. - Ruchem ręki wskazał kilku innych dobrze ubranych młodych mężczyzn. - To pozostali członkowie grupy: Harry, Sid, Marty i Darren. Są bardzo fajni. Wie pani, my wszyscy już kończymy studia, nie jesteśmy z pierwszego roku. Dla większości z nas ta praktyka z archeologii jest tylko powtórką, a główny cel tej wyprawy to antropologiczne badania miejscowych Apaczów, szczególnie wykopaliska w dawnych ruinach Hohokamów.

Doktor McCollum powiedział, że kiedy skończymy ten kurs, całkowicie zawładnie nami antropologia i archeologia!

- Panie Haskins, ani trochę w to nie wątpię - powiedziała Trilby i uśmiechnęła się do niego.

Trilby miała nadzieję, że zanim dojadą do Los Santos, zobaczy, co napisał Richard. Okazało się to jednak niemożliwe, gdyż jechali z nimi samochodem studenci McColluma, a kilku innych w wynajętym samochodzie za nimi. Kiedy dotarli na ranczo, Thorn zażądał pokazaniu mu listu, jeszcze zanim zaprowadził swoich gości na kwatery.

McCollum bezgłośnie przeprosił Trilby, po czym wyjął list z walizy i niechętnie wręczył Thornowi. Wymamrotał coś o tym, że musi porozmawiać z Haskinsem, i zostawił ich sam na sam.

- To mój list - zaprotestowała Trilby.

Thorn popatrzył wprost na nią i otworzył go.

- A ty jesteś moja - odparł beznamietnie. - Dopóki jesteśmy małżeństwem, nie pozwolę na to, byś dostawała listy od innych mężczyzn.

List był pełen żalu i przeprosin. Richard napisał, że twarz Trilby, takiej, jaka była, kiedy wyjeżdżał, prześladowuje go do tej pory. Prosił, żeby do niego napisała; chciał wiedzieć, że u niej wszystko w porządku. Ma za męża dzikusa - podkreślił to słowo - więc może potrzebować ramienia, na którym mogłaby się wypłakać. Jego jest szerokie i może z niego skorzystać. Było mu szalenie przykro za to, jak ją traktował w czasie odwiedzin. Dodał, że teraz przewartościowuje swój styl życia. Jest przekonany, że popełnił straszny błąd, kiedy odwrócił się od Trilby.

Thornowi zrobiło się słabo. Pewną ręką podał Trilby list i spojrzał na nią zimnymi, martwymi oczami.

- Przesyła ci kondolencje z powodu ciężkiej sytuacji, w jakiej się znajdujesz - powiedział. - Świadomość, że poślubiłaś takiego dzikusa jak ja, bardzo mu ciąży na sercu.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju zostawiając Trilby samą; poszedł rozlokować studentów na kwaterach.

Obracała list w dłoniach, właściwie go nie widząc. Wyraz oczu Thorn'a sprawił, że miała ochotę płakać. Od bardzo dawna nie uważała go za dzikusa, ale on tego nie wiedział.

Nie umiała mu tego powiedzieć.

Później doktor McCollum zabrał swoich studentów samochodem na wykopaliska w pobliżu rancza. Znaleźli tam kawałki naczyń i kilka grotów strzał Indian z epoki lodowcowej, którzy polowali na włochate mamuty i mastodonty zamieszkujące Amerykę Północną pod koniec plejstocenu - prawie dwanaście tysięcy lat temu. Mieli zatrzymać się w rezerwacie Apaczów, by przeprowadzić pewne badania kulturowe.

Trilby siedziała i martwiła się o Thorna. Nie wiedział, co ona czuje, ale miała nadzieję, że mu na niej zależy.

Zawsze trzeba mieć nadzieję. Czasami jednak nadzieja wymagała wsparcia. Pozwoliła na to, by sprawy między nią a Thornem doszły do tego stadium, nie próbując się do niego zbliżyć. Uważała, że postępuje słusznie, dając mu czas, by doszedł do siebie po odkryciu zdrady Sally i Curta.

Może nie miała racji.

Jej rodzice razem z Teddym zawsze jeździli do miasta w sobotę. Kiedy Thorn wyszedł, zatelefonowała do nich i poprosiła, by wzięli ze sobą Samanthę i pomogli jej kupić materiał na nową sukienkę.

- Wybierz sobie coś ładnego, Samantho - powiedziała Trilby. - Najlepiej coś kolorowego i w kwiatki.

- Dobrze, Trilby - odparła dziewczynka i uśmiechnęła się. Ostatnio często się uśmiechała. Nawet przy ojcu stała się swobodniejsza, a jemu często udawało się znaleźć pod koniec dnia trochę czasu, by jej poczytać. Był to dla Trilby jedyny powód do dumy, że udało się jej zbliżyć do siebie ojca i córkę i stworzyć małej Samancie domową atmosferę.

- A ty nie będziesz się czuć samotna?

- Twój ojciec niedługo wróci do domu na obiad - odparła Trilby. - Upiekę dla niego placek.

- Najbardziej lubi czekoladowy - powiedziała Samantha z uśmiechem.

- Tak samo jak pewna dziewczynka - szepnęła Trilby.

Samantha roześmiała się. Kiedy odjeżdżała z Langami, pomachała jej ręką.

Trilby upiekła ciasto. Potem przebrała się w ładną jasnoniebieską sukienkę, przyozdobioną falbankami i koronkami, wyszczotkowała włosy i popermufowała się swoimi cennymi perfumami.

Thorn wrócił zmęczony. Przez cały ranek uczestniczył w spotkaniu z innymi ranczerami z pogranicza. W miejskim ubraniu wyglądał inaczej. Był niezwykle elegancki.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał, kiedy ujrzał Trilby siedzącą w salonie z robótką.

- Ależ nie - odparła z uśmiechem. - Miałbyś ochotę napić się czegoś?

- Chętnie napiłbym się mrożonej herbaty.

Odłożyła robótkę i poszła po herbatę, podczas gdy on, znużony, usiadł na kanapie. Był trochę zakurzony po jeździe powrotnej do domu i kiedy wróciła, otrzepywał się z pyłu.

- Dziękuję - powiedział zdawkowo. Wziął od niej szklankę mrożonej herbaty i jednym haustem wypił połowę. - Boże, jakie to dobre.

Trilby wzięła szczotkę i odkurzyła mu buty, tak że czarna skóra zalśniła jak lustro. Gdy skończyła, położyła dłoń na kolanie męża.

Zamarł pod wpływem jej dotyku. Nigdy go nie dotykała.

To zawsze on starał się do niej zbliżyć, dopóki nie zdał sobie sprawy, że przewyciężenie jej oporu to zbyt trudne zadanie. Od dawna nie mógł zdobyć się na odwagę, by jej dotknąć, nie ryzykując, że zostanie odepchnięty.

- Chciałabym cię o coś zapytać - powiedziała, patrząc na niego spokojnie.

- Czego chcesz? Rozvodu? - zapytał z kpiącym uśmiechem, próbując ukryć nagły chód, który przeszył jego ciało.

Odwróciła wzrok.

- Nie. Nie tego.

Powoli się odprężył.

- Czego więc?

Zawahała się.

- Możesz... odmówić.

Odłożył szklankę i przyciągnął Trilby blisko do siebie, unosząc jej twarz do swoich spokojnych, ciemnych oczu.

- Czego chcesz, Trilby?

Jej delikatne wargi rozwarły się w nerwowym westchnieniu. Z nadzieją wpatrywała się w jego oczy.

- Thorn, chciałabym mieć dziecko.

Nie zareagował. W jego twarzy nie poruszył się ani jeden mięsień.

- Co powiedziałaś? - zapytał. Ton jego głosu był głęboki i wyważony, ale zabrzmiała w nim dziwna nuta.

- Chcę mieć dziecko - rzuciła odważnie. Jej twarz pokrył rumieniec, ale nie odwróciła wzroku.

Wypuścił powstrzymywany oddech. Jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach.

- Znam tylko... tylko jeden sposób, by ci je dać - powiedział z wahaniem.

Skinęła głową.

- Czy ta nagła decyzja ma coś wspólnego z listem Batesa? - zapytał z zimną groźbą.

- Nie, chociaż przypuszczam, że ty będziesz o tym przekonany - odparła z rezygnacją. - Richard to już przeszłość.

Jestem twoją żoną i nie uznaję rozwodów.

- I przypuszczasz, że dziecko naprawi stosunki między nami?

- A nie? - odparła, wpatrując się w jego twarz wielkimi, spokojnymi oczyma. - Och, Thorn, czy naprawdę nie chciałbyś mieć drugiego dziecka? Może tym razem syna?

Oddychał nierówno. Ofiarowywała mu niebo, ale nadal jej nie ufał. Nastąpiło to zbyt szybko po tym przeklętym liście.

- Dziecko... to wielka odpowiedzialność - zaczął.

- Tak. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. Pozwoliła, by jej wzrok skierował się na jego twarde usta i wpatrywała się w nie, aż zaczął poddawać się temu i odwrócił do niej twarz. - Czy nie lubisz mnie całować? - szepnęła i przyłgnęła do jego warg.

Z jego gardła wydarł się jęk. Wystarczyło zaledwie kilka sekund, by znalazł się na granicy szaleństwa. Przyciągnął ją do siebie i całował ją, całował, aż gorączka była zbyt wysoka, by ją ugasić jedynie pocałunkami. Od tak dawna odczuwał głód, że teraz prawie nie mógł złapać tchu.

Wstał i wziął ją na ręce. Przeniósł ją przez hall do swojej sypialni, zatrzasnął i zamykając drzwi na klucz.

Pokój znajdował się na tyłach domu i nawet za dnia był dość ciemny. Trilby tego nie zauważyła. Była równie rozgorączkowana jak Thorn, spragniona, nie mogła się doczekać, kiedy poczuje dotyk jego ciała. Zanim pozbył się ubrań, była jedną wielką niecierpliwością.

Opadli na narzutę, z żarem starając się przybliżyć do siebie jak najbardziej. Thorn nakrył jej ciało swoim i prawie natychmiast wszedł w nią, z tak nagłym pożądaniem, że nie było w stanie go powstrzymać.

Nie opuszczał jej ust, przez cały czas gdy w nią uderzał, ochryłym głosem jęcząc w jej usta o swej rozkoszy, unosząc dłońmi jej biodra i równocześnie napierając na słodką miękkość jej ciała.

Nie miała wstydu, nie miała zahamowań. Tym razem była taka jak on, tak samo dzika i zapamiętana, tak samo pożądająca spełnienia.

Kiedy nadeszło, krzyknęła wysokim, drżącym głosem i szlochała w gwałtownej ekstazie. Czowała i słyszała nad sobą Thorna poddającego się temu samemu konwulsyjnemu szaleństwu.

W końcu jego napięte mięśnie rozluźniły się i poczuła na sobie cały jego ciężar. Drżał, równie słaby jak ona, ale jego ramiona nadal były zaborcze.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu czuła coś choćby zbliżonego do tej gorączkowej potrzeby. Jej ramiona zacisnęły się na jego szyi, jej ciało znowu zaczęło się poruszać, nalegające, bezwiednie go poszukujące.

- Proszę - szepnęła ochryple. Pocałowała go żarliwie i gdy znowu zaczęła odczuwać głód, zadrżała. - Proszę, Thorn, proszę, proszę, jeszcze!

- Trilby, nie... mogę.

- Musisz - jęknęła i poszukała jego ust. Poruszała się pod nim rytmicznie, szybko, a jej biodra uderzały o niego zmysłowo, dokonując małego cudu.

Głośno wciągnął oddech, kiedy jego ciało zareagowało na jej ruchy gwałtownym podnieceniem.

- Tak - szepnęła wyginając się, by przyjąć go w pełne, ' głębokie posiadanie. Jęknęła, gdy poczuła jego gwałtowne wtargnięcie. Spojrzała mu prosto w oczy, namiętnie i sennie. Przesunęła dłońmi po jego płaskim brzuchu i dotknęła go, patrząc, jak jego twarz czerwienieje z pożądania.

- Zrób mi dziecko - powiedziała zdławionym głosem. - Thorn!

Krzyknął, kiedy te słowa dotarły do jego mózgu, jego ciała, do samej jego duszy. Przetaczał się wraz z nią, próbując nakryć jej usta, gdy jego ciało zaczęło się poruszać w rytm jej ciała. Przetaczali się z jednego końca łóżka na drugi, dotykając w sposób, w jaki nigdy przedtem tego nie robili, szepcząc sobie nawzajem ochryple słowa namiętności, badając się dłońmi coraz śmielszymi, coraz bardziej zaborczymi i wymagającymi.

Zabrało to sporo czasu, a kiedy osiągnęli spełnienie, w cichym pokoju załamujący się okrzyk Thorny był echem krzyku Trilby, triumfującym głosem zwycięstwa nad samą świadomością.

Nie odpowiedział mi - powiedział dużo później, kiedy się uspokoił. - Czy zrobiłaś to z powodu listu Batesa?

- Zrobiłam to, ponieważ chcę mieć z tobą dziecko - szepnęła. Odwróciła się, pochylając się nad nim. Opuchniętymi ustami musnęła jego wargi. - Nigdy przedtem tak się ze mną nie kochałeś. Nawet w naszą noc poślubną. - Jej twarz wyrażała skrywaną troskę. - Thorn... nie myślałeś o Sally?

Mógł skłamać, ale nie śmiał. Nie teraz.

- Nie - odparł. - Nie myślałem o niczym, tylko o tobie i rozkoszy, jaką mi dajesz.

Odprężyła się przy jego chłodnym, muskularnym ciele, nie dbając o to, że jego wzrok spoczywa na jej nagich, nabrzmiałych piersiach, wąskiej talii i rozłożystych biodrach.

Ona także patrzyła, odkrywając jego męskość, potęgę i siłę.

- W jasny dzień - westchnął z rozbawieniem.

- Patrzyłeś na mnie - powiedziała niskim głosem.

Spowaźniał.

- Lubię na ciebie patrzeć. Twoje oczy stają się czarne, kiedy osiągasz szczyt. Czarne jak diamenty.

Zarumieniła się na wspomnienie tej bliskości. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej

kobietą.

- Czy chcesz od tej pory spać w moim łóżku, jak porządna żona? - zapytał. - Czy też prokreacja jest jedynym celem, jaki miałas na uwadze dzisiejszego popołudnia?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Nie, nie był to mój jedyny cel. Chciałabym spać z tobą w nocy, Thorn.

Podziękował Bogu za cuda, ale nie zdradził radości, jaką mu sprawiła. W przeszłości jego duma sporo przez nią ucierpiała. Tym razem nie zamierzał pokazywać żonie swoich kart.

- Ja też bym tego chciał - powiedział.

Odsunął się od niej i wstał; odwrócony do niej plecami, szukał naprędce rozrzuconego ubrania, które szybko na siebie włożył.

Ona nie spieszyła się, by się podnieść. Leżała rozleniwiona i zadowolona, patrząc, jak się ubiera; jej włosy rozsypały się na poduszce wokół głowy niczym aureola.

Dopiero kiedy się ubrał, zauważył, że ona tego nie zrobiła. Odwrócił się i spojrzał na jej różowe ciało, niedbale rozciągnięte na łóżku. Omiatając ją wzrokiem uśmiechnął się powoli, z bolesną rozkoszą.

- Ponieważ tak bardzo podoba się pani moim oczom, pani Vance, byłoby roztropniejsze, gdyby się pani ubrała.

Słyszę odgłos samochodów, co - jak mi się wydaje - oznacza, iż wracają nasi goście.

- Już! - Usiadła. - Przecież dopiero co wyjechali...

- Kilka godzin temu.

Zarumieniła się na myśl, jak wiele czasu spędziła w ramionach swojego męża.

- Och.

- Wyjdę im naprzeciw. - Podał żonie ubranie. Jego ciemne oczy spojrzały na jej twarz i ciało. - Chcę mieć z tobą dziecko, Trilby - powiedział dziwnie aksamitnym głosem. - Nie jestem w stanie wyobrazić sobie niczego, co by mi sprawiło większą przyjemność.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie. Niechętnie uniósł głowę; jego oczy znów były poważne, a twarz ponura.

- Żałuję, że nie jestem większym dżentelmenem, a mniejszym dzikusiem - powiedział cicho. - Być może wówczas byłabyś tu szczęśliwsza.

- Thorn, ja nie... - zaprotestowała.

Jednakże w ciszę wdarły się głosy ludzkie i odgłos wyłączania silnika, Thorn ruszył więc w stronę drzwi, nie chcąc narazić Trilby na niezręczną sytuację.

- Ubierz się szybko - rzucił jej przez ramię. - Ja wyjdę im naprzeciw.

Trilby ubrała się pospiesznie i pościeliła łóżko, rumieniąc się przy tym. Zaledwie

skończyła i wyszła z pokoju, nadszedł McCollum. Wydawał się znękany i ponury.

- O co chodzi? - zapytała, wyczuwając nieszczęście.

- Mam niedobre wiadomości. Zatrzymaliśmy się w rezerwacie - odparł spokojnie. - Wygląda na to, że pogłoski były prawdziwe. Przyjaciel Thorna, Naki, pojechał do Meksyku i przystał do rebeliantów.

Trilby wyprostowała się. Nikt z nich nie miał od miesiący żadnych wieści o Nakim, z wyjątkiem Jorgego, który raz wspomniał coś o tym, że Naki przyłączył się do Lopeza.

Trilby nie napisała o tym do Sissy - po prostu nie była w stanie jej o tym powiadomić.

- Słyszeliśmy, że jest w Meksyku - powiedziała wolno.

- Przykro mi, że przynoszę takie wieści. Teraz jest tam bardzo niebezpiecznie.

Tak w istocie było. Jeśli pogłoski były prawdziwe, rozstrzelano kilku rebeliantów, w tym również Amerykanów.

Trilby nie mogła znieść myśli, że wśród nich mógł być Naki.

Zmieniła kłopotliwy temat.

- A pominąwszy to, jak wam poszły badania?

To pytanie wprowadziło McColluma w dobry nastrój. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż rozmowa o własnej pracy. Zaczął się nad tym rozwodzić z wszelkimi szczegółami. Wkrótce potem przyłączył się do nich Thorn, i na jego twarzy nie pojawił się ani ślad zazdrości, że zastaje ich razem.

Następnych kilka dni było fascynujących dla studentów McColluma, którzy dzielili czas między badanie wczesnych indiańskich osad a zdobywanie wiedzy z pierwszej ręki o codziennym życiu Apaczów. Jednakże Thorn zalecał ostrożność, ponieważ donoszono, że w Meksyku doszło do zażartych walk, a małe miasteczka prawie z dnia na dzień przechodziły w ręce to *federales*, to rebeliantów. Dochodziły słuchy o coraz częstszych wysadzeniach torów i mostów. Na dodatek Ministerstwo Wojny złożyło we Francji zamówienie na natychmiastowe dostarczenie dwudziestu milionów pocisków Mausera.

McCollum ocenił sytuację jako poważną i kiedy pojechali do rezerwatu, pozwolił, by Thorn wraz z kilkoma kowbojami towarzyszył mu jako eskorta. Czekali na wzgórzach, aż McCollum i jego studenci skończą pracę.

- To fascynujący ludzie - powiedział pod nosem Haskins do McColluma, kiedy spożywali z wodzem plemienia posiłek składający się z mięsa, fasoli i tortilli.

- Istotnie - zgodził się z nim McCollum, spoglądając na pozostałych, równie zauroczonych studentów. - Nie tego się pan spodziewał, panie Greensboro, prawda? - zapytał wysokiego, ciemnego mężczyznę.

- Zupełnie nie tego - odparł Greensboro. - Zetknąłem się z grupą ludzi z epoki kamienia łupanego. Okazało się, że nie są tymi głupimi dzikusami, których spodziewałem się znaleźć. Mimo wiary w magię i przesady, to inteligentny i dumny lud.

- Kiedy się przyjrzeć z bliska, większość plemion jest taka. Może ich obyczaje różnią się od naszych, ale wiele moglibyśmy się od nich nauczyć na temat tego, jak przeżyć w jednej z najsurowszych okolic na ziemi.

- Dlaczego mit o ich ignorancji jest stale żywy? Łatwo można stwierdzić, że tu, na Zachodzie, wiele jest jeszcze przesądów - zauważył Haskins.

- Rzeczywiście. - McCollum beknął, by pokazać gospodarzowi, że posiłek mu smakował; pozostali zrozumieli, o co chodzi, i podążyli za jego przykładem. Po czym, poprosiwszy o pozwolenie, zapalił fajkę. - Wiesz, Haskins, trudno się spodziewać, by całe wieki uprzedzeń zniknęły tylko dlatego, że weszliśmy w dwudziesty wiek. Obawiam się, że będziemy musieli z tym żyć jeszcze przez wiele lat, zanim cywilizowani ludzie staną się na tyle oświeceni, że zaczną akceptować i szanować inne kultury.

- My to robimy - wskazał Greensboro.

- Oczywiście, ale my w końcu jesteśmy inteligentni - uśmiechnął się McCollum. - Niech pan beknie jeszcze raz, panie Greensboro. Martwi pan naszego gospodarza. Myśli, że jedzenie panu nie smakuje.

- Och, przepraszam. - Greensboro beknął bardzo głośno.

- W leśnych ostępach na Wschodzie bekanie po posiłku także uważa się za przejaw dobrych manier - powiedział McCollum, kiedy dostrzegł niepewność na twarzach swoich studentów. - I chcę wam przypomnieć, iż mimo wyrafinowanych manier, jakie obowiązują na Wschodzie w salonie podczas podwieczorku, wśród rodzin z elity nadal praktykowany jest niewiarygodny zwyczaj ubierania małych chłopców jak dziewczynki.

- Ale przecież w niektórych indiańskich plemionach mężczyźni ubierają się jak kobiety - przerwał mu Greensboro. - Nazywają ich *berdache*.

- Bardzo dobrze, panie Greensboro! Jak widać słucha pan od czasu do czasu moich wykładów.

Student zaczerwienił się.

- Oczywiście, panie profesorze!

- Co to jest wykład? - zapytał uprzejmie zastępca wodza, który do tej pory milczał.

- W ten sposób nauczamy w college'u - wyjaśnił mu McCollum. Powiedział mu to w języku Apaczów. - Uczę zarówno antropologii, jak i archeologii. - To również mu wyjaśnił.

- Rozumiem - odparł starszy człowiek, kiedy McCollum skończył. Spojrzał na studentów.

- Czy młodzi ludzie mieszkają w namiotach jak my i uczą się, jak stać się mężczyzną, tak jak my uczymy naszych chłopców?

- To znaczy, jak obejść się bez wody na pustyni ssąc kamyki i jak pościć, by mieć wizję lub pozyskać ducha przewodnika? - zapytał McCollum. - Niezupełnie. Ci ludzie uczą się, jak cenić inne kultury i inne sposoby życia, a także tego, jak żyli dawni ludzie. Oni z kolei będą uczyć innych.

Wódz skinął głową.

- To dobrze. Dowiemy się o sobie nawzajem i będzie mniej - przerwał, szukając słowa - wrogości.

- Mamy taką nadzieję - odparł McCollum.

Wódz wyjął ceremonialną fajkę i kiedy ją nabijał, z błyskiem w oku spojrzał na McColluma.

- Czy wyjaśniłeś im ten zwyczaj?

McCollum zaniepokoił się. Wiedział, co ich czeka, ale byli przecież gośćmi wodza, a etykieta i zwyczaj nie pozwalały odmawiać przyjęcia fajki.

- Tak, wyjaśniłem - powiedział McCollum i popatrzył na swoich studentów takim wzrokiem, że nie ośmielili się zrobić żadnej lekceważącej uwagi.

- Niech się pan nie martwi, profesorze - powiedział Hoskins z błyskiem w oku. - Będziemy dzielni.

Kiedy to powiedział, wódz skończył nabijać fajkę. Z nabożną powagą skłonił się z nią na cztery strony świata.

Po zakończeniu tego rytuału, wręczył fajkę studentom, a każdy z nich pociągnął z niej haust. Następnie napili się powoli ze stojącego na środku pojemnika. Ohydny napój smakował jeszcze gorzej, niż wyglądał, jednak nie mogli odmówić. Tylko chwilę później wszyscy gwałtownie popędzili w stronę klapy, która zamykała wejście do namiotu; tak profesor, jak i studenci, zdążyli dotrzeć do krzaków w ostatniej chwili.

- Dobre lekarstwo - zachichotał wódz, kiedy i on pozbył się zawartości żołądka. - Oczyszcza.

McCollum, który wiedział aż za dobrze - studiując kulturę wschodnich Indian - o ohydny „czarny napój”, który towarzyszył każdemu spotkaniu z białymi, zgodził się niepewnie. W głowie mu wirowało i miał wrażenie, że w jego żołądku płonie piekielny ogień.

- Dobre lekarstwo - przytaknął.

Hoskins myślał, że umrze. Podano mu wodę i wypił ją łapczywie. Miał bladą twarz, ale nadal zachowywał się dzielnie.

- Gratulacje - powiedział McCollum pod nosem. - Teraz jest pan mężczyzną.

- Dziękuję bar...

Do gardła podeszły mu resztki zawartości żołądka.

Wódz był zachwycony wytrzymałością swoich gości.

Otworzył się teraz przed nimi, opowiadając szczegółowo o takich stronach życia Apaczów, o których nawet Naki nie mówił McCollumowi. Opowiedział im o różnych chorobach - niedźwiedziej chorobie, kojociej chorobie - i jak się je leczy. Powiedział o tym, że lęk wzbudzają sowy, ponieważ w chwili śmierci zamieszkują je dusze złych ludzi. Powiedział o zamawianiu choroby i o tym, jak rozpoznaje się czarownicę. Były to bardzo sekretne sprawy i mogli o nich usłyszeć dopiero wówczas, gdy obiecali, że zachowają tę wiedzę w tajemnicy. McCollum szanował obyczaje i cenił sobie zaufanie, jakim obdarzył ich gospodarz, toteż nalegał, by jego studenci zachowywali się tak samo.

- Mistycyzm to fascynująca sprawa - szepnęła Greensboro, kiedy chodzili po wiosce za starym wodzem.

- Niech pan nigdy nie zrobi tego błędu i nie krytykuje wierzeń ludzi o innych kulturach - poradził mu McCollum.

W najstarszych choroba i śmierć są uważane za zjawiska nienormalne, wywołane przez magię.

- Tak, wiem - powiedział pewnie Haskins. - Czytałem o kilku tragediach wywołanych złamaniem plemiennego tabu przez przybyszy z zewnątrz. - Opowiedział o masakrze w pewnym południowoamerykańskim kraju, wywołanym właśnie przez coś takiego.

- Takie rzeczy się zdarzają - przytaknął McCollum. - Mieszanie się do mistycyzmu może okazać się bardzo niebezpieczne.

- No, ale Apacze nie są tak wrogo nastawieni... ?

- Są bardzo przesądni - odparł McCollum. - Może by pana nie zabili, ale mógłby pan zniweczyć wszystkie moje tutejsze osiągnięcia. Niech pan nie naraża na szwank mojej pracy nieprzemyślanymi uwagami. Nie musi się pan zgadzać z ich obyczajami, wystarczy je szanować.

- Oczywiście, panie profesorze. Na pewno nie zrobię niczego obraźliwego.

- Bardzo dobrze panu idzie, Greensboro - dodał spokojniej McCollum. - Całkiem dobrze. Uważam, że ma pan zadatki na wspaniałego archeologa.

Słyszając tę pochwałę młody człowiek zaczerwienił się z radości i zakłopotania.

- Cóż, dziękuję, panie profesorze.

- Nigdy nie powiedział pan tego o mnie - odezwał się Haskins.

McCollum uniósł w górę swe gęste, jasne brwi.

- Czy ja wyglądam na głupiego, Haskins? Uzyskał pan u mnie znakomite oceny na wszystkich egzaminach, a dziekan powiada mi, że mogę utracić katedrę na pańską rzecz, jeszcze zanim pan skończy studia! Mój Boże, zachęta jest ostatnią rzeczą, jakiej pan potrzebuje.

Wszyscy się roześmiali, włącznie z Haskinsem.

Przy wieczornym posiłku Thorn i McCollum byli milczący, a Trilby zdała sobie sprawę, że to z powodu tego, czego się dzisiaj dowiedzieli o Nakim. Thorn poprosił Jorgego, by się rozpytał w Meksyku o zaginionego Apacza. Kiedy McCollum naciskał, Meksykanin niechętnie wyznał, czego dowiedział się od swoich kuzynów: chodziły słuchy, że Naki nie żyje.

Trilby nie wiedziała, jak to przekazać Sissy, kiedy będzie do niej pisała następnym razem. Ostatni list przyjaciółki przepełniały tęsknota i chęć dowiedzenia się czegoś o Nakim. Trilby zwlekała z odpowiedzią, mając nadzieję, że będzie miała do przekazania coś, co uspokoi Sissy. Wydawało się, że czekała nadaremnie.

Do Trilby dotarło, co przeżywa Sissy, kiedy zdała sobie sprawę, jak by się czuła, gdyby Thorn walczył w Meksyku i gdyby od miesięcy nie miała o nim żadnych wiadomości.

Zrobiło jej się słabo i musiała usiąść.

- Co się stało? - zapytał McCollum.

- Nic - odparła Trilby. Poczula jednak pustkę. Z całą mocą pojęła, co czuje do Thorn. Zawsze wiedziała, że jej na nim zależy, ale do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Stał się całym jej światem. Gdyby go straciła, czułaby się tak samo jak Sissy, kiedy dowie się o Nakim.

- Podać ci coś?

W drzwiach pojawił się Thorn; zmarszczył brwi, kiedy zobaczył siedzącą Trilby i pochylonego nad nią zmartwionego McColluma.

- Co się stało? - zapytał.

- Trilby zrobiło się trochę słabo, to wszystko. Zostawiam ją w twoich rękach.

Thorn ukląkł obok Trilby.

- Nic ci nie jest, kochanie? - zapytał łagodnie.

Spojrzała mu w oczy i jej przerażenie prawie zniknęło.

Powoli dotknęła jego twarzy, przesuwając dłoń od policzka do ust. Pod wpływem impulsu pochyliła się do przodu i delikatnie go pocałowała.

Zamruczał i gwałtownie się cofnął.

- Och... przepraszam - powiedziała nieśmiało, z pewnym zakłopotaniem. Opuściła rękę. - Nie chciałam...

On jednak uniósł jej dłoń i ponownie położył na swojej twarzy. Zaczął bawić się jej włosami i Trilby dostrzegła jego płonące, ciemne oczy, zanim gwałtownie przyciągnął jej twarz do swojej i namiętnie pocałował.

Jego szczupłe dłonie przesuwały się po jej plecach.

- Nie spodziewałem się tego - powiedział ciężko i dziwnie się zaśmiał. - Na ogół mnie nie dotykasz, Trilby.

Uniosła głowę i spojrzała w jego łagodne, spokojne, ciemne oczy.

- Mogłabym to robić... gdybyś tylko chciał.

Patrzył na nią z powagą.

- Bardzo bym chciał.

Wyciągnęła ręce i powoli, czule, przesunęła nimi po jego szczupłej twarzy.

- Jesteś bardzo przystojny - szepnęła. - I lubię, jak mnie całujesz.

Oddychał ciężko i nierówno.

- Ja także. - Jego oczy wpatrywały się w jej usta. - Bardzo chciałbym rozciągnąć cię na kuchennym stole i...

- Och, Thorn! - jęknęła.

Odgłos zbliżających się kroków przywołał ich do rozsądku. Odsunął ją dyskretnie od siebie i roześmiał się niepewnie.

- Zapierasz mi dech w piersiach.

- Bardzo mi miło - skomentowała to żartobliwie.

- Chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa? - jęknął.

Zatrzepotała rzęsami. Była - jak nigdy przedtem - świadoma swojej mocy i jego bezbronności.

- Wet za wet - szepnęła. - Z trudem stoję na nogach.

- Będziesz spała ze mną dziś w nocy?

Podniosła wzrok.

- Oczywiście.

Patrzyli na siebie rozgorączkowani. Wtem w drzwiach zatrzymał się McCollum.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał, wyczuwając dziwną atmosferę panującą w pokoju.

- Nic mi nie jest, naprawdę - powiedziała Trilby. - To tylko taki chwilowy zawrót głowy.

Miewam je od czasu do czasu. To nic poważnego.

- Jesteś pewna? - zapytał Thorn z niepokojem.

Uśmiechnęła się, patrząc w jego ciemne oczy.

- Och, tak, jestem pewna.

Trilby nie chciała, żeby McCollum powiedział Sissy o Nakim. Obiecał, że zachowa te informacje dla siebie.

- Tak mi przykro z powodu Nakiego - powiedział ze smutkiem.

- Mnie także - dodał Thorn.

- Jeszcze może się pojawić. Nigdy nic nie wiadomo - rzucił McCollum z uśmiechem. - On umie sobie radzić.

- Będzie musiał.

Thorn bawił się widelcem i wpatrywał w Trilby wzrokiem, w którym wkrótce pojawił się głód. Ostatniej nocy całował ją tak, że bolały go usta, ale nie ośmielił się na nic więcej po tym, jak kochali się namiętnie po południu. Tak więc przytulił ją do serca i, obejmując się nawzajem, w ten sposób spędzili noc. Od dzisiejszego ranka zapanowały między nim zupełnie nowe stosunki. Ona patrzyła na niego otwarcie ciepłym, tajemniczym wzrokiem, a spojrzenie, jakim on ją obrzucał, było mroczne i władcze. Kiedy objął ją ramieniem, nie cofnęła się. Przytuliła się do niego i położyła mu policzek na piersi. Z trudem oddychał, czując niewysłowioną rozkosz. Chociaż raz nie zastanawiał się nad motywami czy przyczynami. Odsunął widmo Richarda Batesa do zakamarków umysłu i postanowił żyć chwilą bieżącą.

Trzy dni później McCollum i jego studenci wsiedli do pociągu i odjechali. Wcześniej zamierzali zostać przez dwa tygodnie, lecz McColluma wezwano do domu. Thorn powiedział Trilby, że może dobrze się stało, ponieważ sytuacja w Agua Prieta ponownie się zaogniła i ataki rebeliantów przybrały na sile. Pociąg z Nacozari, który jechał z górniczych obozów w Sonorze, został zatrzymany we Fronteras przez „El Capitana” Lopeza. Rebelianci mieli rozkaz poprowadzić pociąg do Agua Prieta i użyć go do ataku, ale w pociągu znajdowały się kobiety i Amerykanie, a Lopez nie chciał ryzykować ich życia. Po tym incydencie kontrowersyjne notowania Lopeza u Thorną poszły o kilka punktów w górę.

Zaledwie Trilby, Samantha i Thorn wrócili do Los Santos, na horyzoncie pojawił się samotny jeździec, pędzący na złamanie karku w stronę domu.

Trilby zabrała Samanthę do środka. Thorn czekał na ganku na jeźdźca i jego sokoli wzrok określił już tożsamość gościa.

- Naki! - krzyknął, kiedy ten zsiadł z konia przy schodkach. - To naprawdę ty?

Zapytał o to, ponieważ mężczyzna, ubrany w konwencjonalny kowbojski strój z wysokimi butami, pasem na amunicję i ogromny meksykański kapelusz, wcale nie przypominał Nakięgo. Obciął nawet swe długie włosy. Kiedy zdjął kapelusz, wyglądał na jakiegoś wysoko urodzonego hiszpańskiego granda, o czym zdawała się również świadczyć arogancja jego ciemnych oczu i prostego nosa.

- Tak, to ja - powiedział Naki. Nie mógł złapać tchu. - Gdzie ona jest? Dowiedziałem się, że jest u ciebie McCollum z kilkoma studentami. Miałem nadzieję, że ona jest wśród nich. Jechałem przez całą noc, żeby się tu dostać...

Jest w domu?

Thorn wpatrywał się w niego, lekko przerażony.

- Nie ma jej tu.

Naki patrzył zdumiony.

- Powiedzieli mi...

- Nie przyjechała - odparł Thorn. - Tylko McCollum i kilku studentów. McCollum dowiedział się, że pojechałeś walczyć ze zwolennikami Madero i wszelki śluch po tobie zginął. Jorge powiedział mu, że prawdopodobnie zginąłeś w walce.

Naki zawahał się, a jego twarz przybrała ponury wyraz.

- Czy Alexandra to wie? Czy ktoś jej powiedział, że nie żyję?

- Nie, jeszcze nie - odparł Thorn. - Trilby błagała McColluma, by zachował to w tajemnicy.

Naki przesunął szczupłą dłonią po czole i wytarł pot.

- Zaangażowałem się w tę walkę. W jakimś sensie wydaje mi się, że to dla mnie druga szansa, by pomóc wyzwolić zniewolony naród. Wraz z ludźmi pułkownika Jose de Luz Blanco, głównie z „Rudym” Lopezem, napadam na *federales*. To piekło. Zostałem ranny w ramię i potrzebowałem kilku tygodni, by ponownie podnieść się na nogi, ale z pewnością nie umarłem.

- Dzięki Bogu - odparł Thorn.

Naki wzruszył ramionami, przesuając w palcach wodze.

- Może to i lepiej, że Alexandra nie przyjechała - powiedział bezbarwnym głosem. - Blanco powiedział, że po rewolucji będę zarządcą jednej z hacjend, a może nawet będę mógł sobie kupić własną. W Meksyku nie ma tylu przesądów, chyba że w stosunku do wysoko urodzonych Hiszpanów i białych. - Podniósł wzrok. - Dopóki nie mówię, że jestem Apaczem, nikt tego nie widzi.

Thorn spokojnie przyglądał się przyjacielowi.

- A jak sądzisz, jak długo zdołasz ukrywać swoją spuściznę, swoje pochodzenie?

Naki jęknął. Spojrzał w stronę horyzontu.

- Nie potrafię tego zrobić. Jestem dumny z tego, kim jestem. Nie próbuję tego ukryć, nawet w Meksyku, ale wśród rebeliantów tak niewiele jest przesądów. Każdy z nas jest kimś, kto nie odnalazł swego miejsca w społeczeństwie. Po rewolucji, jeśli zwyciężymy, moja rasa nie będzie mieć znaczenia. Nie w Meksyku. - Odwrócił się do Thorn. - Kocham ją!

Ból w jego głębokim głosie przeniknął do duszy Thorn. -

- Wiem - odparł z powagą. - Ale ona nie chciałaby, byś wyrzekł się swej spuścizny. Akceptuje cię takim, jaki jesteś.

Kocha cię takim, jaki jesteś.

Naki ponownie odwrócił się do niego.

- Thorn, nigdy nie potrafiłbym żyć na Wschodzie. A Sissy, mimo jej poglądów, życie w rezerwacie na pewno by zniszczyło. Jediną szansą jest Meksyk.

- W Meksyku szaleje rewolucja.

- Zauważyłem - powiedział sucho Apacz.

- Wejdz do środka i przynajmniej spędz z nami chwilę - zaprosił Thorn. - Może powiesz nam, co się dzieje? Jorge jest dla nas jedynym źródłem informacji na temat rewolucji.

Trilby, zachwycona, że przyjaciel Thorn'a żyje, położyła na stole jeszcze jedno nakrycie. Naki poinformował ich - ostatnich wydarzeniach.

- Tu, na północy, mamy sprawnego dowódcę w osobie pułkownika Blanco. Są też inni. Na przykład dzielny człowiek, Arturo Lopez, który dowodzi kontyngentem. Nazywają go „Rudy”. Teraz jestem w jego oddziale. - Potrząsnął głową. - Nie uwierzycie, jacy różnorodni ludzie są wśród nas. Widziałem Francuzów z Legii Cudzoziemskiej, Niemców, Holendrów i mnóstwo kowbojów z Arizony, Teksasu i Nowego Meksyku. Nawet kilku bubków ze Wschodu, a wśród nich studenta Harvardu. - Uśmiechnął się szeroko; na tle opalenizny jego zęby były olśniewająco białe. - - krąży plotka - konspiracyjnie pochylił się do przodu - że w walkach bierze udział jakiś Apacz.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Thorn.

- Kto by w to uwierzył? - zażartowała Trilby z uśmiechem. - Czy Madero zwycięży?

- Oczywiście że tak - odparł Naki. - Ale nawet wówczas nie sądzę, by się długo utrzymał przy władzy. Ma dobre serce, jednak do tego, by rządzić krajem, potrzeba dużo więcej. Potrzeba do tego bezwzględności.

Po kolacji Thorn zaprowadził swego przyjaciela do stajni, gdzie nakarmiono jego konia i napojono go, przygotowując go do powrotnej podróży.

- Jesteś pewny, że nie chcesz spędzić u nas nocy? - zapytał Thorn.

- Dałem słowo, że wrócę przed świtem - odparł Naki. - Kiedy Lopez jest nieobecny, zastępuję go jako tłumacz.

Ufam, że nic nie powiesz. Szykuje się wielka bitwa. Mądrze zrobicie, jeśli przez pewien czas nie będziecie się oddalać od rancza i zbliżać do Douglas. Nie mogę nic więcej powiedzieć; a ty musisz zachować w tajemnicy to, co ci powiedziałem.

- Oczywiście. Dziękuję. - Thorn nie naciskał go o dalsze informacje, chociaż bardzo chciał. - Co mamy powiedzieć Sissy, kiedy napisze?

Naki zawahał się. Skończył siodłać konia i ponownie sprawdził popręg.

- Nic jej nie mówcie - powiedział w końcu, z ponurą i zrezygnowaną twarzą. - Do czasu, aż rewolucja zwycięży lub poniesie klęskę, lepiej, żeby nic nie wiedziała.

Thorn zawahał się. Trilby powiedziała mu, że w ostatnim liście Sissy rozpaczliwie chciała się czegoś dowiedzieć.

Jeśli będzie myśleć, że Naki nie żyje, może zrobić coś nieprzemyślanego.

- Mam nadzieję, że McCollum potrafi trzymać usta na kłódkę, jeśli Sissy zapyta go o ciebie - powiedział ciężko Thorn. - Ma dobre intencje, ale kobiety wytrącają go z równowagi, szczególnie zdenerwowane kobiety. Co się stanie, jeśli powtórzy jej krążącą o tobie pogłoskę?

- Wiem, co myślisz - zauważył spokojnie Naki. - Nie doceniasz jednak Alexandry. Wiem, co czuje, ale jest zbyt silna, ma za mocny charakter, by odebrać sobie życie. Jeśli ktoś powie jej, że nie żyję, przetrzyma ten ból i będzie jeszcze silniejsza. Znam ją.

- A jeśli się mylisz? - zapytał Thorn. - Będziesz potrafił z tym żyć?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział spokojnie Naki. - Ja się jednak nie mylę. Jeśli w końcu uda mi się ułożyć sobie życie w Meksyku, sam jej o tym powiem i dam jej możliwość wyboru. Jeśli mi się nie uda, najlepiej się stanie, jeśli będzie sądzić, że nie żyję. Dla jej własnego dobra.

- Gdybym był na twoim miejscu, chyba nie potrafiłbym być taki szlachetny - odparł Thorn. - Mógłbym zabić dla Trilby albo umrzeć dla niej.

- Wiem. Powiedziałeś jej to?

Thorn zaśmiał się zimno.

- Nadal jest zakochana w tym facecie ze Wschodu.

Akceptuje mnie, ale nie władam jej sercem.

- Nie trać nadziei - poradził mu Naki. - Jego tu nie ma.

Ty jesteś.

- Wiem. To mój atut. - Uściśnął dłoń przyjaciela. - Nie daj sobie przestrzelić flaków.

- Nie śpij w nocy zbyt mocno. Może i musiałeś pozbyć się swych posiadłości w Meksyku, ale twoje bydło wciąż jest kuszące dla głodnych ludzi, z desperacją dążących do zwycięstwa w tej rewolucji. Miej oczy otwarte. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem o Douglas.

- Będę pamiętał. Dzięki.

- *De nada.*

- Postaraj się być z nami w kontakcie, przynajmniej przez krewnych Jorgego, dobrze?

Naki wskoczył na konia. Wyglądał na nim elegancko i prawie tak, jakby się na nim urodził.

- Zrobię, co będę mógł.

- *Adios*.

- *Vaya con Dios* - odparł cicho Naki. Zawrócił konia i odjechał - samotna sylwetka odcinająca się od nocnego nieba.

Ale dlaczego nie chce, byśmy napisali o tym Sissy? - zapytała Trilby błagalnym tonem. - Czy nie wie, że Sissy umrze, jeśli będzie sądzić, że on nie żyje?

- Wie. Dla jej własnego dobra nie chce wzbudzać jej nadziei, bo boi się, że nic z tego nie wyjdzie. Wiesz, Trilby, to nieprawdopodobne, co on chce zrobić - wyrzec się swej ojczyzny dla miłości do kobiety.

- Wyobraź sobie, że mężczyzna chce zrobić coś takiego dla zwykłej kobiety - powiedziała cicho, patrząc na niego spod rzęs.

Uśmiechnął się powoli. Samantha już spała. W domu panowała całkowita cisza, rozlegało się tylko niezwykle głośne tykanie szafkowego zegara w hallu.

- Pragnę cię - powiedział cicho.

Takie bezpośrednie słowa nadal wyprowadzały Trilby z równowagi i sprawiały, że rumieniła się jak panna młoda.

- Thorn!

- Wiem. Nie jestem całkiem cywilizowany, prawda? - zapytał, przysuwając się do niej. Zatrzymał się krok przed nią, tak blisko, że poczuła emanujący z jego ciała żar, zapach tytoniu i skóry. - Jestem zbyt szorstki i zbyt dziki dla takiej damy jak ty.

- Nie, nie jesteś - szepnęła i zadrżała. - Pragnę cię!

Oddychała ciężko. Spojrzała w jego zaszokowaną twarz oczami, które coraz bardziej gorzały od narastającej w niej namiętności. Jej ręce powędrowały do szyi; zaczęła rozpinąć suknię nie spuszczając wzroku z Thorny. Nie przestała, aż całkiem rozpięła sukienkę. A kiedy się przyglądał, zdjęła wszystko do pasa i stała z odsłoniętymi piersiami, oddychając tak ciężko, jakby biegła.

- Och, Trilby - szepnął z podziwem.

Wyciągnęła ręce i ujęła jego twarz w chłodne, nerwowe dłonie. Przyciągnęła ją łagodnie ku sobie.

- Moje kochanie - powiedział cicho, przesuwając dłonie wzdłuż jej ciała i przytulając ją do siebie. - Moje kochanie.

W jego głosie zabrzmiało coś więcej niż namiętność!

Poddała się ciepłemu, wilgotnemu dotykowi jego ust; badały jej delikatne piersi, sprawiając, że brodawki stały się twarde i wrażliwe.

Wziął ją na ręce, nie przestając ssać jej piersi. Szybko przeszedł do sypialni i zamknął

drzwi na klucz.

W ciemności zaniósł ją na łóżko, zaczął zdejmować z niej ubranie, ona jednak go powstrzymała.

- Nie chcesz mnie? - zapytał niepewnie.

- Zapal lampę - szepnęła. - Chcę... widzieć, jak mnie bierzesz.

Jęknął, szukając zapalek i o mało nie przewrócił lampy, pospiesznie próbując ją zapalić. Odwrócił się do niej, drżąc z podniecenia, pożerając wzrokiem jej ciało.

- Zaszokowałam cię? - szepnęła, opierając się na łokciach. - Czy jestem zbyt... zbyt bezpośrednia?

- Nie, nie jesteś - odparł ochryplym głosem.

Zbliżył się do niej, odnalazł jej wargi i po chwili całował je gorącymi ustami.

- Uwiedz mnie - szepnęła śmiało w jej ucho, kiedy jego dłonie starały się uporać z pozostałymi zapięciami jej sukni. - Trilby, bądź tak szczerą, jak chcesz. To mi sprawia rozkosz.

Jęknęła i dała upust swoim najśmielszym fantazjom, tonąc w jego męskości i własnej kobiecości. Dotykała go, szeptała do niego, wielbiła go tak, jak wcześniej potrafiła tylko we śnie. Pozwalał jej się dotykać, zachęcał ją do tego, a jego głos załamywał się, gdy mówił jej, co ma robić.

Kiedy przesunął się na nią, tak desperacko go pragnęła, że szlochała przy każdym jego głębokim pchnięciu, przywierając do niego i unosząc biodra na spotkanie z nim.

On jednak nie dał się popędzać. Każdy ruch był wykalkulowany, świadomy, każdy pocałunek czuły i delikatny, pełen uwielbienia. Nigdy przedtem tego ze sobą nie przeżyli. Głos mu się załamywał, kiedy szeptał, że to posiadanie jest najgłębsze, najbardziej znaczące, jakie z nią przeżył.

Mimo że słowa wprawiały ją w zakłopotanie, równocześnie ją podniecały. Szeptał, że chociaż jest w niej tak głęboko, pragnie jeszcze bliższego stopienia...

Krzyknęła, gdyż to, co mówił, i powolny ruch jego bioder wprawiały ją w ekstazę. Szlochała w jego twarde, gorące usta, aż zapadła w kilkusekundową utratę przytomności.

Kiedy otworzyła oczy, tuż przed sobą zobaczyła napiętą twarz Thorna. Przez cały czas ją obserwował, zachwycony doznawaną przez nią rozkoszą.

- Widziałeś to... ? - szepnęła bez tchu.

- Tak. A teraz ty to zobaczysz, Trilby - szepnęła, zaciskając szczęki, i zaczął się poruszać. - Patrz. Pozwalam ci patrzeć... Patrz, Trilby. Patrz... patrz... patrz na mnie!

Krzyknął, a ona faktycznie patrzyła, zafascynowana, kiedy mięśnie jego szyi naprężyły się, głowa odchyliła się w tył, a usta rozwarły w ochryplym krzyku ekstazy. Jego ciało zadrżało

tak gwałtownie, że zaparło jej dech. Po czym zaczął się odprężać, a jego ciało zaciążyło na niej, drżąc po zaznanym wysiłku.

- Och, Boże... - powiedziała niepewnie, tuląc go do siebie.

- Przy zapalonym świetle - mruknął wyczerpany. - Patrzyłaś na mnie, a ja na ciebie. Nigdy o tym nawet nie marzyłem.

- Ani ja. - Przyciągnęła go do siebie, protestując ostro, kiedy chciał się odsunąć. - Och, nie, proszę! - szepnęła błagalnie.

Uniósł głowę i spojrzał w jej zamglone oczy.

- To niemożliwe.

- Wiem - powiedziała cicho, badawczo wpatrując się w jego twarz. - Chcę tylko czuć cię... w ten sposób.

Uśmiechnął się z taką czułością, że zabolą ją serce, po czym jego dłonie dotknęły jej twarzy i zaczął ją całować z delikatnym zadziwieniem.

- To mnie pragnąłeś, prawda?

- Ja mógłbym cię zapytać o to samo - odparł, podnosząc głowę i patrząc na nią poważnie.

- Czy kiedy leżysz w moich ramionach, myślisz o mężczyźnie, którego utraciłaś?

- To nie byłoby możliwe, kiedy leżymy razem tak intymnie złączeni.

Poczuł, jak napięcie częściowo go opuszcza. Trochę niepewną dłonią przesunął po jej nabrzmiałych ustach.

- Masz moje nasienie głęboko w sobie - westchnął z nabożeństwem, patrząc, jak się rumieni.

- Tak - odparła, mimo swej nieśmiałości.

Pochylił się i jego usta otwarły się, delikatnie zgłębiając wnętrze jej ust. Poruszył się w niej i zaczął nabrzmiewać.

Wydała na wpół skowyt, na wpół westchnienie.

- Znowu cię pragnę - szepnął w jej otwarte usta. - A ty?

- Tak... tak! Thorn... proszę!

Uniósł się i spojrzał jej w oczy. Kiedy znowu w całym jego ciele zaczęła narastać rozkosz, pomyślał, że zobaczył tam wieczność...

Przez następne kilka dni życie było bardzo przyjemne.

Thorn starał się nie oddalać od Trilby, która była tak promienna i szczęśliwa, że wszyscy to zauważyli.

Jedyną rzeczą, która zakłóciła ich szczęście, był liścik od Sissy, w którym błagała o jakiegokolwiek wiadomości o Nakim. Jak widać udało się jej nakłonić McColluma do powiedzenia

jej o zniknięciu Nakiego i jego prawdopodobnej śmierci. Sissy była zdenerwowana i bardzo przygnębiona. Trilby chciała jej odpisać i powiedzieć prawdę.

Thorn jednak przekonał ją, że Naki tego nie chciał. Nie życzył sobie, by Sissy wiedziała, że żyje. Tak więc tylko napisała do przyjaciółki i prosiła ją, by nie porzucała nadziei. Nawet podczas pisania listu czuła przerażenie i ból Sissy. Była to jedyna chmura na niebie własnej, jasnej szczęśliwości rodzinnej. Do następnego ranka, kiedy ta radość przerodziła się w niepokój.

Ni gdy nie widziałem mojej dziewczynki tak promiennej - zauważył następnego dnia Jack Lang w czasie jednej ze swych rzadkich wizyt na ranczu. On i Thorn sprawdzali oznakowanie bydła, by się upewnić, że żadna sztuka z Blackwater Springs nie przeszła na posiadłość Los Santos. Było to męczące i zazwyczaj szarpiące nerwy - zwłaszcza Thorn. Ale tego ranka był jeszcze bardziej poirytowany i wybuchowy niż zazwyczaj. Prawie wcale się nie odzywał, a w jego oczach pojawił się niepokój.

- Naprawdę? - mruknął w odpowiedzi na uwagę Jacka i poczuł chłód. Trilby rzeczywiście wyglądała promiennie, ale tylko on wiedział, jaki może być tego powód, i właśnie dlatego czuł się tak okropnie.

- Czy jest jakiś szczególny powód tej radości, którą dostrzegłem w jej twarzy, gdy rano opuszczaliśmy ranczo?

- indagował delikatnie ojciec.

Thorn zacisnął szczęki.

- Jeśli pytasz, czy jest w ciąży - odparł krótko - to nie.

- Nie śmiałybym zapytać o to tak otwarcie - stwierdził sztywno Jack. - Mam nadzieję, że jest tak szczęśliwa, na jaką wygląda. Zaczynaliście dość burzliwie. Wiesz, Trilby musiała zmienić pewne dawne nastawienia. Została wychowana w bardzo eleganckim otoczeniu. Trudno jej było przyzwyczać się do życia tutaj. - Ruchem ręki wskazał na otaczający ich krajobraz.

- Wydaje mi się, że dobrze sobie radzi - odparł Thorn.

Nie wspominał o tym, że przeraziło go coś, co wydarzyło się dokładnie tego ranka. Ich bliskość była całkowita i prawie boleśnie słodka. Thorn nigdy nie zaznał takiego szczęścia. Ale nawet wówczas, gdy cieszył się swą żoną i radością, jaką mu sprawiała, zaczął rozmyślać nad przeszłością i nad tym, w jaki sposób nakłonił ją do małżeństwa. Nigdy nie mógł być pewien, czy jedynym powodem, dla którego go poślubiła i została z nim, nie była obyczajność.

W jego ramionach zachowywała się jak szalona, bez zahamowań, wręcz rozpustnie, ale nigdy nie mówiła o miłości. On także nie, choć kosztowało go to wiele wysiłku.

Nie ośmielił się jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, w obawie, że odda jej ostatnią broń, którą może użyć przeciw niemu, gdyby znowu zapanowały między nimi złe układy.

Teraz okazało się, że ma powód do podejrzeń. Bates do niej napisał. Zobaczył ten list dopiero dziś rano - przez nieuwagę musiała go zostawić na stoliku w hallu.

Richard Bates pisał o wielkiej zmianie, jaka nastąpiła w jego stylu życia. Nie podróżował już po Europie. Podjął pracę w miejscowym banku. Thorn jęknął w duchu, kiedy przypomniał sobie, co jeszcze napisał - słowa, które groziły, że jego własna dusza ulegnie zagładzie.

- Jesteś dzisiaj bardzo cichy - zauważył Jack.

- Napisał do niej. To znaczy, Bates. Podjął pracę w banku.

- Dick? Mój Boże, to cud.

Thorn beznamyślnie spojrział na Jacka Langa.

- Trilby kiedyś go kochała. Myślisz, że nadal go kocha?

Twarz Jacka pokryła się szkarłatem.

- Co za pytanie!

- Muszę to wiedzieć! - rzucił szorstko Thorn.

- Dlaczego jej o to nie zapytasz?

- Ponieważ nie chce ze mną rozmawiać - odparł ciężko.

- Przynajmniej o tym. Nie chce o nim mówić.

- Była nim zauroczona - powiedział Jack po chwili. - Nie jestem pewny, czy kiedykolwiek było coś więcej, naprawdę. Nie widzisz, że to szczenięca miłość?

- Uważam, że on nie wiedział, co do niej czuje, dopóki nie wyszła za mnie za mąż - powiedział Thorn. - Jeśli odkrył, że ją kocha, może zmienił swój styl życia po to, by dostrzegła w nim coś lepszego.

- Ale Trilby jest z tobą szczęśliwa.

- Może stara się robić dobrą minę do złej gry - upierał się Thorn. W głębi duszy doszedł nawet do wniosku, że jej namiętność jest wynikiem pragnienia posiadania dziecka.

Może uważała, że dziecko zapełni jej pustkę życia bez mężczyzny, którego naprawdę kocha.

- Musi cię kochać.

- Musi? Dlaczego? - zapytał Thorn, spoglądając na Jacka. - Myślałem o tym, żeby zaproponować jej rozwód - powiedział, szokując swego teścia tak, że nie mógł wydobyć głosu.

- Rozwód? Dlaczego?

- Jeśli miałyby być szczęśliwsza z Batesem, jak mogę ją zmuszać, żeby została ze mną? - zapytał z goryczą, nienawidząc wspomnienia o tym liście, nienawidząc słów, jakie w nim wyczytał. Trilby zostawiła go na stoliku w hallu, a on go znalazł i przeczytał. A potem włożył go do koperty tak, by nie dowiedziała się, że go widział, i wyszedł z domu, nie zamieniwszy z nią

ani słowa.

- Co było w tym liście, Thorn? - zapytał zmartwiony Jack.

Thorn złożył dłonie na łęku i z bolącym sercem wbił wzrok w przestrzeń.

- Napisał, że ma dobrą pracę i wspaniałe perspektywy.

Że zbyt późno zdał sobie sprawę, jak bardzo ją kocha. Chce, żeby mnie zostawiła i poślubiła jego. Píše, że we własnym środowisku będzie znacznie szczęśliwsza, bo nie będzie musiała cierpieć... z powodu takiego dzikusa jak ja.

Z pewnością się mylisz... - zaczął Jack.

- Nie, nie myślę się. Dwukrotnie przeczytałem list. Nie powiedziała mi o nim - dodał. To go najbardziej zraniło. - Wcale o nim nie wspomniała.

- Ale przecież nie zostawiłaby go na widoku, gdyby nie chciała, byś go zobaczył.

- Naprawdę? Może uważała, że to najdelikatniejszy sposób, by mi powiedzieć, że chce mnie opuścić.

To było możliwe. Jackowi zabrakło słów. Thorn był zdruzgotany, choć starał się mieć dzielną minę. Jackowi po raz pierwszy w życiu było go żal.

- Mogę z nią porozmawiać - zaproponował Jack.

- W jakim celu? Żeby jej powiedzieć, że rozwód jest nie do pomyślenia? Nie chcę kobiety, która mnie toleruje, ale marzy o innym mężczyźnie - odparł sztywno Thorn. - Muszę pozwolić jej odejść.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Wobec tego nie mów nic, zwłaszcza Trilby. Sami musimy się z tym uporać - powiedział spokojnie. - Zrobię, co ona zechce. Mam na względzie tylko jej szczęście.

Jack wbił w niego wzrok.

- Myślałem, że jej nie kochasz.

Thorn zaśmiał się.

- Umarłbym dla niej - odparł ochrypłym głosem.

Jack westchnął cicho.

- Tak mi przykro.

- Mnie także. - Thorn zawrócił konia. - Nie mamy za dużo czasu - dodał, spoglądając na ściemniające się niebo.

- Musimy ponaglić naszych ludzi.

Cały dzień Thorn zadręczał się bolesnymi myślami. Kiedy wrócił wieczorem, było już ciemno i w domu panowała cisza. Poszedł na palcach, by powiedzieć Samancie dobranoc, ale dziewczynka mocno już spała. Stał, patrząc na nią.

Jego dziecko. Wydawało mu się, że to było tak dawno, kiedy Sally pokazała mu maleńkie, czerwone niemowlę. Uwielbiał ją, ale postawa Sally uniemożliwiała kontakt z dzieckiem. Panował między nimi dystans, który zmniejszył się, kiedy zamieszkała z nimi Trilby. Teraz Samantha nie była już nieśmiała i zamknięta. Śmiała się i bawiła jak każde szczęśliwe dziecko, a radość, jaką sprawiało jej towarzystwo ojca, była aż nadto widoczna.

- Śpi - powiedziała Trilby, stając w drzwiach.

Zesztywniał.

- Tak, wiem.

- Jesteś głodny? Odgrzałam właśnie zupę i upiekłam chleb.

- Dziękuję ci. Rzeczywiście mam pusty żołądek - powiedział. Nie spojrział jednak na nią. Zdjął kapelusz i rzucił na wieszak koło drzwi, a ostrogi przy jego wysokich butach podzwaniały cicho, kiedy szedł za nią hallem w stronę jadalni.

Trilby wyczuła jego nastrój, zauważyła jego nienaturalne zachowanie. Zdziwiło ją to. Po czym całkiem nagle przypomniała sobie list, który znalazła na stoliku w hallu.

Samantha wzięła go z jej toaletki, by zapytać, czy może dostać znaczek do swojej kolekcji, i zapomniała o nim.

Zanim Samantha ponownie sobie o nim przypomniała i zwróciła go Trilby, Thorn dawno już wyjechał z domu.

Martwiła się, że może przez przypadek go zobaczył. Teraz była pewna, że jej najgorsze obawy znalazły potwierdzenie.

Spojrzała na niego przez stół, zaciskając dłonie na oparciu wyplatanego krzesła.

- Thorn, widziałeś list, prawda? - zapytała z wahaniem.

Uniósł jedną brew, ale w jego twarzy nie poruszył się ani jeden mięsień.

- Chyba chciałaś, żebym go zobaczył? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Napisz do Batesa, jeśli chcesz - dodał, odsuwając krzesło i opadając na nie. - Nie sprawia mi to żadnej różnicy... kiedy twoje ciało tak namiętnie reaguje w łóżku na mnie. - Spojrział wprost w jej zaszokowane oczy i kpił dalej, choć jego serce szalało z bólu i urazy. - Pragnę twojego ciała, Trilby, i może syna - dodał, kłamiąc dalej. - Dopóki cię mam, Bates może gościć w twoim sercu.

Zbladła jak opłatek. Gdyby nie trzymała się kurczowo oparcia krzesła, chyba by upadła.

- Co? - zapytała słabo.

- Słyszałaś. - Strzepnął lnianą serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach, po czym nalał na talerz chochlę zupy z porcelanowej wazy, którą Trilby postawiła obok jego nakrycia.

- Jest masło do chleba? - zapytał od niechcienia.

Trilby przyniosła je ze spiżarni, a ręce jej drżały, kiedy postawiła miseczkę na stole i zdjęła ściereczkę, którą była nakryta. Omal nie upuściła noża, zanim zdołała położyć go obok talerza.

- Dziękuję - powiedział. - Ty nie jesz?

- Zjadłam z Samanthą. Kiedy skończysz, zostaw naczynia w zlewie. Zajmę się nimi rano.

Spojrzał na nią starając się ukryć złość.

- Czy przyjmiesz mnie dziś w nocy, Trilby? Czy też masz głowę nabitą romantycznymi marzeniami o Batesie? Zapewniam cię, że jeśli będziesz spała, kiedy przyjdę do ciebie, nie będę miał żadnych skrupułów, żeby cię obudzić.

Może on i chce się teraz z tobą ożenić, ale jesteś moją żoną, dopóki nie postanowię cię odesłać.

Patrzyła na niego, jakby był kimś obcym.

- Otworzyłeś go! - krzyknęła. Przyłożyła dłoń do gardła.

- Przeczytałeś mój list.

- Tak, przeczytałem go - odparł z wściekłością. - Czy dlatego byłaś taka szczodra w moich ramionach, Trilby?

Czy próbujesz mnie w ten sposób udobruchać, żebym zgodził się na rozwód? - Poczul, jak ponosi go gniew, i już nie potrafił się pohamować. - Do licha, ile listów dostałaś poprzednio?

- Żadnego - odparła pospiesznie. - Żadnego, Thorn, przysięgam!

Wstał, przewracając krzesło, obszedł stół i złapał ją; oczy mu płonęły, a napięte ciało drżało z nadmiaru emocji.

- Na Boga, Trilby! Dziś w nocy nie będziesz o nim myśleć. Przysięgam ci, że nie będziesz!

Jego usta pochyliły się, żeby przykryć, pożreć jej wargi.

Wziął ją brutalnie na ręce i niósł przez hall, z wargami, które przywierały do jej ust, żądające, nachalne w desperackiej namiętności.

Trilby próbowała protestować, ale jego siła była przerażająca. Zaniósł ją do sypialni, zamknął drzwi na klucz i rzucił na łóżko.

- Bates uważa mnie za dzikusa - powiedział, stając nad nią z twarzą niczym wyrzeźbioną w kamieniu. - Ty też nigdy o mnie inaczej nie myślałaś. Może najwyższa pora, bym postąpił zgodnie z twoim niskim o mnie mniemaniu.

Zanim skończył mówić, ukląkł nad nią; w jego oczach płonęła namiętność. Ostatnią myślą Trilby było to, że zachowuje się nie jak stateczny mąż, tylko jak zraniony i zazdrosny kochanek.

Pierwsze światło przedarło się przez koronkowe zasłony i Trilby, krzywiąc się, otworzyła oczy. Na całym jej ciele nie było jednego miejsca, którego nie dotykałyby ręce i wargi Thorn'a.

Ich namiętność zawsze była słodka i satysfakcjonująca, ale dziś rano czuła się autentycznie zgwałcona. Zarumieniła się przypominając sobie kilka rzeczy, które jej zrobił.

Może rzeczywiście zamierzał być brutalny, ale wcale tak nie było. Zatracił się całkowicie, kiedy jego potężne ciało brało ją we władanie.

Zawstydzające było to, że w tym czasie przeżyła najpotężniejszy przyływ rozkoszy. Jego

niepokój - i jej potrzeba uspokojenia go - wytworzyły napięcie, które narastało do punktu szaleństwa, aż jego gwałtownie uderzające ciało doprowadziło ich oboje do ekstazy. Przypomniała sobie, że szlochała rozpaczliwie, kiedy przekroczyła tę granicę, a całe jej ciało gorzało z pożądania i spełnienia, sprawiając najśłodszy ból.

On odczuwał to samo. Wiedziała, że tak było. Ale nie wystarczył mu jeden raz. Wziął ją, a po chwili jeszcze raz, i jego pożądanie nie miało granic, nie znało zmęczenia, gdy głos mu się załamywał, kiedy czuł, że raz za razem w ciągu tej długiej nocy eksploduje pod nimi świat. Dopiero wówczas, gdy byli całkowicie wyczerpani, przesunął się i w końcu zapadł w sen. Trilby zasnęła natychmiast, bezwstydnie leżąc nago na narzucie. Teraz rozejrzała się po pokoju - nigdzie nie było Thorn'a. Drzwi jednej z szaf były lekko uchylone. Kiedy usiadła, zauważyła na stole liścik.

Wpatrywała się w niego, zastanawiając z niepokojem, co w nim znajdzie.

Nie mogła wiedzieć, że Thorn przeklinał siebie w chwili, kiedy obudził się rano, dużo wcześniej niż ona, i przez cały czas, kiedy się ubierał. Przez chwilę jego wzrok spoczywał na bezwładnym ciele Trilby - dostrzegł ślady, jakie jego palce i usta zostawiły na jej alabastrowej skórze. Zżerało go poczucie winy i beznadziejności, zazdrość i pełen niepokoju smutek. Wstydział się własnego zapamiętania i bezbronności. Zaczęło się od gniewu, a skończyło utratą kontroli, jaka mu się zdarzyła po raz pierwszy w życiu.

Wiedział, że kobieta z jej pochodzeniem nigdy nie wybaczy mu - nie może mu wybaczyć - tego, co jej zrobił tej nocy.

On sam nigdy nie będzie mógł sobie tego wybaczyć. Nic nie może poradzić na to, że ona kocha kogoś innego.

Chodziło tylko o to, że tak bardzo pragnął jej miłości.

Kochał ją bezgranicznie, tak że na sam jej widok bolało go serce. A teraz zrozumiał całą beznadziejność tej sytuacji. Ona kocha Batesa. Nigdy nie będzie z nim szczęśliwa, zwłaszcza że Bates w końcu wyznał jej miłość. To zniszczy ich małżeństwo.

Jedyną honorową rzeczą, jaką mógł teraz zrobić, by naprawić swe niemożliwe do zaakceptowania zachowanie, było pozwolić jej odejść - odesłać ją do mężczyzny, którego naprawdę kocha. Tak, postanowił w końcu z gorzką rezygnacją, tylko to mu pozostawało.

Wziął ze stolika kartkę papieru i usiadł przy oknie, gryzmołąc kilka słów na nieskazitelnie białej kartce. Przeczytał je, podpisał się i rzucając na Trilby ostatnie przeciągłe spojrzenie, opuścił pokój.

Zachował się jak tchórz, ale nic nie mógł na to poradzić.

Wiedział, że pogarda i niesmak, jakie zobaczy na jej twarzy, zniszczą go. Po prostu nie

potrafił spojrzeć jej w oczy po tym, jak się zachował ubiegłej nocy.

- Dzień dobry, *senor* - powitał go Jorge. - Jest pan znacznie wcześniej niż zazwyczaj. - Zmarszczył brwi, widząc wypchaną walizę, którą Thorn niósł zmierzając w stronę samochodu. - *Senor*, jedzie pan gdzieś?

- Tak. Do Tucson. Jadę zobaczyć bydło, w sprawie którego skontaktowano się ze mną w ubiegłym miesiącu.

- Aha. *Si*. Wydawało mi się jednak, że postanowił pan go nie kupować... ?

Thorn spojrział na niego gniewnie nabiegłymi krwią oczami.

- Ale zmieniłem decyzję - rzucił krótko. - Chodź. Musisz zawieźć mnie na stację i odprowadzić samochód.

- *Si senor*. - Jorge uśmiechnął się pojednawczo. Zbyt dobrze znał temperament szefa, by ryzykować jakieś pytania.

- Pilnuj pani Vance, tak długo, jak tu zostanie. Powiedziałem jej już, że może zostawić Samanthę ze swoją rodziną, jeśli... jeśli będzie musiała to zrobić z jakiegoś powodu.

Zaskoczony Jorge zmarszczył brwi.

- Tak, *senor*.

- Wrócę za kilka dni. - Zapalił silnik, wrzucił walizę na tylne siedzenie i poczekał, aż niepewny Jorge usiądzie obok. Nie obejrzał się za siebie. Był pewny, że gdyby to zrobił, nie miałby siły odjechać.

Drżącymi rękoma Trilby podniosła kartkę i przeczytała ją. Odetchnęła z bólem.

Proszę Cię o wybaczenie za ubiegłą noc, chociaż tego, co zrobiłem, nie można wybaczyć. Mogę jedynie próbować to zrekompensować, zwracając Ci wolność. Możesz zostawić Samanthę u swoich rodziców. Tak będzie dobrze. Na toaletce zostawiłem trochę pieniędzy, byś mogła sobie kupić bilet do domu. Będzie nam łatwiej, jeśli się ze mną rozwiedziesz. Powiedz swojemu adwokatowi, że może mi przesiać rachunek.

Serdecznie przepraszam za ból, jaki Ci sprawiłem. Wiem, że będziesz szczęśliwsza z Batesem, niż kiedykolwiek byłaś ze mną.

Podpisał to zamasyście i zostawił na widocznym miejscu.

Trilby usiadła niepewnie na krześle, które zajmował, gdy to pisał. Pozwalał jej odejść. Odsyłał ją. Uważał, że kocha Richarda i chce do niego pojechać!

Zakryła twarz dłońmi i zaczęła niepohamowanie płakać.

Dlaczego nie powiedziała mu prawdy? Kochała go całym sercem. Był całym jej światem. Noce spędzone w jego ramionach były bliskie niebiańskiej rozkoszy. A wczoraj, kiedy przyszedł list od Richarda, na tyłach domu po raz trzeci tego ranka zwracała śniadanie. Z całą pewnością

była w ciąży i to pewnie od kilku tygodni. Wszystko o tym świadczyło: jej omdlenia, brak apetytu, napady zmęczenia...

Była taka szczęśliwa, taka promienna. Miała powiedzieć o tym Thornowi, kiedy podjechał na koniu ojciec i uniemożliwił jej to.

Potem obaj odjechali. Trilby się tym nie przejęła, bo wiedziała, że może to powiedzieć Thornowi, kiedy wróci do domu. Była pewna, że ucieszy go wiadomość, jaką od niej usłyszy. Ostatnimi czasy Thorn znacznie mniej mówił o Sally, a w łóżku, i poza nim, był czuły i uważający. Zaczęła mieć nadzieję... Dlaczego? Dlaczego Richard nagle doszedł do wniosku, że ją kocha, kiedy ona zrozumiała, że wcale jej na nim nie zależy, kiedy zdała sobie sprawę, że kocha swojego męża i nosi jego dziecko? To było takie niesprawiedliwe!

Wstała i ubrała się; z trudem dobiegła do ganku na tyłach domu, zanim zwróciła kawę, którą właśnie co przelknęła. Myśl o długiej podróży pociągiem do Luizjany była nieprzyjemna i niepożądana. Ale w swojej notce Thorn dał jej jasno do zrozumienia, iż oczekuje, chce, by wyjechała.

Sam nawet wyjechał, żeby ułatwić im rozstanie, dodając instrukcje, jak ma postąpić z Samanthą.

Wiedziała, że może zostać mimo listu. Może nie zgodzić się na wyjazd. Ale co to da? Powiedział jej ubiegłej nocy, że to, co do niej czuje, to pożądanie, nie miłość. Chociaż być może żałuje swej nieokiełznanej namiętności, jak widać bardzo chętnie da jej rozwód i pozwoli wyjechać do Richarda. Gdyby ją kochał, z pewnością walczyliby, żeby ją zatrzymać. Wycofanie się bez walki i oddanie tego, czego pragnął, nie leżało w charakterze Thorn'a.

Ta myśl przesądziła sprawę - postanowiła wyjechać. Była teraz przekonana, że Thorn tego właśnie po niej oczekuje.

Oddawał ją niczym strzelbę, której używaniem się znudził.

Z oczu popłynęły jej gorące łzy. Pomyślała, że będzie mieć jego dziecko. Świadomość tego była dla niej jedynym pocieszeniem. On się o tym nie dowie. Skrzywiła się. Oczywiście, że się dowie, pomyślała nieszczęśliwa, bo z całą pewnością jej rodzice się dowiedzą i go o tym powiadomią.

Nie może teraz wyjść za mąż za Richarda, a poza tym wcale go nie kocha.

Z rezygnacją poszła się pakować. Będzie się mogła tym zamartwiać przez całą drogę do Luizjany. Zaplanowała, że zawiezie Samanthę do rodziców pod pretekstem zrobienia zakupów. Później, już ze stacji, zatelefonuje do nich w ostatniej chwili i powiadomi, że wyjeżdża. W ten sposób uniknie niebezpieczeństwa, że będą się starali odwieść ją od tego zamiaru. Nie mogła zostać z Thornem, kiedy czuł do niej tylko pożądanie i może litość. Nie wiedziała jednak, jak

zdoła żyć bez niego. Stał się już najważniejszą sprawą w jej życiu.

Był czwartek trzynastego kwietnia, ale - pomyślała z wisielczym humorem - bardziej przypominał piątek trzynastego. Kazała Jorgemu, niepomiernie zdziwionemu, że *senora* też postanowiła wyjechać, zawieźć się do miasta.

Nie powiedziała mu, że jadą na stację, tylko że chce zrobić zakupy i że Samantha musi w tym czasie zostać z Mary, Jackiem i Teddym.

- Lubię Teddy'ego - powiedziała wesoło Samantha, kiedy zajechali przed dom Langów. - Jest dla mnie taki miły.

- Jest miłym chłopcem - odparła Trilby. Pocałowała Samanthę w policzek i obrzuciła przeciągłym, smutnym spojrzeniem. - A ty jesteś miłą dziewczynką. Kocham cię, Samantho.

- Ja także cię kocham, Trilby - powiedziała dziewczynka, marszcząc brwi. - Jesteś bardzo blada. Czy nic ci nie jest?

- Oczywiście, że nie. - Trilby uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Bądź grzeczna i słuchaj babci i dziadka, dobrze?

Powinnam niedługo wrócić.

Razem wysiadły z samochodu i weszły do domu, ale Samantha nadal wyglądała na zmartwioną.

- Dziękuję, że się nią zaopiekujesz - powiedziała Trilby do Mary.

- Wiesz, że ona wcale nie sprawia nam kłopotu. A Teddy ją uwielbia. Spójrz.

Teddy uczył Samanthę, jak grać w kulki. Przemawiał do niej zaaferowanym, lecz miłym głosem. Samantha śmiała się z tego, jak zezuje i wysuwa język, kiedy celował jedną kulką w inne.

- Cieszę się, że tak dobrze się rozumieją.

- Nie wyglądasz dobrze - powiedziała Mary i zmarszczyła brwi. - Może powinnaś usiąść?

- Nic mi nie jest. Kupię tylko jakiś materiał na nowe letnie sukienki. Czy coś ci załatwić? - odparła Trilby.

- Nie, kochanie. Sama pojedę i poszukam, ale bardzo ci dziękuję. Trzeba włożyć kapelusz - dodała.

- Jest w samochodzie - odparła Trilby. - Powinnam niedługo wrócić, na pewno przed wieczorem.

- Dobrze, dobrze. Jedź ostrożnie, Jorge!

- *Si, senora.* - Drobny mężczyzna uśmiechnął się, przytrzymując kapelusz na sercu, kiedy otwierał przed Trilby drzwiczki. Dzięki Bogu, że jej walizy znajdowały się na podłodze i Mary nie mogła ich zobaczyć. Jorge jednak zobaczył i przez całą drogę do Douglas marszczył brwi.

Działo się coś bardzo niedobrego. Czuł to w kościach.

Trilby nie chciała, żeby zawoził ją na stację, ale nie dojeżdżały tam tramwaje. Nie miała wyboru. Pójście piechotą, w upale, wzięwszy pod uwagę jej stan, nie wchodziło w rachubę. To dziwne, ilu ludzi było w mieście, pomyślała, w gruncie rzeczy nie zastanawiając się nad tym, ilu wszędzie jest żołnierzy. Gdyby była mniej zdenerwowana, zwróciłaby większą uwagę na ten duży ruch, który zwiastował kłopoty.

Tak jak się spodziewała, kiedy kazała Jorgemu zawieść się na stację, bardzo się zdenerwował. Nic jednak nie powiedział, aż znaleźli się na peronie i czekali na bagażowego.

- *Senora*, nie wolno pani wyjeżdżać - poprosił. - *Senor Vance* będzie taki nieszczęśliwy.

- Nie wierzę w to - odparła sztywno. - Kazał mi wyjechać - dodała, prawie dławiąc się tymi słowami.

- Ale on panią uwielbia - zaprotestował. - *Senora*, on mówi o pani, jakby była pani księżycem na nocnym niebie, z taką czułością i miłością. Jeśli panią odesłał, to zrobił to w przypływie złego humoru i wkrótce tego pożałuje. Nie wolno pani wyjeżdżać!

- Muszę, Jorge, widzisz...

Żadne z nich nie zauważyło nagłego pojawienia się licznych mundurów khaki i zgromadzenia obywateli na ulicach. Jednakże krzyki i nagłe odgłosy strzelaniny sprawiły, że zamarli w bezruchu.

- Kryjcie się! - wrzasnął jakiś żołnierz. - Zaczęło się!

Trilby nie zapytała, co się zaczęło, ale Jorge poprowadził ją w stronę budynku stacji i zamknął za nimi drzwi. Szklane drzwi natychmiast zostały roztrzaskane i drobny Jorge przyłożył dłoń do klatki piersiowej i upadł. Leżał na plecach, z otwartymi i przerażonymi oczyma, a z jego ramienia sączyła się strużka krwi.

- Jorge! - krzyknęła Trilby.

Ruszyła ku niemu, ale zaledwie zdołała zrobić krok, kiedy grupa obszarpanych, uzbrojonych Meksykanów sforsowała drzwi i otoczyła zaszokowanych pasażerów.

Wokół niej rozległa się szybka jak wystrzały paplanina po hiszpańsku. Jeden z mężczyzn schwycił ją za ramię.

Dwaj inni pasażerowie, obaj w podeszłym wieku, też zostali pociągnięci.

- Chodźcie z nami, a nic wam się nie stanie - powiedział jeden z mężczyzn angielszczyzną o silnym akcencie. - *Rapidamente!*

Przerażoną Trilby pociągnięto razem z mężczyznami i wepchnięto do samochodu, który aż po brzegi wypełniony był karabinami i amunicją. Kilka sekund później pędzili w stronę meksykańskiej granicy.

Poniewczasie zorientowała się, że mężczyźni, prawdopodobnie zwolennicy Madero, próbowali uciec przed ścigającym ich oddziałem armii amerykańskiej, z oficerami w wielkim samochodzie, otoczonym przez żołnierzy na koniach.

Na szczęście stan Trilby ochronił ją przed gradem pocisków i zamieszaniem, kiedy samochód przekraczał granicę, ponieważ zemdląca.

Kiedy odzyskała przytomność, byli w Meksyku. W Agua Prieta trwały zażarte walki. *Federales* i umundurowane jednostki rządowe strzelały do zbieraniny tworzącej armię pułkownika de Luz Blanco, która konno i samochodami przejeżdżała przez ulice miasta; niektórzy jej członkowie uwiesili się pociągu, który przywiózł pierwszą grupę rebeliantów z Nacozari, a teraz stał nieruchomy na szynach w Agua Prieta.

Wszędzie wokół rozlegały się strzały. Gdzieś wystrzeliła armata i Trilby zobaczyła potworny obłok kurzu i krwi, po chwili zza niego dobiegły krzyki.

Zrobiło się jej niedobrze. Walczyła z mdłościami, od chwili gdy kazali jej wejść do pociągu i popchnęli ją do przedziału. Nie mogła siedzieć. Leżała z głową na wytartym oparciu, cały czas przełykając ślinę i starając się nie zwymiotować.

- *Senora*, tak mi niezmiernie przykro - przeprosił ją wysoki Meksykanin, zatrzymując się przy niej ze zmartwioną miną. - Ci ludzie, którzy panią uprowadzili, to tylko sympatycy, nie są pod moimi rozkazami. Pojmali panią, by móc uciec przed żołnierzami pani rządu i dostarczyć nam broń. Ale prawdziwy mężczyzna nie powinien wykorzystywać kobiety jako tarczy. Bardzo przepraszam, że narażono panią na niewygodę. Jak się pani nazywa?

Nie wiedziała, czy powinna mu to powiedzieć, ale zbyt była słaba, żeby myśleć.

- Trilby Vance. Pani Trilby Vance. Źle się czuję. - Ponownie opadła na siedzenie wskutek następnego ataku mdłości.

- Dios! - mruknął pod nosem siwowłosa oficer. Spojrzał na nią z ciekawością. - *Senora* Vance, źle się pani czuje?

- Jestem... jestem brzemienna - szepnęła przerażona.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie. Ściągnął z głowy kapelusz.

- *Ay de mi!* - krzyknął. - Juan! *Aquí, pronto!*

Przybiegł do niego jakiś niższy mężczyzna.

- *Si, mi general?*

Oficer mówił z nim po hiszpańsku i Trilby nic nie rozumiała z powodu mdłości i strachu, ale zauważyła, że żołnierz zareagował natychmiast i z szacunkiem.

- Powiedziałem temu żołnierzowi, że ma pani bronić kosztem własnego życia, *senora* - powiedział jej z żarem generał. - Niech się pani nie boi. Nic się pani nie stanie.

Jest pani bezpieczna w tym pociągu. Ma pani moje słowo.

Leżała bez sił, próbując skupić wzrok na jego twarzy.

- Dziękuję, *senor* - zdołała wyszeptać.

- Zostań z nią!

- *Si, mi general!*

Juan miętosił w dłoniach kapelusz.

- *Senora*, czy mogę pani coś przynieść? Wody?

- To byłoby bardzo miłe.

Wykonał to natychmiast. Pobiegł i przyniósł jej manierkę. Trilby nie zważała na to, ilu ludzi z niej piło, myślała tylko o tym, że woda jest zimna i odświeżająca. Piła jednak małymi łyżkami, bojąc się, że niekorzystnie wpłynie to na stan jej żołądka. Zanim oddała manierkę, wylała kilka cennych kropli na swą koronkową chusteczkę i przyłożyła ją do ust. Życie na pustyni nauczyło ją cenić wodę.

- Co się dzieje? - zapytała Trilby przekrzykując odgłos wystrzałów, kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła mieszaninę beżowego, brązowego i niebieskiego koloru, ledwo widoczną w dymie wystrzałów i kurzu, który wznosił się wokół samochodów i biegnących stóp.

- Zajmujemy Agua Prieta - odparł Juan z dumą. - Wypędzamy *federales* i uznajemy to miasto za nasze. „Rudy”

Lopez, rodak, który sympatyzuje z naszą sprawą, sam dowodzi atakiem.

- Jest tyle oddziałów federalnych...

- Nas jest znacznie więcej, *senora* - powiedział. - W końcu będziemy mogli domagać się tego, co od początku nam się należy. Te świny nie będą nam już zabierać ziemi i domów i w naszym własnym kraju robić z nas niewolników. Teraz to oni będą uciekać. Ale my ich dopadniemy, obojętnie jak daleko uciekną.

Spojrzała na otaczających ją mężczyzn oczami, które przedtem ich nie dostrzegały i nie rozumiały, dlaczego walczą. Ci ludzie byli rolnikami i pasterzami, a nie żołnierzami. Nauczyli się jednak walczyć, gdyż mieli dosyć cudzoziemców, którzy robili fortuny na bogactwie ich kraju i eksploatowali rodzimych mieszkańców, by zdobyć dla siebie bogactwo. Mieli rodziny, które głodowały. Mieli domy nie nadające się nawet dla zwierząt. Niczym pańszczyźniani chłopcy w średniowiecznej Anglii byli przypisani do ziemi, którą uprawiali, po to tylko, by napychać pieniędzmi kieszenie ludzi, którzy przybyli do Meksyku z zewnątrz.

- Myślę, że wygracie - powiedziała Trilby, patrząc na Juana.

- My też tak myślimy, *senora*. Jestem pewien...

- Trilby!

Głos brzmiał znajomo. Trilby odwróciła głowę i zobaczyła Nakię. Był zdziwiony, że widzi ją w pociągu, który zaanektowali jego ludzie.

- Czyż to nie dziwne, że tak nagle się zjawiasz? - zapytała słabym głosem.

Ukląkł obok niej; w tym odzieniu wyglądał jak jeden z otaczających ją meksykańskich żołnierzy.

- Nic ci nie jest? Nie zostałam ranna?

- Na Boga, nie - odparła szybko i udało się jej uśmiechnąć. - Bardzo miły oficer rozkazał Juanowi polec w mojej obronie. Nic mi się nie stało. Porwali mnie w Douglas, kiedy czekałam na pociąg. Zdaje się, że ten również porwali, ale on się nie rusza.

- Gdzie jest Thorn? - zapytał, rozglądając się wokół.

Jej twarz spochmurniała.

- Jest w Tucson - powiedziała. - Kupuje bydło.

- Skąd się tu znalazłaś?

- Odesłał mnie - odparła krótko. - Jestem w drodze do Luizjany, żeby się z nim rozwieść.

- Rozwieść się z nim?

- Nie może pani tego zrobić, *senora* - powiedział Juan, potrząsając głową. Spojrzał na Nakię. - *Senora* jest *embarazada* - powiedział poufnym tonem.

- Co? - wykrzyknął Naki, spoglądając na nią oczami wielkimi jak spodki.

- Obwieść o tym całemu światu, co? - powiedziała Trilby, rzucając Juanowi wściekle spojrzenie. Zaczerwieniła się jak burak.

- *Lo siento, senora*, nie wolno pani zostawiać *senora* Vance'a - ciągnął Juan niezrażony. - Mężczyzna musi mieć syna, nieprawdaż? - zapytał Nakię.

Naki powoli wychodził z szoku. Przez długą chwilę przyglądał się Trilby.

- Juan ma rację.

- Ani ty, ani Juan nie macie nic do powiedzenia - rzuciła ostro. - Nie macie żadnego prawa wtrącać się do moich spraw. Thorn kazał mi odejść, wobec tego odchodzę!

- Dlaczego kazał ci odejść... Uwaga!

Pociągnął ją w dół, w tym momencie przez otwarte okno wpadła kula i ze świstem wbiła się w ścianę naprzeciwko.

- Wiesz, to naprawdę nie jest najlepsze miejsce dla takich dyskusji - stwierdziła Trilby.

- Muszę się z tobą zgodzić. - Naki wyjął z olstra pistolet.

- Juan, *cuidado, si?*

- *Si!*

- Nie ruszaj się - powiedział Naki do Trilby. - Wrócę, jak tylko będę mógł.

- Kto zwycięża?

- Kto to wie? - Uśmiechnął się. - Na pewno my.

Rozległa się następna seria wybuchów i krzyków, po czym ludzie zostali przemieszczeni na inny odcinek walk.

Trilby nie była w stanie zorientować się, co się właściwie dzieje na zewnątrz, zauważyła jednak, że wśród żołnierzy Blanco znaczną liczbę stanowią cudzoziemcy. Rewolucja przyciągnęła spoza granic Meksyku wielu ludzi sympatyzujących z Madero. W czasie swej krótkotrwałej niewoli zauważyła już jednego Niemca, eks - legionistę z francuskiej Legii Cudzoziemskiej i teksańskiego leśnika, którzy z bronią w ręku stanęli po stronie peonów. Podniecenie było zaraźliwe. Wybredną pannę Lang - która niegdyś ze wstrętem patrzyłaby na takie otoczenie i takich nieokrzesanych ludzi - teraz podniecał bitewny zgiełk.

Kiedy obserwowała, jak do pociągu wnoszono rannych mężczyzn, przypomniała sobie nagle o biednym Jorge, postrzelonym w wymianie ognia w Douglas, i zamartwiała się jego stanem. Nic nie wiedziała o ranach. Mogła się tylko modlić o jego wyzdrowienie. Teraz największym zmartwieniem było jej własne bezpieczeństwo i dobro jej dziecka, ale miała nadzieję, że przy Juanie wszystko przebiegnie pomyślnie. A ponadto pociąg wydawał się pancerny.

Strzelanina była teraz bardzo szybka i bliska. Trilby położyła dłoń na brzuchu. Była tutaj sama, mimo pocieszającej obecności Juana i Nakięgo. Thorn znajdował się w Tucson. Kiedy strzelanina przybrała na sile, Thrilby zaczęła się martwić. Jeśli zabije ją jakaś zabłąkana kula - a ku jej przerażeniu jedna właśnie wpadła do wagonu i trafiła stojącego nie opodal żołnierza - Thorn nie dowie się o tym przez wiele dni. Nagle zdała sobie sprawę, że może go już nigdy w życiu nie zobaczyć, i do oczu nabiegły jej łzy. Dlaczego nie powiedziała mu, żeby wsadził sobie w nos to swoje ultimatum? Byłaby teraz w kuchni i piekła ciastka dla Samantha. Wtedy sobie przypomniała, że zawiozła Samanthę do rodziców.

I nikt nie wiedział, gdzie jest ona.

Kiedy na ranczu Langów zapadła noc, a Trilby nie wróciła, Jack i Mary zaczęli się martwić. Samantha również, i cały czas pytała, gdzie jest macocha.

Jack najpierw zatelefonował do Los Santos, ale żona zarządcy odebrała telefon i powiedziała, że nie miała żadnych wiadomości ani od Trilby, ani od Thorny. Zawahał się tylko przez chwilę, zanim zatelefonował do przyjaciela w hotelu Gadsden w Douglas.

Kiedy wrócił, był blady. Nie powiedział ani słowa, tylko zapiął pas z rewolwerem i złapał kapelusz.

- Co to znaczy? - zapytała pospiesznie Mary, spoglądając w stronę kuchni, gdzie zostawiła Samanthę piekącą herbatniki.

- Dzisiaj po południu dwaj meksykańscy oficerowie i „Rudy” Lopez poprowadzili setkę powstańców i zaatakowali garnizon w Agua Prieta - odparł Jack przez zaciśnięte zęby. - W Douglas doszło do strzelaniny i kilka osób zostało rannych... a kilka zabitych.

Mary pobladła.

- O, Boże! Trilby pojechała do sklepu z materiałami... - zaczęła.

- Doprawdy? Czy nie zdziwiło cię, że zostawiła u nas Samanthę, choć pojechała do miasta kupić dla niej materiał na sukienki?

- Tak, ale...

- Jorge na pewno wie, gdzie jest Thorn, ale pojechał z Trilby. Do tej pory nie wrócił na ranczo. Zatelefonowałem do Los Santos i dowiedziałem się, że pan Vance pojechał do Tucson. To duże miasto.

- Och, Boże - zmartwiła się Mary.

- Staraj się być dobrej myśli.

- Tato - zawołał Teddy, wchodząc do pokoju. - Czy Trilby jeszcze nie wróciła?

- Jeszcze nie - odparł Jack. Zmusił się do uśmiechu i normalnego zachowania. Poklepał chłopca po ramieniu.

- Nie ma się czym martwić. Po prostu jadę do miasta. Może Trilby i Jorge mają kłopoty z samochodem.

Żadne z dorosłych w to nie wierzyło, ale Teddy w swej niewinności przyjął to za prawdę. Uśmiechnął się i poszedł do kuchni do Samanthy, by zabawić ją rozmową przy pracy.

Było gorzej, niż Jack podejrzewał. Dojechał do Douglas i zobaczył, że połowa mieszkańców weszła na dachy i patrzy przez lornetki na drugą stronę granicy. Wszędzie byli żołnierze, a także reporterzy, ambulanse i mnóstwo kurzu.

Rannych przewożono wozami i samochodami do szpitali i naprędce zorganizowanych klinik. Meksykanki i Amerykanki zajmowały się rannymi. Spodziewano się dalszych walk.

- Co się dzieje? - zapytał jakiegoś gapia.

- Dzisiaj rozpętało się piekło w Agua Prieta - odparł. - Nadal trwają tam walki. Mówi się, że zwolennicy Madero są w pułapce, otoczeni przez przeważające siły rządowe.

Dowiedzieliśmy się, że przetrzymują kilka osób, które znajdowały się w pociągu do Naco. Prawdopodobnie jest wśród nich Amerykanka - wzięli ją jako zakładniczkę jacyś miejscowi rebelianci, którzy chcieli się przyłączyć do Lopeza.

Ale fajnie!

Jack wcale tak nie sądził.

- Ta Amerykanka - zapytał szybko - wiedzą, kto to jest?

- Zdaje się, że znajdowała się na peronie. Tak, była to młoda kobieta. Pan Herad powiedział, że tuż przedtem kupiła bilet na Wschód.

- Och, Boże - jęknął Jack. Oparł się o słup, ale po chwili ruszył poszukać dowódcy armii.

- Moja córka została uprowadzona przez rebeliantów - powiedział pierwszemu oficerowi, na którego się natknął.

- Musicie coś zrobić!

- Zapewniam pana, że staramy się negocjować, ale nastąpiła przerwa w komunikacji, a siła ognia nie zmniejszyła się - odparł porucznik. - Mały oddział rządowy został zaskoczony. Dwóch dowódców i dwudziestu dziewięciu żołnierzy siłą wyrwało się z garnizonu, przejechali granicę i poddali się nam. Kilku jednak zostało i próbujemy ich także tutaj ściągnąć. Rebelianci zdobyli karabin maszynowy. Potworne zamieszanie, proszę pana.

Nim skończył mówić, podszedł do niego kapitan i kazał mu iść poszukać materiału, którego można by użyć jako flagi oznaczającej, że chcą zawrzeć rozejm. Tak bardzo był skupiony na tym zadaniu, że Jack nawet nie śmiał podejść do niego, by poprosić o pomoc. Chwilę później kapitan wsiadł na konia i w towarzystwie jakiegoś cywila pojechał w stronę granicy.

- Kapitan musiał już strzelać do kilku cywilów, którzy próbowali przyłączyć się do rebeliantów - powiedział porucznik. - Naprawdę zalecam panu poszukanie jakiegoś schronienia i niechodzenie po ulicy. Dolatują tu kule z drugiej strony granicy.

- Ale moja córka... - rzucił ochryple Jack.

- Jeśli przetrzymują ją powstańcy, nie musi się pan bardzo martwić - powiedział poufnym tonem oficer. - Ci ludzie darzą kobiety ogromnym szacunkiem. Nie skrzywdzą jej. Jak tylko uda nam się wydostać stamtąd *federales*, będziemy negocjować, by rebelianci wypuścili zakładników.

Jack wiedział, jaką estymą Meksykanie darzą kobiety, ale mieli powód, by nie lubić cudzoziemców, a Trilby była Amerykanką. Oprócz tego, jeśli pokonają *federales* i uczczą to mescallem, trudno przewidzieć, co się wydarzy. Nie był przekonany, czy Trilby nic się nie stanie. Przeklinał siebie za to, że w ogóle przyjechał do Arizony i naraził córkę na niebezpieczeństwo. Co powie Thorn, kiedy się o tym dowie? A co ważniejsze, dlaczego przyjechała tutaj, by wsiąść do pociągu na Wschód? Na Boga, to musiało mieć coś wspólnego z tym przeklętym listem Batesa, o którym powiedział mu Thorn. Obiecał sobie, że jeśli Trilby nic się nie stanie, sam sobie kupi bilet do Luizjany i pojedzie tam w jednym tylko celu - by zastrzelić Richarda Batesa!

Był przerażony nagłym obrotem wydarzeń.

Thorn spędził w Tucson samotną noc, pijąc w pokoju hotelowym i obwiniając się za to, jak potraktował Trilby.

Następnego dnia opuściła go cała chęć ubicia interesu.

Siedział i rozmyślał nad tym, jak Trilby przyjęła jego krótki liścik, i czy już wyjechała. Prawdopodobnie pojechała do rodziców i tam się zamartwia. Właśnie takiej wymówki, potrzebował, by podjąć decyzję o powrocie do domu.

Nikt go nie oczekiwał, wysiadł więc na małej stacji w Blackwater Springs, zatrzymał przejeżdżający samochód i podjechał nim do domu. Po tym, co usłyszał od mężczyzny, który go podwiózł, gdy tylko znalazł się w Los Santos, rzucił się do samochodu. Popędził na złamanie karku do Langów, gdzie miał nadzieję zastać Trilby. Nie mógł pozwolić jej na wyjazd, kiedy w Douglas rozpętało się piekło. Pomyślał, że może jeszcze nie jest za późno, by nakłonić ją do pozostania.

Musi powiedzieć jej prawdę.

Kiedy jednak przyjechał na rancho Langów, zobaczył Mary siedzącą na ganku. Popatrzył w jej zaczerwienione oczy i serce niemal przestało mu bić. Wiedział, że coś się stało. Sądząc po jej minie, coś strasznego.

Wyłączył silnik i wyskoczył z samochodu; biegnąc przeskakiwał po dwa stopnie naraz.

- Thorn! - krzyknęła Mary, podnosząc się z krzesła. - Och, Thorn, jaki to dla ciebie straszny powrót do domu!

- Trilby - zapytał szybko - wyjechała... ?

- Jack telefonował i powiedział, iż sądzi, że została pojmana przez sympatyków rebeliantów i przewieziona przez granicę do Agua Prieta - powiedziała Mary. - Nie możemy jej wydostać ani nawet dowiedzieć się, czy nic jej się nie stało. Jorge został postrzelony i nie wiadomo, czy to przeżyje. Jest w szpitalu w Calumet.

- Och, mój Boże - powiedział szybko Thorn. Serce biło mu jak oszalałe. Trilby w rękach

rebeliantów! Jeden Bóg wie, co się jej może stać!

- Jack jest teraz w Douglas, próbuje zdobyć od wojskowych jakieś informacje - dodała Mary. - Thorn, poczekaj.

Jest tu Samantha...

- Proszę, zaopiekuj się nią - powiedział i szybko poszedł z powrotem do samochodu. - Wrócę, jak tylko będę mógł.

- Oczywiście, że się nią zaopiekuję, Thorn - powiedziała ze znużeniem Mary. - Proszę, bądź ostrożny. A jeśli dowiesz się czegoś, czegokolwiek...

- Będę w kontakcie.

Odjechał. W głowie mu wirowało. Przepelniał go strach.

Nie wiedział, co zastanie w Douglas ani jak wydostanie Trilby z rąk rebeliantów. Wiedział tylko, że musi to zrobić.

Lisa Morris stała na ganku domu pani Moye i patrzyła, jak resztki oddziału kapitana Powella wyruszają pospiesznie z Fortu Huachuca w stronę Douglas. Przejeżdżająca przez małe miasteczko zmotoryzowana kolumna napawała mieszkańców przerażeniem. Kapitan Powell zatrzymał się, by porozmawiać z Lisą.

Wszedł na ganek, gdzie w cieniu szerokiego okapu Lisa stała samotnie w ładnej falbaniastej sukience z kretonu.

- Czy musisz jechać? - zapytała bez zastanowienia, a w jej łagodnych oczach pojawił się niepokój. Zarumieniła się trochę, kiedy przypomniała sobie, co ich łączy.

- Oczywiście - odparł łagodnie. - Agua Prieta jest atakowana, a my otrzymaliśmy rozkaz, by jechać do Douglas.

Może być niebezpiecznie. A wojna, co smutne, jest właściwym miejscem dla lekarza.

- Tak bardzo się o ciebie boję, Todd!

Niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Pragnął jej teraz do granic szaleństwa, ale zawsze zachowywali się przykładowo. Spojrzał jej w oczy i - zacisnął zęby, żeby się opanować.

Niedługo, już niedługo rozwód będzie prawomocny i będą mogli być razem! Tymczasem jednak poddanie się zmysłom zrujnowałoby jej reputację.

- Będę ostrożny. - Wpatrywał się badawczo w jej drobną twarz, dostrzegając w niej ślady takiego samego pragnienia. Wyciągnął rękę i lekko dotknął jej policzka. - Jestem starym wyjadaczem. Nie dam się zabić teraz, kiedy tak bardzo pragnę żyć!

Jej dolna warga zadrżała. Miewała koszmary, w których śniło się jej, że go traci. Tak bardzo pragnęła jego bliskości.

Zapierało mu dech, gdy tak na niego patrzyła. Przyzwoitość, powściągliwość i dyskrecja -

wszystko to w tej chwili było nieważne.

- Mój Boże, Liso, kiedy tak na mnie patrzysz... - powiedział cicho i objął ją.

Całował ją z namiętnością, pożądaniem i desperacją.

Odwzajemniała jego pocałunek, poddając się pragnieniu, które prześladowało ją od chwili, kiedy pierwszy raz byli razem. Było jej cudownie w silnym uścisku jego ramion, gdy czuła dotyk jego twardych, szorstkich ust. Drżała i płonęła od jego pocałunku, pragnąc poczuć go jeszcze bliżej.

Wiedziała, że to jakieś opętanie, ale nie zważała na to.

Obchodziła ją tylko bliskość Todda Powella i wykorzystanie tej chwili do maksimum.

Kiedy podniósł głowę, był zaczerwieniony i trochę niepewnie trzymał się na nogach.

- No - powiedział ochryłym głosem, przytrzymując ją łagodnie, aż odzyskała równowagę.

Nie potrafiła się uśmiechnąć. Jego oczy spoglądały na nią z uwielbieniem. Czuła, że jej nabrzmiałe wargi nadal go pragną.

- Kręci mi się w głowie! - szepnęła z rozkoszą.

- Mnie także - odparł. - Nie ma sensu, bym cały czas powtarzał sobie wszystkie powody, dla których nie powinienem tego robić. To nic nie pomaga. Tak strasznie cię pragnę.

Zobaczyła w jego oczach rzeczy, o których prawdopodobnie nigdy nie powie. Dostrzegła rozpaczliwy głód i samotność, szacunek i pożądanie. A także miłość i gotowość poświęcenia własnego szczęścia, żeby tylko jej było dobrze.

- Ja także cię pragnę - odparła szczerze. - Tak bardzo cię kocham, Todd. Całym sercem!

Jego oczy zabłyśły. Miała wrażenie, że oddychanie sprawia mu trudność.

- Chcę, żebyś została moją żoną. Ale jestem... znacznie starszy od ciebie. Jestem wdowcem, a w przeszłości zdarzało mi się za dużo pić.

- Żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia.

Odetchnął ciężko. Ujął jej drobną dłoń w swoją i uścisnął mocno, ciepło.

- Na zawsze odłożę butelkę. Zrobię, o cokolwiek tylko poprosisz.

Uśmiechnęła się do niego bardzo czule.

- Wiem.

Wyprostował się.

- Nie jestem zamożny i jak sądzę, nie będę już awansował.

- To także nie ma znaczenia.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował ze zniewalającym szacunkiem.

- Kocham cię - powiedział nieśmiałym głosem, zmuszając się do wypowiedzenia tych

słów. - Ponad życie! Ponad honor!

Pogłaskała go po policzku, niewymownie wzruszona jego wyznaniem. Nie spodziewała się po nim takiego przejawu uczuć, mimo namiętności, której doświadczyła, a miłość, którą dostrzegła w jego zazwyczaj opanowanej twarzy, sprawiła, że poczuła się pokonana.

- Kiedy za mnie wyjdiesz? - zapytał.

- Kiedy tyko zechcesz. Zawsze uważałam, że maj jest cudownym miesiącem na śluby - dodała.

- Maj - zgodził się. Odsunął się niechętnie i uśmiechnął nieśmiało. - Wobec tego maj.

- Nie będziesz niepotrzebnie ryzykował, Todd? - zapytała z troską.

- Nie - wyszeptał przez spierzchnięte wargi. Jego oczy jeszcze raz czule spojrzwały w jej twarz. Odwrócił się i szedł po schodach, nagle tak zwinnie, jakby był znacznie młodszy niż do tej pory - Roześmiał się wsiadając do samochodu i pomachał jej ręką na pożegnanie. Patrzyła za nim, aż kolumna samochodów stała się jedynie obłoczkiem dymu w oddali.

Thorn biegał po Douglas szukając Jacka Langa. Kiedy w końcu znalazł teścia, Jack błagał właśnie oficera o wydanie mu przepustki, by mógł się dostać do Agua Prieta.

- Nie mogę panu jej dać - jęknął młody oficer. - Panie Lang, prosi pan o rzecz niemożliwą! Żadna przepustka, którą bym panu wydał, nie zadowoli powstańców. Zasadzili się wzdłuż torów kolejowych na całej trasie aż do amerykańskiego posterunku celnego. Będą strzelać do wszystkiego, co się rusza. Zatrzymali kilku Amerykanów, którzy znajdowali się w pociągu do Nacozari. Nie wiemy, gdzie ich przetrzymują.

Jednakże oddziały rządowe poddały się i kiedy tylko miasto przejdzie w ręce rewolucjonistów, zakładnicy na pewno zostaną zwolnieni. Pańska córka prawdopodobnie znajduje się wśród nich i jest całkowicie bezpieczna.

- Chodź, Jack - rzucił krótko Thorn. Ani słowem nie odezwał się do oficera, tylko pociągnął za sobą teścia i szedł, aż dotarli na ulicę. - To nic nie da.

Ruszył w stronę meksykańskiej części miasta, przedzierał się pośród hałaśliwych pojazdów, wojska i gapiów, ciągnąc Jacka za sobą.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Jack.

- Zdobyć pomoc. Teraz to jedyny sposób, by dostać się do Agua Prieta. Nigdy nie uda się nam przejść przez granicę, gdy tyle tu amerykańskiego wojska.

- Wiem - zgodził się ponuro Jack. - Już strzelili do jednego mężczyzny, by uniemożliwić mu przejście przez granicę. A może rebelianci trzymają ją dla okupu? - jęknął.

- Nie mam ze sobą żadnej gotówki!

Thorn położył mu rękę na ramieniu. Nie zwalnając kroku, ponuro spojrzął na Jacka.

- Zapłacę im ołowiem.

- Człowieku, wiem, jak się czujesz, ale nie wolno ci narażać jej na niebezpieczeństwo! - błagał Jack.

- Nie zrobię tego - obiecał Thorn. - Ale ją wydostanę.

Przysięgam, że to zrobię bez względu na to, ile to będzie kosztowało!

Zamilkli, przedzierając się przez tłum.

- Miała zamiar cię opuścić, prawda? - zapytał Jack. - I jechać do tego przekłętego Batesa.

- Tak. - Głos Thorn'a zabrzmiał gorzko, ochryple. - Nadal może do niego jechać. Najpierw jednak muszę wydostać ją z Meksyku.

- Jestem pewny, że ona go nie kocha.

- A ja jestem pewny, że kocha. To nie ma znaczenia.

Chodzi o to, by uratować jej życie - odparł ciężko Thorn.

- Daj Boże, by nie było za późno!

Podczas gdy Thorn i Jack poszukiwali sposobu przedostania się przez granicę, omijając niebezpieczne posterunki rebeliantów, wypoczęta i odświeżona Trilby uczyła się, jak opatrywać rany postrzałowe. Owinęła się prześcieradłem niczym fartuchem i patrzyła, jak w świetle lampy naftowej meksykański lekarz zszywa ranę. Zastosowała tę samą technikę w stosunku do innego rannego, kierując się instrukcjami lekarza. Nie rozumiała po hiszpańsku, tak więc Naki służył jako tłumacz.

- To śmieszne! - zaprotestował Naki. - Nie masz dość sił, by robić coś takiego.

- Uspokój się - mruknęła, przytakując głową, kiedy doktor demonstrował technikę zszywania rany, a potem patrzył, jak Trilby powieła ją na swoim bardzo pijanym i śpiewającym pacjencie. - Wydaje mi się, że całkiem nieźle mi idzie.

brani w meksykańskie ubrania, mogli prześlizgnąć się przez granicę wraz z grupką rebeliantów.

Zamartwiając się przez całą noc przeżyli piekło, zwłaszcza Thorn. Jedyną pocieszającą rzeczą był fakt, że Jorgemu się polepszyło. Dawno już wypuszczono Amerykanów, którzy znajdowali się w pociągu, i Thorn popędził, by zobaczyć, czy jest wśród nich Trilby. Tak jak się obawiał, nie było jej. Pozostało im tylko czekanie do świtu.

- Nawet nie wiemy, gdzie jej szukać - martwił się Jack, kiedy przechodzili przez okopy na przedmieściach Agua Prieta.

- Ależ wiemy - odparł z niecierpliwością Thorn. - Na pewno nadal jest w tym cholernym pociągu. W tej strzelaninie nie mogli przecież przewieźć nigdzie ani jej, ani pozostałych zakładników.

- Cóż, pewnie masz rację - odparł z ulgą Jack. - Och, Boże, mam nadzieję, że nie zrobili jej krzywdy.

- Jeżeli zrobili, to pożałują, że żyją - odparł ponuro Thorn.

Sam ton jego głosu był groźny. Jack miał nadzieję, że Thorn zdoła się powstrzymać, dopóki nie uwolnią Trilby z rąk porywaczy. Potem, pomyślał z gniewem, sam prawdopodobnie wystrzeli kilka razy.

Kiedy przemierzali miasto, do ich uszu dobiegała muzyka i sporadyczne odgłosy wystrzałów. Agua Prieta nie była maleńkim przygranicznym miasteczkiem. Była siedzibą garnizonu i stacjonowały tu oddziały rządowe. Od razu jednak widać było, że poplecznicy Madero kontrolują miasto.

Dochodziły wieści, że z Fortu Huachuca podąża z odsieczą kolumna wojsk, a za dzień czy dwa miały przybyć dwa inne oddziały. Nie mogły jednak nic zrobić ponad to, że zabezpieczą granicę. Kilku sympatyków rewolucjonistów próbowało przejść do Meksyku i jeden z nich został postrzelony w ramię, co wyraźnie osłabiło entuzjazm do walki jego kolegów. Wycofali się. Żadnemu z Amerykanów nie wolno było pojawić się w Agua Prieta. Dlatego też, dla dobra Trilby, Thorn i Jack musieli uciec się do wybiegu.

Pociąg stał nieruchomo na torach. W niektórych oknach paliło się światło. Thorn wpatrywał się w nie zmrużonymi oczami. Nagle zaśmiał się, po czym wyciągnął rewolwer i sprawdził go, zanim ponownie wsunął broń do olstra.

- Jesteś odważny, Jack? - zapytał.

- Tak jak nigdy w życiu - odpowiedział spokojnie Jack.

Thorn podszedł w stronę światła. Natychmiast drogę zastąpiło mu dwóch mężczyzn, on jednak podał im obowiązujące tego dnia hasło i opuścili broń. Jack odetchnął z ulgą, ponieważ mężczyźni byli bardzo nerwowi i skorzy do pociągnięcia za spust.

- Nie oddalaj się teraz ode mnie - powiedział Thorn, rzucając spojrzenie na swego towarzysza. - Myślą, że jesteśmy sympatykami. Czy sądziłeś, że ośmielę się przekroczyć granicę, nie znając hasła?

- Myślałem, że już po nas. Czy ona tam jest?

- Powiedzieli, że jest z doktorem - odparł Thorn zmartwionym głosem.

Uzyskał pozwolenie na wejście do pociągu, lecz nagle zatrzymał się w drzwiach; Jack stanął tuż za nim. Thorn głośno wciągnął powietrze.

Trilby pochylała się nad poważnie rannym mężczyzną, z igłą i nicią w dłoni, a jakiś drobny mężczyzna kierował jej ruchami przy czymś, co wyglądało na śmiertelną ranę.

Pacjent jednak był wesoły i wyraźnie pijany, gdyż śpiewał, kiedy go zszywali.

- Trilby! - krzyknął Thorn.

Usłyszała jego głos i podniosła wzrok. Początkowe zaskoczenie sprawiło, że uśmiechnęła się ciepło i zarumieniła, ale zaraz żywo przypomniała sobie noc, kiedy ją opuścił. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Cześć, Thorn. Cześć, tato - przywitała ich sztywno. - Co za niespodzianka widzieć was tutaj.

- Co robisz? - zapytał zdumiony Thorn.

- Jestem asystentką tego biednego, znękanego doktora.

Widzisz, nie da rady zszywać wszystkich naraz. - Odwróciła się do Nakiego, który sprawiał wrażenie bardzo skrępowanego, gdy napotkał wściekłe spojrzenie Thorna. - Powiedz doktorowi, że muszę porozmawiać z moim ojcem. Za chwilę wracam. - Wręczyła Nakiemu igłę i podeszła do przybyłych, ściągając po drodze zakrwawiony fartuch.

- Trilby, córeczko, nic ci nie jest? - zapytał z troską Jack i podszedł, by ją czule uściskać. - Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu! Kiedy dowiedziałem się, że wzięli zakładników, tak bardzo się przestraszyłem. Twoja matka omal nie postradała zmysłów, tak samo jak Teddy.

- Nic mi nie jest, tato - zapewniła go. Była blada i wyczerpana, włosy opadały jej bezładnymi kosmykami na zmęczoną twarz, ale jakoś się trzymała. Nie była w stanie spojrzeć na Thorna. Po tym, jak się rozstali, jego widok wprawiał ją w zakłopotanie.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział sztywno Thorn. Zanim zdążyła zaprotestować, ujął ją pod ramię i wyprowadził na peron, na tyłach pociągu, mając świadomość, że Meksykanie patrolują cały obszar. Nikt jednak nie zwracał na nich zbytnej uwagi, więc równie dobrze mogli tutaj porozmawiać spokojnie.

- Tak? Czego chcesz? Jestem bardzo zajęta - powiedziała wyniośle, unikając jego wzroku.

- Na Boga, Trilby, jesteś więźniem w obozie wroga, nie lekarzem domowym!

- Nie jestem jeńcem. Udzielam wsparcia i pomocy tam, gdzie tego potrzebują. Kiedy mnie uwolnią, a obiecali, że mogę odejść, kiedy tylko zechcę, wracam do Luizjany. Tego przecież pragniesz, czyż nie tak?

Thorn nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Mruknął coś niewyraźnie pod nosem i złapał ręką żelazną barierkę. Pod palcami czuł jej chłód i twardość. Z oddali dobiegał dźwięk gitary i widać było ognisko, przy którym mężczyźni gotowali fasolę i kawę. Zewsząd dobiegały ich głosy.

- Jest mi niezmiernie przykro z powodu tego, co zrobiłem ostatniej nocy, kiedy się widzieliśmy - powiedział oficjalnie. - Nie miałem prawa.

- To prawda.

Wyprostował się.

- Dobrze, że przynajmniej nie zrobili ci żadnej krzywdy.

- Nawet nie przyszło im to na myśl. Są dżentelmenami - dodała, podkreślając ostatnie słowo.

Jego policzki pokryły się rumieńcem. Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- A ja nie jestem. Jestem dzikusiem - powiedział cicho.

- Nawet to udowodniłem, prawda, Trilby? - dodał, myśląc z pogardą o samym sobie. - Jeśli szukasz eleganckiego towarzystwa, nigdy go przy mnie nie znajdziesz. Bates jest bardziej w twoim typie. Może rzeczywiście miał rację. Może rzeczywiście jesteście z jednej gliny.

Nie miała powodu, by czuć się winna, a jednak tak było.

Thorn sprawiał wrażenie zdruzgotanego.

Lekko zmarszczyła brwi. Nie za bardzo zastanawiała się nad motywami jego gwałtownego zachowania. Myślała, że może jest zazdrosny o to, że inny mężczyzna jej pragnie.

To jednak wykraczało poza zwykłą zazdrość. Na tej szczupłej twarzy widać było więcej emocji, niż widziała od dnia ich ślubu. Miał przekrwione oczy. Widniała w nich bolesna rezygnacja i coś jeszcze. Coś głębszego, znacznie głębszego, niż sądziła. Pokonał całą tę drogę, ryzykując, że zostanie zabity, by ją ratować. Nawet teraz bez żenady ryzykował swoje życie, by z nią być. Spojrzała na wszystko z perspektywy i kiedy zastanowiła się nad jego motywami, zobaczyła wszystko w innym świetle.

Zbliżyła się i natychmiast zauważyła, jak na niego działa jej bliskość. Zesztywniał. Na twarzy pojawił się wyraz napięcia. Zaciśnął usta, jakby wiele trudu kosztowało go ukrycie tego, jak na niego działa.

- Co ci jest, Thorn? - zapytała spokojnie. - Przecież nie wprawiam cię w zakłopotanie?

Podeszła o krok bliżej, a on rzeczywiście cofnął się, przybierając groźną minę.

- To Batesa pragniesz, zapomniałaś? - zapytał zimno. - Miło mi, że widzę cię w dobrym zdrowiu. Porozmawiam z Lopezem i wydostanę cię stąd.

- Thorn! - zawołała, kiedy ruszył z powrotem w stronę pociągu.

Odwrócił się tym błyskawicznym ruchem, który niegdyś tak ją onieśmielał.

- Co? - zapytał nerwowo.

- Ani razu nie zapytałeś, co czuję do Richarda - powiedziała z godnością. - Ani o to, czy chcę do niego jechać.

Nie zapytałeś, czy chcę rozwodu.

- Na Boga, jakże mogłabyś go nie chcieć po tym, co ci zrobiłem? - zapytał ochryplym głosem.

Ból w jego ciemnych oczach był nie do zniesienia. Znowu się zbliżyła, wpatrując się w męża z napięciem.

- Kochałeś się ze mną - powiedziała cicho. - Byłeś bardzo namiętny, ale nie byłeś okrutny.

- Spuściła wzrok na jego pierś. - Nigdy nie byłeś dla mnie okrutny... w tych momentach.

- Posiniaczyłem cię - powiedział, a w jego głosie pobrzmiwało tłumione uczucie. - Nie miałem odwagi, by następnego ranka spojrzeć ci w oczy, nie rozumiesz tego?

Nie mogłem spojrzeć ci w oczy, więc uciekłem!

Z trudem złapała oddech. Wyraz jego zazwyczaj powściągliwej twarzy sprawił, że nogi jej zadrżały. Dlaczego nigdy przedtem tego nie widziała? Nie był to wyraz twarzy zazdrosnego czy żądnego zemsty męża. Tak mógł wyglądać tylko mężczyzna, który kochał tak intensywnie, że nie potrafił pogodzić się z myślą, że ją utraci.

- Ty... ty mnie kochasz! - szepnęła, nagle zdając sobie z tego sprawę.

Thorn aż się skulił, słysząc to oskarżenie. Odwrócił się i wbił wzrok w grupkę Meksykanów otaczających małe ognisko; nic nie widział, usilnie starając się opanować. Nie chciał okazać się bezbronny.

Jednak był, a ona to wiedziała. Podeszła do niego oszołomiona. Wyciągnęła rękę i złapała go za muskularne ramię. Przyciągnęła je do piersi i przytrzymała je tam, zmuszając go, by spojrzał jej w oczy. Była zachwycona.

- Czy to tak trudno przyznać? - zapytała.

Thorn jeszcze bardziej zeszywniał i jego wzrok bezsilnie spoczął na jej delikatnych rysach.

- Nie chcesz mnie - oskarżył ją. - Nigdy nie chciałaś!

Nie jestem kulturalny i miękki jak ten facet ze Wschodu, w którym jesteś zakochana.

- Nie, nie jesteś miękki - przyznała, promiennie uśmiechając się do niego. - Jesteś twardy jak skała i czasami bardzo szorstki. Ale jesteś o wiele wspanialszy niż Richard.

Słyszając to, ośmielił się na nią spojrzeć. Wyraz jego twarzy nieco złagodniał, a on sam sprawiał wrażenie, jakby jego los zależał od tego, co powie Trilby.

- Nie potrafiłam się do tego przyznać, ale naprawdę wiedziałam to od dnia, kiedy Richard mnie pocałował, wtedy, gdy razem z Sissy przeszukiwałyśmy indiańskie ruiny - powiedziała spokojnie. - Ponieważ nic nie poczułam.

Zupełnie nic. Obejmował mnie, a ja przez cały czas myślałam tylko o tym, jak to było w twoich ramionach.

Jego zaciśnięte wargi rozwarły się. Oddychał z trudem.

- Jak mogłeś tego nie wiedzieć? - zapytała ochryplym głosem, wpatrując się w niego z

uwielbieniem. - Dziesiątki razy się z tym zdradzałam. Zwłaszcza kiedy byliśmy sam na sam, kiedy tak cię uwielbiałam, że światło musiało być zapalone, żebym mogła na ciebie patrzeć.

Jego policzki pokrył ciemny rumieniec.

- Naprawdę?

- Och, tak - szepnęła. - Nawet ostatnim razem - dodała, rumieniąc się, kiedy jego wzrok padł na jej piersi. - Zwłaszcza ostatnim razem, kiedy pragnęłam mnie tak desperacko, że nie byłeś w stanie się kontrolować. Myślałam, że umrę, tak wielką rozkosz przeżywałam.

Poczuł, że drży. Z wahaniem dotknął jej policzka, przesuwając dłonią po miłym zaokrągleniu.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić - szepnął niepewnie. - Byłem zazdrosny i potwornie się bałem, że odejdziesz. Straciłem panowanie nad sobą.

- Tak. - Przysunęła się i pod wpływem impulsu objęła go. Przycisnęła się do jego potężnego ciała i poczuła, że Thorn drży.

- Nie rób tego - powiedział, próbując się odsunąć.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Ja także drzę. Nie czujesz tego?

Poczuł, i przez to jeszcze bardziej jej zapragnął. To było nie do zniesienia. Jego szczupłe dłonie schwyciły ją za ramiona i wpiły się w nią.

- Trilby, nie mogę zmusić cię do tego, byś została ze mną, kiedy jesteś nieszczęśliwa. Bates cię kocha...

- Nie, to nieprawda. On kocha tylko siebie. Natomiast ja kocham ciebie - powiedziała pewnym głosem.

Thorn zbladł. Cały czas mu to mówiła, a on nie zdawał sobie z tego sprawy. Jęknął cicho i pochylił się, by pocałować jej zamknięte powieki.

- Och, mój Boże - szepnął ochryple.

- Naprawdę tego nie wiedziałeś? - zapytała odsuwając się.

- Nie! Skąd miałbym to wiedzieć? Wydawało mi się, że mnie pragniesz, ale sądziłem, że po prostu starasz się pogodzić z faktem, że jesteś moją żoną. A kiedy powiedziałeś, że chciałabyś mieć dziecko - ciągnął załamującym się głosem - pomyślałem, że chcesz tylko polepszyć złą sytuację.

- Chciałam ci dać dziecko, ponieważ cię kocham - powiedziała, z uśmiechem przytulając się do jego szerokiej piersi. - Thorn - szepnęła, delikatnie go głaszcząc - noszę twoje dziecko.

Zamarł w bezruchu. Zesztywniał w jej ramionach.

- Co... co? - zapytał zdławionym głosem.

- Jestem w ciąży - powtórzyła. Promieniała ze szczęścia.

Thorn przypomniał sobie noc poprzedzającą jego wyjazd do Tucson. Westchnął głośno.

- Nosisz moje dziecko... a ja... tak cię wziąłem? - Jęknął przerażony. - Na Boga, Trilby! Mogłem ci zrobić straszną krzywdę! I dziecku... - Sprawiał wrażenie przerażonego.

Uspokoiła go, kładąc mu dłoń na ustach i głaszcząc go delikatnie, łagodnie.

- Thorn, wszystko w porządku. Żadnego z nas nie skrzywdziłeś. Posłuchaj mnie, proszę. Nic mi się nie stało.

Drżał. Oczy mu zwilgotniały.

- Trilby, przepraszam.

Wtulila się w niego.

- Kocham cię - powiedziała z żarem. - A ty kochasz mnie. Nic nie mamy sobie do wybaczenia. Niechcący cię zraniłam. Staraleś się pokazać mi, co czujesz, ale nie rozumiałam. Teraz rozumiem. Thorn, jesteś całym moim życiem! - szepnęła.

Przeszedł go dreszcz. Przytulił ją do siebie i nadal drżał, owładnięty przerażeniem na myśl o tym, jaką krzywdę mógł jej wyrządzić.

- Och, kochanie - powiedział zdławionym głosem. - Nigdy więcej tak cię nie dotknę!

- Ależ tak, dotkniesz, kiedy znów będę w doskonałej formie, ponieważ kochamy się, namiętnie, dziko i cudownie. - Podniosła głowę i pocałowała go. - Uwielbiam cię.

Jej delikatne pocałunki stopiły jego ból. Objął ją i pocałował powoli, aż pocałunki przestały im wystarczać. Jęknął, czując palącą go gorączkę.

- Hhmm.

Jakiś głos przywołał ich do rzeczywistości. Spojrzeli w stronę drzwi - stał w nich Naki.

- Przepraszam, ale czy oboje ogłuchliście?

Thorn zmarszczył brwi. Gdy oprzytomniał, usłyszał odgłos wystrzałów, a tuż po nim nagły świst i powtarzający się głuchy stukot.

- Słyszałeś? Karabiny! Strzelają, biją kule - ponaglił go Naki. - Rewolwery i karabiny, i ten cholerny karabin maszynowy, który zdobyli. Jeśli nie chcecie, by was przeszyły kule, to może raczycie zejść z linii ognia.

- Do diabła, dlaczego nic nie powiedziałeś? - wściekł się Thorn, popychając Trilby w stronę wagonu. - Ona spodziewa się dziecka!

- Tak, wiem - uśmiechnął się Naki. - Wszyscy to wiedzą.

Pilnowaliśmy jej na zmianę. Juan chyba się w niej zakochał.

Thorn nienawistnym spojrzeniem obrzucił małego mężczyznę.

- Niech całuje swego konia. Ona jest moja.

- Powiem mu to... Padnijcie!

Naki popchnął ich łagodnie na podłogę, gdy dookoła posypały się okruchy szkła.

- Widzę, że będzie to bardzo długi dzień - mruknął Naki leżąc na podłodze.

I tak było. Nim nastąpiło popołudnie, wszyscy byli wyczerpani z powodu nerwów i braku snu. Strzelanina w końcu jednak ustała i według doniesień, jakie do nich docierały, silny oddział wojsk rządowych zmierzał w stronę Agua Prieta. Wkrótce dojdzie do dalszych walk. Wyglądało na to, że w każdej chwili może rozpętać się piekło.

Trilby nie wiedziała, jak wygląda „Rudy” Lopez, ale Juan pokazał go jej z daleka. Spodziewała się, że miejscowy bohater rewolucji będzie wysoki, przystojny i niezwykle, jak ktoś z kart powieści. On jednak wyglądał dość zwyczajnie, często uśmiechał się do swoich ludzi, a kiedy później został przedstawiony Trilby, zachowywał się uprzejmie i spokojnie. Nie wyglądał na oficera, ale jak wielu dowódców powstania charakteryzował się byстрыm umysłem oraz wyczuciem strategii i taktyki - niczym dokuczliwy komar gryzł i uciekał, gryzł i uciekał. To właśnie sprawiało, że był niebezpieczny.

Wkrótce potem przyszedł generał, który rozmawiał z Trilby zaraz po jej przybyciu. Chciał porozmawiać z grupką Amerykanów.

- Musimy odesłać was do Stanów - powiedział. - Wymaga to jednak ostrożności, ponieważ wasz kapitan po drugiej stronie granicy oznajmił nam, że każdego z *insurrectos*, którego schwyta na amerykańskiej ziemi, potraktuje jako jeńca wojennego. To bardzo niebezpieczna sytuacja.

Trilby uśmiechnęła się.

- Generale, mam wrażenie, że zaczynam przyzwyczajać się do niebezpieczeństwa.

Thorn był z niej tak dumny, że nie potrafił tego ukryć.

Jego łagodna, wychowana w ciepłarnianych warunkach Trilby zmieniła się w ciągu jednej nocy. Stała się pionierką.

Kiedy na nią patrzył, serce mu rosło.

- Moja żona spodziewa się dziecka - powiedział generałowi, a w jego głosie zabrzmiała troska.

- Juan przed chwilą mi to powiedział - odparł generał.

Zdjął kapelusz i dwornie uklonił się Trilby. - *Felicidades, senora* - dodał z uśmiechem. - Z przyjemnością osobiście będę panią eskortował do granicy.

- Jest pan dżentelmenem, *senor* - odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech.

- Będzie mi pani brakowało - dodał. - Stała się pani jednym z moich najlepszych medyków. - Kto się zajmie moimi biednymi ludźmi?

- Szpitale po drugiej stronie granicy - zaproponował Jack Lang. - Wszędzie są zbudowane

naprędce kliniki - i mnóstwo ludzi, którzy zajmą się rannymi i umierającymi.

Przyjmą wszystkich - powstańców i *federales*.

Generał skinął głową.

- Tak powinno być. - Dał znak Juanowi i kilka minut później, kiedy Trilby pożegnała się z małym doktorem, ruszyli w stronę przejścia granicznego.

Generał przeprowadził ich przez linie rebeliantów do okopu na granicy, gdzie powiewała rozjemcza flaga. Meksykański generał zasalutował amerykańskiemu kapitanowi, który trzymał tam straż, a ten z należnym szacunkiem odwzajemnił pozdrowienie i poszedł do swoich ludzi. Jack Lang odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu - powiedział. - Amerykańska ziemia!

- Tak - przytaknął Thorn i przyciągnął do siebie Trilby.

- Rzeczywiście dzięki Bogu. Naki, ty nie idziesz? - zapytał, kiedy Naki zatrzymał się tuż przed linią graniczną, patrząc na zbliżającego się oficera.

Apacz przecząco pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Mój przyjacielu, stałem się częścią rewolucji. Moi rodacy przegrali walkę o wolność, ale Meksykanie nadal mają szansę. O ich sprawę walczy wielu ludzi, choć nie są Meksykanami. Nie mogę ich teraz porzucić, kiedy zwycięstwo jest tak blisko.

- A co z Sissy? - zapytała ze smutkiem Trilby.

Naki namyślał się przez chwilę.

- Nic jej nie mów. Zupełnie nic.

- McCollum powiedział jej, że walczysz w Meksyku - oznajmiła z niepokojem. - Myśli, że nie żyjesz!

Naki przymknął oczy; zadrżał.

- Wobec tego niech tak będzie - odparł ochryplym głosem. - Tak będzie lepiej.

- Ona cię kocha.

Naki otworzył oczy i Trilby zobaczyła w nich taki ból, że aż się przeraziła.

- Wiem! - rzucił gwałtownie. - Doskonale to wiem!

- Ona wyrzeknie się dla ciebie wszystkiego.

- Ja też bym tak zrobił. I zrobiłem - odparł spokojnie Naki. Uśmiechnął się smutno. - Kiedy to się skończy, może znajdę jakieś wyjście.

Trilby nie dyskutowała z nim. Nie miała prawa mówić mu, jak ma żyć. Było jej żal i jego, i Sissy.

- Uważaj na siebie - powiedział mu Thorn na pożegnanie. - Nie daj się zabić.

- Obiecuję, że się postaram. *Vaya con Dios*.

- I ty także.

Naki pomachał ręką i wrócił do towarzyszy. Wyglądał bardziej na rewolucjonistę niż na Apacza.

Thorn, Jack i Trilby poszli dalej. Gdy tylko przekroczyli linię graniczną, natychmiast zostali otoczeni przez reporterów i rozgniewanego amerykańskiego oficera.

Thorn uniósł rękę.

- Później, proszę - powiedział. - Moja żona jest w odmiennym stanie. Czuje się słabo i muszę ją zawieźć do domu.

Mężczyźni natychmiast odstępili i Trilby szybko przeszła przez tłum w stronę samochodu ojca.

- Czy te brudne diabły ją skrzywdziły? - zapytał jeden z mężczyzn, kiedy już wsiadali do samochodu.

Trilby zatrzymała się gwałtownie i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- To meksykańscy rewolucjoniści, a nie „brudne diabły”. Śmiem nawet twierdzić, że traktowali mnie znacznie lepiej, niż potraktowałyby mnie w podobnej sytuacji jakikolwiek Amerykanin.

Mężczyzna odchrząknął i po niewczasie ściągnął kapelusz.

- Idiota - powiedziała Trilby na tyle głośno, by ją słyszano. Ujęła Thorna za rękę, kiedy zamknął drzwi samochodu. - Rzeczywiście, „brudne diabły”!

Thorn spojrzał na Jacka Langa i uśmiechnął się z pobłażaniem. Po złożeniu obietnicy amerykańskiemu oficerowi, że gdy tylko Trilby znajdzie się bezpiecznie w domu, przekażą mu tyle szczegółów, ile zdołali zapamiętać, w chmurze żółtego pyłu opuścili miasto.

Agua Prieta znajdowało się w rękach żołnierzy Madero tylko przez kilka dni. Trzech dowódców powstania poddało się wojskom amerykańskim, a kiedy kolumna dwunastu tysięcy *federales* pod dowództwem pułkownika Reynaldo Diaza wkroczyła do Agua Prieta, zastała opuszczone okopy i splądrowane miasto. Oblężenie się skończyło. Na szczęście dla obu narodów udało się uniknąć interwencji i wojny.

Wkrótce po tym, jak wojska rządowe ponownie zajęły Agua Prieta, dwóch dowódców Madero, Francisco „Pancho” Villa i Pascual Orozco, poprowadziło swe oddziały na Juarez. Po ich zwycięstwie Madero przejął urząd prezydenta Meksyku. Rewolucjoniści świętowali wraz z wszystkimi, którzy wspierali Madero.

„Rudy” Lopez zginął tragicznie wkrótce po bitwie o Agua Prieta. Przed oblężeniem miasta napisano w gazecie, że reporterowi, który przeprowadzał z nim wywiad, oddał własne łóżko, a sam spał na podłodze. Być może wiele niepochlebnych rzeczy, które o nim mówiono, było

prawdą, ale Trilby, która poznała go osobiście i słyszała, co mówią o nim jego ludzie, sądziła, że musiał mieć wiele pozytywnych cech, skoro jego żołnierze byli mu tak oddani.

Lopeza już nie było, ale wielu innych przywódców powstania - jak Orozco, Obregon, Villa i Zapata - żyło i świętowało zwycięstwo. Przez wiele dni odbywały się fiesty nawet po amerykańskiej stronie granicy. Pierwszy etap meksykańskiej rewolucji zakończył się dwudziestego szóstego maja tysiąc dziewięćset jedenastego roku wraz w rezygnacją i wyjazdem Porfirio Diaza. Następne wybory odbyły się w listopadzie. Wygrał je Francisco Madero i został prezydentem.

Trilby siedziała w domu, szyła sukienkę dla Samantha i cieszyła się małżeńskim szczęściem. Z każdym dniem byli sobie z Thornem bliżsi. Znikły wszelkie wątpliwości i smutki. Kochali się, a ich dziecko rosło w brzuchu Trilby. Nie mieli już przed sobą żadnych sekretów. Kiedy Thorn spoglądał na żonę, miłość prawie go oślepiła. W tych dniach czuł się bardziej jak król niż dzikus.

Powiedział jej to.

Roześmiała się i podniosła głowę, by go czule pocałować.

- Kochanie, jesteś dzikusiem tylko wtedy, kiedy się ze mną kochasz - szepnęła. - A ja mam nadzieję, że to się nigdy nie skończy.

Uśmiechnął się. Całował ją i szeptał, że tak właśnie będzie.

Jorge wyzdrowiał i wrócił, by ponownie przejąć swe obowiązki w Los Santos. Sissy regularnie pisała do Trilby; jej listy były smutne i krótkie i nigdy nie wspominała w nich o Nakim. Trilby także tego nie robiła. Doszły ją pogłoski, że Naki był wśród pojmanych rebeliantów, których stracono w Meksyku. W Los Santos nie mieli o nim żadnych wiadomości i nawet Thorn zaczął wierzyć, że Naki rzeczywiście nie żyje.

Nadeszła jesień. Alexandra Bates razem z matką popijała w salonie herbatę, kiedy pokojówka oznajmiła, że mają jakiegoś gościa.

- Obawiam się, że to znowu ten Harrow - powiedziała pani Bates z rezygnacją i wesoło uśmiechnęła się do Sissy.

- Będziemy musiały kazać go zastrzelić, Sissy, gdyż inaczej się go nie pozbędziemy. Cóż, wprowadź go - rozkazała pokojówce, która dygnęła i wyszła. - Czemu twój ojciec jeździ na te myśliwskie wyprawy i zostawia mnie samą na pastwę twoich upartych adoratorów?

Sissy uśmiechnęła się niewesoło. Nadal opłakiwała Nakiego. W ciągu ubiegłych miesięcy straciła dawną żywiołość i nie interesowała się prawie niczym. Porzuciła studia, straciła chęć do życia. Richard dojrzał, zmienił się na lepsze i zaręczył z miłą dziewczyną. Ben wyjechał do Teksasu - nie do pomyślenia! Sissy była jedynym dzieckiem, które nadal mieszkało w

rodzinnym domu. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze w stanie coś odczuwać. Pan Harrow, o którym mówiła matka, był wdowcem. Nie zachęcany wcale przez Sissy, zapalał do niej uczuciem. Męczyło ją już wyszukiwanie pretekstów, by się go pozbyć. Pragnęła tylko jednego mężczyzny, a on nie żył.

Czasami wydawało się jej, że będzie go opłakiwać przez całe życie.

Pani Bates powitała gościa, zanim Sissy go ujrzała.

Z całą pewnością nie był to pan Harrow. Ten mężczyzna był wysoki i elegancko ubrany. Wyglądał na Europejczyka, może Francuza; miał czarne włosy schludnie przycięte i zaczesane do tyłu, jego oczy przypominały czarne perły.

Mył niewiarygodnie przystojny i wytworny. Garnitur, który miał na sobie, był równie nienaganny, jak jego wypucowane do połysku czarne buty.

Pani Bates? - zwrócił się z uśmiechem do starszej kobiety. - Powiedziano mi, że zastanę tu Alexandrę. Ach, tak, tu jesteś! - dodał, spojrzawszy ponad ramieniem matki w stronę kanapy, na której siedziała Sissy.

Alexandra Bates ubrana w ciemną sukienkę, siedziała i wpatrywała się w niego z pobladłą twarzą, która stawała się coraz bielsza, aż nie została w niej ani kropla krwi.

- Uwaga, ona zaraz zemdleje! - krzyknęła zaszokowana pani Bates.

Naki skoczył, żeby ją złapać, a jego potężne ciało z łatwością uporało się z ciężarem Sissy. Przeraził się, że tak wychudła.

Położył ją delikatnie na kanapie, a zdenerwowana pani Bates posłała pokojówkę po sole trzeźwiące.

- Och, na litość boską, co jej się stało? - martwiła się pani Bates.

- Czy często jej się to zdarza? - zapytał Naki nie spuszczając wzroku z twarzy ukochanej, nieprzytomnej Sissy.

- Nie, ale od powrotu z Arizony nie jest sobą. Opłakuje tego mężczyznę... - Przypomniała sobie, że ma gościa, nieznanego, i przerwała. Uśmiechnęła się. - To nieważne.

Jeszcze się pan nie przedstawił, młody człowieku.

- Naprawdę? - szepnął z roztargnieniem, ponieważ Sissy poruszyła się. Trzymał w ręce drobną dłoń Alexandry i mocno ją ścisnął. Jego piękne ciemne oczy wpatrywały się w jej twarz. - Sissy - zawołał cicho.

Otworzyła oczy i wpatrzyła się w niego z osłupieniem.

Zadrżała.

- Ty nie żyjesz! - szepnęła z rozpaczą. - Naki, ty nie żyjesz, ty nie żyjesz!

- Nie - szepnął z czułością i uśmiechnął się. - Jak mógłbym umrzeć i zostawić cię samą?

- Naki - jej głos drżał z emocji. Wyciągnęła ramiona, a on podniósł ją i gwałtownie przytulił do serca. Zamknął oczy. Kołysał ją, trochę zbyt mocno ją obejmując, dając w ten sposób upust miesiącom samotności. Uczucie malujące się na jego wyrazistej twarzy byłoby zrozumiałe nawet dla osoby ślepej, a taką pani Bates stanowczo nie była.

- Cóż - powiedziała, składając dłonie, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co widzi. Uśmiechnęła się. - Muszę powiedzieć, że zupełnie inaczej sobie pana wyobrażałam.

Spojrzał na nią ponad ciemną głową Sissy i uśmiechnął się lekko.

- Śmiem twierdzić, że spodziewała się pani piór i barw wojennych.

Pani Bates zachichotała.

- Właśnie. Napije się pan herbaty?

- Jeśli można - odparł - z mnóstwem lodu. W Meksyku brakuje tego towaru.

Kiedy pani Bates wyszła dyskretnie, by przypilnować przygotowania dla nich tacy z herbatą, Naki pomógł Sissy usiąść i z czułością wpatrywał się w jej rozpromienioną twarz.

- Czasami niewiele brakowało, żebym rzeczywiście nie wrócił, ale nic mi nie jest. Zarobiłem i teraz posiadam trochę własnej ziemi, Alexandro. Kupiłem kawałek w pobliżu Cancun - powiedział bez żadnych wstępów. - Obawiam się, że oboje będziemy tam obcy, ale będziemy mogli żyć w spokoju i bez uprzedzeń. Zawsze będę Apaczem i nie mam zamiaru ukrywać swojej rasy ani też wyrzekać się dumy z tego, że do niej należę. Jednakże spuścizna nie zależy od geografii. Równie dobrze mogę być Apaczem w Meksyku, jak w Arizonie.

- Wszystkiego się wyrzekniesz! - zaprotestowała słabo.

- Niezupełnie - odparł spokojnie. - Jednak inna alternatywa to albo zabrać cię do rezerwatu, gdzie będziesz cierpieć z powodu uprzedzeń, albo próbować żyć w świecie białych i samemu cierpieć z tego powodu. Sądzę, że Meksyk to jedyne wyjście. - Z żarem wpatrywał się w jej oczy.

- Musisz zdecydować, czy dzielenie ze mną życia warte jest wyrzeczenia się rodziny i dotychczasowego stylu życia.

Patrzyła na niego z powagą.

- Cóż to za poświęcenie, kiedy chętnie oddałabym życie, żeby być z tobą - odparła po prostu.

Zamknął oczy. Wyobraził sobie Alexandrę w swych ramionach w tropikalne noce, w czasie których wokół nich szalała burza z piorunami. Zadrżał na myśl o ekstazie, jaką będą dzielić. Spojrzał na nią i pomyślał, że takie marzenie warte jest wszystkiego. Nawet, jak powiedziała, samego życia.

- Tak - odparł. - Ja czuję to samo. Czy zaryzykujemy?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie będzie żadnego ryzyka.

Podniosła głowę i pocałowała go.

- Nawet z taką miłością jak nasza nie będzie to łatwe.

- Starał się mówić pomiędzy jej pocałunkami.

Uśmiechnęła się i pocałowała go jeszcze mocniej.

- Kiedy się pobierzemy, chcę mieć dzieci - powiedziała poważnie. Gdy zaczął protestować, położyła mu dłoń na ustach. - Chcę mnóstwo, mnóstwo dzieci - powtórzyła, a każde słowo było wyważone i stanowcze.

Westchnął.

- Alexandro, mówiliśmy już o tym mieszaniu ras...

- Którego nikt nie zauważy w Meksyku - zakończyła.

Uśmiechnęła się. - A twoje dzieci będą szczególnie piękne - szepnęła, widząc je już oczami wyobraźni.

Nie umiał się z nią sprzeczać.

- Piękne dzieci? - szepnął.

- Piękne - powtórzyła z naciskiem. - Opowiemy im o ich apaczowskich przodkach i sprawimy, że będą z tego dumne. I tak bardzo będziemy je kochać - dodała gorączkowo, patrząc mu prosto w oczy. - Prawie tak bardzo, jak kochamy siebie...

Nie znalazł na to żadnego argumentu. W końcu zaczął ją namiętnie całować i poddał się bez oporów niewyobrażalnemu szczęściu, jakie przeżywał na myśl o wspólnej przyszłości.

Późną jesienią Trilby i Thornowi urodził się syn, przystojny młody człowiek z ciemnymi oczami ojca i jasną karnacją matki. Dali mu na imię Caleb, na cześć nieżyjącego dziadka Thorna.

Naki i Sissy mieli pięcioro dzieci, wszystkie były podobne do swego przystojnego i odnoszącego sukcesy ojca.

Richard Bates poślubił pewną debiutantkę, która kochała go przez całe życie, mimo jego tendencji do skoków na boki.

Teddy Lang, kiedy dorósł, został szeryfem w Cochise County, w Arizonie, a mała Samantha Vance wyszła za mąż za lekarza z Douglas. Ben Bates został kapitanem kawalerii w Teksasie.

Caleb Vance ożenił się z Hiszpanką, stanął w wyborach do Senatu Stanów Zjednoczonych i wygrał.

Co się tyczy Lisy Morris, to wyszła za kapitana Powella i ku zdziwieniu wszystkich

następnego roku zaszła w ciążę.

Francisco „Pancho” Villa, który po bitwie o Juarez stał się dobrze znany w kręgach rewolucyjnych, został porzucony przez Madero, aresztowany i osadzony w więzieniu.

Później z niego zbiegł. Pod koniec listopada tysiąc dziewięćset jedenastego roku Zapata powstał przeciwko Madero. Orozco utworzył armię, by mu się przeciwstawić, i został pokonany przez Huertę, który usunął Madero z urzędu i skazał go na karę śmierci.

Szóstego marca tysiąc dziewięćset trzynastego roku nocą Pancho Villa opuścił El Paso i przekroczył meksykańską granicę. Miał ze sobą ośmiu ludzi, dziewięć karabinów, pięćset sztuk amunicji, dwa funty kawy i funt soli. Przed nadejściem roku tysiąc dziewięćset czternastego zebrał armię i wypędził *federales* ze stolicy Chihuahua i ze stanu Sonora. Kilka lat po doświadczeniach Trilby pierwszego listopada tysiąc dziewięćset piętnastego roku doszło do drugiej, decydującej bitwy o Agua Prieta, w której wziął udział Pancho Villa - była to jego pierwsza przegrana bitwa, w stanie Sonora.

W czasie całej rewolucji mimo porażek Villa przewodził jednej szarzy za drugą, razem ze swymi ludźmi i swoją armatą, El Nino, i został unieśmiertelniony w książce napisanej przez wykształconego w Harvardzie dziennikarza, Johna Reeda, który mu towarzyszył. Pośród cudzoziemców dzielących z Villą jego radości i porażki był jeszcze Amerykanin, który później zrobił wspaniałą karierę jako filmowy kowboj. Nazywał się Tom Mix.

Villa w końcu poddał się w tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, trzy lata po tym, jak zatwierdzono nową konstytucję, która zagwarantowała reformę rolną i nacjonalizację. Zapata został zabity w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku, Villę zaś zamordowano w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku. Rewolucja definitywnie się skończyła. Pułkownik Alvaro Obregon został prezydentem Meksyku w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku.

Mimo rewolucji nic się specjalnie nie zmieniło. Przeprowadzono pewne reformy, to prawda, ale wpływowi zagraniczni inwestorzy w znacznej mierze nadal kontrolowali bogactwa Meksyku. Meksykańscy chłopcy nadal musieli egzystować za marną zapłatę. Jedyną istotną zmianą było nazwisko człowieka zasiadającego na prezydenckim fotelu.

Kilka lat po pierwszym ataku na Agua Prieta Thorn i Trilby siedzieli na ganku, przyglądając się, jak dwupłatowiec miejscowego lotnika wdzięcznie unosi się w powietrzu. W Europie toczyła się pierwsza wojna światowa.

- Mówi się, że będą używać tych powietrznych machin w wojnie za morzem - powiedział Thorn z błyskiem w oczach. - Gdybym miał kilka lat mniej, może spróbowałbym latania. Te samoloty wydają się dobrze rokować Villi i końcowi rewolucji.

- Samoloty i El Nino - dodała.

Oparł się na huśtawce i objął ją ramieniem. Samantha wyjechała do szkoły na Wschodzie, a mały Caleb na tyłach domu uczył się naprawiać uprząż. Życie było cudowne.

- Czy kiedykolwiek tęsknisz za dawnym życiem? - zapytał niespodziewanie, spoglądając na nią. - To znaczy za Luizjaną, kotylionami i eleganckim towarzystwem.

Przycisnęła rękę do piersi, położyła policzek na jego ramieniu i spojrzała na niego z uwielbieniem.

- Nie - powiedziała po prostu.

- Nawet za życiem bez pyłu? - nalegał.

- Lubię pył. Jest ładny. Dobrze mi robi na cerę - zażartowała. Przesunęła mu palcem po nosie i uśmiechnęła się.

- Kocham cię - szepnęła.

Westchnął uspokojony i wtulił policzek w jej włosy.

- Zmieniłaś się.

- Och, tak. Potrafię załadować strzelbę i osiodłać konia, a także rzucić toporkiem - odparła z kpiną. - Nie mówiąc o zszywaniu ran i braniu udziału w rewolucji.

Zachichotał.

- A ja przynajmniej potrafię się przyzwoicie zachować, więc nie wpędzę Samantha w zakłopotanie, kiedy przyprowdzi do domu jakiegoś młodego człowieka.

- Kochanie, nigdy nikogo z nas nie wprowadzisz w zakłopotanie, a już najmniej mnie. - Wsunęła mu się na kolana i położyła głowę na ramieniu. - Ale jeśli chcesz, możemy odświeżyć twoją pamięć o dobrych manierach. Na przykład - szepnęła, pociągając jego głowę w ten sposób, by mogła zbliżyć się do jego ust - dżentelmen zawsze pomaga damie w potrzebie. - Poczula jego przyspieszony oddech, a pod dłonią bicie serca. Wciąż nie osłabła jej zdolność podniecenia go.

- Czy jesteś w potrzebie? - zapytał.

- Och, tak - odparła z zapalem. - W wielkiej potrzebie.

Jak sądzisz, czy mógłbyś pomóc mi przejść do sypialni i położyć się?

Zachichotał.

- Myślę, że tak. - Wstał, i nadal trzymając ją na rękach, wszedł do opustoszałego domu. - Mam nadzieję, że naszego syna bardzo interesuje naprawianie uprzęży.

- W drzwiach jest zamek - szepnęła ze śmiechem i delikatnie ugryzła męża w ucho.

Pochylił głowę i pocałował ją, uśmiechając do jej zachęcających ust.

Nad ich głowami kolorowy dwupłatowiec wykonywał na niebie powolną pętlę, po czym zawrócił do Douglas, machając skrzydłami dwóm chłopcom, którzy daleko w polu stali i wpatrywali się w niego. Płynął w słońcu niczym na anielskich skrzydłach. Wyglądał jak ogromny

motyl.

A w dole na krętej drodze kłębiły się chmury żółtego pyłu.